

**BRIAN W. ALDISS**

# **SIWOBRODY**

**Przełożyła Agnieszka Jacewicz**

*Pisałem to z miłością do*

*Clive'a i Wendy*

*Mając nadzieję, że kiedyś*

*Zrozumieją historię, którą kryje ta historia.*

## Rozdział 1.

## Rzeka: Sparcot

Zwierzę przemykało wśród połamanych trzcin. Nie było samo; za nim podążała jego towarzyszka, której śladem szło pięcioro młodych, ochoczo przyłączając się do polowania. Gronostaje przepłynęły strumień. Wydostały się już z zimnej wody na brzeg i przedzierały się przez sitowie. Tułowia trzymały płasko przy ziemi, wyciągając w górę szyje. Młode naśladowały ojca. Rodzic z okrutnym głodem przyjrzał się królikom kicającym nieopodal w poszukiwaniu pożywienia. Dawniej były tu pola, ale, zanedbane, porosły chwastami. Te, zanim zginęły, zagłuszyły zboże. Potem przemknął tędy ogień, paląc osty i wysokie trawy. Króliki, chętnie żywiące się niską roślinnością, wprowadziły się tu szczypiąc świeże, zielone pędy przebijające spod warstwy popiołu. Kielkujące rośliny, którym udało się przetrwać proces przerzedzania, miały mnóstwo miejsca i wyrosły na sporej wielkości młode drzewa. Ponieważ króliki lubią otwartą przestrzeń, ich liczebność zmalała i z czasem wróciła tu trawa. Teraz w cieniu rozrastającego się lasu bukowego gryzonie znowu przerzedzały jej kępy. Nieliczne zajęczaki miały zapadnięte boki.

Coś je niepokoiło. Jeden z nich dostrzegł paciorki bacznych oczu wśród sitowia. Błyskawicznie rzucił się w poszukiwaniu schronienia. Pozostałe poszły za jego przykładem. Dorosłe gronostaje natychmiast ruszyły za nimi, jak dwa brunatne cienie mknące przez otwartą przestrzeń. Króliki piorunem skryły się w norach. Gronostaje puściły się w pogoń, nie przystając nawet na chwilę. Mogły iść wszędzie. Świat – ten maleńki fragment świata – należał do nich.

Kilka mil dalej, pod tym samym, poszarpanym, zimowym niebem, na brzegach tej samej rzeki, gęstwinę drzew wycięto. Na zalesionych terenach nadal dało się dostrzec ślady dawnych granic. Teraz nie miały już znaczenia, więc z każdym rokiem zacierały się coraz bardziej. Duże drzewa, których gałęzi wciąż się trzymały zbrązowiałe liście, wyznaczały szlak dawnych żywopłotów oddzielających splątaną roślinność na niegdysiejszych polach. Rosły tu jeżynowe krzewy, niczym zardzewiały drut kolczasty wyżynające sobie drogę ku środkom pól, a także olchy, kłujące krzaki dzikiej róży i prężne młode drzewka. Na brzegu wydartej lasowi polany niepokorne żywopłoty służyły jako bariera powstrzymująca roślinność przed wdarciem się poza szeroki, nierówny łuk. Chroniły obszar kilkuset akrów, którego najdłuższą granicę wyznaczała rzeka.

Teren ograniczony tym niezgrabnym częstokołem patrolował stary mężczyzna ubrany w zgrzebną koszulę w pomarańczowe, zielone, czerwone i żółte pasy. Ta koszula była jedynym kolorowym elementem posępnego krajobrazu. Uszyto ją z płótna leżaka.

W nierównych odstępach, barierę roślinności przecinały ścieżki wydeptane w poszyciu. Nie wiodły daleko, kończyły się przy prymitywnych latrynach z wykopanymi w ziemi

dołami, które przykryto brezentem lub drewnianymi listwami. Tak wyglądały toalety wioski Sparcot.

Sama osada leżała nad rzeką, pośrodku polany. Na przestrzeni stuleci budynki wznoszono, a raczej przypadkowo gromadzono na planie litery „H”, której poprzeczna belka wiodła na kamienny most spinający oba brzegi rzeki. Most nadal istniał, ale prowadził jedynie ku zaroślom, w których mieszkańcy osady zbierali drzewo na opał.

Z dwóch przecinających wioskę dłuższych szlaków, drogę biegnącą bliżej rzeki zbudowano dawniej wyłącznie na użytek mieszkańców osady. I nadal tak było: jej odnoga wiodła do starego młyna wodnego, w którym mieszkał Duży Jim Mol, przywódca Sparcot. Druga droga niegdyś pełniła rolę głównej. Teraz na granicy zabudowań rozchodziła się we wszystkich kierunkach ku ograniczonej krzaczastym częstokołem puszczy. Tam stawała się coraz cieńsza, jak wąż w gardle krokodyla i ginęła przygnieciona ciężarem ściółki.

Wszystkie domy w Sparcot były zaniedbane. Niektóre czas zmieniały w ruiny, inne już wyglądały jak opuszczone gruzowiska. Mieszkało tu sto dwanaście osób. Żadna nie urodziła się w osadzie.

Przy skrzyżowaniu dróg stał kamienny budynek pełniący niegdyś rolę poczty. Z okien na piętrze po jednej stronie widać było most, a po drugiej ziemię uprawną, za którą ciągnęły się lasy. Tutaj mieściła się obecnie strażnica osady, a ponieważ Jim Mol zarządził całodobowe trzymanie straży, w pomieszczeniu stale ktoś przebywał.

W pustej izbie znajdowały się trzy osoby. Stara kobieta, która już dawno przekroczyła granicę osiemdziesięciu lat, przysiadła przy piecu na drewno, nucąc coś i kiwając głową. Dłonie wyciągnęła w stronę ognia, na którym w cynowym półmisku podgrzewała gulasz. Tak jak pozostali, szczerze opatulila się dla ochrony przed zimowym chłodem, którego piecyk nie był w stanie pokonać.

Prócz niej w izbie znajdowali się dwaj mężczyźni. Jeden z nich wyglądał sędziwie, ale w jego oczach nadal czaił się blask. Leżał na sienniku na podłodze, bezustannie rozglądając się wokół. Wpatrywał się w sufit, tak jakby próbował zrozumieć sens pęknięć albo gapił się na ściany, poszukując rozwiązania zagadki plam wilgoci. Na zarośniętej twarzy o rysach ostrych jak u gronostaja, malowała się irytacja, bo nucenie starej kobiety działało mu na nerwy.

Tylko trzeci obecny w strażnicy człowiek pozostawał czujny, jak na strażnika przystało. Był solidnie zbudowany, pięćdziesięciokilkuletni, bez wydatnego brzucha, ale nie tak wychudzony jak jego towarzysze. Siedział na skrzypiącym krześle przy oknie, trzymając strzelbę przy boku. Czytał książkę, ale często podnosił głowę i spoglądał przez okno. Za którymś razem dostrzegł strażnika w kolorowej koszuli. Mężczyzna nadchodził od strony pastwisk.

– Idzie Sam – odezwał się, odkładając książkę na bok. Nazywał się Algi Timberlane. Miał gęstą, siwiejącą brodę, która spływała mu prawie do pępka, gdzie ucięto ją w linii prostej. Przez tę brodę zwano go Siwobrodym, choć żył w świecie samych siwobrodych. Przy

niemal łysej czaszce zarost wydawał się tym bujniejszy, a jego gęstwina, mocno przetykana kępami włosów czarnych u góry i blaknących nieco niżej, przykuwała uwagę w świecie ludzi, których nie było stać na innego rodzaju ozdoby.

Na dźwięk jego głosu kobieta przestała nucić, nie dając żadnego innego znaku, że go usłyszała. Mężczyzna odpoczywający na sienniku usiadł i położył dłoń na leżącej przy boku pałce. Zmarszczył brwi i wyteżył wzrok, spoglądając na głośno tykający zegar na półce, po czym mrużąc oczy popatrzył na swój zegarek. Mocno zniszczony czasomierz, pamiątka po dawnym świecie, był najcenniejszą rzeczą, jaką Towin Thomas posiadał, choć mechanizm nie działał już od ponad dekady.

– Sam za wcześnie schodzi z warty, pospieszył się o dwadzieścia minut – powiedział. – Stary chytrus. Pewnie zgłodniał, patrolując granice. Lepiej pilnuj gulaszu, Betty. Wolałbym być jedynym, który od twego żarcia dostanie niestrawności.

Betty pokręciła głową. W równym stopniu przypominało to nerwowy tik, co zaprzeczenie słowom mężczyzny z pałką. Kobieta trzymała dłonie nad ogniem i patrzyła przed siebie.

Towin Thomas podniósł pałkę i sztywno wstał na nogi, opierając się o stół. Podeszedł do stojącego przy oknie Siwobrodego i spojrział przez brudną szybę, po czym przetarł ją rękawem.

– To jak nic Sam Bulstow. Jest tylko jedna taka koszula.

Sam Bulstow szedł zaśmieconą ulicą. Gruz, popękane dachówki i śmieci leżały na chodnikach; szczaw i koper – zdławione zimowym chłodem – kielkowały spomiędzy potrzaskanych kratownic. Sam kroczył środkiem drogi. Od lat korzystali z niej wyłącznie piesi. Przy poczcie mężczyzna skręcił, a obserwujący usłyszeli jego kroki na deskach podłogi na dole. Obojętnie przysłuchiwali się przedstawieniu, jakie towarzyszyło jego wspinaczce na górę: jękiem surowych desek stopni, skrzypieniu poręczy pod szorstką dłonią, którą właściciel pomagał sobie, wchodząc na piętro i chrypiącym westchnieniom płuc wyteżających się z każdym krokiem.

W końcu Sam pojawił się w drzwiach strażnicy. Krzykliwe pasy koszuli użyczały odrobiny koloru białemu zarostowi na jego szczęce. Przez chwilę przybysz przyglądał się pozostałym. Wsparty o framugę drzwi próbował złapać oddech.

– Przyszedłeś za wcześnie, jeszcze nie pora na obiad – powiedziała Betty nie odwracając głowy. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Kobieta z dezaprobatą potrząsnęła kosmykami przetłuszczonych włosów.

Sam nie ruszał się z miejsca. Dysząc, odsłaniał żółtobrazowe zęby.

– Szkoci się zbliżają – oznajmił.

Betty sztywno odwróciła głowę i spojrzała na Siwobrodego. Towin Thomas z miną przebiegłego, starego wilka podparł pałką brodę i przyjrzał się Samowi mrużąc oczy.

– Może chcą ci odebrać robotę, co Sammy? – zakpił.

– Skąd masz takie informacje, Sam? – spytał Siwobrody.

Bulstow powoli wszedł do izby, po drodze rzucając ukradkowe spojrzenie na zegar, po czym nalał sobie wody ze stojącego w kącie, poobijanego wiadra. Pił chciwie. Kiedy skończył, opadł na drewniany stołek i wyciągnął żylaste dłonie w stronę ognia. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Wzdłuż północnej granicy przekradał się wędrowny handlarz. Mówił, że zmierza do Faringdon. Od niego wiem, że Szkoci dotarli już do Banbury.

– Gdzie jest teraz ten handlarz? – zapytał Siwobrody, nieznacznie podnosząc głos i udając, że wygląda przez okno.

– Poszedł dalej. Mówił, że do Faringdon.

– Przeszedł przez Sparcot i nie zajrzał do wioski, żeby nam coś sprzedać? Trudno mi w to uwierzyć.

– Ja tylko powtarzam, co wiem od niego. Przecież nie odpowiadam za to, co robi. Według mnie szef Mol powinien chyba wiedzieć, że Szkoci są coraz bliżej i tyle. – Głos Sama przeszedł w irytujący jęk, jakiego wszyscy czasami używali.

Betty odwróciła się z powrotem do pieca.

– Każdy kto tu przychodzi, przynosi plotki – powiedziała. – Jak nie Szkoci, to stada dzikich zwierząt. Bajanie... Tak samo, jak podczas ostatniej wojny, kiedy ciągle gadali, że będzie inwazja. Już wtedy domyślałam się, że chcą nas tylko nastraszyć, ale i tak się bałam.

Sam przerwał jej mamrotanie.

– Plotki czy nie, powtarzam tylko to, co usłyszałem od obcego. Pomyślałem, że powinienem wrócić i to zgłosić. Dobrze zrobiłem?

– Skąd się wziął ten człowiek? – spytał Siwobrody.

– Znikąd. Zmierzał do Faringdon. – Sam po swojemu wykrzywił twarz, śmiejąc się z własnego dowcipu. Zauważył, że Towin też się uśmiechnął

– A mówił, gdzie wcześniej był? – cierpliwie spytał Siwobrody.

– Gadał, że przychodzi gdzieś z górnego biegu rzeki. Podobno w naszą stronę idzie spore stado gronostajów.

– E tam, taką plotkę też już słyszeliśmy – powiedziała Betty sama do siebie i pokiwała głową.

– Ty siedź cicho, stara krowo – nakazał Sam bez urazy w głosie.

Siwobrody ujął strzelbę za lufę i ruszył ku środkowi izby. Zatrzymał się dopiero, gdy patrzył na Sama z góry.

– To wszystko, o czym chciałeś nam donieść, Sam?

– Szkoci i gronostaje, chyba dość jak na jeden patrol, co? Żadnych słoni nie widziałem. – Ponownie skrzywił się w uśmiechu, spoglądając na Towina Thomasa i szukając u niego aprobaty.

– Jesteś za tępy, nawet nie wiesz, jak słoń wygląda, ty stary pchlarzu – odezwał się Towin.

Siwobrody puścił mimo uszu ich pyskówki.

– Dobra Sam, wracaj na patrol. Zostało ci do końca jeszcze dwadzieścia minut.

– Co? Mam tam iść na beznadziejne dwadzieścia minut? Za nic w świecie! Chrzanię to, Siwy. Na dzisiejsze popołudnie mam dość. Nie ruszę się z tego stołka. Przez dwadzieścia minut obejdziemy się bez straży. Przecież nikt nam nie ukradnie Sparcot i nie ucieknie z całą wioską pod pachą. Nie obchodzi mnie, co myśli Jim Mol.

– Wiesz dobrze, co nam grozi.

– I tak mnie nie przekonasz. Za bardzo dokuczają mi plecy. Te przeklęte patrole za często nam przypadają. Wcale mi się to nie podoba.

Betty i Towin milczeli. Thomas zerknął na zepsuty zegarek. Im obojgu, tak jak wszystkim mieszkańcom osady, dostatecznie często wkładano do głowy, że konieczna jest ciągła straż. Teraz jednak nie podnosili wzroku, przyglądając się spoinom desek podłogi. Doskonale wiedzieli, jak wiele wysiłku kosztowało zmuszanie starych nóg do dodatkowych wędrówek w górę i w dół po schodach oraz wzdłuż granic osady.

Sam wyczuł, że ma przewagę. Odważniej spojrzął na Siwobrodego.

– Może mnie zastąpisz przez te dwadzieścia minut, skoro tak bardzo chcesz chronić tę dziurę? Jesteś młody, twoim kościom dobrze to zrobi.

Siwobrody przerzucił skórzany pasek strzelby przez lewe ramię i odwrócił się do Towina, który przestał ogryzać koniec pałki i podniósł głowę.

– Uderzaj w dzwon tylko i wyłącznie wtedy, kiedy będziesz mnie natychmiast potrzebował. Przypomnij starej Betty, że to nie jest gong obiadowy.

Kobieta zachichotała. Siwobrody ruszył do drzwi, zapinając guziki starej, luźnej kurtki.

– Żarcie prawie gotowe, Algi. Może zostać chwilę i zjedz od razu? – zaproponowała.

Siwobrody bez słowa zatrzasnął za sobą drzwi. Pozostali słuchali jego ciężkiego stąpania po schodach w dół.

– Myślicie, że się obraził? Chyba nie doniesie na mnie staremu Molowi, co? – zapytał Sam niepewnie.

Pozostałych dwoje mruknięło coś obojętnie. Szczelniej otulili chude boki. Nie chcieli mieć żadnych kłopotów.

Siwobrody ruszył wolno środkiem ulicy, omijając kałuże pozostałe po ulewie sprzed dwóch dni. Większość rynien i rynsztoków w Sparcot była zatkana, a woda niechętnie wsiąkała w błotnisty grunt. Gdzieś w górze koryta rzeki coś blokowało jej bieg, przez co występowała z brzegów. Musiał pogadać z Molem; trzeba było zorganizować wyprawę i zbadać przyczynę kłopotów. Niestety, Mol stawał się coraz bardziej marudny, a przyjęta przez niego taktyka izolacjonizmu wykluczała ekspedycje poza teren osady.

Algi wybrał ścieżkę biegnącą wzdłuż brzegu rzeki, by później obejść granice wyznaczone przez częstokół. Przedarł się przez nagie cienkie gałęzie rozrośniętego czarnego bzu,

jednocześnie wciągając w nozdrza melancholijnie słodki zapach rzeki i tego, co przy niej gniło.

Wiele zabudowań wzniesionych niedaleko od brzegu spłonęło jeszcze zanim wraz z towarzyszami zamieszkał w osadzie. Ich skorupy od wewnątrz i z zewnątrz porastała roślinność. Na furtce, leżącej krzywo w wysokiej trawie, widniał blady napis zdradzający nazwę szkieletu najbliższego domu: THAMESIDE.

Ogień nie uszkodził domów stojących dalej i teraz były zamieszkane. Wśród nich znajdował się dom Siwobrodego. Mężczyzna spojrział w okna, ale nie dostrzegł w nich sylwetki żony. Pewnie Marta siedziała w milczeniu przy kominku, z kocem zarzuconym na ramiona, wpatrując się w palenisko na – na co? Siwobrody poczuł gwałtowne ukłucie zniecierpliwienia. Zabudowania przypominały kupkę tulących się do siebie ruin. Wyglądały jak stado kruków z podciętymi skrzydłami. Większość budynków nie miała kominów ani rynien. Z każdym rokiem coraz bardziej garbiły ramiona, a podtrzymujące dachy krokwie zapadały się niżej i niżej. Wielu mieszkańców znakomicie wpasowywało się w atmosferę ogólnego zniszczenia. Ale nie on. Nie chciał też, by jego Marta stała się podobna do reszty.

Celowo spowolnił bieg myśli. Gniew do niczego nie prowadził. Siwobrody uważał, że umiejętność powstrzymywania złości jest zaletą. Tęsknił za wolnością czającą się poza granicami zrobaczywiałego bezpieczeństwa Sparcot.

Za domami mieszkalnymi znajdowała się faktoria Toby'ego – budynek nowszy i w lepszym stanie niż pozostałe – oraz stodoły, niezdarne konstrukcje uwieczniające niefachowość ich budowniczych. Dalej rozciągały się pola, posiniałe na powitanie zimowych mrozów. W pobrużdżonej ziemi połyskiwały skorupy kałuż. Gęste zarośla za polami wyznaczały wschodnią granicę Sparcot. Poza osadą ciągnęły się ogromne, tajemnicze obszary doliny Tamizy.

Tuż za granicą wioski rzece zagrażał stary, zapadnięty, ceglany most. Jego ruiny przypominały zrosnięte rogi starego barana. Siwobrody przyjrzał się im i groźnie wyglądającemu, niewielkiemu wirowi tuż za nimi – bo właśnie tędy wiodła droga ku temu, co w owych czasach uchodziło za wolność – po czym zawrócił i ruszył skrajem żywego częstokołu.

Wygodnie przyciskając zgiętym ramieniem strzelbę do tułowia, szedł wytyczonym szlakiem. Wzrokiem obejmował całą polanę, aż do jej przeciwległego krańca. Wokół było pusto, jedynie w oddali dostrzegł dwóch ludzi między bydłem i jakąś pochyloną postać na grządkach z kapustą. Świat miał niemal na własność – z każdym rokiem coraz więcej.

Zatrzasnął okiennice myśli, odgradzając się od takich rozważań. Skupił się na tym, co usłyszał od Sama Bulstowa. Pewnie wszystko zmyślił po to, by skrócić patrol o dwadzieścia minut. Pogłoski o nadchodzących Szkotach wydawały się dalekie od prawdy, nie bardziej jednak, niż inne opowieści zwożone do Sparcot przez podróżnych. Mieszkańcy osady słyszeli

już, że chińska armia maszeruje na Londyn i że w lasach widywano tańczące skrzaty, elfy i ludzi o borsuczych pyskach. Z każdą porą roku rosła ludzka ignorancja. Dobrze by było wiedzieć, co się naprawdę dzieje...

W opowiastkę o nadchodzących Szkotach nie wierzył, ale meldunek Sama o wędrownym handlarzu wydawał się bardziej prawdopodobny. Wokół kolonii rosły gęste żywopłoty, lecz można było znaleźć wśród nich ścieżki z rzadka przemierzane przez podróżnych. Odcięta od świata osada rzadko widywała coś prócz łodzi, które z mozołem pływały w górę lub w dół Tamizy. Ale nawet w spokojniejszych czasach trzeba było trzymać straż – „niemoc, która przyniesie pokój” – pomyślał Siwobrody, zastanawiając się czyje słowa cytuje. Wioski, w których nie patrolowano granic, mogły zostać splądrowane i zrujnowane przez złodziei żywności albo przez zwykłych szaleńców. Tak sądzili mieszkańcy Sparcot.

Siwobrody mijał krowy pasące się w nierównych okręgach kreślonych promieniami ich postronków. Należały do nowej odmiany. Były małe, wytrzymałe, dobrze wypasione i bardzo spokojne. Ale przede wszystkim młode! Wilgotne ślepia łagodnych stworzeń śledziły Siwobrodego. Należały do człowieka, ale nie dzieliły jego losu. Miarowo strzygły trawę aż do poszarpanej linii jeżynowych zarośli.

Jedna z krow pasących się bliżej krzaków zaczęła się szarpać na łańcuchu. Targała łbem, przewracała oczami i ryczała. Siwobrody przyspieszył.

Nie dostrzegł niczego, co mogłoby spłoszyć zwierzę. Przy jeżynach leżał tylko martwy królik. Algi podszedł bliżej i przyjrzał się mu. Ofiara była świeża i choć na pewno nie żyła, miał wrażenie, że się poruszyła. Stał teraz niemal nad nią. Czuł, że coś jest nie tak. Na plecach poczuł nieznaczne ukłucie niepokoju.

Królik był bezsprzecznie martwy – zabity precyzyjnym szarpnięciem za kark. Miał zakrwawioną szyję i odbył. Purpurowe oko zaszło mgłą.

Mimo to poruszył się. Jego bok zafalował.

Siwobrody zdrętwiał. Ogarnął go niekontrolowany strach zrodzony z przesądów. Cofnął się o krok, zsuwając strzelbę z ramienia i chwytając ją dłońmi. W tej samej chwili królik ponownie się poruszył i pokazał się jego zabójca.

Gronostaj błyskawicznie wysunął się z króliczego trupa. Zgiął tułów w pół, by prędzej się wydostać. Brązowe futerko zabarwiła krew ofiary. Mały dziki pyszczek, który zwierzę uniosło w stronę Siwobrodego, był umazany szkarłatem. Siwobrody zastrzelił drapieżnika zanim ten zdołał się ruszyć.

Krowy szarpały się i kopały. Ludzie pochyleni nad zagonem brukselki gwałtownie się wyprostowali, jak mechaniczne kukielki w zegarze. Ptaki poderwały się z dachów. Ze strażnicy rozległ się dźwięk gongu, tak jak nakazał Siwobrody. Przy stodołach pojawiła się grupa osób. Kuśtykały ku sobie, tak jakby chciały połączyć wszystkie załzawione oczy w jeden okular.

– A niech ich, po co ta panika – jęknął Siwobrody. Wiedział, że popełnił błąd odruchowo



strzelając, powinien raczej zabić gronostaja uderzeniem kolby. Odgłos wystrzału zawsze alarmował ludzi.

Zastęp dziarskich sześćdziesięciolatków zebrał się i ruszył ku niemu, wymachując pałkami różnego rodzaju. Pomimo irytacji, musiał przyznać, że szybko się zorganizowali. Osadnikom wciąż nie brakowało energii.

– Wszystko w porządku! – zawołał machając rękami nad głową i ruszając im na spotkanie. – Nic się nie stało! Zaatakował mnie gronostaj. Polował w pojedynkę. Możecie wracać do domów.

W grupie znajdował się Charley Samuels, potężny mężczyzna o ziemistej cerze. Prowadził na smyczy oswojonego lisa, Izaaka. Charley był sąsiadem Timberlane'ów i coraz częściej potrzebował ich pomocy, odkąd minionej wiosny zmarła mu żona.

Wysunął się przed pozostałych i stanął naprzeciwko Siwobrodego.

– Na wiosnę musimy znaleźć więcej lisich szczeniąt i je oswoić – powiedział. – Pomogą wytępić gronostaje, jeśli te zapuszczają się na nasze ziemie. Szczurów też mamy za dużo. Chowają się po starych chałupach. Myślę, że to gronostaje zapędzają je do ludzkich siedzib. Lisy poradzą sobie także z nimi, prawda, mój kochany Izaaku?

Siwobrody, ciągle jeszcze zły na siebie, wrócił do patrolowania granic osady. Charley ruszył za nim, na wszelki wypadek milcząc. Drobny lis szedł między nimi z nisko opuszczoną kitą.

Reszta towarzystwa stała niepewnie pośrodku pola. Część uspokajała bydło albo przyglądała się rozrzuconym szczątkom gronostaja. Niektórzy zawrócili w stronę domów, skąd wyszli im na spotkanie inni mieszkańcy ciekawi plotek. Ciemne sylwetki o białych głowach wyraźnie odcinały się na tle popękanych, ceglanych murów.

– Pewnie żałują, że nie kroi się żadna większa afera – powiedział Charley. Czubek jego bujnej czupryny sterczał mu nad czołem. Dawniej miała kolor pszenicy, ale wypłowiła już tyle wiosen temu, że jej właściciel zaczął uważać biel za jej właściwą barwę, a pszeniczną żółć odziedziczyła jego skóra.

Włosy Charleya nigdy nie opadały mu do oczu, choć pewnie mogłyby, gdyby solidnie potrząsnął głową. On jednak nie miał w zwyczaju niczym gwałtownie potrząsać; z charakteru bardziej przypominał kamień niż ogień, a jego postura zdradzała, że życie wielokrotnie sprawdzało jego wytrzymałość. Właśnie to go łączyło z Siwobrodym. Obaj – z pozoru tak od siebie różni – wyglądali na ludzi, którzy mieli za sobą wiele trudnych przeżyć.

– Ludziska nie lubią kłopotów, ale potrzebują rozrywki – stwierdził Charley. – To dziwne, ale od tego twojego wystrzału rozboleły mnie dziąsła.

– Mnie on ogłuszył – przyznał Siwobrody. – Ciekawe czy pobudził starców w młynie?

Zauważył, że Charley raz po raz spoglądał na młyn, sprawdzając, czy Mol albo jego poplecznik, major Trout, nie szli zbadać, co się stało.

NapotykJąc wzrok Siwobrodego, Charley uśmiechnął się trochę niemądrze.

– Oto i mamy starego Jeffa Pitta. Idzie sprawdzić, o co tyle hałasu – powiedział byle coś powiedzieć.

Dotarli do niewielkiego strumienia, który wił się przez polanę. Z jego brzegów sterczały kikuty pni buków ściętych przez mieszkańców osady. Z tamtej strony nadchodził kudłaty, stary Pitt. Na ramieniu niośł kij, z którego zwisał trup zwierzęcia. Podczas wypraw wielu osadników oddalało się od wioski, ale tylko Pitt zapuszczał się w dżecz samotnie. Sparcot nie stało się jego więzieniem. Był ponurym samotnikiem, nie miał przyjaciół i nawet w lekko pomylonej społeczności uchodził za szaleńca. Jego oblicze, naznaczone tyłoma bruzdami co wierzbowa kora, nie wyglądało jak twarz człowieka zdrowego na umyśle. Małe oczy bezustannie się poruszały jak para ryb uwięzionych w czaszce.

– Kogoś zastrzelono? – spytał.

Kiedy Siwobrody opowiedział mu, co się zdarzyło, Pitt chrząknął znacząco, tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że zatajono przed nim prawdę.

– Jak będziesz tak strzelał, ściągniesz nam na kark skrzaty i dzikie stwory – oznajmił.

– Zajmę się nimi, kiedy się zjawią.

– Zobaczysz, że skrzaty w końcu przyjdą – wymruczał Pitt. Nie zwrócił uwagi na to, co powiedział Siwobrody. Wzrokiem ogarnął zimne, odarte z liści lasy. – Już niedługo tu będą i zajmą miejsce dzieciaków. Jeszcze wspomnicie moje słowa.

– W okolicy nie ma żadnych skrzatów Jeff, w przeciwnym razie już dawno by cię schwytały – powiedział Charley. – Co masz na kiju?

Pitt zdjął zdobycz z ramienia, nie spuszczał Charleya z oka. Chciał zobaczyć jego reakcję. Pokazał piękną wydrę, samca, który bez ogona mierzył ponad pół metra.

– Wspaniały, co? Ostatnio sporo ich widywałem. Zimą łatwiej je zauważyć. A może po prostu w tych rejonach jest ich więcej.

– Wszystko co może się mnożyć, nadal to robi – powiedział Siwobrody sucho.

– Sprzedam ci następnego, którego złapię, Siwobrody. Nie zapomniałem, co się wydarzyło zanim przybyliśmy do Sparcot. Dostaniesz następną zdobycz. Zastawiłem sidła przy brzegu.

– Jesteś starym kłusownikiem, Jeff – wtrącił Charley. – W przeciwieństwie do reszty ludzi, nigdy nie musiałeś zmieniać zajęcia.

– Co ty mówisz? Jak to nie musiałem zmieniać zajęcia? Chyba zgłupiałeś, Charley! Większość życia spędziłem w śmierzdzącej fabryce narzędzi, zanim doszło do przewrotu i całej reszty. Wprawdzie zawsze lubiłem przyrodę, ale nigdy nie myślałem, że będę z nią za pan brat, jeśli można tak powiedzieć.

– Stałeś się prawdziwym leśnym dziadem.

– Myślicie, że nie widzę, jak się ze mnie wyśmiewacie? Nie jestem taki głupi, Charley, myśl sobie co chcesz. Według mnie to straszne, że my, mieszcuchy, zmieniliśmy się w nedorobionych wieśniaków. Co nam zostało z życia? Wszyscy w szmatach i lachmanach,

pełni robactwa i z bolącymi zębami! Pytam tylko, dokąd nas to zaprowadzi? Jak skończymy?  
– Pitt ponownie się odwrócił i ogarnął wzrokiem las.

– Radzimy sobie całkiem nieźle – powiedział Siwobrody. Tak brzmiała jego niezmienna odpowiedź na ciągle powracające pytanie. Charley miał własną.

– To boski plan, Jeff. Martwiąc się, nic dobrego nie działasz. Skąd mamy wiedzieć, co On nam przeznaczył.

– Po tym wszystkim, co On nam zgotował przez ostatnie pięćdziesiąt lat – odparł Jeff – dziwię się, że nadal chcesz z Nim rozmawiać.

– Wszystko się skończy według Jego woli – powiedział Charley.

Pitt skupił zmarszczki na twarzy, splunął i ruszył dalej, zabierając ze sobą martwą wydrę.

Czym to się miało skończyć – pytał siebie Siwobrody – jeśli nie upokorzeniem i rozpaczą? Nie wypowiedział tego pytania na głos. Podobał mu się optymizm Charleya, ale sam, tak jak stary Pitt, reagował zniecierpliwieniem na zbyt łatwe odpowiedzi podsuwane przez wiarę, która ów optymizm podsycala.

Ruszyli dalej. Charley zaczął przytaczać rozmaite opowieści ludzi, którzy twierdzili, że widzieli skrzaty i małych człowieczków w lasach, na dachach domów albo przy krowich wymionach. Siwobrody odpowiadał automatycznie, przez cały czas rozmyślając nad bezcelowym pytaniem Pitta. Jak skończymy? Nie dawało mu spokoju. Utknęło tak, jak kawałek chrząstki między zębami, a mimo to, stale do niego wracał i próbował rozgryźć.

Kiedy obesli już całą osadę, ponownie znaleźli się nad Tamizą, przy zachodniej granicy, gdzie rzeka wpływała na ich ziemię. Zatrzymali się obaj i wlepili wzrok w wodę.

Szarpiąc się i wirując, omijała niezliczone przeszkody na drodze, która – o tak, zupełnie tak jak zawsze! – wiodła ją do morza. Nawet kojąca potęga wody nie potrafiła uciszyć myśli Siwobrodego.

– Ile masz lat, Charley?

– Przestałem już liczyć. Co się tak smęcisz? Nagle zacząłeś się martwić? Przecież masz pogodną naturę. Przestań się przejmować przyszłością. Spójrz na rzekę, dociera do celu, nie dręcząc się przeszkodami.

– Jakoś wcale mnie nie pociesza ta analogia.

– Nie? A powinna.

Siwobrody pomyślał, jak męczący i bezbarwny był Charley.

– Jesteś przecież myślącym człowiekiem – powiedział cierpliwie. – To chyba naturalne, że się zastanawiamy nad przyszłością? Wkrótce Ziemia stanie się planetą starców. Na pewno, tak jak ja, zdajesz sobie sprawę z zagrożeń. Nie ma już wśród nas młodych mężczyzn ani kobiet. Z każdym rokiem maleje liczba tych, którzy jeszcze potrafią utrzymać obecny niski standard życia. My...

– Nic na to nie możemy poradzić. Wbij to sobie do głowy, a od razu przestaniesz się tak przejmować. Wiara w to, że człowiek może kształtować swój los, należy do przeszłości. Co ja

mówię? To już przeżytek. Coś z zupełnie innej epoki... Nic nie możemy zrobić. Płyniemy tylko z prądem, tak jak woda w tej rzece.

– Wiele spraw z nią porównujesz – zauważył Siwobrody, uśmiechając się półgębkiem. Kopnął kamień do wody. Usłyszeli szmer a potem plusk. Coś – prawdopodobnie sznur wodny, bo znowu się rozmnożyły – zanurkowało, szukając bezpiecznej kryjówki.

Przez moment stali w milczeniu. Charley przygarbił nieznacznie ramiona. Odezwał się dopiero po chwili, przytaczając fragment wiersza.

*„Lasy niszczeją, niszczeją i giną  
Chmury kroplami spływają na ziemię  
Człowiek przychodzi, orze, by lec potem  
W ziemi...”<sup>1</sup>*

Przyciężkawy, prozaiczny mężczyzna recytujący Tennysona nie pasował do pochylonego nad rzeką lasu.

– Jak na takiego pogodnego człowieka, znasz dość przygnębiające wiersze – powiedział Siwobrody z wysiłkiem.

– Tak wychował mnie ojciec. Mówiłem ci przecież o tym jego zatęchłym małym sklepie... – Cechą charakterystyczną ich wieku było to, że wszystkie ścieżki rozmów wiodły w przeszłość.

– Tu cię zostawię, wracaj do patrolowania – odezwał się Charley, ale Siwobrody chwycił go za ramię. Gdzieś w górze rzeki usłyszał gwar inny od szmeru wody.

Wyszedł na brzeg i spojrzał w stronę, skąd dźwięk dochodził. Coś spływało z nurtem, ale pochylone nad wodą gałęzie przesłaniały widok. Siwobrody biegiem rzucił się ku kamiennemu mostowi. Charley ruszył za nim szybkim marszem.

Ze szczytu mostu mieli doskonały widok na górny bieg rzeki. Mniej więcej osiemdziesiąt metrów od nich, zza zakrętu wypływała ciężka łódź. Na widok uniesionego dziobu Algi domyślił się, że dawniej napędzał ją silnik. Kilku białogłowych siedziało przy wiosłach lub odpychało się długimi żerdziami. Z masztu smętnie zwisał żagiel. Siwobrody wyciągnął z wewnętrznej kieszeni olchowy gwizdek i dwa razy potężnie w niego dmuchnął. Skinął głową Charleyowi, po czym szybko ruszył do wodnego młyna, w którym mieszkał Duży Jim Mol.

Gdy tam dotarł, Mol właśnie otwierał drzwi. Upiływające lata jeszcze nie zdążyły pozbawić go naturalnej srogości. Był krępyim mężczyzną o groźnej twarzy przypominającej mordę wieprza i gęstwinie siwych włosów, które sterczały mu z czaszki i z uszu. Zachowywał się tak, jakby badał Siwobrodego nie tylko wzrokiem, ale i węchem.

– Po co ten hałas? – spytał.

---

<sup>1</sup> [A. Tennyson „Titanus”, przekład Z. Kubiak, Poezje Wybrane, PIW 1967]

Siwobrody wyjaśnił. Mol natychmiast wyszedł na zewnątrz, zapinając guziki wiekowego wojskowego szynela. Za nim pojawił się major Trout, niski, mocno kulejący człowieczek podpierający się kijem. Gdy tylko wydostał się na szare światło dnia, natychmiast zaczął wykrzykiwać rozkazy piskliwym, cienkim głosem. Wiele osób nie wróciło jeszcze do domów po wcześniejszym fałszywym alarmie. Wszyscy, i kobiety, i mężczyźni, bezzwłocznie zaczęli zajmować – choć trochę nieporadnie – ustalone wcześniej pozycje obronne.

Spółeczność Sparcot przypominała zwierza o wielu skórkach. Każdy pozaszywał się w różnaitą odzież i szmaty udające ubrania. Były tu płaszcze z dywanów i spódnice z zasłon. Niektórzy mężczyźni nosili kamizele z niezdarnie wyprawionych lisich skór, a część kobiet miała na sobie podarte wojskowe płaszcze. Pomimo takiej różnorodności, efekt był raczej bezbarwny i nikt nie wyróżniał się zbytnio na tle neutralnych kolorów krajobrazu. Powszechne zapadnięte policzki i siwe włosy potęgowały wrażenie ponurej jednolitości.

Wiele starych gąb kaszłało zimowym powietrzem. Wiele pleców się garbiło, wiele nóg szurało po ziemi. Sparcot stało się cytadelą chorób: reumatyzmu, lumbago, katarakt, zapalenia płuc, grypy, rwy kulszowej i migren. Narzekano na bóle w piersiach, wątroby, krzyże i głowy, a wieczorami rozmawiano głównie o pogodzie i bolących zębach. Mimo to, osadnicy dziarsko się stawili na dźwięk gwizdka.

Siwobrody zanotował to z aprobatą, choć wiedział, że tak powinno być zawsze. W minionych latach pomagał Troutowi w organizacji systemu obronnego, zanim stale pogłębiające się różnice między nim a Molem i Troutem, nie zmusiły go do przyjęcia skromniejszej roli.

Dwa długie dźwięki gwizdka oznaczały zagrożenie od strony rzeki. Chociaż w tych czasach większość podróżnych była nastawiona pokojowo (i płaciła za przeprawę pod mostem Sparcot), niewielu mieszkańców osady zapomniało o dniu sprzed pięciu czy sześciu laty, kiedy zagroził im samotny pirat uzbrojony w miotacz ognia. Taką broń spotykało się coraz rzadziej. Razem z benzyną, karabinami maszynowymi i amunicją, należała do innej epoki, do reliktywów świata, który zaginął. Ale od tamtego wydarzenia wszystko, co przybywało rzeką, było powodem do ogólnej mobilizacji.

Silnie uzbrojony zastęp osadników – z których wielu miało własnoręcznie wykonane łuki i strzały – zebrał się wzdłuż brzegu rzeki, zanim obca łódź się zbliżyła. Wszyscy skryli się za niskim, popękany murem, gotowi atakować lub się bronić. Podniecenie szumiało im w żyłach, uprawiając kończyny w drzenie.

Łódź płynęła bokiem do nurtu. Jej załogę stanowiła zgraja najpotworniejszych szczurów łądowych, jakim kiedykolwiek przyszło się bawić w rzucanie kotwicy. Wioślarze tyle samo wysiłku poświęcali ratowaniu łodzi przed wywrotką, co popychaniu jej do przodu. Ani jedno, ani drugie nie wychodziło im zbyt dobrze.

Trudności wynikały nie tylko z braku wprawy w poruszaniu wiosłami pięćdziesięcioletniego, dziesięciometrowego jachtu motorowego z przegniłym kadłubem ale i

z faktu, że na pokładzie znajdował się tuzin osób z całym ich dobytkiem. W kokpicie łodzi czterech mężczyzn przytrzymało wyrywającego się renifera.

Choć zwierzęciu usunięto poroże – zgodnie ze zwyczajem obowiązującym od mniej więcej dwudziestu lat, kiedy to jeden z ostatnich autorytarnych rządów sprowadził renifery do kraju – miało dość siły, by wyrządzić spore szkody. Renifery uważano za cenniejsze od ludzi. Dostarczały mleka i mięsa tam, gdzie bydło było rzadkością i doskonale nadawały się na zwierzęta pociągowe, podczas gdy ludzie tylko się starzeli.

Pomimo zamieszania na pokładzie, kobieta stojąca „na oku” na dziobie łodzi, dostrzegła zebrane siły Sparcot i krzyknęła do swoich ostrzegawczo. Była wysoka, śniada, szczupła i silna. Farbowane na czarno włosy przytrzymała chustą. Słyszając jej wołanie, wioślarze z wyraźnym zadowoleniem przerwali pracę. Ktoś skulony za jednym z pakunków z odzieżą piętrzących się na pokładzie, podał kobiecie białą flagę. Podniosła ją w górę i zawołała coś do osadników czekających na brzegu.

– Co ona krzyczy? – spytał John Meller.

Był starym żołnierzem, który dawniej służył Molowi jako swego rodzaju ordynans, zanim ten go wyrzucił, doprowadzony do rozpaczy nieporadnością sługi. Meller miał prawie pięćdziesiąt lat, był chudy jak patyk i głuchy jak pień, ale jedno oko, które mu jeszcze zostało, nadal bystro patrzyło na świat.

Ponownie usłyszeli głos kobiety. Brzmiał pewnie, choć prosiła o łaskę.

– Pozwólcie nam przepłynąć w spokoju. Nie mamy złych zamiarów i nie chcemy się zatrzymywać. Pozwólcie nam przepłynąć, osadnicy!

Siwobrody powtórzył jej słowa, rycząc wprost do ucha Mellera. Siwy starzec potrząsnął brudną czaszką na znak, że i tak nie usłyszał.

– Zabić mężczyzn, zgwałcić kobiety! Ja biorę tę czarną dziwkę na dziobie! – zawołał.

Mol i Trouton wysunęli się naprzód, wykrzykując rozkazy. Najwyraźniej uznali, że przybysze na łodzi nie stanowili wielkiego zagrożenia.

– Musimy ich zatrzymać i przeszukać – oznajmił Mol. – Dawać mi tu żerdź! Ruszać się! Pogawędzimy sobie z tą zgrają, przekonamy się, kim są i czego chcą. Na pewno mają coś, co nam się przyda.

Kiedy przygotowywano się do zatrzymania łodzi, Towin Thomas podszedł do Siwobrodego i Charleya Samuela. Wykrzywił twarz, próbując wyraźniej zobaczyć łódź, po czym szturchnął Siwobrodego w żebra połączonym łokciem.

– Hej, ten renifer przydałby się jak zdrowie do ciężkich robót, co? – powiedział i odruchowo zaczął żuć koniec pałki. – Moglibyśmy go zaprząć do pług, nie?

– Nie mamy prawa niczego im odbierać.

– Chyba nie masz żadnych religijnych obiekcji, ha? Dałeś się przekabacić staremu Charleyowi?

– Nigdy nie słucham tego, co ty i Charley mówicie – odparł Siwobrody.

Długi słup, na którym w czasach, gdy istniała sieć telekomunikacji, zaczepiano druty telefoniczne, wysunięto ponad wodę i popychano go tak długo, aż jego wolny koniec spoczął między dwoma kamieniami na przeciwległym brzegu.

Rzeka zwięzła się tu, płynąc ku ruinom mostu w dalszej części biegu. Miejsce to przez lata zapewniało osadnikom zarobek nie do pogardzenia. Opłaty ściągane od ludzi spływających rzeką uzupełniały nieco mniej entuzjastyczne wysiłki mieszkańców w gospodarzeniu. Był to jedyny natchniony pomysł Jima Mola, który poza tym okazał się nudnym i ponurym przywódcą.

Na wszelki wypadek, gdyby obcym sam słup nie wydał się dość groźny, wszyscy mężczyźni ze Sparcot stanęli wzdłuż brzegu. Mol ruszył do przodu, wymachując mieczem i nawołując obcych, by dobili do brzegu.

Wysoka, śniada kobieta na dziobie łodzi pogroziła im pięściami.

– Uszanujcie białą flagę pokoju, parszywi dranie! – wrzasnęła. – Pozwólcie nam przepłynąć bez zatargów. Los i tak pozbawił nas dachu nad głową. Nie mamy nic, co przydałoby się takim jak wy.

Jej załoga nie miała ducha swojej przywódczyni. Wciągnęli na pokład wiosła i drągi, pozwalając łodzi spłynąć z nurtem pod kamiennym mostem i zatrzymać się na przegrodzie. Osadnicy podnieceni perspektywą łatwego łupu, przyciągnęli łódź hakami do brzegu. Renifer uniósł ciężki łeb i zaryczał buntowniczo; ciemnowłosa kobieta krzyknęła z odrazą.

– Hej, ty tam, z mordą rzeźnika – zawołała, wskazując na Mola. – Wysłuchaj mnie. Jesteśmy sąsiadami. Przybywamy z Grafton Lock. Tak witasz pobratymców, ty zatęchły stary piracie?

Przez tłum na brzegu przeszedł pomruk. Jeff Pitt pierwszy rozpoznał kobietę. Mówiono o niej Cyganka Joana, a jej imię stało się legendarne nawet wśród tych, którzy nigdy nie zapuścili się na jej terytorium.

Jim Mol i Trouton wystąpili przed mieszkańców osady i krzyknęli, by zamilkła, ale ona ich zagłuszyła.

– Zabierzcie swoje haki z burty! Mamy na łodzi rannych.

– Zamknij gębę, babo i wyłaź na brzeg! Posłuchaj nas, a nikomu nie stanie się krzywda – powiedział Mol, unosząc miecz pod groźniejszym kątem. Razem z majorem zbliżyli się do łodzi.

Niektórzy osadnicy próbowali wdrzeć się na pokład, nie czekając na rozkazy. Ośmieleni brakiem oporu, rzucili się do przodu, chcąc wydrzeć obcym swój kawałek łupu. Na czele biegły dwie kobiety. Jeden z wiosłarzy, leciwy chłop w rybackim kapeluszu i z żółtawą brodą, wpadł w panikę i rąbnął wiosłem pierwszą, która dostała się na łódź. Kobieta padła jak długa. Doszło do szamotaniny, choć po obu stronach wzywano do zaniechania walki.

Jacht się zakołysał. Mężczyźni przytrzymujący renifera musieli się bronić. Wykorzystując zamieszanie, zwierzę wyrwało się strażnikom. Zadudniło po dachu kabiny, na moment się

zatrzymało, po czym skoczyło za burtę, w nurt Tamizy. Płynąc pewnie, ruszyło w dół rzeki. Na łodzi podniósł się jęk zawodu.

Dwóch spośród mężczyzn pilnujących renifera, także wskoczyło do wody, wołając do bestii, by wróciła. Po chwili jednak musieli myśleć o własnym bezpieczeństwie. Jeden z trudem dopłynął do brzegu, gdzie pomocne ręce wyciągnęły go na ląd. Przy kikutach zniszczonego mostu renifer wspiał się na brzeg z mokrym, ciężkim futrem przyklepionym do boków. Stał po przeciwległej stronie, prychając i trzęsąc łbem z boku na bok, tak jakby próbował się pozbyć wody z uszu. Potem się odwrócił i zniknął w gąszczu wierzb.

Drugi z dwójki miał mniej szczęścia. Nie zdołał dopłynąć do żadnego brzegu. Nurt porwał go i przeciągnął przez ruiny mostu do jazu. Stamtąd dotarł do nich jego cienki krzyk. Jedno ramię wystrzeliło w górę rozpryskując wokół wodę. Po chwili dało się słyszeć już tylko ryk zielonej, spienionej rzeki.

Ten wypadek ostudził walki na łodzi. Mol i Troutor mogli przystąpić do przeszukiwania załogi. Stając tuż przy relingu jachtu przekonali się, że Cyganka nie kłamała mówiąc, że mają na pokładzie rannych. W części kabiny, która dawniej służyła jako salonik, leżało dziewięć skulonych postaci. Sądząc po pergaminowej skórze i zapadniętych oczach, niektórzy spośród nich dobiegali setki. Mieli podartą odzież i zakrwawione twarze i dłonie. Jedna kobieta bez połowy twarzy wyglądała na umierającą. Wszyscy grobowo milczeli, co było bardziej przerażające od jęków.

– Co im się stało? – spytał Mol nieswoim głosem.

– Gronostaje – odparła Cyganka. Ona i jej towarzysze chętnie opowiedzieli osadnikom, co ich spotkało. Fakty mówiły same za siebie. Przybysze tworzyli niewielką grupę, ale żyli w miarę dostatnio. Żywili się rybami z zalanych terenów przy słuzie Grafton. Nigdy nie trzymali straży i byli niemal zupełnie bezbroni. Poprzedniego wieczoru o zachodzie słońca zaatakowało ich stado – albo jak niektórzy twierdzili, kilka stad – gronostajów. Ludzie w panice rzucili się do łodzi i jak najszybciej odpłynęli. Przepowiadali, że jeśli coś cudem nie zawróci gronostajów ze szlaku, te wkrótce dotrą do Sparcot.

– Ale po co? – spytał Troutor.

– Bo są głodne, to chyba jasne? – odparła Cyganka. – Mnożą się jak króliki i przeczesują ziemię w poszukiwaniu pożywienia. Te diabły żrą wszystko, ryby, mięso, a nawet padlinę. Najlepiej zrobicie, jeśli się stąd wyniesiecie.

Mol rozejrzał się wokół niespokojnie.

– Nie siej tu plotek, kobieto – powiedział. – Potrafimy o siebie zadbać. Co to my, jakiś motłoch? Jesteśmy porządnie zorganizowani. Możecie ruszać w drogę. Wypuszczamy was bez szkody. Widzimy, że macie dość kłopotów. Macie jak najszybciej opuścić naszą ziemię.

Joana próbowała dyskutować, ale dwaj inni liderzy, wystraszeni, pociągali ją za ramię, upierając się, że powinni niezwłocznie wyruszyć.

– Za nami płynie jeszcze jedna łódź – powiedział jeden z nich. – Znajdują się na niej



starsi członkowie społeczności, którzy nie ucierpieli podczas ataku. Będziemy wdzięczni, jeśli pozwolicie im przepłynąć, nie zatrzymując ich.

Mol i Troutler cofnęli się, wymachując rękami. Na samo wspomnienie o gronostajach ogarniał ich strach.

– Ruszajcie! – krzyknęli do obcych, machając dłońmi, po czym odwrócili się do swoich.  
– Wciągnąć żerdź. Niech płyną dalej.

Przeszkodę usunięto. Joana i jej załoga odepchnęli się od brzegu. Prastary jacht zakołysał się niebezpiecznie i ruszył. Ale ludzie na brzegu już zarazili się strachem przybyszów. Słowo „gronostaje” szybko obiegło cały tłum. Osadnicy biegiem wrócili do domów albo ukryli się w hangarze.

Populacja gronostajów, w przeciwieństwie do ich wrogów, szczurów, nie zmalała. Przeciwnie, w ciągu dekady wzrosła zarówno ich liczba, jak i śmiałość. Na początku roku jeden zaatakował starego Reggiego Fostera na pastwisku, wygryzając mu gardło. Gronostaje dawniej tylko od czasu do czasu miały zwyczaj polować grupą, teraz robiły to często, tak jak w Grafton. W takich chwilach w ogóle nie bały się ludzi.

Wiedząc o tym, osadnicy zaczęli się miotać na brzegu, popychając jedni drugich i pokrzykując nieskładnie.

Jim Mol wyciągnął rewolwer i wycelował go w plecy jednego z uciekających.

– Tak nie można! – krzyknął Siwobrody, robiąc krok do przodu i podnosząc rękę.

Mol opuścił broń, po czym wycelował ją w Siwobrodego.

– Nie możesz strzelać do swoich ludzi – powiedział Siwobrody stanowczo.

– Czyżby? – spytał Mol. Jego oczy wyglądały jak pęcherze na wiekowej skórze. Troutler powiedział coś do niego i Mol ponownie uniósł rewolwer, strzelając w powietrze. Zdumieni osadnicy obejrzelni się za siebie; po chwili większość rzuciła się do ucieczki. Mol się roześmiał.

– Niech sobie idą – stwierdził. – Sami się pozabijają.

– Przemów im do rozumu – powiedział Siwobrody, podchodząc bliżej. – Są przerażeni. Strzelanie nic tu nie pomoże. Przemów do nich.

– Gdzie tu rozum? Zejdź mi z drogi, Siwobrody. To szaleńcy! Niedługo umrą. Wszyscy umrzemy.

– Pozwolisz im odejść, Jim? – spytał Troutler.

– I ty, i ja wiemy, jak groźne są gronostaje – odparł Mol. – Jeśli zaatakują siłą, nie mamy dość amunicji, żeby je powystrzelać. Nasi łucznicy są zbyt nieudolni, by odstraszyć bestie strzałami. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest przeprowienie się łodzią przez rzekę i zaczekanie, aż drapieżniki odejdą.

– Wiesz, że one potrafią pływać – zauważył Troutler.

– Wiem, ale po co miałyby to robić? Szukają pożywienia a nie okazji do bitki. Na drugim brzegu rzeki będziemy bezpieczni. – Mol dygotał. – Potrafisz sobie wyobrazić atak

gronostajów? Widziałeś tych ludzi na łodzi? Chcesz, żeby to samo spotkało ciebie?

Pobladł i zaczął niespokojnie rozglądać się wokół, tak jakby się bał, że gronostaje nadejdą lada chwila.

– Możemy się pozamykać w stodołach i domach, jeśli tu przyjdą – zasugerował Siwobrody. – Możemy się bronić nie opuszczając wioski. Tutaj będziemy bezpieczniejsi.

Mol odwrócił się ku niemu gwałtownie, obnażając w warknięciu niepełne uzębienie.

– Ile mamy domów, które ochronią nas przed gronostajami? Dobrze wiesz, że jeśli są głodne, rzucają się na bydło. Potem w mgnieniu oka dopadną nas. A zresztą, kto tu wydaje rozkazy? Na pewno nie ty, Siwobrody! Chodź Trout, na co czekasz? Wyciągnijmy łódź!

Trout przez moment miał minę, jakby chciał się wdać w kłótnię, ale zamiast tego odwrócił się i piskliwym głosem zaczął wykrzykiwać polecenia. Razem z Molem wyminęli Siwobrodego i pobiegli do hangaru.

– Tylko spokojnie, przeklęte pokraki. Zachowajcie spokój, a przewieziemy was na drugi brzeg.

Osada przypominała mrowisko, w które ktoś wetknął kij. Siwobrody zauważył, że Charley gdzieś przepadł. Jacht uchodźców z Grafton był już daleko w dole rzeki. Bezpiecznie przepawili się przez jaz. Gdy Algi stał przy moście, obserwując zamęt wokół, podeszła do niego Marta.

Wyglądała dystygowanie. Była średniego wzrostu i garbiła się odrobinę, otulając ramiona kocem. Miała lekko puciołowatą, bladą twarz o skórze pomarszczonej tak, jakby wiek ciasno owiazał ją kości czaszki. Mimo to, miała piękne rysy i zachowała część urody z czasów młodości. Otoczonym ciemnymi rzęsami oczom nadal nie dało się oprzeć.

Zauważyła zamyślony wzrok męża.

– W domu też możesz sobie marzyć – powiedziała.

Ujął ją pod ramię.

– Zastanawiałem się, co jest na drugim końcu rzeki. Wiele bym dał, żeby się przekonać, jak żyją na wybrzeżu. Tylko popatrz na nas! Gdzie się podziała nasza godność? Zwyczajny motłoch.

– Nie boisz się gronostajów, Algi?

– Oczywiście, że się ich boję. – Uśmiechnął się do niej smutno. – Męczy mnie ten ciągły strach. Siedzimy na kupie w tej wiosce już jedenaście lat. Wszyscy się zaraziliśmy chorobą Mola.

Razem ruszyli do domu. Sparcot po raz pierwszy ożyło. W oddali, na łąkach, widzieli małe sylwetki mężczyzn, nerwowymi gestami zaganiających kilka krów pod dach. Stodoły zbudowano na palach na wypadek takich zagrożeń oraz powodzi. Po zagnaniu bydła do środka i zamknięciu wejścia, można było usunąć platformy, zostawiając zwierzęta bezpieczne ponad ziemią.

Kiedy mijali dom Annie Hunter, z bocznego wejścia wymknęła się zasuszona postać

Willa Tallridge'a. Właśnie kończył zapinać guziki kurtki. Nie zwracając na nich uwagi ruszył ku rzece tak szybko, jak pozwalały mu na to jego osiemdziesięcioletnie nogi. W oknie na górze pojawiła się uśmiechnięta twarz Annie, jak zwykle pokryta grubą warstwą różu i pudru. Kobieta pomachała do nich przyjaźnie.

– Annie, ostrzeżono nas przed gronostajami – zawołał Siwobrody. – Będą przewozili ludzi na drugi brzeg rzeki.

– Dzięki za przestrożę, kochany, ale zamierzam zamknąć się od środka.

– Trzeba przyznać, że nie brak jej śmiałości – stwierdził Algi.

– Na pewno nie wobec mężczyzn – odparła Marta oschle. – Czy ty wiesz, że ona jest jakieś dwadzieścia lat starsza ode mnie? Biedna, stara Annie. Najstarsza przedstawicielka najstarszego zawodu!

Siwobrody wzrokiem przeczesywał potarganą łąkę, wbrew sobie wypatrując na niej brązowych, żywych płomyków, przemykających wśród traw. Mimo to, żart Marty go rozśmieszył. Czasem jej słowa przypominały mu dawny świat – stary świat żartobliwych rozmów podczas przyjęć, na których rytualnie konsumowano alkohol i nikotynę. Kochał żonę dlatego, że była sobą, a to najlepszy powód.

– To zabawne – odezwał się. – Jesteś jedyną osobą w Sparcot, która rozmawia, dla samej przyjemności, jaką daje konwersacja. A teraz bądź grzeczna, idź do domu i spakuj najpotrzebniejsze rzeczy. Zamknij się od środka. Przyjdę za dziesięć minut. Muszę pomóc przy bydle.

– Algi, denerwuję się. Czy musimy się pakować, skoro wybieramy się tylko na drugi brzeg? Co się dzieje?

Jego twarz nagle spoważniała.

– Zrób to, o co cię proszę, Marto. Nie wybieramy się na drugi brzeg. Popłyniemy w dół rzeki. Opuszczamy Sparcot.

Siwobrody odszedł, zanim jego żona zdążyła cokolwiek powiedzieć. Ona także się odwróciła i bez pośpiechu ruszyła ponurą, pozbawioną życia ulicą. Już po chwili wchodziła do ciemnego, małego domu. Bynajmniej nie ociągała się z żalu. Trwoga, jaka przepełniła ją, gdy usłyszała nowinę, szybko się ulotniła. Teraz, rozglądając się wokół, patrząc na ściany z odklejającymi się tapetami i na sufity obnażające brudne, nagie szkielety, wyszeptała życzenie, aby naprawdę spełniło się to, o czym mówił mąż.

Miała opuścić Sparcot? Dotąd jej świat stale się kurczył, aż zmałał do rozmiarów samej osady...

Idąc ku stodołę na palach, Siwobrody był świadkiem kłótni na drodze. Dwie grupy wioząc dobytek na brzeg rzeki, zderzyły się ze sobą. Doszło do słabej szamotaniny, z rodzaju tych, jakie często urozmaicały życie w osadzie. Rezultatem była złamana kość, wstrząs, obłożna choroba, zapalenie płuc i kolejny kopczyk na zachłannym cmentarzu pod świerkami, gdzie ziemia była piaszczysta i łatwiej wchodziła w nią łopata.

Siwobrody często w takich dysputach pełnił rolę rozjemcy. Tym razem jednak odwrócił się i ruszył ku łące. Zwierzęta miały w tych czasach taką samą wartość co ludzki motłoch. Bydło opornie wchodziło po platformie do stodoły. Stary George Swinton, jednoręki gbur, który podczas westminsterskich parad w 2008 roku zabił dwóch ludzi, miotał się między krowami, nie szczędząc obelg i razów kijem.

Huk przypominający trzask padającego drzewa przestraszył wszystkich. Dwa spośród podtrzymujących stodołę filarów rozszczerpiły się aż do ziemi. Jeden z mężczyzn chciał ostrzegawczo krzyknąć. Zanim zdążył otworzyć usta, stodoła zaczęła osiadać. Legary, ustępując pod ciężarem, pokazały kły drzazg. Budynek runął. Pochylił się na bok, zakołysał się i rozsypał deszczem popękanych desek. Część zwierząt umknęła w popłochu. Pozostałe leżały przygniecione szczątkami.

– Do diabła z tym wszystkim! Lepiej sami wsiadajmy na łodzie – powiedział George Swinton, przepychając się obok Siwobrodego. Pozostałym los bydła był równie obojętny. Odrzucili kije i grupą ruszyli za George’em. Siwobrody nie ruszył się z miejsca, kiedy go mijali. Oto ludzie – pomyślał – ofiary grzechów i sami grzesznicy.

Pochylił się i pomógł jałowce wydostać się spod zwalonej belki. Pocwałowała na pastwisko. Musiała sama sobie radzić, gdyby pojawiły się gronostaje.

Siwobrody zawrócił do domu. W tej chwili od strony kamiennego mostu dobiegł go strzał. Brzmiał jak huk rewolweru Mola. Po chwili echem odpowiedział mu kolejny. Szpaki poderwały się ze szczytów dachów i pofrunęły ku koronom drzew po drugiej stronie rzeki w poszukiwaniu schronienia. Siwobrody przyspieszył, przemknął przez zaniedbany ogród przy swoim domu i wyrzwał zza jego rogu.

Przy moście biła się grupa osadników. Scenę spowijała popołudniowa mgła ścieląca się nisko. Przy ogromnych wieżach pni drzew ludzie wyglądali jak karły. Przez dziurę w walącym się murze otaczającym działkę Siwobrody dokładnie widział, co się działo.

Drugi jacht z Grafton nadpłynął rzeką w chwili, gdy łódź ze Sparcot ruszyła w poprzek koryta. Na pokładzie jachtu znajdowała się zbieranina siwogłowych, których większość wymachiwała teraz rękami. Z daleka ich gesty przypominały ruchy marionetek. Łódź ze Sparcot była znacznie przeciążona. Wiozła najbardziej agresywnych spośród osadników, którzy uparli się przepłynąć rzekę w pierwszej kolejności. Brak umiejętności i głupota obu załóg doprowadziły do zderzenia łodzi.

Jim Mole stał na moście, celując rewolwerem w ciżbę. Siwobrody nie widział, czy pierwsze dwa strzały kogoś trafiły. Kiedy wyteżał wzrok, próbując zobaczyć coś więcej, podeszła do niego Marta.

– Mol jak zwykle dowodzi, że nie nadaje się na przywódcę – krzyknął Algi. – Jest wystarczająco brutalny, ale zupełnie nie potrafi przywrócić dyscypliny. Nawet jeśli kiedyś umiał, na starość zapomniał, jak się to robi. Strzelając do ludzi, tylko pogorszy sytuację.

Ktoś chrypliwie zawołał, żeby zawrócić jacht do brzegu. Nikt nie posłuchał. Zapominając

o dyscyplinie na pokładzie, obie załogi starły się ze sobą. Zawładnął nimi starczy gniew. Łódź z Grafton – sporych rozmiarów stara motorówka – niebezpiecznie przechyliła się na burtę, gdy osadnicy rzucili się chmarą na jej pechowych pasażerów. Na domiar złego, pozostali mieszkańcy Sparcot biegali wzdłuż brzegu, wykrzykując rady lub pogróżki.

– Wszyscyśmy poszaleli – powiedziała Marta. – A nasza torba już zapakowana.

Algi spojrział na nią z miłością.

Niemal równocześnie rozległy się trzy głośne pluski. Trzech wiekowych mieszkańców Grafton wypchnięto za burtę do wody. Najwidoczniej osadnicy wpadli na niezbyt dobrze przemyślany pomysł przywłaszczenia sobie ich motorówki i użycia jej jako drugiego promu. Nurt porwał obie łodzie, ale po chwili motorówka wywróciła się do góry dnem.

W białej, spienionej wodzie pojawiły się białe głowy. Zebrani na brzegu wydali idiotyczny okrzyk triumfu. Mol strzelił z rewolweru w kotłujących się ludzi.

– A niech ich wszystkich diabli! – zachnął się Siwobrody. – W takich chwilach wszyscy łatwo tracą głowy. Wiesz, że ten wędrowny handlarz, który przechodził tędy w zeszłym tygodniu opowiadał, że ludzie ze Stanford bez powodu podpalili własne domy? A z Burford wszyscy się wynieśli w ciągu jednej nocy, bo uwierzyli, że osadę opanowały skrzaty! Tylko pomyśl, skrzaty! Staremu Jeffowi Pittowi te skrzaty rzuciły się na mózg! A do tego wszystkiego pojawiają się pogłoski o masowych samobójstwach. Może taki właśnie będzie koniec – ogólne szaleństwo. Może już jesteśmy jego świadkami!

Na scenie świata szybko zapadał zmrok. Średnia wieku ludności wynosiła już sporo ponad siedemdziesiąt lat i z każdym rokiem pięła się coraz wyżej. Jeszcze kilka lat... Siwobrodego przepelniło uczucie przypominające euforię. Zdumiewała go myśl, że mógł być świadkiem końca świata. Nie: końca ludzkości. Świat miał istnieć dalej. Człowiek mógł zginąć, ale ziemia nadal mogła rodzić owoce w wielkiej obfitości.

Wrócili do domu. Walizka – nie pasujący do czasów przedmiot ze świńskiej skóry, który przetrwał wieloletnią podróż do ruin świata – stała po suchej stronie holu.

Algi rozejrzał się wokół, spojrział na meble, które ocalili z innych domów, na kalendarz nierówno nakreślony przez Martę na ścianie, z wyraźnie zaznaczonym na czerwono rokiem 2029 i na paproć, którą hodowała w starej doniczce. Jedenaście lat temu przybyli tu z Cowley razem z Pittem. Jedenaście lat strzegli granic, by nie wpuścić tu świata.

– Chodźmy – powiedział, a po chwili zamyślenia dodał: – Żal ci wyjeżdżać, Marto?

– Nie wiem, na co się decyduję, bo skąd? Po prostu zabierz mnie ze sobą.

– Tutaj przynajmniej jest w miarę bezpiecznie. Ja też nie wiem, na co cię narażam.

– Teraz nie czas na słabość, panie Siwobrody – powiedziała. – Jeśli Charley Samuels jest u siebie, mogę mu powiedzieć, że wyruszamy? Będzie mu nas brakowało. Powinien jechać z nami.

Algi skinął głową. Niechętnie się zgadzał na wyjawianie planu innym, ale jeszcze mniej chętnie odmawiał Marcie. Gdy wyszła, stał przez chwilę nieruchomo, czując brzemię

przeszłości. Tak, Charley powinien wyjechać z nimi i to nie tylko dlatego, że przed trzydziestu laty obaj walczyli ramię w ramię. Tamta miniona wojna nie budziła wspomnień. Należała do innej epoki, przyżęgała chore uczucia. Młody żołnierz wplątany w tamten konflikt był innym człowiekiem niż mężczyzna stojący w ubogiej izbie. Teraz nawet wołano na niego inaczej.

W palenisku wciąż tliły się drwa, ale w korytarzu i na schodach, które w długie noce skrzypiały tak, jakby chodziły po nich realne, a nie baśniowe skrzaty, zapach wilgoci wydawał się równie gęsty, co zmierzch. Opuszczali to miejsce. Wiedział, że już wkrótce budynek się rozłoży – jak ludzkie ciało – na pojedyncze spoiwa i pył.

Teraz rozumiał, dlaczego ludzie palili własne domy. Ogień był czysty czystością, jakiej zabrakło w życiu człowieka. Na myśl o opuszczeniu tego miejsca, Siwobrody czuł zajadłą satysfakcję, choć, jak zwykle, niewiele z tego okazywał.

Żwawo podszedł do drzwi. Marta właśnie przechodziła ponad cegłami, które wyznaczały dawną granicę między ich ogrodem, a działką sąsiadów. Towarzyszył jej Charley Samuels. Szarym, wełnianym szalem owinął głowę i gardło, płaszcz zapiał pod samą szyję, a na plecach niósł tobołek. Lis Izaak szarpał się na smyczy. Łuszcząca się skóra na twarzy Charleya miała żółtą barwę gotowanego drobiu. Wyglądał na zdeterminowanego. Podszedł do Siwobrodego i chwycił go za rękę. W oczach miał łzy szronu.

Siwobrody wołał uniknąć emocjonalnej sceny.

– Oboje cię potrzebujemy, Charley – powiedział. – Ciebie i twoich kazań.

Charley jeszcze mocniej ścisnął jego rękę.

– Właśnie się pakowałem. Jestem jednym z was, Siwobrody. Widziałem, jak ten przestępca i grzesznik, Mol, zastrzelił z mostu biedną, starą Betty. Jego dzień nadejdzie, jego dzień nadejdzie – powiedział niewyraźnie. – W tamtej chwili przysięgłem sobie, że dłużej nie zabawię w siedzibie nieprawości.

Siwobrody przypomniał sobie starą Betty kiwającą głową i pochyloną nad piecem w strażnicy. To było tak niedawno. Teraz jej gulasz pewnie już się spalił.

Lis zapiszczał i zaczął się niecierpliwie wiercić.

– Izaak jest tego samego zdania – powiedział Siwobrody, siląc się na żart, tak jak wcześniej jego żona. – Ruszajmy zatem, dopóki pozostali zajęci są czym innym.

– Nie pierwszy raz razem pracujemy – stwierdził Charley.

Przytakując, Siwobrody odwrócił się w stronę korytarza. Nie chciał słuchać sentymentalnych wyznań starego Charleya.

Podniósł spakowaną przez żonę walizkę. Wychodząc, celowo zostawił uchylone drzwi. Marta domknęła je i ruszyła za mężem razem z Charleyem i jego psim lisem. Skierowali się na wschód. Przeszli kawałek zniszczoną drogą, a potem wyszli na pola. Szli równolegle do linii brzegu, kierując się ku kikutom ruin starego mostu.

Siwobrody nadał spore tempo, celowo nie ułatwiając marszu starszemu koledze. Charley

od początku powinien widzieć, że pod jednym względem była to ucieczka i, jak każda taka wyprawa, niosła nowe wyzwania. Zatrzymał się gwałtownie, gdy zobaczył daleko z przodu dwie postacie, zmierzające do tego samego prześwitu w zaroślach.

Wyprzedzająca ich para także ich zauważyła. Mężczyzna wykrzywił twarz, więząc oczy między brwiami i policzkami, i próbując dojrzeć, kto ich śledził. Obie grupy rozpoznały się niemal równocześnie.

– A dokąd to się wybierasz Towin, ty stary naciągaczu? – spytał Siwobrody, gdy dogonili dwójkę wędrowców, przyglądając się żylastemu starcowi z pałką i w monstualnym okryciu z koca, zwierzęcych skór i kawałków kilku starych płaszczy. Po chwili przeniósł wzrok na jego żonę. Siedemdziesięciokilkuletnia Becky Thomas była mniej więcej o dziesięć lat młodsza od męża, pulchna i ptasia. Niosła dwa niewielkie tobołki. Miała na sobie odzież tak samo koszmarnie połataną, co jej towarzysz. Wszyscy wiedzieli, że to ona komenderowała mężem. Tym razem także odezwała się pierwsza.

– Moglibyśmy was spytać o to samo. Dokąd zmierzacie?

– Wygląda na to, że w tę samą stronę, co wy – dodał Towin. – Wynosimy się z tego zawzzonego obozu koncentracyjnego, póki jeszcze nogi nie odmawiają nam posłuszeństwa.

– Dlatego mamy na sobie te rzeczy – wyjaśniła Becky. – Już od jakiegoś czasu się przygotowywaliśmy. Uznaliśmy, że to dobra okazja. Stary Mol i major są zajęci. Ale nigdy nie sądziliśmy, że ty też dasz nogę, Siwobrody. Z majorem dobrze ci się układało. Nie to co nam.

Ignorując złośliwość, Algi spojrział na nich uważnie.

– Towin chyba słusznie nazwał osadę obozem koncentracyjnym. Ale dokąd zamierzaliście się wybrać?

– Pomyśleliśmy, że ruszymy na południe i trafimy na jakiś stary szlak ku wzgórzom – wyjaśniła Becky.

– Lepiej dołączcie do nas – powiedział szorstko Siwobrody. – Nikt nie wie, co nas czeka. Poniżej jazu ukryłem łódź zaopatrzoną na podróż. Ruszajmy.

Niedaleko od brzegu, w gąszczu, za ruinami niewielkiej obory leżała pięciometrowa łajba. Posłuszni instrukcjom Siwobrodego, razem znieśli ją nad wodę. Charley i Towin przytrzymali kadłub, a Algi załadował na pokład nieliczne bagaże. Poprzedni właściciel wyposażył łódź w płócienne zadaszenie, które teraz rozstawili. Tylko dziobowy pokład pozostawał wolny, płótno przykrywało resztę łodzi. Trzy pary wiosel leżały na deskach razem ze sterem i rumplem. Siwobrody zamocował te dwa ostatnie elementy na miejscu.

Nie tracili czasu. O bliskości osady przypominały im krzyki, które słyszeli w górze strumienia.

Mężczyźni pomogli Marcie i Becky zająć miejsca, po czym sami weszli na pokład. Siwobrody opuścił miecz. Na jego polecenie Becky usiadła do steru, a reszta zajęła się wiosłami. Wychodziło im to trochę niezdarne. Towin, który zanim wziął się do roboty zdjął

zegarek, klął cicho. Gdy wypłynęli na środek rzeki, popchnął ich nurt i zaczęli płynąć naprzód.

Przy przeciwległym brzegu jakaś kolorowa plama unosiła się i opadała wraz z wodą. Między dwoma fragmentami muru, które rzeka przyniosła tu z ruin mostu, uwięzło ciało. Głowa tkwiła pod powierzchnią, którą stale mąciła fala od strony niewielkiego jazu. Patrząc na pomarańczowe, zielone, czerwone i żółte pasy koszuli poznali, że to Sam Bulstow.

Po godzinie żeglugi, gdy oddalili się od Sparcot, Marta zaczęła śpiewać. Na początku pieśń płynęła cichym pomrukiem, potem kobieta dodała do nut słowa.

*„Nie robi tu*

*Nikt krzywdy mu*

*Prócz zimy i złej pogody...”*<sup>2</sup>

– Miałeś rację, Towin, nazywając tamto miejsce obozem koncentracyjnym – powiedziała, przerywając śpiew. – Wszystko w Sparcot stawało się takie zużyte i brudne. Tutaj nigdy by tak nie było. – Wskazała kępę drzew pochylających się nad rzeką.

– Dokąd planujecie nas zabrać? – spytał Towin Siwobrodego.

Algi nigdy się nad tym poważnie nie zastanawiał. Łódź była jedynie symbolem jego nadziei. Mimo to odpowiedział bez namysłu.

– Spłyniemy Tamizą do jej ujścia. Później pomyślimy o jakimś zaimprovizowanym maszcie i żaglu, żeby wypłynąć na morze. Zobaczymy, jak jest na wybrzeżu.

– Dobrze by było znowu zobaczyć morze – powiedział Charley z powagą.

– Kiedyś spędziłem wakacje w... jak się nazywało to miejsce? Miało molo... Aha, Southend. – Towin schował brodę głębiej w kołnierz, nie przerywając wiosłowania. – Pewnie o tej porze roku jest tam niezły ziąb. Już wtedy było chłodno. Myślicie, że molo jeszcze stoi? Wyglądało bardzo pięknie.

– Głuptasie, na pewno zawałiło się wieki temu – wtrąciła jego żona.

Lis stał, opierając przednie łapy o burtę łodzi i ostrym pyskiem wyławiając zapachy z brzegu. Wydawał się gotowy na wszystko.

Nikt nie wspomniał ani słowem o Szkotach, skrzatach ani gronostajach. W pamięci nadal mieli krótką piosenkę Marty, więc silili się na optymizm.

Po pół godziny musieli odpocząć. Towin był wykończony, a i pozostałych, nieprzywykłych do takiego wysiłku, wiosłowanie zmęczyło. Becky chciała zastąpić przy wiosle Martę, ale zabrakło jej umiejętności lub cierpliwości, żeby machać nim skutecznie. Po

---

<sup>2</sup> [W. Shakespeare „Jak wam się podoba”, przekład M. Słomczyński, Wydawnictwo Literackie Kraków, 1983]



jakimś czasie Charley i Siwobrody sami zabrali się do pracy. Drewniane pióro napotykało powierzchnię wody z ciężkim odgłosem, którego echo zawisało między porośniętymi gąszczem brzegami rzeki. Przed nimi zaczęła się ścielić mgła. Obie kobiety skuliły się na siedzeniu przy rumplu.

– W sercu nadal jestem miejską dziewczyną – przyznała Marta. – Uroki wiejskich krajobrazów przemawiają do mnie najsilniej, gdy jestem od nich daleko. Niestety, prócz wsi niewiele nam już zostało. Gdzie się zatrzymamy na noc, Algi?

– Staniemy, jak tylko wypatrzymy jakieś dobre miejsce. Musimy odpłynąć jak najdalej od Sparcot, ale nie chcemy wyprzedzić załogi Cyganki z Grafton. Nie traćcie ducha. Ukryłem na łodzi trochę zapasów, no i mamy to, co zabraliśmy ze sobą.

– Zupełnie cię nie rozumiem – stwierdził Towin. – Powinieneś zastrzelić Jima Mola i przejąć władzę w Sparcot, człowieku. Ludzie by ciebie poparli.

Siwobrody nic nie powiedział.

Rzeka wiła się serią zakrętów, niczym pijak w turzycowym gąszczu, zmierzając na wschód, ku wolności. Kiedy ujrzeli w oddali most, przzerwali wiosłowanie i pozwolili prądowi pchać łódź. Solidna konstrukcja pochodziła jeszcze z czasów króla Jerzego, miała wysoki łuk i mocną balustradę. Przybili do brzegu przed nią. Siwobrody podniósł strzelbę.

– Niedaleko od mostu powinna być jakaś osada – powiedział. – Zostańcie tu, a ja pójdę się rozejrzeć.

– Idę z tobą – oznajmił Charley. – Izaak może zostać na łodzi.

Podał smycz Marcie, która pogłaskała niecierpliwe zwierzę, próbując je uspokoić. Obaj mężczyźni zeszli z łodzi, wspięli się po brzegu i przykucnęli wśród gnijących zarośli.

Zza zasłony drzew mrugało do nich przejrzałe, zimowe słońce. Prócz jego kuli poprzecinanej nagimi pniami, za którymi wisiała, wszystko miało różne odcienie szarości. Mgła unosiła się nisko nad ziemią, udając śnieżne zaspę. Przed sobą, za zaśmieconą drogą, która biegła przez most, zobaczyli duży budynek. Wyglądał tak, jakby stał na obłokach mgły, nie dotykając ziemi. Trwał wiekowy, ponury i bez życia, z płataniną kominów na dachu. Słońce odbijało się w górnym oknie, obdarzając dom okiem bez blasku. Wokół nic się nie poruszyło. Tylko wysoko nad głowami przeleciało stado gawronów. Obaj mężczyźni wspięli się na drogę i przeszli na drugą stronę ku zasłonie żywopłotu.

– To mi wygląda na stary pub – powiedział Charley. – Ani śladu życia. Chyba opuszczony.

Gdy tylko to powiedział, zza żywopłotu dobiegł ich dźwięk przypominający kaszel.

Przykucnęli, spoglądając między gałęziami głogu na pole po drugiej stronie. Ciągnęło się aż do rzeki. Choć tonęło we mgle, dostrzegli, że nie było na nim wysokiego zielska i innych roślin. Musiały tu być roślinożerne zwierzęta. Para oddechów mężczyzn unosiła się ponad zarośla. Obaj uważnie obserwowali okolicę. Po chwili kaszel się powtórzył.

Siwobrody w milczeniu wskazał, skąd dobiegał. W najbliższej budynku części pola stała

szopa. Przy jednej ze ścian skupiło się kilka owiec.

– Sądziłem, że owce wyginęły już dawno temu – mruknął Charley.

– Pewnie ktoś jest w domu.

– Nie chcemy żadnych zatargów z obcymi. Popłynemy kawałek w górę rzeki. Została nam jeszcze godzina do zmroku.

– Nie, lepiej obejrzymy sobie to miejsce. Są tu samotni, może ucieszą się z towarzystwa, jeśli zdołamy ich przekonać, że mamy przyjazne zamiary.

Nie mogli się pozbyć wrażenia, że z milczącego budynku celowała w nich strzelba, może nawet niejedna. Ruszyli naprzód, cały czas wpatrując się w puste okna. Przed frontem mogli się schować za samochodem. Wóz był w dość opłakanym stanie. Już dawno temu pogodził się z tym, że nigdy nie ruszy z miejsca. Jego opony obwisły ku ziemi. Algi i Charley podbiegli ku niemu i, skuleni za maską, przyjrzeni się domowi. Nadal nie zauważyli żadnego ruchu. Większość okien zabito deskami.

– Jest tam kto? – zawołał Siwobrody.

Nikt im nie odpowiedział.

Charley słusznie przypuszczał, że mieli przed sobą pub. Nieopodal leżał gnijący szyld gospody, a wypaczona tablica z nazwą odpadła od frontowych drzwi i leżała na zniszczonych stopniach. W jednym z dolnych okien dojrzeli wycięty napis PIWO. Siwobrody przyjrzał się wszystkiemu raz jeszcze, zanim ponownie zawołał. I tym razem nikt im nie odpowiedział.

– Spróbujmy od tyłu – powiedział wstając.

– Może przenocujemy dziś na łodzi?

– Później zrobi się zimno. Spróbujmy od tyłu.

Na tyłach budynku trafili na ścieżkę wiodącą od tylnego wejścia w stronę pastwiska owiec. Przywarli plecami do wilgotnego muru z cegieł i ponownie zawołał. Siwobrody trzymał strzelbę w pogotowiu. Żadnej odpowiedzi. Algi przesunął się w bok i szybko zajrzał w najbliższe okno. W środku siedział mężczyzna, patrząc prosto na niego.

Serce podskoczyło mu w piersi. Odsunął się gwałtownie prosto na Charleya. Poczł dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Kiedy zapanował nad nerwami, wyciągnął broń przed siebie i zastukał w szybę.

– Jesteśmy przyjaciółmi – krzyknął.

Cisza.

– Nie mamy złych zamiarów! – Tym razem Siwobrody zakołatał zbyt gwałtownie i stłukł szybę. Usłyszeli dźwięk rozbijanego szkła, a potem znowu nic. Spojrzeli po sobie. Ich twarze zdradzały zmęczenie.

– Pewnie jest chory albo może martwy – powiedział Charley.

Wyminął Siwobrodego, pochylony przeszedł przy ścianie pod oknem i stanął przy tylnych drzwiach. Opierając się o nie ramieniem nacisnął klamkę i gwałtownie wpadł do środka. Algi ruszył za nim.

Twarz siedzącego mężczyzny była równie szara, co światło, w które się wpatrywał. Wargi miał spalone i popękane, tak jakby wypił silną truciznę. Siedział prosto w starym krześle, twarzą zwrócony do zlewu. Na kolanach trzymał nie do końca opróżnioną puszkę pestycydu.

Charley się przeżegnał.

– Niech odpoczywa w spokoju. W takich czasach człowiek nie musi szukać powodów, żeby odebrać sobie życie.

Siwobrody wziął puszkę trucizny i cisnął ją w krzaki.

– Dlaczego się zabił? Przecież nie z głodu, bo na zewnątrz są owce. Musimy przeszukać dom, Charley. Może znajdziemy jeszcze kogoś.

Na górze, w pokoju, którego okien jeszcze sięgało umierające słońce, znaleźli kobietę. Jej wychudłe ciało ginęło pod kocami. W pojemniku obok łóżka znajdowała się kałuża czegoś, co przypominało zakrzepniętą zupę. Kobietę zabiła choroba, tyle widzieli. Domyślali się też, że umarła wcześniej niż mężczyzna na dole, bo powietrze w pokoju zgęstniało od woni śmierci.

– Pewnie rak. Jej mąż nie miał po co żyć, kiedy ona odeszła – powiedział Siwobrody. Czuł, że musi przerwać ciszę, choć w pomieszczeniu ledwo dało się oddychać. Z trudem nad sobą panował. – Wynieśmy ciała obydwójga na zewnątrz i ukryjmy je w zaroślach. Możemy tu się zatrzymać na noc.

– Musimy ich pochować, Algi.

– Na to potrzeba za wiele siły. Lepiej zakwaterujmy się tu i bądźmy wdzięczni, że tak łatwo znaleźliśmy bezpieczne miejsce.

– Może zostaliśmy tu sprowadzeni właśnie po to, żeby pochować te biedne duszyczki jak należy.

Mrużąc oczy, Siwobrody spojrzał na brązową kukłę gnijącą na poduszce.

– Po co Wszehmogący miałby się o to upominać, Charley?

– Równie dobrze mógłbyś spytać, po co my jesteśmy Mu tutaj potrzebni.

– Na Boga, żebyś wiedział, że często się nad tym zastanawiam, przyjacielu. Nie spierajmy się teraz; lepiej ukryjmy ciała gdzieś, gdzie nie zobaczą ich kobiety, a rankiem może pomyślimy o pochówku.

Charley pomógł Siwobrodemu w przykrym zadaniu z całą łaską, na jaką się mógł zdobyć. Uznali, że najlepiej ukryć ciała w szopie na polu. Zostawili je wśród owiec – sześciu, jak się okazało. Dali zwierzętom wody, oderwali deski z kilku okien, żeby przewietrzyć dom i ruszyli po resztę towarzystwa. Kiedy łódź została już bezpiecznie zacumowana, wszyscy przenieśli się do budynku.

W piwnicach, w których dawniej stały beczki piwa, znaleźli kawał wędzonego mięsa wiszącego na haku dla ochrony przed szczurami. Sądząc po śladach, gryzoni tu nie brakowało. Odkryli też lampę na zwierzęcy tłuszcz, która potwornie śmierdziała, ale paliła się

dobrze. Towin wydobył pięć butelek ginu ze skrzynki ukrytej w nieużywanym kominku.

– Właśnie takiego leku potrzebuję na mój reumatyzm – powiedział, otwierając jedną. Podstawiając ją pod spiczasty nos, z przyjemnością wciągnął zapach trunku, po czym upił łyk.

Kobiety napaliły drewnem w kuchennym piecu i zajęły się przyrządzaniem posiłku. Zbyt mocny smak baraniny stłumiły ziołami, które znalazły w słoikach w spiżarni. Wszyscy powoli się rozgrzewali. Po kolacji, w dobrych humorach położyli się spać.

Marta i Siwobrody zajęli niewielki salonik na parterze. Zmarła para najwyraźniej żyła w tych stronach spokojnie, dlatego Algi nie widział powodu, by trzymać straż. Pod rządami Mola obsesyjnie zabezpieczali się na wszelkie możliwe sposoby. A przecież z każdym mijającym rokiem człowiek powinien coraz mniej się bać swoich pobratymców. Poza tym, pub leżał z dala od innych ludzkich siedzib...

Mimo to, Siwobrody nie czuł się bezpiecznie. Nie wspomniał pozostałym o niczym, ale zanim opuścił łódź, sprawdził schowki pod pokładem. Chciał zabrać dwa bagnety, które wcześniej tam schował; zamierzał uzbroić w nie Towina i Charleya, ale broń znikła, podobnie jak i inne rzeczy, które zgromadził. To mogło oznaczać tylko jedno: ktoś jeszcze znał kryjówkę łajby.

Kiedy Marta zasnęła, wstał. Lampa na barani tłuszcz nadal się paliła. Wcześniej Timberlane zasłonił jej płomień od strony okna. Przez jakiś czas stał bez ruchu, czekając, aż jego wyobraźnia stanie się krajobrazem, do którego zakradają się dziwne myśli. Poczul jak na zewnątrz wzmaga się mróz i cisza, po czym się odwrócił, aby odzyskać spokój. Lampa stała na komodzie. Na chybił trafił otworzył jedną z szuflad i zajrzał do środka. Zawierała pamiątki rodzinne, zepsuty zegar, ogryzki kredek i pustą buteleczkę po atramencie. Z poczuciem, że robi coś, czego nie powinien, wsunął do kieszeni dwa najdłuższe kawałki ołówków, po czym wyciągnął następną szufladę. Znalazł w niej dwa staromodne albumy z fotografiami. Na nich leżało oprawione w ramki zdjęcie dziecka.

Mały chłopiec z fotografii miał najwyżej sześć lat. Wyglądał pogodnie. Uśmiechał się, pokazując przerwę między zębami. Miał na sobie długie spodnie w szkocką kratę i trzymał model lokomotywy. Odbitka trochę zbladła. Prawdopodobnie było to zdjęcie mężczyzny, którego ciało przenieśli do szopy dla owiec.

Siwobrodemu nagle stanęły w oczach łzy. W gnijących szufladach świata kryło się dzieciństwo, wspomnienie, które nie mogło się stale opierać czasowi. Po tamtej okropnej tragedii, zbrodni, katastrofie, która miała miejsce w ubiegłym stuleciu, przestały się rodzić dzieci. Nie było już na świecie malców, chłopców takich, jak ten z fotografii. Nie było już nastolatków ani młodych mężczyzn czy modnie ubranych kobiet. Zabrakło nawet ludzi w średnim wieku.

– Pięćdziesięciolatek nadal młodo wyglądają – powiedział do siebie i wyprostował ramiona. Nie brakowało też dziarskich sześćdziesięciolatek, którzy trzymali się dobrze

pomimo trudów i potworności, jakie ich spotkały. Jeszcze wiele lat miało upłynąć, zanim... Ale nic nie mogło zmienić faktu, że był jednym z najmłodszych ludzi na ziemi.

Nie, to nie była zupełna prawda. Stale powtarzano plotki, że niektórym parom od czasu do czasu nadal rodziły się dzieci. Zdarzało się... Wystarczy wspomnieć o żalonym wydarzeniu z początków jego bytności w Sparcot. Mieszkała tam wówczas Ewa, która urodziła majorowi Troutrowi córeczkę, a potem przepadła. Miesiąc później grupa osadników zbierających drzewo na opał znalazła, obie, martwe... Ale poza tym nigdy nie widywano młodych. Wypadek nikogo nie oszczędził. Ziemię odziedziczyli starcy.

Śmiertelne ciało nosiło gotyckie kształty wieku. Śmierć czekała niecierpliwie chwili, gdy policzy swoich ostatnich pielgrzymów.

I z tego wszystkiego potrafię czerpać jakąś straszną przyjemność – pomyślał Siwobrody, spoglądając na wyblakły uśmiech z fotografii. – Musieliby rozedrzeć mnie na kawałki, zanim bym się do tego przyznał, ale tkwi to gdzieś we mnie, taki mały wredny gronostaj, który globalną katastrofę przerabia w osobisty triumf. Może to przez to moje głupie przekonanie, że każde doświadczenie może się okazać cenne. A może przez pewność, która rodzi się ze świadomości, że nawet dożywając setki, nigdy nie będę starym ramolem, na zawsze zostanę tym z młodszego pokolenia.

Próbował zgasić niemądrą myśl, która tak często się w nim rodziła, ale ona nie przestała się tlić. Jego życie okazało się szczęśliwe, cudownie szczęśliwe, pomimo fatum prześladowającego całą ludzkość.

Ludzie nie byli sami w swoim nieszczęściu. Wszystkie ssaki ucierpiały niemal tak samo. Suki przestały się szcenić. Lisy niemal zupełnie wyginęły, a przetrwały tylko dzięki zwyczajowi chowania młodych w norach – no i dzięki obfitości pożywienia, którego miały pod dostatkiem, odkąd uścisk żelaznych kleszczy panowania człowieka zelżał. Domowe świni wymarły jeszcze przed psami, bo nie dość, że przestały rodzić młode, to jeszcze wszędzie bezmyślnie je zabijano i zjadano. Koty i konie okazały się tak samo bezpłodne jak ludzie. Te pierwsze przeżyły tylko dzięki mnogości miotów. Podobno w niektórych regionach znowu się rozmnażały. Kupcy odwiedzający Sparcot donosili o grasujących gdzieniegdzie stadach zdziczałych kotów.

Ucierpieli też więksi przedstawiciele kotowatych. Z całego świata na początku lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku napływały takie same wieści: wszystkie istoty straciły zdolność rozmnażania się. Wymiar katastrofy był tak apokaliptyczny, że nawet agnostycy myśleli o niej w kategoriach biblijnych – ziemia przestała rodzić. Tylko mniejsze stworzenia, które schroniły się pod jej powierzchnią, uchroniły się zupełnie przed skutkami wydarzeń, w których człowiek padł ofiarą własnych wynalazków.

Teraz była to już stara opowieść. Niemal pół wieku dzieliło mleczne zęby odsłonięte w uśmiechu z fotografii od skrzywienia przeżartych warg, które w szopie dla owiec nie broniły dostępu mroźnemu powietrzu.

Siwobrody z traskiem zamknął szufladę.

Coś zaniepokoiło owce. Przerażone zaczęły głośno meczeć.

Wyobraźnia podsunęła mu zrodzony z przesądów obraz żywych trupów, ale natychmiast go wymazał. Powodem paniki był najprawdopodobniej jakiś drapieżnik. Algi przeszedł do kuchni i wyrztał przez okno. Niebo miało jaśniejszy odcień niż się spodziewał. Wiór księżycy lśnił, nadając niewyraźne kształty pobliskim drzewom. Zbliżając ucho do strumienia powietrza wpadającego przez pobitą szybę, Siwobrody usłyszał, jak zwierzęta miotają się w zagrodzie. Szron połyskiwał na kępach traw za drzwiami. Przyglądając się połyskującym małym igielkom lodu, usłyszał chrzęst kroków. Ktoś szedł po trawie. Algi podniósł strzelbę. Nie mógł bezgłośnie wyjść na zewnątrz, bo tylne drzwi skrzypiały.

Kroki się zbliżały. Mężczyzna – cień – przeszedł za oknem.

– Stój bo strzelam! – krzyknął Siwobrody. Sądził, że obcy się zatrzymał zdumiony tym, że ktoś go zauważył, choć znikł już z pola widzenia.

– To ty, Siwobrody? – dobiegł dudniący głos z zewnątrz. – To ty? Lepiej trzymaj ten swędzący paluch z dala od spustu.

Algi rozpoznał przybysza. W tej samej chwili Marta stanęła przy nim, otulając się płaszczem. Wcisnął jej w rękę strzelbę.

– Trzymaj to i ubezpieczaj mnie – wyszeptał, a głośno dodał – Wyjdź przed okno i podnieś rękę do góry.

Sylwetka mężczyzny pojawiła się w polu widzenia. Stał z rozcapierzonymi palcami dłoni, tak jakby zamierzał grabić niebo. Zaśmiał się chrapliwie. Marta wycelowała w niego strzelbę. Siwobrody gwałtownym pociągnięciem otworzył drzwi i gestem nakazał mężczyźnie wejść do środka, po czym cofnął się o krok, by go przepuścić. Stary kłusownik Jeff Pitt wszedł do kuchni i opuścił rękę.

– Nadal chcesz kupić ode mnie tego bobra, Siwobrody? – spytał, rozciągając usta w znajomym, psim uśmiechu.

Siwobrody wziął broń i otoczył ręką wątle ramiona Marty. Kopniakiem zamknął drzwi i przyjrzał się Pittowi z powagą.

– To pewnie ty skradłeś zapasy z mojej łajby. Dlaczego nas śledzisz? Masz własną łódź?

– Przecież nie przyplłynąłem tu wpław! – Pitt mówiąc bezustannie omiatał izbę wzrokiem. – Umiałem lepiej ukryć moje kanoe niż ty! Od tygodni obserwowałem, jak ładujesz zapasy do łodzi. Wiem niemal o wszystkim, co się dzieje w Sparcot. Dziś, kiedy zwialiście, pomyślałem, że zaryzykuję spotkanie ze skrzatami i sprawdzę, jak sobie radzicie.

– Całkiem nieźle, jak widzisz. A ty niemal nie zginąłeś od kuli. Co planujesz, skoro już tu dotarłeś?

Starzec chuchnął na dłonie i przysunął się bliżej pieca, który był jeszcze ciepły. Jak zwykle unikał patrzenia im w oczy.

– Pomyślałem, że udam się z wami do Reading, jeśli się aż tam wybieracie. No i jeśli

twoja dobra żona zgodzi się, bym wam towarzyszył.

– Jak chcesz ruszyć z nami, musisz oddać broń mojemu mężowi – odparła Marta ostro.

Unosząc brew i zerkając ku nim, aby się przekonać, czy ich zaskoczył, Pitt wyciągnął z kieszeni kurtki stary służbowy rewolwer. Zręcznie usunął z niego pociski i podał go Siwobrodemu.

– Skoro wy dwoje z takim zapalem przystajecie na moje towarzystwo, prócz broni dam wam też kilka rad. Zanim wygodnie położymy się spać, lepiej sprowadźmy tutaj te owce. Tu im nic nie grozi. Chyba nie wiecie, jakie macie szczęście. Każda z tych owieczek jest warta fortunę. W dolnym biegu rzeki, może gdzieś w Reading albo w innym podobnym miejscu, staniemy się dzięki nim bogaci – oczywiście pod warunkiem, że wcześniej ktoś nas nie sprzątnie.

Siwobrody wsunął rewolwer do kieszeni. Długo przyglądał się pomarszczonej twarzy stojącego przed nim mężczyzny. Pitt uśmiechnął się do niego szeroko.

– Wracaj do łóżka, kochanie – powiedział Siwobrody do Marty. – Sami poradzimy sobie z owcami. Jeff chyba ma rację.

Widziała, jak ciężko przychodziło mu uznanie za dobry pomysł, na który sam powinien był wpaść. Spojrzała na niego, mrużąc oczy i gdy mężczyźni wyszli z domu, przeszła do drugiego pokoju. Barani tłuszcz skwierczał w lampie. Później, kiedy zmęczona leżała na zaimprovizowanym łóżku – może była to północ, choć Marta przypuszczała, że w hipotetycznym świecie zegarów, czasomierze nie wskazywałyby jeszcze dziewiątej wieczorem – pojawiła się przed nią twarz Jeffa Pitta.

Twarz ta powoli nabierała kształtów. Jej rysy w równym stopniu zdradzały wiek i usposobienie. Lata coraz bardziej odciskały na niej swe piętno i wreszcie, z pomarszczonymi policzkami i zepsutymi trzonowcami, stała się dość pospolitym obliczem, takim samym jak twarz Towina Thomasa i innych, którzy przetrwali w życiu podobne burze. Twarze starych mężczyzn w erze nie znającej opieki medycznej i dentystycznej, z czasem zaczynały się upodabniać do wilków, małp albo kory drzew. Marcie przyszło do głowy, że coraz bardziej wtapiały się one w krajobraz otaczający ludzi.

Już prawie nie pamiętała, jak Jeff Pitt wyglądał w czasach, gdy ich grupa osiedliła się w Sparcot. Może wtedy był mniej zarozumiały, przerażony natłokiem wydarzeń. Miał zdrowsze zęby i nosił swój wojskowy mundur. Dawniej był bandytą, choć niezbyt skutecznym. Dopiero później został kłusownikiem. Od tamtej pory tak bardzo się zmienił!

Ale może wszyscy się w tym czasie zmienili. Upłynęło już jedenaście lat i świat stał się zupełnie innym miejscem.

## Rozdział drugi – Cowley

Wtedy mieli szczęście, że w ogóle zdołali dotrzeć do Sparcot. Przez ostatnie kilka dni w Cowley, na przemysłowym przedmieściu Oksfordu, myślała, że nigdy nie uda im się uciec. Było to jesienią pylistego roku 2018, kiedy do wielu plag trapiących ludzkość dołączyła cholera.

Marta była niemal więźniem w mieszkaniu, w którym przymusowo zakwaterowano ją i Siwobrodego – oczywiście wtedy miał tylko czterdzieści trzy lata i nazywano go po prostu Algernonem Timberlane'em.

Do Oksfordu przyjechali z Londynu po śmierci matki Algiego. Ich ciężarówkę zatrzymano na granicy hrabstwa Oksford. Okazało się, że w całej okolicy obowiązuje stan wyjątkowy. Wszystkim dowodził komandor Croucher, który na główną kwaterę obrał Cowley. Pod eskortą żandarmerii wojskowej trafili do tego mieszkania i choć nie znaleźli się w nim z wyboru, okazało się wygodne.

Kraj i świat trapiły rozmaite problemy, ale najgorszym wrogiem Marty była nuda. Czekając w upalne dni na powrót Algiego, bez końca układała puzzle z kwitnącymi farmami, kanadyjskimi traperami albo plażami w Acapulco i słuchała lekkiej muzyki sączącej się z niewielkiego, przenośnego radia.

Po Iffley Road – ulicy, na którą wychodziły okna – jeździło niewiele aut. Czasem zrywała się z miejsca sądząc, że słyszy znajomy warkot silnika i długo wyglądała przez okno, zanim uświadamiała sobie pomyłkę.

Patrzyła na nieznajome miasto. Uśmiechała się na myśl o duchu przygody, który towarzyszył im w drodze z Londynu, gdy ze śmiechem zapewniali, jak młodo się czuli i przyrzekali, że są na wszystko gotowi – tymczasem ona już miała dość układanek i martwiła się, że Algi coraz więcej pije.

W Ameryce też sporo pił, ale tamtym sesjom z Jackiem Pilbeamem, skorym do zabaw kompanem, towarzyszyła wesołość, której teraz zabrakło. Radość! Ostatnie miesiące w Londynie pozbawione były nawet jej cienia. Rząd zarządził bezwzględne godziny policyjne. Ojciec Marty znikł nocą, prawdopodobnie aresztowany bez procesu. Rozprzestrzeniająca się



cholera nie oszczędziła ich rodziny. Patrycja, nieodpowiedzialna matka Algiego, opuszczona przez trzeciego męża, umarła w męczarniach.

Marta przeciągnęła palcami po parapecie. Podniosła dłoń i spojrzała na brudne opuszki.

Zaśmiała się krótko na myśl o czymś i wróciła do stołu. Z trudem zmusiła się do układania słonecznej plaży w Acapulco.

Sklepy w Cowley otwierano tylko po południu. Z wdzięcznością przyjmowała tę odrobinę urozmaicenia, jaką jej dawały. Wychodząc z domu, celowo starała się wyglądać nieatrakcyjnie, nakładała stary czepek i wciągała grube pończochy na zgrabne nogi, nie zważając na upał. Wiedziała, że żołnierze nie obchodzili się delikatnie z kobietami.

Tego popołudnia zauważyła, że na ulicy jest mniej mundurowych. Podobno wiele plutonów wywieziono na wschód, aby strzegły przed atakiem od strony Londynu. Według innej plotki, zamknięci w koszarach żołnierze padali jak muchy.

Marta stanęła w kolejce do wyłożonego białymi kafelkami sklepu rybnego. Skrywane obawy kazały jej przypuszczać, że ta druga pogłoska jest bliższa prawdy. Przegrzane powietrze miało smak śmierci. Tak jak większość kobiet, usta i nos przesłaniała chusteczką. Plotki o zarazie stawały się bardziej wiarygodne, gdy sączyło się je przez pobrudzone kwadraty materiału.

– Powiedziałam mężowi, że wołałabym, aby nie wstępował do armii – oznajmiła kobieta stojąca obok Marty. – Ale Bill jak nie chce, to nie posłucha. Kiedyś pracował w warsztacie. Bał się, że wcześniej czy później i tak go zwolnią, więc uznał, że lepiej mu będzie w wojsku. Ja mówię mu wprost, że mam już dość wojny, nawet jeśli on nie. A on na to, że to nie wojna, bo tu każdy się bije o swoje. Nie wiadomo, co zrobić, żeby było dobrze, prawda?

Wlokąc się z powrotem do mieszkania z przydziałem suszonej, bezimiennej ryby, Marta powtarzała w myślach słowa kobiety.

W domu usiadła przy stole, oparła na blacie skrzyżowane ramiona i położyła na nich głowę. Tak siedząc, pozwoliła myślom biec własnym torem. Przez cały czas nasłuchiwała warkotu ciężarówki, który zwiastował powrót Timberlane'a.

W końcu ją usłyszała. Wyszła mężowi na spotkanie. Gdy otworzył drzwi, przytuliła się do niego, ale on ją odepchnął.

– Jestem brudny i cuchnę – powiedział – Nie dotykaj mnie, dopóki się nie umyję i nie zdejmę kurtki.

– O co chodzi? Coś się stało?

W jej głosie usłyszał nutę zdenerwowania.

– Umierają. Wszędzie umierają ludzie.

– Wiem.

– Jest coraz gorzej. To idzie od Londynu. Teraz konają na ulicach i nikt ich stamtąd nie rusza. Armia robi co może, ale żołnierze nie są bardziej odporni na infekcje niż inni.

– Armia! Chciałeś chyba powiedzieć banda Crouchera!

– Okolicą mogliby rządzić gorsi od niego. On przynajmniej pilnuje porządku. Rozumie potrzebę utrzymania służb publicznych; już wysłał na miasto swoich sanitarnych. Nikt nie mógłby więcej działać.

– Algi, przecież wiesz, że to morderca. Jak możesz o nim dobrze mówić?

Razem weszli po schodach na górę. Timberlane cisnął kurtkę w kąt.

Usiadł ze szklanką ginu, dolał sobie odrobinę wody i zaczął miarowo sączyć drinka. Miał ciężką twarz. Układ ust i oczu nadawał jej wyraz zaszewienia. Łyse czoło pokrywały krople potu.

– Nie chcę o tym rozmawiać – powiedział.

W jego głosie brzmiało zmęczenie i kamienna ociężałość. Marta stwierdziła, że sama przybrała podobny ton. Atmosfera w nędznej izbie tężała od ich dyskomfortu. Bzycząca mucha na próżno objęła się o szybę w oknie.

– A o czym chcesz mówić?

– Na litość boską, Marto, nie chcę mówić o niczym. Mam dość smrodu śmierci i strachu. Mam dość ludzi gadających w kółko o śmierci i strachu. Przez cały dzień łąziłem z magnetofonem nagrywając cholerne relacje dla DGHW(A). Teraz chcę tylko się upić do nieprzytomności.

Współczuła mu, ale nie zamierzała tego okazać.

– Algi, miałeś nie gorszy dzień niż ja. Cały czas siedziałam tu nad układankami. Miałam ochotę wyć. Rozmawiałam tylko z jakąś kobietą w rybnym. Przez resztę czasu tkwiłam za zamkniętymi i zaryglowanymi drzwiami, tak jak mi kazałeś. A teraz oczekujesz, że będę cicho siedziała patrząc, jak się upijasz?

– Wcale tego od ciebie nie oczekuję. Nie masz aż takiej kontroli nad swoim językiem.

Podeszła do okna i stanęła plecami do męża.

Nie jestem chora – pomyślała. – Mam sprawny umysł; wciąż potrafię dać mężczyźnie wszystko, czego pragnie; nazywam się Marta Timberlane, z domu Broughton i mam czterdzieści trzy lata.

Usłyszała brzęk szkła. Algi roztrzaskał szklankę.

– Marto, przepraszam cię. Morderstwa, pijaństwo, śmierć, życie, wszystko to zostało zredukowane do tego samego, martwego poziomu...

Nie odpowiedziała. Starym kolorowym magazynem rozgniotła muchę brzęczącą tuż przy szybie. Zamknęła oczy, aby poczuć gorąco powiek. Timberlane, nie ruszając się od stołu, mówił dalej.

– W końcu dojdę do siebie, ale widok mojej biednej matki wydającej ostatnie... Przepelniają mnie emocje, jakich nie czułem od lat. Przypominam sobie, jak bardzo kochałem ją w dzieciństwie. A niech to... Daj mi drugą szklankę, kochana. Nie, daj dwie. Skończmy tę butelkę ginu. Chrzanię ten cały przegniły system. Jak długo jeszcze ludzie będą musieli to znosić?

– Co? – spytała, nie odwracając się.

– Brak dzieci. Bezpłodność. Potworny paraliż. Przecież wiesz, o czym mówię.

– Przepraszam, boli mnie głowa. – Pragnęła jego współczucia, a nie kazań, ale widziała, że coś go zdenerwowało, że musiał mówić. Gin miał mu w tym pomóc. Przyniosła mu drugą szklankę.

– Marto, do ludzi wreszcie zaczyna docierać, że dzieci już nie będzie. Te małe, drące się zawiniątka, które widywaliśmy w wózkach przed sklepami znikły na zawsze. Dziewczynki bawiące się lalkami i pustymi pudełkami po płatkach śniadaniowych to już przeszłość. Tak jak i grupy nastolatków okupujących rogi ulic albo śmigających na motorach. Już nie wrócą. Nie zobaczymy nigdy dwudziestolatki z małym tyłeczkiem i jędrnymi piersiami reklamującymi młodość, która mija nas na ulicy jak powiew świeżości. Gdzie się podzieli nasi młodzi sportowcy? Pamiętasz drużyny krykieta? Albo futbolu? A co z bohaterami romansów w telewizji i w kinie? Dokąd odeszły gwiazdy pop minionych lat?

– Przestań, Algi. Tak jak i ty wiem, że wszyscy jesteśmy bezpłodni. Wiedzieliśmy to już siedemnaście lat temu, kiedy braliśmy ślub. Nie chcę dłużej tego słuchać.

Gdy Siwobrody ponownie się odezwał, jego głos zabrzmiał tak odmiennie, że Marta się odwróciła i spojrzała na niego.

– Ja też już chyba nie chcę o tym słyszeć. Ale każdy dzień na nowo uświadamia nam potworną prawdę. Nieszczęście wciąż się wydaje bolesne i świeże. Oboje mamy po czterdzieście, a niewielu jest młodszych od nas. Wystarczy przejść się ulicami Oksfordu, aby się przekonać, jak stary i zakurzony staje się nasz świat. Właśnie teraz, gdy mija nasza młodość, najbardziej odczuwamy brak odnawialności ludzkiego gatunku – przenika on nas do szpiku.

Marta nalala mężowi ginu i postawiła na stole drugą szklankę dla siebie. Algi spojrzał na żonę z lekko ironicznym uśmiechem.

– Może to śmierć mojej matki sprawiła, że tak mówię. Przepraszam cię, Marto. Jest mi tym bardziej przykro, że nie wiemy, co się stało z twoim ojcem. Przez cały czas gdy byłem zajęty własnym życiem, moja mama żyła swoim. A wiesz jak ono wyglądało! Kochała trzech bezwartościowych mężczyzn. Mego ojca, Keitha Barratta i tego Irlandczyka. Biedaczka! Czuję, że powinniśmy byli więcej dla niej zrobić.

– Wiesz, że była na swój sposób szczęśliwa. Przecież rozmawialiśmy o tym.

Algi wytarł czoło i głowę chusteczką. Uśmiechnął się swobodnie.

– Może tak wszystko wygląda, gdy pęka główna oś świata: każdy już na zawsze zostaje skazany na myślenie i mówienie tego samego, o czym myślał i mówił poprzedniego dnia.

– Nie powinniśmy rozpaczać, Algi. Przeżyliśmy lata wojny, przetrwaliśmy fale purytanizmu i rozwiązości. Uciekliśmy z Londynu, którego mieszkańcy są teraz w prawdziwych tarapatach po załamaniu się ostatniego autorytarnego rządu. Wiem, że Cowley to nie łożo usłane różami, ale Croucher to tylko miejscowy unikat. Jeśli jego też przetrwamy,

może będzie nam lepiej i poczujemy się spokojniejsi. Wtedy możemy poszukać sobie jakiegoś miejsca na stałe.

– Wiem, kochana. Mam wrażenie, że to okres przejściowy w naszym życiu. Problem w tym, że takich okresów mieliśmy już sporo, a czeka nas jeszcze więcej. Stabilizacji raczej nie uda się przywrócić. Widzę tylko drogę prowadzącą w dół.

– Nie musimy się mieszać w politykę. Przygotowywanie sprawozdań dla DGHW(A) tego nie wymaga. Wystarczy, że znajdziemy sobie jakieś spokojne i w miarę bezpieczne miejsce, prawda?

Roześmiał się i wstał z miejsca. Wyglądał na szczerze rozbawionego. Pogłaskał ją po włosach przytykanych siwymi i kasztanowymi pasmami i przysunął swoje krzesło bliżej.

– Kochana Marto, wciąż za tobą szaleję! Ludzie popełniają błąd sądząc, że polityka to coś, co się dzieje wyłącznie w parlamencie. Otóż nie, ona się rozgrywa w nas samych. Zjednoczony Rząd Narodowy rozpadł się i dzięki za to Bogu. Wprowadzenie stanu wyjątkowego sprawiło, że tryby maszyny jakoś się kręciły dalej. Teraz doszło do załamania. Miliony ludzi mówią sobie: „Nie mam dla kogo oszczędzać, nie mam synów ani córek. Po co więc mam pracować?” Rzucają robotę. Niektórzy być może chcieliby nadal chodzić do pracy, ale w takich warunkach przemysł się nie utrzyma. Wystarczy skutecznie zdeorganizować jedną część, a wszystkie tryby maszyny w końcu staną. W Wielkiej Brytanii fabryki stoją puste. Nie produkujemy nic na eksport. Myślisz, że Ameryka i kraje Wspólnoty Narodów będą nam wysyłać żywność za darmo? Na pewno nie, zwłaszcza, że wiele z nich ucierpiało jeszcze bardziej niż my! Wiem, że brakuje nam teraz jedzenia, ale wierz mi, za rok będziemy naprawdę głodować. Twoje bezpieczne miejsce przestanie istnieć, Marto. Prawdę mówiąc, bezpieczne będzie tylko jedno rozwiązanie.

– Wyjazd za granicę?

– Miałem na myśli pracę dla Crouchera.

Odwróciła się od niego, marszcząc brwi. Nie chciała znowu głośno mówić o braku zaufania do miejscowego dyktatora.

– Boli mnie głowa, Algi. Nie powinnam pić tego ginu. Chyba pójde się położyć.

Ujął jej nadgarstek.

– Posłuchaj mnie Marto. Wiem, że diabelnie trudno się ze mną teraz żyje i wiem, że nie masz ochoty ze mną spać, ale proszę cię, nie przestawaj mnie słuchać, bo zerwiemy ostatnią nić porozumienia. Możliwe, że jesteśmy ostatnim pokoleniem, ale życie nadal ma swoją wartość. Nie chcę, żebyśmy głodowali. Na jutro umówiłem się z Croucherem. Zaproponuję mu współpracę.

– Co?

– A dlaczego nie?

– Dlaczego nie? Ilu ludzi zginęło podczas masakry w centrum Oksfordu w zeszłym tygodniu? Ponad sześćdziesięciu, mam rację? Ciała zabitych leżały tam przez całą dobę, żeby

mieszkańcy mogli wszystkich dokładnie policzyć. A ty...

– Croucher reprezentuje prawo i porządek, Marto.

– Raczej szaleństwo i nieład!

– Nie. Komandor działa w imię prawa i porządku, jakich możemy oczekiwać w takich okolicznościach i w piekle, jakie sami sobie zgotowaliśmy. W okolicach Londynu władzę sprawuje rząd wojskowy. W Devon jeden z tamtejszych arystokratów zorganizował paternalistyczną społeczność. Już tylko tamci i Croucher się trzymają. Resztę kraju powoli ogarnia anarchia. Zastanawiałaś się nad tym, jak wygląda życie w środkowej Anglii i na północy kraju, w dawnych regionach przemysłowych? Jak sądzisz, co się tam stanie?

– Pewnie szybko sobie znajdą własnych Croucherów.

– Właśnie! A co zrobią ich Croucherowie? Prawdopodobnie natychmiast zorganizują marsz na Południe.

– Ryzykując zarażenie się cholera?

– Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że to ich powstrzyma! Naprawdę Marto liczę na to, że zaraza wykosi większość tamtejszej ludności. Jeśli ona nie zatrzyma Północy, to lepiej, żeby Croucher okazał się silny, bo jemu przypadnie to zadanie. Napijmy się jeszcze. Wznieśmy toast za Crouchera Wielkiego! Będziemy musieli bronić linii biegnącej przez Cotswolds od Cheltenham do Buckingham. Już jutro powinniśmy się zająć organizacją obrony. Dałoby to zajęcie oddziałom Crouchera i trzymałoby je z dala od cywilów, wśród których mogą roznosić cholera. Komandor ma zbyt wielu żołnierzy. Mężczyźni wolą się przyłączać do armii, niż pracować w fabrykach samochodów. Trzeba natychmiast wysłać ich na linię obrony. Powiem o tym Croucherowi, kiedy się z nim spotkam...

Gwałtownie wstała od stołu. Zmoczyła twarz zimną wodą z kranu. Nie wycierając jej, oparła się o framugę otwartego okna, patrząc na wieczorne słońce uwięzione między lichymi budynkami podmiejskiej ulicy.

– Croucher będzie za bardzo zajęty bronieniem się przed chuliganami z Londynu, by strzec północnej granicy – powiedziała.

Nie miała pojęcia, o czym oboje mówili. Ten świat bardzo różnił się od świata, w którym się urodziła. Nie przypominał już nawet tego, w którym się pobrali... Byli tacy młodzi i niewinni! Ich ślub wydawał się tak samo odległy w przestrzeni, jak i w czasie. Odbył się w Waszyngtonie. Idealizowali tamto miejsce, bo wtedy byli idealistami. Mówili o dochowaniu wierności i obiecywali, że pozostaną silni... Wszyscy chyba poszaleli. Algi miał rację mówiąc, że ściągnęli na siebie piekło. Przypomniała sobie jego słowa i spojrzała przez okno na ulicę. Timberlane rozpoczął kolejne przemówienie, do jakich miał teraz skłonności. Przestała go słuchać.

Nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że ludzie upodobali sobie bezsensowne monologi. Jej ojciec także wyrobił w sobie ten zwyczaj przez ostatnie lata. Niejasno analizowała tego przyczyny: powszechne zwątpienie i poczucie winy. W jej myślach rzadko

ustawał podobny monolog, choć uważała na to, co wypowiadała na głos. Wszyscy bez końca rozmawiali z wymagowanymi słuchaczami. Być może był to zawsze ten sam słuchacz.

Największą winę ponosiło pokolenie poprzedzające jej generację – ludzie, którzy byli już dorośli, gdy ona przyszła na świat – miliony osób pełnoletnich w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Oni wiedzieli wszystko o wojnie, zniszczeniu, energii jądrowej, promieniowaniu i śmierci – znali to od podszewki. I nigdy się tego nie wyrzekli. Przypominali dzikich, którzy musieli przejść potworny obrzęd inicjacji. Tak, właśnie tak – obrzęd inicjacji. Może mieli nadzieję, że jeśli go przetrwają, staną się odważni i mądrzy. Niestety, rytuał nie przebiegł zgodnie z planem. Nie skończyło się na obrzezaniu. W tępych szale odcięto cały narząd. Choć rozpaczała i żałowała, potworność się dokonała; teraz mogli już tylko szarpać się ze swoim kalectwem, na przemian chwalać się nim lub je oplakując.

Otrząsnęła się z żalu. Odpędzając fale bólu głowy, zobaczyła jak zza rogu wyjeżdża wiatrowiec z namalowanym na boku żółtym „X” – znakiem Crouchera. Pojazd ruszył ulicą. Wiatrowce były produkowanymi w miejscowej fabryce poduszkowcami. Większe modele rodzinne zarekwirowała armia. Mężczyzna w mundurze wyciągał szyję poza bańkę, odczytując numery mijanych domów. Na wysokości mieszkania Timberlane’a maszyna się zatrzymała i opuściła na ziemię przy akompaniamencie cichnącego ryku silników.

Przeżona Marta zawołała męża do okna. W wehikule znajdowało się dwóch żołnierzy. Obaj mieli na sobie tuniki z żółtym znakiem „X”. Jeden z nich wysiadł i przeszedł na drugą stronę ulicy.

– Nie mamy się czego obawiać – powiedział Timberlane. W kieszeni wymacał mały automat 7,7, w który uzbroiło go DGHW(A). – Na wszelki wypadek zamknij się w kuchni, kochana. Siedź tam cicho.

– Jak sądzisz, czego oni chcą?

Rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Masz, weź ze sobą gin. – Algi uśmiechnął się do niej nerwowo i podał jej butelkę. Na nic więcej nie mieli czasu. Klepnął Martę w pośladek, popychając ją do kuchni. Pukanie powtórzyło się, zanim zdążył podejść do drzwi.

Za nimi stał kapral. Jego towarzysz wychylał się z bańki wiatrowca, pogwizdując i przesuwając dolną wargą po lufie strzelby.

– Timberlane? Algernon Timberlane? Jesteś potrzebny w koszarach.

Kapral był mężczyzną niewielkich rozmiarów, z ostro zaznaczoną linią szczęki i kręgami ciemnej skóry pod oczami. Mógł mieć najwyżej pięćdziesiąt kilka lat, niewiele, jak na czasy, w jakich przyszło im żyć. Miał na sobie czysty i wyprasowany mundur. Trzymał dłoń tuż obok rewolweru przy pasie.

– Komu jestem potrzebny? Właśnie miałem usiąść do kolacji.

– Jeśli to ty jesteś Timberlane, wzywa cię komandor Croucher. Lepiej szybko wskakuj do

wiatrowca. – Kapral miał wielki nos, który teraz ukradkiem potarł, oceniając Timberlane’a.

– Moje spotkanie z komandorem wyznaczono na jutro.

– Masz się z nim spotkać jeszcze dziś wieczorem, kolego. Nie chcę żadnych dyskusji.

Algi uznał, że nie ma sensu się sprzeciwiać. Właśnie miał zamknąć za sobą drzwi, gdy do pokoju zajrzała Marta. Zwróciła się bezpośrednio do strażnika.

– Nazywam się Marta Timberlane. Czy mnie także zabieracie?

Była atrakcyjną kobietą o krągłych kształtach i niezwyklej szczerości spojrzenia, dzięki której wydawała się młodsza. Kapral przyjrzał się jej z podziwem.

– Takich jak pani to już nie uświadczysz. Zapraszamy z mężem.

Timberlane próbował się sprzeciwić, ale Marta nakazała mu milczenie i ruszyła przodem. Przed wiatrowcem niecierpliwie odtrąciła rękę kaprała i sama wskoczyła do pojazdu. Mężczyzna instynktownie spojrzął na jej udo odsłonięte przy wsiadaniu. Zignorowała to.

Ruszyli niepotrzebnie wydłużoną trasą do wiktoriańskiego pseudozamku, w którym mieściła się kwatera główna wojsk Crouchera. Przez pierwszą część podróży Marta z przykrością myślała, że taka sytuacja bardziej pasowałaby do ostatniego stulecia – a dwudziesty wiek naprawdę był ostatnim – niespodziewane pukanie do drzwi i rozkazujący obcy w mundurze, który z nieznanego powodu dokądś cię zabiera. Kto wymyślił taki manewr? Dlaczego tak często go powtarzano? Może po tamtych potwornych wydarzeniach tak już musiało być – człowiek niezdolny do regeneracji mózgu mógł się jedynie powtarzać. Żałowała, że nie może żadnej z tych myśli wypowiedzieć głośno. Generalizowała w nieco pretensjonalny sposób, podobnie jak jej ojciec, a generalizowanie osiąga maksymalny efekt, gdy robi się to na głos. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Timberlane’a, aby umilkła. Widziała, jak bardzo był podekscytowany.

Dostrzegła w nim jednocześnie chłopca i starca.

Ach ci mężczyźni! – pomyślała. W nich tkwiła przyczyna choroby ludzkości. To oni wymyślali wszelkie wybiegi i manewry. Potrzebowali ich – oprawcy i ofiary jednakowo – nie mogli się bez nich obejść. Wróg czy przyjaciel, wszyscy jednoczyli się w tym sadomasochizmie przerastającym rozum kobiety i nie poddającym się jej uzdrawiającej mocy.

W chwili, gdy rozległo się napastliwe stukanie do drzwi, ich małe, zniechęcone mieszkanie stało się schronieniem; ciekący kuchenny kran i krople wody spływające do obtłuczonego zlewu zmieniły się w symbol domu, a porozrzucane kawałki układanki w oznakę wielkiej wolności intelektualnej. Zanim dołączyła do męża, szeptem wymówiła modlitwę za bezpieczny powrót do fragmentów plaży w Acapulco.

Teraz sunęli metr nad ziemią, a ona próbowała określić skład chemii napięcia zabarwiającego jej krew.

Miasto spało we wrześnieowym upale. Ale jego ociężały sen nie był spokojny. Ścieki wymiotowały starymi kartonami i gazetami. Jakiś kabriolet, przerobiony na napęd elektryczny, tkwił nosem w roztrzaskanym froncie sklepu. W otwartych oknach kiwali się

ludzie. Między ich rozchylone wargi wnikął ciężki blask słońca. Zapach miasta-pacjenta wskazywał na ciężki przypadek zakażenia krwi.

Już po chwili pewność, że po drodze zobaczą trupy potwierdziła się i to dwukrotnie. Mężczyzna i kobieta leżeli razem w dość nietypowych pozach na wypalonej trawie ronda St Clement's. Wokół ich ramion fruwało stado szpaków.

Timberlane objął Martę ramieniem i zaczął szeptać jej coś do ucha, tak jak w czasach, gdy była młodsza.

– Sytuacja musi się pogorszyć, zanim się poprawi – odezwał się kapral o nosie przypominającym dziób. Mówił do wszystkich i do nikogo. – Wiem tyle, że nie mam pojęcia co się stanie ze światem.

Ruch wiatrowca wzbijał w górę kurz, okrywając nim domy.

W koszarach przepłynęli przez główną bramę i wysiedli z pojazdu. Kapral poprowadził ich ku odległemu łukowi przejścia. Upał siał się grubą warstwą na centralnym placu. W końcu przedarli się przez skwar, weszli do budynku i korytarzem ruszyli ku chłodniejszym kwaterom. Ich przewodnik porozumiał się z innym mężczyzną, który wskazał drogę do dalszych pomieszczeń. Tam, na ławkach, czekała zbieranina zgrzanych i zmęczonych ludzi. Wielu nosiło maski przeciw cholerze.

Tkwili tam pół godziny, zanim zostali wezwani. W końcu zabrano ich do dużego pokoju umeblowanego w dość ciężkim stylu, wskazującym na dawną funkcję pomieszczenia. Niegdyś mieściła się tu oficerska mesa. Połowę powierzchni zajmował mahoniowy stół i trzy stoliki na kozłach. Przy nich siedzieli mężczyźni. Wielu trzymało przed sobą dokumenty i mapy. Tylko człowiek przy mahoniowym stole miał przed sobą jedynie notes. On jeden nie próżnował. Był to komandor Peter Croucher.

Sprawiał wrażenie pewnego siebie i surowego. Był korpulentny. Miał dużą i nieładną twarz, która nie zdradzała ani głupoty, ani brutalności. Fale rzadkich, siwych włosów zaczesywał do tyłu. Ubrany w schludny garnitur wyglądał na człowieka interesu. Mógł mieć najwyżej dziesięć lat więcej od Algiego; pięćdziesiąt trzy może cztery. Spojrzał na Timberlane'ów zmęczonym, ale taksującym wzrokiem.

Marta wiedziała, jaką cieszył się opinią. Ona i mąż słyszeli o nim, jeszcze zanim fale przemocy zmusiły ich do opuszczenia Londynu. W Oksfordzie produkowano głównie samochody i poduszkowce, przede wszystkim wiatrowce. Croucher kierował personelem największej fabryki. Zjednoczony Rząd Narodowy wyznaczył go na zastępcę dowódcy okręgu hrabstwa Oksford. Po upadku rządu, dowódca okręgu zginął w tajemniczych okolicznościach, a Croucher przejął władzę i zacieśnił kontrolę.

– Pani Timberlane, pani tu nie zapraszano – powiedział, nie ruszając się z miejsca.

– Wszędzie towarzyszę mężowi, komandorze.

– Nie, jeśli ja się na to nie zgadzam. Straż!

– Panie komandorze. – Kapral postąpił do przodu karykaturalnie musztrowym krokiem.



– Przekroczycie swoje kompetencje, przyprowadzając tutaj tę kobietę, kapralu Pitt. Macie natychmiast ją stąd wyprowadzić. Może poczekać na zewnątrz.

Marta zaczęła protestować. Timberlane uciszył ją i ucisnął jej dłoń, dając znak, by pozwoliła się odprowadzić. Croucher wstał i wyszedł zza stołu.

– Timberlane, jesteś jedynym przedstawicielem DGHW(A) na terytorium, na którym sprawuję władzę. Nie sądzę, że mam co do ciebie jakieś ukryte zamiary. Prawdę mówiąc, jest zupełnie odwrotnie. Chcę cię mieć po swojej stronie.

– Tak się stanie, jeśli będzie pan traktował moją żonę z szacunkiem.

Croucher gestem dał mu do zrozumienia, jak nisko sobie cenił takie uwagi.

– Czy możesz mi zaproponować coś, co przedstawiałoby dla mnie jakąś korzyść? – spytał. Zawili, pseudowyszukany sposób wysławiania się sprawiał, że komandor wydał się Siwobrodemu jeszcze groźniejszy.

– Jestem dobrze poinformowany, komandorze. Sądzę, że jeśli dysponuje pan wystarczającymi siłami, powinien pan bronić hrabstw Oksford i Gloucester przed środkową Anglią i Północą. Gdybym mógł otrzymać mapę...

Croucher podniósł dłoń.

– Posłuchaj, przyjacielu, lepiej od razu wskażę ci twoje miejsce. Powinieneś wiedzieć, że nie potrzebuję na wpuł wypieczonych intelektualnych wysiłków samowolnych mędrków twego pokroju. Widzisz tych ludzi przy stołach? Otóż nasza wspólna korzyść polega na tym, że myślą za mnie i w ten sposób korzystnie wykorzystują jedną z zalet, jaką jest posiadanie *terra firma* na terenie uniwersyteckiego miasta takiego jak Oksford. Bitwa akademików z mieszkańcami już dawno się rozegrała, Timberlane. Zapewne wiedziałbyś o tym, gdybyś nie plątał się tak długo po Londynie. Ja o tym postanowiłem i wprowadziłem to w życie. Rządzę całym Oksfordem dla korzyści jednostki i ogółu. Ci tutaj goście to śmietanka wszystkich uniwersytetów, sami wielcy intelektualiści. Widzisz tego kmiotka na końcu? Tego z trzęsącą się ręką i w pękniętych okularach? To profesor od wojny z Uniwersytetu Chichele, Harold Biggs. A tamten to Sir Maurice Rigg, jeden z wielkich ludzi historii, tak mi przynajmniej mówiono. A zatem uzmysłów sobie łaskawie, że pytam o DGHW(A), a nie o to, jak pokierowałbyś sprawami, gdybyś się znalazł na moim miejscu.

– Nie wątpię, że któryś z pana intelektualnych gości mógłby panu opowiedzieć o DGHW(A).

– Nie, nie mogą. Właśnie dlatego twoja obecność okazała się obowiązkowa. Widzisz, jedyne dane na temat DGHW(A) mówią, że to jakiś rodzaj wywiadu z kwaterą główną w Londynie. Londyńskie organizacje, z przyczyn oczywistych, wydają mi się obecnie szczególnie podejrzane. Jeśli nie chcesz zostać posądzony o szpiegostwo i tak dalej, może powinieneś rozstrzygnąć moje obawy, co do twoich zamiarów.

– Chyba źle pan zrozumiał moją sugestię, komandorze. Chcę przekazać panu informacje o DGHW(A). Nie jestem żadnym szpiegiem, choć przyprowadzono mnie tu jak więźnia.

Wcześniej złożyłem przez patrolowych prośbę o przyjęcie mnie jutro. Zamierzałem zaproponować panu pomoc na miarę moich możliwości.

– Nie jestem dentystą. Ze mną się nie umawia, tylko prosi się o audiencję. – Zastukał kłykciami w blat. – Kontestuję taką pozorowaną postawę! Proszę zmądrzeć stosownie do realności sytuacji. Mogę nakazać cię zastrzelić gdziekolwiek w moim obwodzie, jeśli stwierdzę, że jesteś niekonstruktywny.

Timberlane nic nie odpowiedział.

– W takim razie, proszę o szczegółową relację z tego, czym dokładnie jest DGHW(A) i jak działa – powiedział Croucher spokojniejszym tonem.

– To zwykła jednostka akademicka, komandorze. Choć ma większe poparcie niż inne uniwersyteckie przedsięwzięcia. Czy mógłbym wyjaśnić to panu na osobności? Sposób działania sekcji jest poufny.

Croucher spojrział na niego unosząc brwi, odwrócił się i popatrzył na znudzonych mężczyzn przy stolikach, po czym rzucił okiem na dwóch strażników.

– Nie sprzeciwiam się zmianie scenerii. Pracuję od wielu godzin.

Przenieśli się do sąsiedniego pokoju. Strażnicy przeszli razem z nimi. Choć pomieszczenie było małe i duszne, Timberlane z ulgą umknął pustym twarzom mężczyzn za stołami. Croucher skinął na jednego z żołnierzy, by otworzył okno.

– Co tak naprawdę oznacza ta „poufność działania”? – spytał.

– Moja praca polega na dokumentowaniu – odparł Timberlane. – Jak pan wie, Wypadek miał miejsce w 1981 roku i doprowadził do bezpłodności człowieka oraz wielu ssaków wyższych. Amerykanie jako pierwsi zdali sobie sprawę ze znaczenia tego, co się stało. W latach dziewięćdziesiątych rozmaite fundacje wspólnie założyły w Waszyngtonie DGHW. Postanowiono wówczas, że z uwagi na bezprecedensowe warunki globalne, powstanie specjalna grupa informacyjna. Jej członkowie mieli otrzymać wyposażenie wystarczające na siedemdziesiąt pięć lat pracy i mieli działać bez względu na to, czy człowiek w tym czasie odzyska zdolność prokreacji, czy okaże się to niemożliwe, w wyniku czego nasz gatunek wyginie. Członków werbowano z całego świata i szkolono ich w obiektywnym przedstawianiu agonii ich własnych krajów oraz w rejestracji jej przejawów. Grupie nadano nazwę Dokumentatorów Globalnej Historii Współczesnej. Litera „A” w nawiasie oznacza, że jestem jednym z przedstawicieli organizacji w oddziale angielskim. Przystąpiłem do niej wcześniej i przeszedłem szkolenie w Waszyngtonie w 2001 roku. W tamtym okresie przyjmowano jak najbardziej pesymistyczne założenia na przyszłość. Dzięki realistycznemu planowaniu nadal możemy działać w pojedynkę, nawet w sytuacji, gdy zerwane zostały kontakty międzynarodowe i wewnątrzpaństwowe.

– Bo tak się właśnie stało. Prezydenta wykluczyła z gry banda kanciarzy. Stany Zjednoczone ogarnęła anarchia. Wiedziałeś o tym?

– W Wielkiej Brytanii jest podobnie.

– Niezupełnie. Tutaj nie ma anarchii. Nie znamy nawet znaczenia tego słowa. Doskonale wiem, jak utrzymać porządek, o tym możesz być przekonany. Mimo zarazy nie mamy nieporządku, a brytyjska praworządność jest zawsze górą.

– Cholera dopiero zaczyna ogarniać kraj, komandorze. A masowe egzekucje nie są przejawem porządku i prawa.

– Do diabła z przejawami! – zachnął się rozszluszczony Croucher. – Jutro zginą wszyscy w Szpitalu Churchilla. Nie wątpię, że o tym też będziesz krzyczał. Nie rozumiesz, że należy wykorzenić mylnie błędne mniemania? Nie jestem żądnym mord. Pragnę jedynie porządku.

– Na pewno czytał pan dość rozpraw historycznych, aby wiedzieć, jak pusto brzmią te słowa.

– Ale to prawda! Chaos i wojna domowa mnie odstręczają! To co słyszę o DGHW(A) potwierdza moje wcześniejsze informacje: Nie kłamiesz. Więc...

– Dlaczego miałbym kłamać? Jeśli jest pan dobroczyńcą, za jakiego się pan podaje, nie muszę się pana obawiać.

– Bo gdybym był szaleńcem, za jakiego mnie bierzesz, moim głównym celem byłoby usunięcie wszelkich obiektywnych obserwatorów mojego reżimu. Otóż prawdą jest odwrotność. Wizualizuję moje zadanie jako utrzymanie porządku. W konsekwencji, mogę wykorzystać twoje przygotowanie. Chcę byś tu pozostał i wszystko rejestrował. Twoje świadectwo zrehabilituje moje imię i uzasadni metody, do jakich jestem zmuszony się uciekać.

– Zrehabilituje pana w czyich oczach? Potomności? Potomności nie ma. Jak pan wie, wyginęła jeszcze w fazie plemników.

Obaj pocili się obficie. Stojący za nimi strażnik zaszurał nogami. Croucher wyciągnął z kieszeni pudełko miętówek i wsunął jedną do ust.

– Jak długo zamierzasz wykonywać zadanie powierzone ci przez DGHW(A), Timberlane?

– Dopóki nie umrę lub nie zginę.

– I cały czas masz zamiar nagrywać?

– Nagrywać i filmować.

– Dla potomności?

Na moment zapadła cisza.

– No dobrze – odezwał się Timberlane po chwili. – Obaj uważamy, że wiemy co trzeba robić. Ja jednak nie muszę zabić wszystkich biedaków w Szpitalu Churchilla.

Croucher rozgniół miętówkę zębami. Zapadnięte w brzydkiej twarzy oczy wpatrywały się w podłogę. Nie podniósł ich, nawet gdy się odezwał.

– Oto konkretna informacja, którą powinienes zarejestrować. Przez ostatnie dziesięć lat w Churchillu prowadzono jeden, wyłącznie jeden rodzaj badań. Wśród tamtejszych lekarzy i personelu są eksperci w dziedzinie biochemii. Ich planem i dążeniem jest przedłużenie

ludzkiego życia. Nie poświęcają czasu wyłącznie studiowaniu ger... – jak to się nazywa – geriatry. Szukają także leku czy hormonu; nie jestem specjalistą w medycynie i nie rozróżniam jednego od drugiego, ale wiem, że szukają metody umożliwienia ludziom takim jak ja i ty dożycia dwustu, a może i dwóch tysięcy lat. Bezsensowne bzdury! Marnują taką instytucję w pogoni za duchami! Nie mogę pozwolić, aby cały szpital poszedł na marne, chcę go użyć do bardziej produktywnych celów.

– Rząd dotował klinikę?

– Tak. Skorumpowani politycy z Westminsteru próbowali odkryć eliksir życia i nieśmiertelności, chcąc przedłużyć je dla własnych korzyści osobistych. Takim nonsensem nie będziemy się przejmować. Życie jest za krótkie.

Spojrzeni po sobie.

– Przyjmę pana propozycję – powiedział Timberlane – choć nie rozumiem, jak mógłbym się panu przysłużyć. Zarejestruję pana poczynania w Szpitalu Churchilla. Chciałbym też otrzymać dokumenty potwierdzające, że to, co pan mówi o studiach nad długowiecznością, jest prawdą.

– Dokumenty! Mówisz jak jeden z tych głupich przemądrzałych profesorów, co siedzą w pokoju obok. Szanuję naukę, ale nie drobiazgowość, proszę to zapamiętać. Ewakuuję całą tę bandę oszustów ze szpitala razem z ich pokreconymi pomysłami. Nie wierzę w przeszłość, wierzę w przyszłość.

Timberlane uznał to za przyznanie się do szaleństwa.

– Ale przecież przyszłości nie ma. Zabiliśmy ją na dobre w przeszłości.

Croucher rozwinął kolejną miętówkę. Jego grube wargi wessały cukierek z dłoni.

– Przyjdź jutro, a pokażę ci przyszłość. Bezpłodność nie była zupełna. Niewielka liczba dzieci rodziła się i nadal się rodzi w różnych zakamarkach świata – nawet w Anglii. Większość z nich jest ułomna, a nawet potworna poza wszelkim pojęciem.

– Wiem o tym. Pamięta pan Korpus Infantop działający w latach wojny? Był to brytyjski odpowiednik amerykańskiego programu wyłapywania dzieci. Uczestniczyłem w nim. Wiem wszystko o małych potworkach. Uważam, że najrozsądniej byłoby uśmiercać je zaraz po narodzinach.

– Pewien procent tych, które przychodzą na świat w naszej okolicy, przeżywa. Taka już jest matczyzna miłość. – Croucher odwrócił się do strażników, którzy szeptali coś za jego plecami. Z irytacją nakazał im milczeć. Dopiero potem wrócił do rozmowy. – Zbieram wszystkie te stworzenia, bez względu na to, jak wyglądają. Niektóre nie mają kończyn. Innym brak inteligencji i są niewymownie głupie. Czasami rodzą się wywrócone na lewą stronę i stopniowo umierają. Ale mamy jednego chłopca, który nadal żyje, choć cały jego układ trawienny – żołądek, jelita i odbył – znajduje się poza organizmem w czymś, co przypomina worek. Wygląda to makabrycznie. Och, mamy wszelkie półludzkie istoty. Zostaną one zamknięte w Szpitalu Churchilla i tam będą nadzorowane. To one są przyszłością. – Gdy

Timberlane się nie odezwał, Croucher dodał – Przyznaję, że to potworna przyszłość, ale możliwe, że jedyna. Musimy działać z przekonaniem, że kiedy te stwory osiągną dojrzałość, wydadzą na świat normalne dzieci. Zamierzamy je zatrzymać i doprowadzić do rozmnażania. Możesz być pewien, że lepszy jest świat zamieszkały przez dziwolągi niż martwy.

Croucher spojrział na Timberlane'a wyzywająco, tak jakby czekał, aż rozmówca zaprzeczy.

– Stawię się u pana rano – powiedział Algi. – Nie będzie mnie pan w żaden sposób cenzurował?

– Dla bezpieczeństwa będzie ci towarzyszył strażnik. Kapral Pitt, którego już poznaliście, został powiadomiony szczegółowo o zadaniu. Nie chcę, żeby wasze raporty wpadły we wrogie ręce.

– To wszystko?

– Nie. Muszę także twoje ręce traktować jako wrogie. Dlatego dopóki nie dowiedziesz, że jest inaczej, twoja żona zostanie w koszarach jako gwarancja twojej dobrej woli. Ciebie też tu zakwaterujemy. Przekonasz się, że jest tu znacznie wygodniej niż w waszym mieszkaniu. Wasze rzeczy właśnie są transportowane z poprzedniego lokalu.

– Widzę, że jesteś dyktatorem, tak jak inni przed tobą!

– Uważaj. Nie znoszę upartych! Wkrótce poznasz mnie z innej strony – lepiej, żeby tak było! Chcę cię mieć jako moje sumienie. Niech ci się to jasno i wyraźnie wryje w pamięć. Jak widziałeś, otoczyłem się inteligencją. Niestety, oni tylko powierzchownie robią to, co im każe – przynajmniej w mojej obecności. Tacy pomagierzy napychają mnie wstrętem! Nie chcę tego między nami. Masz robić to, do czego jesteś przeszkolony. A niech to diabli, po co ja się w ogóle tobą przejmuję? Mam mnóstwo innych zmartwień. Musisz robić, co mówię.

– Jeśli mam działać niezależnie, muszę zachować niezależność.

– Proszę mi tu nie intelektualizować! Ma być tak, jak ja chcę. Jak mówię, że dzisiaj tu zostajecie, to jest rozkaz. Przemyśl naszą rozmowę, pogadaj z żoną. Od razu widać, że jest utarta. Pamiętaj, Timberlane, ja wam proponuję bezpieczeństwo.

– W tym pełnym zarazy forcie?

– Poślę po was rano. Straż, proszę zabrać stąd tego mężczyznę. Oddać go pod opiekę kaprala Pitta.

Kiedy żołnierze podeszli do Algiego, aby go wyprowadzić, Croucher zakaszlał w chustkę i otarł ręką czoło.

– Jeszcze jedno na podsumowanie, Timberlane – powiedział. – Mam nadzieję, że zrodzi się między nami przyjaźń, o ile to możliwe. Ale jeśli wykoncypujesz ucieczkę, to wiedz lepiej, że od jutra w okręgu mojej jurysdykcji zaczynają obowiązywać nowe ograniczenia. Za wszelką cenę zduszę zarzę. Każdy, kto w przyszłości spróbuje opuścić Oksford, zostanie bez pytania zastrzelony. O świcie żołnierze wzniosły wokół miasta zapory. W porządku straż, usunąć go. I wyekspediować mi tu sekretarkę i dzbanek z herbatą. Natychmiast.

Koszarową kwaterą Timberlane'ów okazało się jedno duże pomieszczenie. Znajdowała się w nim umywalka, palnik gazowy i dwie wojskowe prycze z kocami. Ich rzeczy przywiozła partiami ciężarówka. Część przedmiotów zarekwirowano i zwracano je właścicielom po kolei tak długo, że w końcu mieli dość echa kroków wojskowych butów na korytarzu.

Na krześle w drzwiach siedział zniedołężniały strażnik, zaciskając w palcach lekki pistolet maszynowy. Przyglądał im się ze skamieniałą ciekawością znudzonego człowieka.

Marta położyła się na jednej z prycz. Czoło przykryła wilgotnym ręcznikiem. Timberlane dokładnie zrelacjonował jej przebieg rozmowy z Croucherem. Przez jakiś czas oboje milczeli. Algi siedział na łóżku z głową ciężko opartą na łokciu. Powoli zapadał w stan przypominający letarg.

– No tak. Mamy mniej więcej to, czego chcieliśmy – powiedziała Marta. – Będziemy się zaharowywać dla Crouchera. Na ile można mu ufać?

– Przypuszczam, że takich pytań się nie zadaje. Możemy mu ufać na tyle, na ile pozwalają nam na to okoliczności. Chyba nie dotarło do niego wszystko, o czym mówiłem – tak jakby w myślach przez cały czas roztrząsał inny problem. Możliwe, że jego umysł zaprzętała wizja świata zamieszkanego przez monstra. Pewnie musi mieć kogoś, kim mógłby rządzić, nawet jeśli ma to być jedynie... zbiorowisko anomalii.

Jego żona myślami raz jeszcze wróciła do punktu, w jakim znalazła się wcześniej tego dnia.

– Każdy ma obsesję Wypadku, nawet jeśli nie okazuje tego wprost. Wszystkim okropnie dokucza poczucie winy. Może trapi ono także Crouchera. Musi żyć z wizją siebie rządzącego ginącym światem kalek i zdeformowanych stworzeń.

– Mimo to ma większe poczucie rzeczywistości, niż by wynikało z takiego rozumowania.

– A jakie poczucie rzeczywistości można mieć w obecnych czasach?

– Jedynie chwilowe, o czym stale przypomina nam cholera, ale...

– Nasze społeczeństwo i w ogóle cała biosfera już od czterdziestu lat są chore. Jak jednostka może pozostać zdrowa w takim otoczeniu? Pewnie wszyscy jesteśmy bardziej szaleni, niż nam się wydaje.

Timberlane'owi nie spodobał się ton głosu żony. Podeszedł do niej i usiadł na brzegu jej pryczy.

– Powinniśmy się skupić na Croucherze – powiedział stanowczo. – Współpraca z nim odpowiadałaby strategii DGHW. Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego w takich czasach chce mieć багаż w postaci kogoś takiego jak ja.

– Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód. Nie chodzi mu o ciebie, tylko o twoją furgonetkę.

Algi ścisnął jej dłoń.

– Możliwe. Może sądzi, że skoro przyjechaliśmy z Londynu, zarejestrowałem informacje,

z których mógłby skorzystać. Wszystko możliwe. Londyn to obecnie najlepiej zorganizowany wróg. Ciekawe, jak długo ludzie komandora zostawią furgonetkę na miejscu?

Wóz DGHW był bardzo cenny. Kiedy załamały się państwowe rządy – tak jak przewidziała fundacja w Waszyngtonie – furgonetki stały się małymi ośrodkami DGHW. W każdej znajdował się sprzęt do rejestracji i niezbędne zapasy. Wozy były w pełni pancerne. W ciągu godziny dało się przerobić je na terenowe. Napędzał je niedawno udoskonalony system akumulatorów, ale w razie konieczności działały też na benzynę lub jakikolwiek jej substytut. W aucie zastosowano mnóstwo nowoczesnych rozwiązań technologicznych. Egzemplarz Timberlane'a, został w garażu pod ich mieszkaniem przy Iffley Road.

– Nadal mam kluczyki – powiedział Algi – a wóz jest zabezpieczony. Nie pytali mnie o niego.

Marta leżała z zamkniętymi oczami. Słyszała, co mówił, ale była zbyt zmęczona, żeby zareagować.

– Stąd możemy obserwować współczesną historię – usłyszała. – DGHW nie przewidziało tylko tego, że wozy mogą się stać atrakcją dla tych, którzy tę historię tworzą. Nie możemy pozwolić, aby ciężarówka wpadła w niepowołane ręce.

– Przede wszystkim musimy myśleć o wozie – dodał po minucie ciszy.

W nagłym przyływie furii Marta usiadła na łóżku.

– Do diabła z tą przeklętą furgonetką – powiedziała. – A ja to co?

Spała niespokojnie. Noc w koszarach była duszna. Ciszę przerywały odgłosy wojskowych butów maszerujących po placu defiladowym, krzyki, bzyzące w pobliżu komary albo szum wiatrowców wracających do bazy. Za każdym razem, gdy zmieniała pozycję, jej prycza wydawała odgłosy przypominające burczenie pustego żołądka.

W jej wyobraźni noc zmieniła się w najeżoną szpilkami poduszkę. Niemal mogła dotknąć jej dłonią – cieplej, pasującej do wilgotnego wnętrza jej dłoni. Wbijały się w nią dźwięki wojującej ludzkości. Każda szpilka, prócz poduszki przekłuwała także jej skórę. Nad ranem odgłosy stały się rzadsze, ale nikt nie opróżnił z upału naczynia placu na zewnątrz. Potem z innej kwatery dobiegło słabe dzwonienie, długi i nieprzerwany dźwięk budzika. W oddali zapiał kur. Usłyszała, jak bije zegar na wieży. Może kolegium Magdalen? Pięć uderzeń. Ptaki wrzaskliwie kłóciły się o świt. Stopniowo hałas bazy wojskowej zagłuszył inne odgłosy. Szczęk wiader i żelaznych chochli w kuchni ogłaszał, że rozpoczęto przygotowania do śniadania. Marta zasnęła, odpłynęła na fali desperacji.

Zapadła w głęboki, niosący odnowę sen.

Kiedy się obudziła, Timberlane siedział na brzegu swojej pryczy, szary i nieogolony. Do pokoju wszedł strażnik, niosąc tacę ze śniadaniem, postawił ją i wyszedł.

– Jak się czujesz, kochana?

– Rano jest lepiej, Algi. Ale w nocy strasznie hałasowali.

– Obawiam się, że wielu zabrano na noszach – powiedział, wyglądając przez okno. – Jesteśmy w jednym z ośrodków zarazy. Zagwarantuję Croucherowi lojalność, jeśli pozwoli nam mieszkać gdzie indziej.

Marta podeszła do męża i położyła dłonie na jego klujących policzkach.

– Podjąłeś decyzję?

– Tak. Wczoraj wieczorem. Zgodziliśmy się pracować dla DGHW(A). Naszym zadaniem jest rejestrowanie historii, a historia tworzy się teraz właśnie tu. Sądzę, że musimy zaufać Croucherowi. Dlatego zostaniemy w Cowley, żeby z nim współpracować.

– Wiesz, że nie kwestionuję twoich decyzji, ale czy możemy zaufać człowiekowi o jego pozycji?

– Wiemy przynajmniej, że człowiek o jego pozycji nie ma powodu, aby nas z miejsca zastrzelić.

– Może kobieta widzi te sprawy inaczej. DGHW nie jest ważniejsze niż nasze bezpieczeństwo.

– Popatrz na to z innej strony, Marto. Nie same obowiązki wzięliśmy na siebie w Waszyngtonie. Przyjęliśmy też sposób myślenia, który ma sens, gdy większość dążeń człowieka go traci. Może właśnie dlatego przetrwaliśmy w Londynie jako para, podczas gdy wokół nas wszystkie związki się rozpadały. Łączy nas misja; musimy jej służyć, jeśli chcemy, by ona służyła nam.

– Gdy tak to przedstawiasz, brzmi to sensownie. Ale nie dajmy się złapać w pułapkę stawiania idei przed człowiekiem, dobrze?

Oboje zajęli się śniadaniem. Przypominało wojskowe racje żywnościowe. Herbaty dostali niewiele, do picia podano głównie rozcieńczone piwo, a do jedzenia wszechobecne witaminy, które, odkąd wyginęły domowe zwierzęta, stały się podstawą żywienia całej nacji, pełnoziarnisty chleb i kilka filetów brązowej, nierozpoznawalnej ryby. Wieloryby i foki niemal zupełnie znikły z mórz i oceanów, a dziwne skutki promieniowania stymulowały rozwój planktonu i maleńkich skorupiaków. W wyniku tego ryby mnożyły się na potęgę. Wielu farmerów z terenów nadmorskich musiało szukać ratunku w owocach morza, gdy wyginęły im wszystkie zwierzęta. Dlatego na popękanych skorupach kontynentów świata nadal nie brakowało ryb.

– Ten kapral Pitt, który pełni rolę naszego więziennego strażnika i ochroniarza jednocześnie, jest całkiem miły – powiedziała Marta, kiedy zaczęli jeść. – Jeśli ktoś musi nas pilnować przez cały czas, może mógłby to być on. Spytaj Crouchera, kiedy się z nim spotkasz.

Właśnie łykali witaminy, popijając je resztką piwa, kiedy do kwatery wszedł Pitt z jeszcze jednym strażnikiem. Wczorajszy kapral nosił na pagonach insygnia kapitana.

– Wygląda na to, że powinniśmy panu pogratulować szybkiego awansu – powiedziała Marta.



– Żarty są nie na miejscu – odparł Pitt ostro. – Tak się składa, że w naszej strefie brakuje dobrych ludzi.

– Nie zamierzałam z pana żartować. Sądząc po liczbie zajętych noszy na zewnątrz wnoszę, że ludzi macie coraz mniej.

– Nie wypada dowcipkować o zarazie.

– Moja żona starała się być uprzejma – powiedział Timberlane. – Proszę uważać, jak się pan do niej zwraca, bo będę musiał złożyć skargę.

– Jeśli ma pan jakieś skargi, proszę je kierować do mnie – stwierdził Pitt.

Timberlane'owie spojrzeli po sobie. Skromny kapral znikł bez śladu. Głos stojącego przed nimi mężczyzny brzmiał nerwowo. Kapitan wydawał się niezwykle napięty i sztywny. Marta podeszła do lusterka i usiadła przed nim. Na jej policzki wkradły się cienie! Tego dnia czuła się silniejsza, ale myśli o upale i trudnościach, jakie ich czekały, nie napawały jej optymizmem. W łędźwiach czuła tępy ból tak jakby jej jałowe jajniki protestowały przeciwko własnej martwocie. Ze swoich słoiczków i tubek mozolnie wyczarowała na twarzy życie i ciepło. Obawiała się, że jej naturalne oblicze zostało już na zawsze pozbawione tych cech.

Malując się, obserwowała Pitta w lustrze. Czy jego nerwowość wynikała tylko z nagłego awansu, czy też miała jakąś inną przyczynę?

– Za dziesięć minut wyruszamy wykonać pewne zadanie – oznajmił Algiemu. – Przygotujcie się. Udamy się do waszego dawnego mieszkania przy Iffley Road. Stamtąd zabierzemy wasz wóz rejestrujący i pojedziemy do szpitala Churchilla.

– Ale po co? Mam przecież spotkanie z komandorem Croucherem. Wczoraj nic mi o tym nie mówił.

– Mnie powiedział, że jest pan poinformowany. Mówił pan, że potrzebne są panu dowody na to, co się działo w szpitalu. Pojedziemy tam, by je zdobyć.

– Rozumiem. Ale moje spotkanie...

– Proszę się ze mną nie spierać. Mam swoje rozkazy i muszę je wykonać. A tak w ogóle, to tutaj nie ma spotkań, są tylko polecenia. Komandor jest zajęty.

– Ale mówił mi...

Kapitan Pitt dla efektu poklepał nowy rewolwer.

– Za dziesięć minut wyruszamy. Wróć po was. Oboje jedziecie ze mną po wóz. – Odwrócił się na pięcie i głośno odmaszerował. Drugi strażnik, mężczyzna o lekko obwisłej szczęce, ostentacyjnie zajął miejsce przy drzwiach.

– Co to ma znaczyć? – spytała Marta, podchodząc do męża. Objął ją w talii i z niepokojem zmarszczył czoło.

– Najwidoczniej Croucher zmienił zdanie. Możliwe, że wszystko jest w porządku. Rzeczywiście prosiłem o dokumenty ze Szpitala Churchilla, więc może stara się w ten sposób pokazać, że zamierza z nami współpracować.

– Ale Pitt zachowuje się zupełnie inaczej. Wczoraj wieczorem opowiadał mi o swojej

żonie i o tym, jak zmuszono go do udziału w tej masakrze w centrum Oksfordu...

– Może awans uderzył mu do głowy...

– Och, te wątpliwości, Algi, wszystko jest takie... Nie ma nic pewnego, nikt nie wie, co się stanie następnego dnia... Może chodzi im tylko o furgonetkę.

Stała z głową opartą o jego pierś. Otoczył ją ramionami. Żadne nie odezwało się ani słowem do powrotu Pitta. Gdy ich wezwał, wyszli na plac i ruszyli za świeżo upieczonym kapitanem. Orszak zamykał strażnik z półotwartą gębą.

Wsiedli do wiatrowca. Pitt zajął miejsce przy sterach. Silnik zakaszłał i zaskoczył. Powoli ruszyli przez plac defiladowy. W bramie pozdrowili wartowników.

Nowy dzień nie dodał urody Oksfordowi. Rząd domów przy Hollow Way płonął martwo. Wydawało się, że nawet słaby podmuch wiatru ugasiłby taki płomień. Nad całą okolicą wisiał dym. Nieopodal dawnej fabryki samochodów wojsko w dość niezorganizowany sposób prowadziło jakąś akcję. Dobiegł ich odgłos wystrzału. Wzdłuż Cowley Road, długiej, zaśmieconej ulicy biegnącej ku prastarym wieżom oksfordzkich kolegiów, ciągnęły się rzędy sklepów z zasłoniętymi albo potrzaskanymi witrynami. Odpadki zaścielały chodniki grubą warstwą. Przy nielicznych sklepikach stare kobiety stały w kolejkach. W milczeniu, zachowując odstęp, przesłaniały usta chustkami, choć upał stale rósł. Kurz wzbijany podmuchał wiatrowca opadał na ich zniszczone buty. Ignorowały to z pozorną godnością, jaka towarzyszy zwykle skrajnej nędzy.

Przez całą drogę twarz Pitta przypominała skorupę. Jego nos, niczym dziób jastrzębia, celował w przód. Nikt z całego towarzystwa się nie odzywał. Kiedy dotarli do mieszkania przy Iffley Road, kapitan niewprawnie posadził maszynę pośrodku ulicy. Marta z chęcią opuściła kabinę; wiatrowiec przepelniał stęchły odór mężczyzn.

W ciągu doby ich dom stał się obcym miejscem. Zapomniała już, jaki był z zewnątrz odrapany. W oknie ich dawnego pokoju siedział żołnierz. Wejście do garażu miał na linii ognia. Akurat wychylał się, krzycząc coś do obszarpanego starca w szortach i długim płaszczu przeciwdeszczowym. Stary stał w ścieku, ściskając garść gazet.

– *Gazeta Oksfordzka!* – zachrypiał. Gdy Timberlane ruszył ku niemu, by kupić egzemplarz, Pitt wykonał gest, jakby chciał go zatrzymać, po czym mruknął: „Czemu nie?” i się odwrócił. Tylko Marta to widziała.

Gazeta była jedną kartką papieru upstrzoną literówkami. Sporo miejsca poświęcono liderowi, który z radością obwieszczał powrót gazety, po przywróceniu prawa i porządku. Poza tym ogłaszano, że każdy, kto spróbuje opuścić granice miasta bez zezwolenia, zostanie zastrzelony; obwieszczano, że w Super Kinie codziennie odbędzie się jeden seans filmowy i nakazywano wszystkim mężczyznom poniżej sześćdziesiątego piątego roku życia zgłosić się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin do jednej z piętnastu szkół przekształconych w bazy wojskowe. Komandor przejął kontrolę nad gazetą.

– Ruszajmy, nie mamy na to całego dnia – powiedział kapitan Pitt.

Timberlane wsunął gazetę w kieszeń spodni, podszedł do drzwi garażu, otworzył je i wszedł do środka. Pitt nie odstępował Algiego nawet na krok, gdy ten przeciskał się wzdłuż boku ciężarówki i otwierał cyfrowy zamek w drzwiach. Marta obserwowała twarz kapitana. Co chwila zwilżał suche wargi.

Obaj mężczyźni wsiedli do wozu. Timberlane zdjął blokadę kolumny kierownicy i powoli wyjechał tyłem na ulicę. Pitt krzyknął do żołnierza w oknie, by zamknął mieszkanie i wrócił wiatrowcem do koszar. Marcie i żołnierzowi z wiecznie półotwartą gębą kazał wsiąść do furgonetki. Zajęli miejsca z tyłu. Pitt i jego podwładny przez cały czas trzymali w rękach rewolwery, opierając je na kolanach.

– Jedź w stronę Szpitala Churchilla – powiedział Pitt. – Tylko powoli. Nie ma pośpiechu.  
– Nerwowo odchrząknął. Na czoło wystąpił mu pot. Lewym kciukiem kapitan bezustannie pocierał lufę broni.

Timberlane przyjrzał mu się uważnie.

– Człowieku, ty jesteś chory. Lepiej wracaj do koszar i zgłoś się do lekarza.

Rewolwer się szarpnął.

– Pilnuj kierownicy. Nie rozmawiaj ze mną. – Pitt zakaszłał i ciężko przetarł dłonią twarz. Jedna z powiek zaczęła mu drżeć nerwowo. Kapitan spojrzał przez ramię na Martę.

– Ale naprawdę, nie sądzi pan...

– Zamknij się, kobieto!

Algi kurczowo zacisnęła dłonie na kierownicy. Wlekli się niewielką, pustą, boczną uliczką. Dwaj zakonnicy w czarnych habitach nieśli tędy kobietę. Z trudem dźwigali jej ciężar; lewa ręka ofiary ciągnęła się po chodniku. Gdy furgonetka się do nich zbliżyła, stanęli i ruszyli dopiero, gdy wóz ich minął. Martwa, pusta twarz kobiety patrzyła na Martę, gdy z warkotem silnika przetoczyli się obok. Pitt głośno przełknął ślinę.

Podniósł rewolwer, tak jakby nagle podjął decyzję. Gdy wycelował w Timberlane'a, Marta krzyknęła. Jej mąż gwałtownie nadepnął pedał hamulca. Wozem zakołysało, silnik zgasł i stanęli.

Zanim Algi ruszył się z miejsca, Pitt upuścił broń i ukrył twarz w dłoniach. Płakał i bredził, ale nie rozróżniali słów.

– Tylko spokojnie! Nie ruszać się! – odezwał się żołnierz z rozdziawionymi ustami. – Nie uciekać! Nie chcemy, żeby kogoś z nas zastrzelono.

Timberlane chwycił rewolwer kapitana. Gwałtownym gestem oderwał mu dłonie od twarzy. Na widok swojej broni, która zmieniła właściciela, Pitt otrzeźwiał.

– Zastrzel mnie, skoro musisz – myślisz, że mi zależy? No już, szybciej będziesz to miał za sobą. I tak mnie rozstrzelają, kiedy Croucher się dowie, że pozwoliłem wam uciec. Zastrzel nas wszystkich i z głowy!

– Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Kiedyś byłem listonoszem. Wypuść mnie! Nie strzelaj – poprosił strażnik z opadającą szczęką. Na kolanach nadal bezradnie trzymał rewolwer.

Zupełnie stracił głowę na widok załamanego dowódcy.

– Po co miałbym zastrzelić któregoś z was? – spytał Algi szorstko. – A co ważniejsze, po co wy mielibyście strzelać do mnie? Jakie miałeś rozkazy, Pitt?

– Oszczędziłem cię. Teraz ty oszczędź mnie. Jesteś dżentelmenem! Opuść rewolwer. Oddaj mi go. Zamknij go w schowku. – Kapitan powoli wracał do siebie. Nadal był zmieszany, ale odzyskiwał pewność siebie i nieufnie rozglądał się wokół. Timberlane trzymał broń wycelowaną prosto w jego pierś.

– Najpierw chciałbym usłyszeć wyjaśnienie.

– Croucher tak rozkazał. Wezwał mnie do mnie – to znaczy do siebie – dziś rano. Powiedział, że ten twój pojazd powinien należeć do niego. Twierdził, że jesteś tylko intelektualistycznym burzycielem i szpiegujesz, prawdopodobnie dla Londynu. Po uruchomieniu furgonetki miałem zastrzelić cię i twoją żonę. Potem obaj ze Studleyem mieliśmy się stawić w bazie razem z ciężarówką. Ale ja nie mogłem, naprawdę. Nie nadaję się do takich rzeczy. Miałem żonę i rodzinę – mam już dość tego zabijania – gdyby moja biedna Vi...

– Oszczędź nam kiepskich przedstawień. Muszę się chwilę zastanowić – przerwała mu Marta. Położyła dłoń na ramieniu męża. – Okazuje się, że nie mogliśmy ufać przyjacielowi Croucherowi.

– On nie mógł ufać nam. Ludzie o jego pozycji mogą zdradzać fundamentalny liberalizm, ale muszą usuwać niechciane elementy.

– Ściągnąłeś to powiedzenie od mego ojca. W porządku, Algi, skoro znów jesteśmy niechcianymi elementami, co proponujesz?

Ku jej zaskoczeniu, odwrócił się i pocałował ją. Coś go rozśmieszyło. Teraz on dowodził. Odebrał broń Studleyowi, który nawet nie próbował protestować. Wsunął ją do schowka.

– W takiej sytuacji nie mamy wyboru. Musimy opuścić Oksford. Powinniśmy chyba pojechać w stronę Devon. To najlepsze wyjście. Pitt, czy ty i Studley chcecie jechać z nami?

– Nigdy nie wydobędziecie się z Oksfordu ani z Cowley. Teren otoczono zaporami. W nocy zagrodzono wszystkie drogi wylotowe z miasta.

– Jeśli chcecie się do nas przyłączyć, musicie słuchać moich poleceń. To jak? Jedziecie z nami? Tak czy nie?

– Ale przecież mówię, że w nocy zablokowano drogi. Z miasta nie da się wyjechać. Nawet Croucherowi by się to nie udało – powiedział Pitt.

– Na pewno macie jakąś przepustkę albo pozwolenie na poruszanie się po mieście. Coś pokazywałeś wartownikom, kiedy opuszczaliśmy koszary.

Pitt wyciągnął przepustkę z kieszeni munduru i podał ją Timberlane'owi.

– Musisz też oddać mi swój mundur. Od tej chwili zostajesz zdegradowany do stopnia szeregowego. Przykro mi, ale tak naprawdę nie zasłużyłeś na awans, mam rację?

– Nie jestem mordercą, jeśli o to ci chodzi. – Pitt uspokoił się już. – Posłuchaj, mówię ci,

że wszyscy zginiemy, jeśli spróbujemy przejechać przez blokadę. Wszędzie pościągali te wielkie betonowe płyty. Zatrzymują wszystkie samochody i poduszki.

– Ściągaj mundur, potem pogadamy.

Dogonili ich zakonnicy. Przyjrzeni się pojazdowi, po czym z trudem wnieśli martwą kobietę do jednego z budynków.

Timberlane podał swoją kurtkę Marcie i zaczął ubierać mundur Pitta. Przegniłe szwy zatrzęszczały, gdy go wciągał.

– Na pewno nadal muszą dostarczać do miasta żywność, prawda? – odezwał się. – Żywność, amunicję i Bóg wie co tam jeszcze. Nie mów mi, że Croucher okazał się nie dość inteligentny i tego nie zorganizował. Pewnie łupi całą okolicę, żeby samemu mieć zapasy.

Nieoczekiwanie Studley pochylił się do przodu i postukał Timberlane'a w ramię.

– Zgadza się, sir. Dziś rano przyjeżdża konwój z rybami z Southampton. Słyszałem, jak sierżant Tucker z transportu mówił o tym, kiedy braliśmy wiatrowca.

– Doskonale! Będą musieli zdjąć blokadę, żeby przepuścić konwój. Kiedy tamci przejadą, my wyjedziemy. Z której strony mają nadjechać?

Kiedy powoli ruszyli w żarłocznym blasku słońca, z daleka dobiegł ich odgłos eksplozji. U wylotu ulicy dojrzeni chmurę dymu i domyślili się, że wysadzono most Donnington. Droga z miasta została odcięta. Nikt się nie odzywał. Pustka na ulicach była tak samo zakaźna jak cholera.

Przy Rose Hill oddalone od drogi bloki przypominały martwe, klifowe zbocza. Potworną nagość głównej arterii miasta urozmaicał jedynie ambulans wspinający się na nią z drogi dojazdowej. Jego niebieskie światło migotało. Wszystkie okna karetki zasłonięto kocami. Pojazd wjechał po trawiastym poboczu i przejechał przez ulicę zaledwie kilka metrów przed furgonetką DGHW(A). Ostatnim zrywem dotarł na pobocze po przeciwnej stronie i stanął. Kiedy przejeżdżali obok, dostrzegli kierowcę wspartego o kierownicę...

Leżąca nieco dalej dzielnica prywatnych domów wyglądała mniej martwo. W wielu ogródkach starzy mężczyźni i kobiety palili ogniska. Marta zastanawiała się, przed jakimi przesadami miał ich strzec ogień..

Kiedy dojechali do ronda, z punktu kontrolnego wyszli im na spotkanie żołnierze z bronią na ramieniu. Timberlane się nie zatrzymał. Wychylił się tylko przez okno i zamachał przepustką. Żołnierze kiwnęli, że może jechać.

– Daleko jeszcze? – spytał Pitta.

– Jesteśmy już prawie na miejscu. Musimy dotrzeć do blokady przy moście kolejowym Littlemore. Za nim kończy się teren miasta.

– Croucher ma długą granicę do obrony.

– Dlatego potrzebuje więcej ludzi. To on wpadł na świetny pomysł, żeby zagrodzić drogi. Dzięki temu nie mają tu wstępu obcy, a nasi nie mogą wyjechać. Komandor nie chce, żeby dezercerzy uciekli i zorganizowali wrogi obóz. To zrozumiałe, nie? Droga skręca tu w prawo,

w stronę mostu, jest też dojazdowa z prawej strony. Aha, i pub Marlborough na samym rogu!

– Dobra, róbcie co wam powiem. Jeśli się boicie, przypomnijcie sobie tamtą karetkę, którą minęliśmy. Wszystko w porządku, Marto? No to ruszamy!

Kiedy pokonali zakręt, Timberlane pochylił się nad kierownicą, wyciągając za okno prawą rękę. Pitt skulił się obok niego. Dwoje pozostałych położyło się na siedzeniach. Kierując uważnie, Timberlane poprowadził pojazd pijanym torem ku pubowi, o którym wspomniał Pitt. Pozwolił furgonetce wspiąć się na chodnik, przekręcił kierownicę i zwolnił sprzęgło, pozostawiając maszynę na biegu. Pojazd gwałtownie się zatrząsł i stanął. Przed sobą, w odległości zaledwie dwustu metrów, mieli most Littlemore.

– Dobrze, nie ruszajcie się z miejsc – nakazał Timberlane. – Miejmy nadzieję, że konwój z Southampton się nie spóźni. Z ilu wozów może się składać, Studley?

– Z czterech, pięciu, może z sześciu. Trudno powiedzieć. Różnie to bywa.

– W takim razie musimy tak wycelować, żeby przejechać za drugą ciężarówką.

Algi mówiąc, patrzył uważnie przed siebie. Tory kolejowe biegły między nasypami. Przed mostem droga zwężała się do dwóch pasów. Dalej nikła za wzniesieniem, ale na szczęście zaporę ustawiono po tej stronie mostu, tak że była widoczna z miejsca, w którym stali. Składała się z mnóstwa betonowych bloków, dwóch starych ciężarówek i drewnianych drągów. Niewielki drewniany budynek z boku zajęło wojsko; wyglądało na to, że trzymano tam karabin maszynowy. Na zewnątrz widzieli tylko jednego żołnierza. Stał oparty o drzwi i zasłaniając oczy przed słońcem, patrzył w ich stronę.

Obok blokady parkowała budowlana ciężarówka. Stojący na niej człowiek zrzucał drugiemu na dole cegły. Wyglądało na to, że umacniali zaporę. Nieprzyzwyczajeni do takiej roboty, robili to niewprawnie.

Mijały minuty. Okolica wyglądała nijako. Ten odcinek drogi biegł przez strefę przejściową na skraju miasta. Nawet jeśli chciała udawać ulicę z prawdziwego zdarzenia, bezlitosne słońce wytykało bezpodstawność tych pretensji. Choć pewnie nikt nie przyglądał się jej tak dokładnie, jak teraz Timberlane. Opieszale ruchy mężczyzn rozładowujących cegły przypominały uporczywie powracający sen. Do szoferki wozu DGHW(A) dostały się muchy i teraz bezcelowo krążyły wewnątrz. Ich bzyczenie przypomniało Marcie długie letnie dni w czasach, gdy była dziewczynką. Już wtedy szczęście zaczynała mącić świadomość – od której wkrótce nie mogła się uwolnić – że ją, jej rodziców, przyjaciół i w ogóle wszystkich ludzi spotkała wielka krzywda. Widziała, jak skutki tej klątwy zataczają coraz szersze kręgi, niczym piasek, który podczas pustynnej burzy wgryza się w niebo. Ze strachem patrzyła na przygarbione plecy męża, zatapiając się w potworny scenariusz wyobraźni, w którym ona umiera, naprawdę umiera poddając się rosnącej w siłę cholercze. Ta wizja ją przeraziła.

– Algi...

– Nadjeżdżają! Teraz uważajcie! Nie podnoś się Marto. Na pewno będą do nas strzelać, kiedy przejedziemy.

Uruchomił pojazd i kołysząc się zjechał na drogę. Pierwsza ciężarówka – duża, niegdyś służąca do przewozu mebli, z plandeką zupełnie oblepioną kurzem, wtoczyła się na wąski most z drugiej strony. Żeby ją przepuścić, żołnierz zbliżył się i odciągnął drewnianą część barykady. Z warkotem ruszyła naprzód przez wąską przerwę w blokadzie. Kiedy znalazła się bliżej furgonetki DGHW(A), na most wjechała druga ciężarówka – tym razem wojskowa, z porwaną plandeką.

Musieli dobrze zgrać wszystko w czasie. Powoli potoczyli się do przodu. Furgonetka musiała minąć drugą ciężarówkę konwoju jak najbliżej mostu. Timberlane mocniej nacisnął pedał gazu. Wiązy przy drodze, paskudne od kurzu, rozbijały słoneczne światło na czerwone i białe błyski na przedniej szybie. Przejechali obok pierwszej ciężarówki. Kierowca coś zawołał. Przyspieszyli jadąc ku drugiej – wojskowej. Właśnie wymijała betonowe bloki. Mężczyzna za kierownicą dostrzegł Timberlane'a, wykonał jakiś gest, przyspieszył i gwałtownie skręcił, kierując pojazd na pobocze. Wartownik ruszył ku nim biegiem, podnosząc strzelbę. Jego usta się poruszały, ale słowa ginęły w ryku silników. Algi jechał wprost na niego.

Przemknęli obok wojskowej ciężarówki nie zahaczając o nią, lecz wszyscy czworo instynktownie krzyknęli. Reflektorem po stronie kierowcy uderzyli w żołnierza, zanim ten zdążył uciec. Jego strzelbą wyleciała w powietrze. Mężczyzna niczym worek cementu opadł na jeden z betonowych bloków. Gdy przedzierali się przez zaporę, usłyszeli potworny pisk stali o beton. Prując do przodu przez most, zobaczyli trzecią ciężarówkę konwoju. Pojawiła się na wprost przed nimi.

W drewnianej wartowni, którą minęli, nagle obudził się do życia karabin maszynowy. Pociski uderzyły gradem w kratę z tyłu wozu. W środku rozległo się dzwonienie, jak wewnątrz stalowego bębna. Przednia szyba nadjeżdżającej ciężarówki roztrzaskała się; w starej plandece pojawiły się nowe rozdarcia. Z piskiem opon pojazd gwałtownie zjechał na bok. Kierowca otworzył drzwiczki, ale wcisnęło go z powrotem do szoferki, gdy ciężarówka przechyliła się w stronę pobocza. Podskakując i kiwając się, rozbiła barierkę i po nasypie stoczyła się w dół, ku torom kolejowym.

Timberlane gwałtownie skręcił w przeciwną stronę, aby uniknąć zderzenia. Zdołał wyminać ciężarówkę tylko dlatego, że spadła z nasypu. Szarpnęli do przodu. Przed sobą mieli wolną drogę. Nadal słyszeli warkot karabinu maszynowego, ale wzniesienie zasłoniło ich przed pociskami.

Gdyby Studley wtedy nie zemdłał, nie musieliby się zatrzymać na odpoczynek w opuszczonej wiosce Sparcot, gdzie zaczynali się zbierać uchodźcy. Może nawet dotarliby aż do Devon. Niestety, strażnik zaraził się cholerą. Niedługo potem przybył paranoik zwany Molem i zmienił osadę w dobrze strzeżony gród. Tydzień później, mnóstwo szans spłynęło wraz z ulewnymi deszczami. Ich przystanek w Sparcot trwał długich jedenaście lat.

Biegając myślami wstecz, Marta dziwiła się, jak nerwowe podniecenie towarzyszące ich pobytowi w Cowley, zabalsamowało tamte wydarzenia w jej pamięci i jak łatwo je teraz przywołała. Kolejne lata nie rysowały się tak wyraźnie, bo mąciły je nuda i monotonia. Śmierć Studleya; śmierć wielu innych z pierwszej grupy uchodźców; pojawienie się wielkiego Jima Mola, kłótnie i spory, jakie towarzyszyły przydzielaniu osadnikom opuszczonych domów; wieczne walki, swary o kobiety; koniec nadziei, dobrych obyczajów i szminki; to wszystko przypominało teraz nikłe znaki na ogromnym, ale wyblakłym gobelinie, do którego miała już nie wrócić.

Tylko jedno wydarzenie z tamtych dni (choć wtedy nie odczuwała tego tak bardzo, bo głębszą raną w jej myślach był brak dzieci!) ostrzej rysowało się w jej pamięci. Wiedziała, że nadal trapiło ono jej męża. Drugiej zimy w Sparcot, kiedy wszystkim głód odebrał rozumu, wymienili wóz DGHW(A) na wóz gnijącej ryby, pietruszki i na witaminy przywiezione przez jednookiego wędrownego handlarza. Razem z Algim targowali się całe popołudnie, a potem patrzyli, jak o zmierzchu obcy odjechał ich furgonetką. W mroku tamtej zimy ich nęcza sięgnęła samego dna.

Wielu mężczyzn się zastrzeliło. Nawet najmłodszy i najsprawniejszy odbierali sobie życie. Właśnie wtedy Ewa, kochanka Troutera, urodziła zupełnie normalne dziecko. Straciła rozum i uciekła. Miesiąc później ciała jej i maleństwa znaleziono w pobliskim lesie.

Tamtej potwornej zimy Marta i Siwobrody urządzali wykłady, niezupełnie za zgodą Mola. Mówili o historii, geografii, polityce i o tym, czego uczy życie. Tematy z konieczności czerpali z egzystencji, która z każdą chwilą była coraz bliżej końca, więc przedsięwzięcie zakończyło się niepowodzeniem. Do głodu i nędzy dołączyło coś znacznie gorszego: poczucie, że na świecie nie było już miejsca dla mądrości.

Ktoś nawet wymyślił na to specjalne określenie: „zaciemnienie mózgu”. Takie właśnie zaciemnienie dotknęło ludzi tamtej zimy z potworną siłą.

W styczniu drozdy przybyły do Sparcot z surową pieśnią z Norwegii. W lutym wiały zimne wiatry i codziennie padał śnieg. W marcu wróble się parzyły na popękanych i brudnych kopcach lodu. Dopiero kwiecień przyniósł cieplejsze powietrze.

Wtedy Charley Samuels ożenił się z Iris Ryde. On i Timberlane przed laty razem walczyli na wojnie. Obaj należeli do Korpusu Infantop. Dzień, w którym Charley pojawił się wśród pstrokato odzianych osadników w ich niewielkiej wiosce, był dobrym dniem. Kiedy się ożenił, razem z żoną zamieszkali w domu obok Marty i Algiego. Sześć lat później Iris zmarła na raka, który, tak jak bezpłodność, był skutkiem Wypadku.

To był zły czas. Stale się uginali przed łękami Mola, prawie nieświadomi narzucanej im woli. Ucieczka przypominała rekonwalescencję. Dopiero kiedy spojrzeli wstecz, po raz pierwszy zrozumieli, jak głęboko dotknęła ich choroba. Marta nie zapomniała, jak chętnie szli naturze na rękę, wspomagając niszczenie dróg i odcinając się od niebezpiecznego świata na zewnątrz. Pamiętała, z jakim niepokojem strzegli Sparcot, obawiając się dnia, kiedy siły



Crouchera opanują osadę.

Croucher nigdy nie dotarł do Sparcot. Zmarł na pandemię, która zabiła też wielu jego następców i zmieniła jego fortecę w kostnicę. Zanim choroba straciła na sile, wielkie organizacje podzieliły los wielkich zwierząt; żywopłoty rosły, zagajniki dźwignęły ramiona i stały się lasami; rzeki rozlały się, tworząc mokradła; a ssak o dużym mózgu z trudem dożywał swych dni w małych społecznościach.

## Rozdział trzeci – Rzeka: Swifford Fair

Na łodziach spływających w dół rzeki stale słyhać było pokasływania ludzi i owiec. Grupę osadników opuściła początkowa chęć pogoni za przygodą. Byli za starzy i za wiele widzieli zła, by dłużej poddawać się takim emocjom. Chłód i ponury krajobraz także skutecznie ostudziły entuzjazm. Brodata szronem roślinność, jak twarz pradawnego ducha, tworzyła element krajobrazu, który powstał i miał trwać, nie zapamiętując nawet śladu zabłąkanych podróżnych.

W ostrym, zimowym powietrzu zostawiali za sobą mgłę oddechów. Przodem płynęła duża łódź. Za nią Jeff Pitt popychał wiosłami swoją małą łódkę. Dwie spętane siecią owce leżały za jego tyłkiem w podartych portkach. Wolno posuwali się do przodu. Umiejętności wiosłarskie Pitta znacznie lepiej wypadły w przechwałkach niż w praktyce.

Na łodzi przeważnie wiosłowali Charley i Siwobrody. Marta siedziała przodem do nich przy sterze. Nadąsani Becky i Towin Thomas przycupnęli obok. Becky chciała zostać w gospodzie, dopóki nie skończy się trunek i zima, ale Siwobrody zdecydował inaczej. Reszta owiec leżała teraz między nimi na dnie łodzi.

Becky miała dość siedzącego przy niej beczynnio męża. Wcześniej kazała mu się przesiąść do Jeffa Pitta i pomóc w wiosłowaniu. Eksperyment się nie powiódł. Wspólnymi siłami niemal wywrócili łódkę, a Pitt bezustannie kłął. Teraz wiosłował sam, pogrążony w myślach.

Mijał sześćdziesiąty piąty rok jego egzystencji. W jego dziwnej twarzy o ostrych rysach wciąż najbardziej sterczał nos, choć stopniowa utrata zębów sprawiła, że zasuszony podbródek mocno wysunął się do przodu.

Były kapitan straży Crouchera po przyjeździe do Sparcot chętnie się rozstał z Siwobrodym i od tamtej pory żył samotnie. Wyraźnie nie cierpiał doli, do jakiej został zmuszony i choć nigdy nie przyznał tego wprost, zawsze miał minę człowieka, któremu od dawna towarzyszy gorycz. Tym niemniej, potrafił skuteczniej niż inni wyuczyć się kłusownictwa.

Teraz, mimo że dzielił los z resztą towarzystwa, nadal dało się wyczuć jego samolubne

usposobienie. Wiosłował odwrócony plecami do dużej łodzi i bacznie obserwował pomarszczoną wiatrem, zimową krainę, przez którą podróżowali. Był z nimi, ale postawą dawał do zrozumienia, że niekoniecznie był dla nich.

Płynęli między niskimi brzegami, które bicz mrozu pociął w płowo-białe bruzdy. Stale towarzyszył im trzask lodu rozdieranego dziobami łodzi. Na drugi dzień po opuszczeniu gospody, przy której znaleźli owce, w powietrzu poczuli zapach dymu, a w oddali ujrzeli nad rzeką jego ciężką chmurę. Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie lód był popękany. Na brzegu tlił się ogień. Siwobrody sięgnął po strzelbę, a Charley chwycił nóż. Marta uważnie obserwowała okolicę. Tovin i Becky schowali się pod pokład. Pitt wstał i coś pokazał.

– Mój Boże, gnomy! – wykrzyknął. – Widzę jednego!

Na brzegu niewielka biała postać tańczyła wokół ognia, wymachując rękami i nogami. Podśpiewywała sobie głosem, który brzmiał jak skrzywienie konaru. Kiedy przez nagie gałęzie zarośli dostrzegła łodzie, zamarła. Podeszła do brzegu, zakrywając dłońmi czarne owłosienie w kroku i zawołała coś do nich. Nie zrozumieli, co mówiła, ale nadal, jak zaczarowani, płynęli ku niej.

Zanim zbliżyli się do brzegu, postać zdążyła się ubrać i teraz bardziej przypominała człowieka. Za nią dojrzeli stodołę ze smołowanego drzewa, na wpół ukrytą za kępą jesionów. Nieznajomy mężczyzna podskakiwał nerwowo i pokazując na budynek, mówił coś do nich szybko.

Sądząc po wyglądzie, był dziarskim, choć trochę groteskowym osiemdziesięcioletkiem. Od jednego policzka, przez garb nosa, po drugi policzek biegł dziwny wzór czerwonych i fioletowych naczyń krwionośnych. Broda i kołtun na głowie łączyły się w jedną wielką pożogę włosów związanych pod szczęką i ponad ciemieniem, i ufarbowanych na głęboki pomarańcz. Starzec raz jeszcze zatańczył jak szkielec i pomachał do nich.

– Jesteś sam, człowieku? Możemy przybić tu do brzegu? – zawołał Siwobrody.

– On mi się nie podoba. Lepiej płynmy dalej – krzyknął Jeff Pitt, z trudem popychając łódkę wśród lodowych tafli. – Nie wiemy, czego możemy się po nim spodziewać.

Szkielec wrzasnął coś niezrozumiałego, odskakując do tyłu, gdy Siwobrody wyszedł na brzeg. Ścisnął w dłoniach sznury czerwonych i zielonych paciorków zawieszonych na szyi.

– Do-zkonały dzieńna gą-biel – powiedział.

– Aha, doskonały dzień na kąpiel! Człowieku, pływałeś dziś? Nie za zimno? Nie boisz się, że poranisz się o lód?

– Wrzy-ztko jedno. Dzodam bowia darz?

– On chyba nie rozumie mnie lepiej niż ja jego – powiedział Algi do towarzyszy. Cierpliwie rozszyfrowywał dziwny akcent szkieletu. Mężczyzna prawdopodobnie nazywał się Norsgrey i był wędrowcem. Razem z żoną, Litą, zatrzymał się w stodole, którą widzieli za jesionami. Zapraszał, by Siwobrody i reszta towarzystwa dołączyli do niego.

Owce i lisa Charleya uwiązano na powrozach. Podróźni zmusili zwierzęta, by

wyskoczyły na brzeg. Niemal natychmiast zaczęły przeżuwać ostre trawy. Ludzie wyciągnęli łodzie z wody i zabezpieczyli je. Chwilę stali, przeciągając się i próbując wygonić chłód i sztywność z członków. Potem ruszyli ku stodole. Z wysiłkiem poruszali nogami. Kiedy przywykli już do akcentu chudego mężczyzny, zaczęli lepiej rozumieć co do nich mówił, ale jego słowa nadal wydawały się zupełnie pozbawione sensu.

Norsgrey miał obsesję na punkcie borsuków.

Wierzył w magiczną moc tych zwierząt. Wyjaśnił przybyszom, że jego córka, teraz już niemal sześćdziesięciolatka, która uciekła do lasu („podczas gdy oni prze-gotowywali się do wyprawy by zadusić miasta człeka”) i tam poślubiła borsuka. W borach żyli teraz borsuczy mężczyźni – jej synowie, i borsucze kobiety – jej córki. Mieli czarno-białe twarze, całkiem ładne.

– Są tu gronostaje? – spytała Marta, przerywając mu z obawy, że zamierzał wygłosić dłuższy monolog.

Stary Norsgrey przystanął przy stodole i wskazał niższe gałęzie jednego z drzew.

– Jest tu teraz jeden taki, moja droga. Prze-patrzy na nas z góry. Siedzi w swoim grzesznym gniazdku, taki miłutki, że miłszego nie sposób sobie wyobrazić. Ale on nas nie ukrzywdzi, bo wie, że jestem spokrewniony z borsukami przez małżeństwo.

Wszyscy podnieśli wzrok, ale zobaczyli tylko bladoszare, zakończone ciemniejszymi pąkami gałązki jesionu strzelające w górę.

Wewnątrz stodoły, w półmroku, leżał prastary renifer. Jego cztery szerokie racice związane razem. Becky krzyknęła ze strachu, gdy zwierzę zwróciło ku nim stary, wysuszony pysk. Spłoszone ich wejściem kury rozpierzchły się z gładaniem.

– Nie róbcie za dużo hałasu – ostrzegł ich Norsgrey. – Lita już śpi i nie chcę, żeby kto ją obudził. Jak jej przeszkodzicie, to wyrzucę, ale jak będziecie cicho i podzielicie się kolacją, pozwolę wam tu zostać w cieple i wygodzie. Żadne głodne gronostaje was tu nie dostaną.

– Jaka przypadłość trapi twoją żonę? – spytał Towin. – Nie zostanę, jeśli jest tu choroba.

– Nie obrażaj mojej żony. W życiu na nic nie chorowała. Bądź cicho i się zachowuj.

– Pójdę i przyniosę z łodzi nasze rzeczy – powiedział Siwobrody.

Charley i jego lis razem z nim wrócili nad rzekę.

– Towin i Becky chętnie by zostali w tamtej gospodzie z trupem w kuchni – odezwał się Charley, kiedy obładowywali się bagażami. Mówił z zakłopotaniem, nie patrząc na Siwobrodego. Zagapił się na szary, chłodny krajobraz. – Nie chcieli płynąć dalej, ale ich przekonał. Chyba słusznie zrobiliśmy, co?

– Wiesz, że tak.

– Właśnie. No to chciałem cię jeszcze o jedną rzecz spytać. Jak daleko się wybieramy? Jakie masz plany? Co ci chodzi po głowie?

Siwobrody spojrzał na rzekę.

– Jesteś religijnym człowiekiem, Charley. Myślisz, że Bóg coś nam przeznaczył?

Charley zaśmiał się krótko.

– Zabrzmiałoby to lepiej, gdybyś sam wierzył w Boga. No ale przypuśćmy, że według mnie Bóg chciałby, żebyśmy tu osiedli. Co byś wtedy zrobił? Nie mam pojęcia, co zamierzasz.

– Jeszcze nie odpłynęliśmy dość daleko od Sparcot. Nie powinniśmy się zatrzymywać na dłużej. Mogą wysłać za nami ludzi i dogonić nas tutaj.

– Tak jak ja, wiesz, że to nonsens. Tak naprawdę, nie wiesz, dokąd zmierzasz ani po co, mam rację?

Siwobrody spojrział na szczerą twarz człowieka, którego znał od dawna.

– Z każdym dniem widzę cel coraz wyraźniej. Chcę dotrzeć do ujścia rzeki, do morza.

Charley pokiwał głową, podniósł sprzęt i powłócząc nogami, ruszył ku stodole. Izaak szedł przed nim. Siwobrody zrobił gest, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale zrezygnował. Uważał, że wyjaśnianie czegokolwiek nie ma sensu. Dla Towina i Becky ta podróż była po prostu kolejną udręką, dla niego sama w sobie stała się celem. Trud niósł przyjemność. Życie było przyjemne. Algi przypominał sobie niektóre jego chwile. Wiele tonęło we mgle, tak jak przeciwległy brzeg Tamizy. Pamiętał, że sporo wydarzeń niosło jedynie nędzę, strach i niepewność; ale potem, a nawet już w ich trakcie, ogarniało go uniesienie silniejsze od nędzy, strachu i niepewności razem wziętych. Otrzymał okruczeństwo wiary z innej epoki: *Cogito ergo sum*. Jego prawda była inna. Brzmiała: *Sentio ergo sum*. Czuję, więc jestem. Cieszył się tym niespokojnym, marnym, biednym życiem nie tylko dlatego, że miało większy sens od nie-życia. Marcie nie musiał tego wyjaśniać. Rozumiała. Czowała to samo co on.

Usłyszał muzykę.

Poczuł ukłucie niepokoju. Rozejrzył się wokół, przypominając sobie opowiadane przez Pitta i innych historie o gnomach i małych ludzikach. Muzyka grała cicho. Dopiero po chwili zrozumiał, że dobiegała z daleka. Czy to – niemal zapomniał jak się nazywał ten instrument – akordeon?

Zamyślony wrócił do stodoły i spytał o to Norsgreya. Opierając plecy o bok renifera, starzec spojrział bacznie spod gęstwiny pomarańczowych włosów.

– To pewnie ze Swifford Fair. Właśnie stamtąd wracam. Miałem tam do załatwienia kilka interesów. Z tamtejszego targu mam kury – wyjaśnił, ale pozostali jak zwykle ledwie rozumieli co powiedział.

– Jak daleko stąd do Swifford?

– Traktem dotrzecie tam szybciej niż rzeką. Będzie z milę, jak kruk poleciał. Dwie mile drogą. Pięć waszą rzeką. Kupię od was łódź. Dobrze zapłacę.

Nie zgodzili się, ale poczęstowali starca jedzeniem. Owca, którą zabili była smaczna. Zrobili z niej gulasz przyprawiony ziołami, które Norsgrey wyciągnął ze swego niewielkiego wozu. Mięso zwykle jadal w gulaszach, bo one najłagodniej obchodziły się ze starymi zębami i obolałymi dżiąsłami.

– Dlaczego twoja żona do nas nie dołączy? – spytał Towin. – Przeszkadzają jej obcy, czy co?

– Mówiłem już wam, że śpi. Za tamtą niebieską zasłoną. Zostawcie ją w spokoju, nic wam do niej.

Kąt pomieszczenia odgradzała niebieska kotara, z jednej strony zaczepiona o wóz, a z drugiej o gwóźdź w ścianie. W stodole zrobiło się tłoczno, bo o zmierzchu zabrali do środka owce. Te jednak nie zwykły sypiać w towarzystwie kur i starego renifera. Blask lamp ledwie sięgał krokwi, które dwa i pół wieku wcześniej skończyły żywot drzew. Teraz chroniły się w nich inne formy życia: larwy, żuki, pająki, poczwarki przypięte do belek jedwabnymi nićmi i pchły w gniazdach jaskółek, czekające aż ich właściciele jak zawsze powrócą na wiosnę. U tych maleńkich stworzeń minęło wiele generacji od czasu, gdy człowiek uknuł unicestwienie swego gatunku.

– Jak ci się zdaje, ile mam lat? – spytał Norsgrey, odwracając kolorowe oblicze w stronę Marty.

– Nie zastanawiałam się nad tym – odparła uprzejmie.

– Pewnie myślałaś, że z siedemdziesiąt, co?

– Naprawdę się nad tym nie zastanawiałam. Wolę nie myśleć o wieku; nie jest to mój ulubiony temat.

– To pomyśl o moim. I jak ci się zdaje, niewiele ponad siedemdziesiąt?

– Możliwe.

Norskrey wydał z siebie triumfalny okrzyk, po czym z niepokojem spojrział w stronę niebieskiej zasłony.

– W takim razie powiem ci, moja droga, że się pomyliłaś, oj, oj, bardzo się pomyliłaś. Powiedzcie ci, ile mam lat? Co? Na pewno nie uwierzysz.

– Ile? – spytał zaciekawiony Towin. – Według mnie osiemdziesiąt pięć. Założę się, że jesteś starszy ode mnie, a ja urodziłem się w 1945, w roku, kiedy zrzucono pierwszą bombę atomową. Ty na pewno jesteś sprzed czterdziestego piątego, kolego.

– Teraz już latom nie przypisuje się liczb – odparł Norsgrey z wielką pogardą i odwrócił się do Marty. – Nie uwierzysz w to, moja droga, ale zbliżam się do drugiej setki. Jestem już bardzo, bardzo blisko. Mogę nawet powiedzieć, że za tydzień są moje dwusetne urodziny.

Marta z ironią uniosła brwi.

– Nieźle wyglądasz jak na swój wiek – powiedziała.

– Niemożliwe, tak samo masz dwieście lat, jak i ja – wtrącił pogardliwie Towin.

– A właśnie że mam. Powiem więcej, będę na tym starym świecie jeszcze długo po tym, jak was pochowają.

Towin pochylił się do przodu i ze złością kopnął but starca. Norsgrey wyciągnął kij i sprawnie walnął Towina w goleń. Towin wyjąc, dźwignął się na kolana i zamachnął się pałąką, celując w ognistą czaszkę dziada. Charley zablokował cios w pół drogi.

– Daj spokój – powiedział surowo. – Niech sobie biedny stary żyje złudzeniami.

– To nie żadne złudzenia – odparł zirytowany Norsgrey. – Możecie spytać moją żonę, jak się obudzi.

Podczas rozmowy i przez całą kolację Pitt rzadko włączał się w rozmowę. Siedział zamknięty w sobie, tak jak często robił w Sparcot. Dopiero teraz się odezwał.

– Lepiej by było, gdybyście mnie posłuchali i zostali na rzece, zamiast stawać na noc w tym domu wariatów. Mieliście do wyboru cały świat, a musieliście się zatrzymać akurat tu!

– Możesz wyjść na zewnątrz, jeśli nie odpowiada ci towarzystwo – powiedział Norsgrey.

– Twój problem jest taki, że jesteś równie niewychowany, co głupi. Jedyna pociecha, że umrzesz! Żadne z was nic nie wie o świecie. Tkwiście w tym miejscu, o którym mi mówiliście, a tymczasem wszędzie dzieją się dziwne rzeczy, o jakich się wam nie śniło.

– Na przykład jakie? – spytał Charley.

– Widzicie te czerwone i zielone paciorki na mojej szyi? Dostałem je w Mockweagles. Jestem jednym z niewielu, którzy tam trafili. Zapłaciłem dwiema młodymi samicami renifera, a i tak wyszło za pół darmo. Trzeba tylko wracać co sto lat na odnowę, bo w przeciwnym razie któregoś ranka otworzysz oczy o świecie i – trach! – rozsypiesz się w proch i zostaną same gałki oczne.

– A co się z nimi stanie? – spytała Becky, patrząc na niego przez gęsty blask lampy.

Norsgrey się zaśmiał.

– Gałki oczne nigdy nie umierają. Nie wiedziałaś o tym, słodka paniusiu? Nigdy nie umierają. Widziałem, jak spoglądają nocą z zarośli. Mrugają do ciebie, przypominając, co się z tobą stanie, jeśli nie wrócisz do Mockweagles.

– A gdzie jest to Mockweagles? – spytał Siwobrody.

– Nie powinienem wam tego mówić. No ale teraz nie patrz na nas żadne gałki oczne, prawda? Naprawdę jest takie miejsce Mockweagles, tyle, że to tajemnica. Widzicie, ono jest w samym środku gąszczu. To zamek – a raczej coś, co bardziej przypomina drapacz chmur. Tyle że na dwudziestu dolnych piętrach nikt nie mieszka. Stoją puste. Trzeba iść od razu na samą górę, żeby ich znaleźć.

– Ich? Kogo?

– Ludzi, zwykłych ludzi. Tylko jeden ma coś jakby drugą głowę z zaklejonymi ustami. To mu wyrasta z samej szyi. Oni żyją wiecznie, bo są nieśmiertelni, sami rozumiecie. A ja jestem jak oni, bo nigdy nie umrę. Tylko trzeba wracać tam raz na sto lat. Właśnie tam byłem po drodze na południe.

– Twierdzisz, że odwiedziłeś to miejsce już po raz drugi?

– Trzeci. Za pierwszym razem udałem się na kurację, potem już trzeba odnawiać tylko paciorki. – Przechesał palcami pomarańczową zasłonę brody i spojrzał na nich. Wszyscy milczeli.

– Nie możesz być aż tak stary – mruknął Towin. – Jeszcze tyle czasu nie minęło, odkąd

wszystko się rozleciało i przestały się rodzić dzieci. Mam rację?

– Nie wiesz przecież, jaki mamy rok. Może ci się trochę pomieszało, co? Zresztą, ja nic nie mówiłem. Tylko tyle, że właśnie stamtąd wracam. Po kraju kręci się sporo włóczęgów takich jak wy. Następnym razem, gdy tam pojedę za sto lat, będzie już lepiej. Wtedy nie będzie żadnych włóczęgów. Wszyscy trafią pod ziemię, pod muchomory. Będę miał cały świat dla siebie. Tylko ja i Lita, i te stworzenia, co świergoła w krzakach. Och, mogłyby już przestać tak ciągle ćwierkać. Za jakiś tysiąc lat będę miał z nimi wszystkimi istne piekło. – Norsgrey nagle zasłonił łapami oczy; wielkie, bezradne łyzy trysnęły mu spomiędzy palców; jego ramionami wstrząsnął szloch. – To samotne życie, moi przyjaciele – powiedział.

Siwobrody położył mu dłoń na ramieniu i zaproponował, że pomoże mu się położyć. Norsgrey skoczył na równe nogi i krzyknął, że sam potrafi o siebie zadbać. Pociągając nosem, odwrócił się ku mrocznej części stodoły, rozpędził kury i wczuł się za zasłonę. Pozostali siedzieli, patrząc po sobie.

– Stary głupiec! – powiedziała Becky niepewnie.

– Ale chyba sporo wie – odezwał się do niej Towin. – Rano spytajmy go lepiej o twoje dziecko.

Odwróciła się do niego ze złością.

– Towin, ty bezużyteczny baranie. Zdradzasz naszą tajemnicę! Ile razy ci powtarzałam, żebyś o niczym nie mówił, dopóki mój stan nie będzie widoczny? Ty głupcze, nic tylko chłapiesz jęzorem! Jesteś jak stara baba...

– Becky, to prawda? – spytał Siwobrody. – Jesteś brzemienna?

– Jak kotna króliczka – przytaknęła Towin, pochylając głowę. – Tak na wycucie, bliźnięta jak nic.

Marta spojrzała na pulchną, niewielką kobietę. W Sparcot często się zdarzały urojone ciąży i ta także niewątpliwie taką była. Ale ludzie wierzyli w to, w co chcieli wierzyć. Charley klasnął.

– Jeśli to prawda, chwalmy imię Pana! – oznajmił poważnie. – To cud, znak Niebios!

– Och daj spokój z tymi starymi bzdurami – powiedział Towin ze złością. – To wyłącznie moja robota.

– Wola Wszchemogącego dotyka nawet najmniej godnych spośród nas, Towinie Thomasie – odparł Charley. – Jeśli Becky jest w ciąży, to dla nas świadectwo, że On jednak do nas zstąpi w jedenastej godzinie i zaludni ziemię swoim ludem. Połączmy się w modlitwie. Marto, Algi, Becky...

– Nie chcę tego nawet słuchać – powiedział Towin. – Nikt się nie będzie modlił za moje potomstwo. Nie jesteśmy Bogu winni złamanego grosza, drogi Charley. Skoro jest taki wszechmocny, to On jest winien całemu złu, jakie się wydarzyło. Według mnie stary Norsgrey ma rację – nie wiemy dokładnie, jak dawno się to stało. I nie mówcie mi, że w Sparcot byliśmy tylko jedenaście lat! Według mnie to trwało całe wieki. Może wszyscy



mamy już po tysiąc lat i...

– Becky, czy mogę dotknąć twego brzucha? – spytała Marta.

– No właśnie, Becky, daj pomacać – wtrącił Pitt z nagłym zainteresowaniem.

– Ty lepiej trzymał łapy przy sobie – powiedziała mu Becky. Ale Marcie pozwoliła włożyć dłoń pod obszerne odzienie i spokojnie patrzyła przed siebie, gdy towarzyszka zaczęła delikatnie ugniatać jej brzuch.

– Rzeczywiście, żołądek masz opuchnięty – oznajmiła Marta.

– Aha! Nie mówiłem! – zawołał Towin. – To już czwarty rok, jak ona – znaczy się czwarty miesiąc. Dlatego nie chcieliśmy opuszczać tej gospody, gdzie znaleźliśmy owce. Byłaby całkiem przytulnym mieszkaniem, tylko że ten tu, łebski Harry, nie chciał zostawić swojej rzeki!

Odsłonił zarośniętą, wilczą twarz i uśmiechnął się szeroko do Siwobrodego.

– Jutro wyruszymy do Swifford Fair i zobaczymy, może zdołamy znaleźć wam jakieś miejsce – powiedział Algi. – Na pewno znajdzie się tam doktor, który zbada Becky i doradzi jej, co ma robić. Tymczasem pójdźmy za przykładem naszego rudego towarzysza i zdrzemnijmy się.

– Pilnuj, żeby ten stary renifer nie zjadł ci w nocy Izaaka – poradziła Becky Charleyowi.

– Mogłabym ci sporo naopowiadać o tych zwierzętach, wierz mi. To sprytne bestie.

– Ale lisa by nie zjadł – odparł Charley.

– My kiedyś mieliśmy kota, pamiętasz Tow? Tow handlował reniferami, jak tylko sprowadzono je do naszego kraju. Siwobrody pewnie wie, kiedy to było.

– Pomyślmy... Wojna się skończyła w 2005. Wtedy obalono rząd – powiedział Algi. – W rok później powstała Koalicja i z tego co wiem, to właśnie ci ludzie jako pierwsi przywieźli renifera do Wielkiej Brytanii.

Wspomnienie powróciło jak zamazana fotografia w gazecie. Szwedzi odkryli, że renifer jako jedyny z dużych roślinożerców nadal normalnie się rozmnażał, a jego młode przychodziły na świat żywe i zdrowe. Mówiono, że zwierzęta te zyskały niewytłumaczalną odporność na promieniowanie, ponieważ żywiły się porostami, które były w dużym stopniu skażone odpadami radioaktywnymi. W latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, jeszcze zanim Siwobrody się urodził, skażenie w kościach reniferów sięgnęło wartości od stu do dwustu jednostek strontu – czyli od sześciu do dwunastu razy więcej niż wynosił poziom bezpieczny dla człowieka.

Renifery okazały się doskonałymi zwierzętami pociągowymi, a poza tym dostarczały mięsa i mleka, dlatego stały się pożądane w całej Europie. W Kanadzie podobną popularność zdobyły karibu. Wielka Brytania w różnych latach importowała szwedzkie i lapońskie stada.

– Rzeczywiście, było to chyba około 2006 roku – potwierdził Towin. – Wtedy zmarł mój brat Evan. Zupełnie niespodziewanie. Sączył sobie piwo, a po chwili już nie żył.

– A wracając do reniferów – powiedziała Becky. – Mieliśmy z tego niezły dochód.

Trzeba było mieć licencję na zwierza. Swojego nazwaliśmy Daffid. Wynajmowaliśmy go do pracy za odpowiednią dniówkę.

– Na tyłach naszego sklepiku mieliśmy szopę. Tam go trzymaliśmy. Miał przytulny boks, siano i w ogóle. Mieliśmy też starą kocicę, Bilę. Bila była stara i bardzo mądra. Nigdzie nie znaleźlibyście lepszego kota niż ona. Oczywiście po wojnie nie mogliśmy jej już trzymać. Pamiętacie pewnie, że czasy były ciężkie i Bila powinna iść na mięso. Ale my nie moglibyśmy jej oddać!

– Zdarzało się wtedy, że Koalicja wysyłała policję, a ci to od razu wchodzili – bez pukania ani ostrzeżenia, sami wiecie. Przeszukiwali cały dom. Przyszło nam żyć w potwornych czasach, przyjaciele!

– Ale mniejsza o to. Pewnej nocy Tow przybiega – bo był wtedy w knajpie – i mówi, że policja idzie przeszukać nasz dom.

– Tak było! – Towin przypomniał sobie dawne przykrości.

– Tak on twierdzi – sprostowała Becky. – Dlatego musieliśmy ukryć biedną, starą Bilę, bo inaczej mielibyśmy kłopoty. Wyniosłam ją do szopy, gdzie stary Daffid leżał tak, jak ta bestia tutaj. Dla bezpieczeństwa schowałam Bilę pod słomę...

– Wracam ja na pokoje, a tu żadnej policji nie ma, a Tow śpi jak suseł. No to ja też przysnęłam. O północy wiedziałam już, że staremu głupcowi się przywidziało.

– Minęli nasz dom i poszli dalej! – zawołał Towin.

– Wyszłam do szopy, a tam Daffid stoi sobie i przeżuwa, a Bili ani śladu. Zawołałam Towina i oboje szukamy. Bili jak nie było, tak nie ma. I dopiero wtedy patrzymy, a tu ze starej gęby Daffida wisi koci ogon.

– A innym razem zjadł mi rękawice – dorzucił Towin.

Gdy Siwobrody kładł się spać przy jedynej lampie, zanim zamknął oczy, zobaczył ponury pysk renifera Norsgreya. Na te zwierzęta człowiek polował już w paleolicie. Teraz musiały zaczekać jeszcze odrobinę. Już wkrótce wszyscy myśliwi mieli odejść.

W nocy przyśniła się Siwobrodemu nierealna scena. Znajdował się w lśniącej od chromu restauracji i jadł kolację z ludźmi, których nie znał. Wszyscy mieli przesadnie wyszukane manieri i stroje. Wymyślnymi sztuczkami jedli pięknie przybrane dania. Biesiadnicy byli potwornie starzy – stulatkiem co do jednego – a mimo to wydawali się żwawi, a nawet dziecinni. Jedna z dwóch obecnych przy stole kobiet właśnie wyjaśniała, że rozwiązała cały problem: otóż tak jak dzieci wyrastały na dorosłych, tak z dorosłych miały w końcu wyrosnąć dzieci. Wystarczyło tylko odpowiednio długo poczekać.

Po chwili wszyscy się śmiali na myśl, że nikt wcześniej nie wpadł na takie rozwiązanie. Siwobrody wyjaśnił im, że przypominało to sytuację, w której oni wszyscy byli aktorami odgrywającymi swoje role za ołowianą kurtyną na zawsze odcinającą ich od każdej mijającej sekundy. Jednocześnie, kierując się współczuciem, krył przed nimi bolesną prawdę. Otóż ta sama kurtyna odgradzała ich jednocześnie od czasu, jaki im jeszcze został. Z wszystkich stron

otaczały ich małe dzieci (tylko że wszystkie wyglądały dziwnie dorosłe), które tańczyły i obrzucały się jakąś kleistą substancją.

Właśnie miał pochwycić wstęgę tego czegoś, kiedy się obudził. W pradawnym świetle świtu Norsgrey zaprzęgał renifera. Zwierzę nisko zwieszało łeb, wydychając chmury pary w stęchłe, zimne powietrze. Towarzysze Siwobrodego, skuleni pod okryciami, przypominali ludzką formę w takim samym stopniu, co świeże mogiły.

Siwobrody owinał się jednym z kocy, wstał, przeciągnął się i podszedł do starca. Spał w przeciągu, więc zeszywniały mu nogi. Idąc kulał.

– Wcześniej się wybierasz, Norsgrey.

– Zawsze ruszam z samego rana. Lita chciała już jechać.

– Czuje się lepiej?

– Ty sobie nią głowy nie zaprzataj. Opatuliłem ja ciepło pod budą wozu. Rankami nie rozmawia z obcymi.

– Nie zobaczymy jej?

– Nie. – Stelaż wozu obciążnięto zapuszczonym, brązowym płótnem, zamocowanym rzemieniami z przodu i z tyłu, tak by nikt nie mógł zajrzeć do środka. W środku zapał kogut. Norsgrey pozbierał już swoje kury. Widząc, jak starzec cicho się porusza, Siwobrody zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zabrał też czegoś, co należało do nich.

– Otworzę ci wrota – zaproponował. Wypracowane zawiasy zaskrzypiały, gdy pchnął skrzydło drzwi. Stał na zewnątrz, drapiąc się w brodę i przyglądając się unieruchomionemu mrozem krajobrazowi. Jego towarzystwo zaczęło się budzić, gdy zimne powietrze wtargnęło do stodoły. Izaak usiadł i oblizał spiczasty pyszczek. Towin mrużąc oczy spojrzął na swój martwy zegarek. Renifer ruszył i pociągnął wóz na otwartą przestrzeń.

– Zeszywniałem z zimna. Przejdę się z tobą minutę albo dwie. Odprowadzę cię do drogi – powiedział Siwobrody, ciasniej owijając się kocem.

– Jak chcesz. Chętnie przystanę na twoje towarzystwo, o ile nie będziesz za dużo mówił. Lubię ruszać wcześniej, kiedy świergot nie jest za głośny. Około południa jest już taki hałas, jakby w krzakach się paliło.

– Nadal znajdujesz drogi, po których da się podróżować wozem?

– Tam gdzie trzeba, szlaki nadal są otwarte. Ostatnio znowu panuje większy ruch. Ludzie nie potrafią nigdzie zatrzymać się na dłużej. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie siedzą u siebie i nie czekają spokojnie na śmierć.

– Wczoraj wieczorem mówiłeś nam o pewnym miejscu...

– Nic nie mówiłem. Byłem pijany.

– Nazwałeś to Mockweagles. Jaką kurację ci tam zaaplikowali?

Małe oczy Norsgreya niemal zupełnie znikły między fałdami skóry naznaczonej siatką czerwonych i fioletowych żyłek. Gwałtownie wskazał kciukiem na krzaki, które akurat mijali.

– One tam są i czyhają na ciebie, mój brodaty przyjacielu. Chyba słyszysz, jak świergoła i

gwarzą? Wstają wcześniej od nas, a kładą się później. W końcu cię dopadną.

– A ciebie nie?

– Ja co sto lat idę po zastrzyk i te paciorki...

– Aha, tak to wygląda... Dają ci zastrzyk i te sznurki, które masz na szyi. Wiesz, co to są za paciorki, prawda? To pigułki witamin.

– Nic więcej nie powiem. Nie mam pojęcia, o co chodzi. A tak w ogóle, to wy, śmiertelni, powinniście się nauczyć trzymać język za zębami. Oto i mamy drogę. Odjeżdżam.

Wyjechali na coś w rodzaju skrzyżowania. Ich szlak przecinała droga. Na pobrużdżonej nawierzchni pozostały jeszcze ślady asfaltu. Norsgrey uderzył renifera kijem, zmuszając zwierzę do mniej opieszałego tempa.

Przez ramię obejrzał się na Siwobrodego. Mgła jego oddechu wplątywała się w jaskrawe włosy porastające policzki.

– Powiem ci jedno, jeśli trafisz do Swifford Fair, szukaj człowieka o imieniu Bunny Jingadangelow.

– Kto to taki? – spytał Siwobrody.

– Przecież mówię, że to człowiek, o którego masz pytać w Swifford Fair. Zapamiętaj – Bunny Jingadangelow.

Przez jakiś czas Siwobrody stał owinięty w koc i patrzył za znikającym wozem. Miał wrażenie, że płótno z tyłu poruszyło się i że dojrzał... Nie, może to nie była ręka, może mu się tylko wydawało. Stał tak, dopóki wóz Norsgreya nie zniknął z pola widzenia, podążając krętym szlakiem.

Kiedy się odwracał, w pobliskich zaroślach dojrzał trupa na palu. Mężczyźnie zwichnięto kark. Martwy szczyrzył się zrozumiale, jak potrafią tylko ci, którzy od dawna nie żyją. Płaty skóry na jego czaszce przypominały martwe liście. Miał cienką kurtkę. Ciało skurczyło się i rozeszło, jak poać piasku, z którego uszła cała wilgoć, odsłaniając szczeble żeber.

– Trup pozostawiony na rozstaju dróg jako przestroga dla złoczyńców... Zupełnie jak w Średniowieczu... w starym Średniowieczu... – mruknął do siebie. Oczodoły wpatrywały się w niego. Poczul falę obrzydzenia, ale bardziej dokuczał mu brak furgonetki DGHW(A), którą stracił przed laty. Ludzie nie doceniali wartości takiego sprzętu! Pragnął rejestrować to, co widział. Ktoś powinien zostawić świadectwo upadku Ziemi, nawet jeśli w przyszłości miałiby je odnaleźć wyłącznie archeolodzy z innych światów, które być może gdzieś istniały. Ciężkim krokiem wrócił do stodoły.

– Bunny Jingadangelow, Bunny Jingadangelow... – powtarzał sam do siebie po drodze.

Tego dnia zmrok zapadał w takt dźwięków muzyki. W oddali, ponad rozlewiskiem widzieli światła Swifford. Na tym odcinku Tamiza wystąpiła z brzegów, zalewając okolicę i zmieniając tamtejszą florę w roślinność wodną. Wkrótce zbliżyły się do nich inne łodzie. Obcy coś wołali, ale ich akcenty były trudne do zrozumienia, tak jak na początku mowa

Norsgreya.

– Dlaczego nie mówią po angielsku, tak jak kiedyś? – spytał ze złością Charley. – To tylko wszystko utrudnia.

– Może nie tylko czas się poplątał – zasugerował Towin. – Może zmieniły się też odległości. Możliwe, że jesteśmy już we Francji albo w Chinach, co Charley? Mógłbym uwierzyć we wszystko, naprawdę.

– Bo jesteś głupcem – stwierdziła Becky.

Dopłynęli do miejsca, w którym wybudowano grobę. Za nią stały domy, chaty i stragany, z których większość wyglądała dość prowizorycznie. Nieopodal znajdował się kamienny most, wzniesiony dawno temu z imponującym rozmachem. Z solidnej, kamiennej balustrady wykruszyło się sporo fragmentów. Patrząc pod łukami konstrukcji na drugą stronę, dostrzegli kiwające się latarnie. Dwaj mężczyźni chodzili wśród niewielkiego stada reniferów, doglądając zwierząt i pojąc je przed nocą.

– Będziemy musieli strzec łodzi i owiec – powiedziała Marta, gdy cumowali przy moście.

– Nie wiemy, czy tutejszym ludziom można ufać. Jeff, ty zostaniesz ze mną, a pozostali niech idą się rozejrzeć.

– Tak chyba będzie najlepiej – przyznał Pitt. – Przynajmniej unikniemy kłopotów. Może kiedy reszta sobie pójdzie, podzielimy się zimnym baranym kotлетem.

Siwobrody dotknął dłoni żony.

– Przy okazji sprawdź, ile dostalibyśmy za owce – powiedział.

Uśmiechnęli się do siebie i Algi wysiadł na brzeg. Razem z Charleyem i Towinem ruszyli w stronę gwaru targowiska. Becky podążyła za nimi. Rozmokły grunt płaskał im pod stopami. Tuż nad nim ściełił się dym z niewielkich ognisk płonących wszędzie dokoła. W powietrzu wisiał pokrzepiający zapach gotowanego jedzenia. Przy większości ogni siedziały niewielkie grupki ludzi nagabywane przez wygadanych kupców, którzy usiłowali im coś sprzedać, może orzechy albo owoce. Jeden z nich, mężczyzna o płaskich policzkach, oferował owoc, którego nazwę Siwobrody ledwo sobie przypomniał, przywołując wspomnienia z innego świata: brzoskwinie. Inni handlowali zegarkami, czajnikami, a nawet eliksirami młodości. Klienci płacili za towary monetą. W Sparcot o pieniądzach niemal zupełnie zapomniano; społeczność była na tyle mała, że wystarczała zwykła wymiana towarów i przysług.

– Oooh, to tak, jakbyśmy wrócili do cywilizacji – powiedział Towin, przesuwając dłonią po pośladkach żony. – Jak się tu pani podoba, pani Thomas, hę? Popatrzcie, mają tu nawet pub! Wejdźmy wszyscy na drinka i ogrzejmy sobie boki, co wy na to?

Wyjął swój bagnet, pokazał go dwóm handlarzom, zaczekał chwilę, żeby sprawdzić, który którego przelicytuje, po czym oddał nóż za garść srebrników. Dumny z własnej przedsiębiorczości wydzielił część monet Charleyowi i Siwobrodemu.

– Pamiętajcie, że to tylko pożyczka. Jutro sprzedamy na aukcji jedną z owiec, to mi oddacie. Biorę pięć procent od sumy, panowie.

Przepchnęli się do najbliższego straganu z alkoholem, który wyglądał jak szkielet drewnianej chaty z podłogą z desek. Nad drzwiami napisano ozdobnymi literami: Tawerna Łut Szczęścia. W środku tłoczyli się wiekowi mężczyźni i kobiety, a za barem dwóch wielkich drabów, sękatych jak dotknięte chorobą dęby, rozdzielało butelki. Sącząc miód, Siwobrody wsłuchiwał się w rozmowy wokół i czuł, jak powoli się rozluźnia. Nigdy nie sądził, że brzęk monet w kieszeni sprawi mu aż taką przyjemność.

Zewsząd napływały nowe wrażenia i obrazy. Siwobrodemu wydawało się, że opuszczając Sparcot, rzeczywiście uciekli z obozu koncentracyjnego. Tutaj życie ludzi toczyło się torem, jakim w osadzie nie mogło. Wprawdzie świat odniósł śmiertelną ranę i za pół wieku można go było zwinąć i odstawić w kąt; ale póki co, należało dbać o interesy, handlować życiem oraz sycić się dreszczami i żarem emocji. W miarę, jak miód rozgrzewał mu krew, Siwobrody coraz bardziej się cieszył, że widzi ludzkość, którą Wszelacy Bogowie bili po łapach za popełnione szaleństwa, a która mimo to nie zamierzała się zmieniać.

Obok niego siedziała para staruszków. Oboje mieli źle dopasowane sztuczne szczęki. Wyglądały tak, jakby miejscowy kowal wbił je młotkiem na miejsce. Siwobrody pił miód, przysłuchując się ich hałaśliwym pyskówkom. Właśnie świętowali swoje wesele. Poprzednia żona mężczyzny zmarła przed miesiącem na bronchit. Jego żartobliwe zaloty do nowej partnerki – wszystkie palce pod stołem, wszystkie koślawe zęby ponad nim – miały posmak Tańca Śmierci, ale rubaszny optymizm nie klócił się z pitnym miodem.

– Nie jesteś z miasta? – spytał Siwobrodego jeden z sękatych barmanów. Jego mowa, podobnie jak akcenty wszystkich napotkanych ludzi, na początku była trudna do zrozumienia.

– To zależy, które miasto masz na myśli – odparł Siwobrody.

– Jak to które? Ensham albo Ainsham, jakąś milę stąd. Wyglądasz mi na obcego. Kiedyś urządzaliśmy targowisko na tamtejszych ulicach. Było wygodnie i sucho, ale w zeszłym roku powiedzieli, że przywlekliśmy ze sobą zarazki grypy i w tym roku już nas nie chcieli. Dlatego rozłożyliśmy się na mokradłach. Tu wszystkim dokucza reumatyzm. Teraz miastowi przychodzą do nas – to zaledwie mila, ale wielu z nich jest tak starych i leniwych, że nie chce im się chodzić tak daleko. Przez to interesy źle idą.

Mężczyzna wyglądał jak rozszczepiony dąb, ale miał dość łagodne usposobienie. Przedstawił się jako Pete Potsluck. Obsługując klientów, gawędził z Siwobrodym.

Algi zaczął mówić o Sparcot. Becky, Towina i Charleya, który trzymał na rękach Izaaka, temat ten nużył. Odeszli i włączyli się w rozmowę weselnego towarzystwa. Według Potslucka w lasach istniało wiele osad takich jak Sparcot.

– Wystarczy jedna sroga zima, jakiej od kilku lat nie mieliśmy, a niektóre z nich zginą bez śladu. Taki chyba będzie koniec nas wszystkich.

– Czy gdzieś jeszcze ludzie walczą? Dotarły tu pogłoski o inwazji Szkotów?

– Podobno Szkoci bardzo dobrze sobie radzą, przynajmniej ci w górach. Tam od początku niewielu ich mieszkało; za to tutaj zaludnienie było tak wielkie, że dopiero lata zarazy i głodu

przetrzebiły ludność, zostawiając minimum, które jakoś wiąże koniec z końcem. Szkoci pewnie uniknęli takich problemów. Ale po co mieliby zakłócać nam spokój? Wszyscy mamy już swoje lata, jesteśmy za starzy na wojny.

– Na targowisku na pewno znajdzie się jeszcze paru narwańców.

Potsluck się roześmiał.

– Nie da się zaprzeczyć. Nazywam ich podstarzałymi delikwentami. To zabawne, brakuje młodzików, którzy narzucaliby innym tempo, więc starzy nadal się trzymają swoich sztuczek – w miarę możliwości oczywiście.

– A co się stało z takimi jak Croucher?

– Croucher? Aa, ten gość z Cowley, o którym wspominałeś! Klasę dyktatorów już dawno pogrzebano. I dobrze, że tak się stało. Już za późno na rządy silnej ręki. Prawo liczy się już tylko w miastach. Poza nimi króluje bezprawie.

– Nie chodziło mi o prawo jako siłę.

– Sam pomyśl, teraz już nie można mieć prawa bez przymusu. Przemoc jest zła, ale na poziomie, na jakim się znaleźliśmy, siła jest konieczna, a w takiej sytuacji to prawdziwe błogosławieństwo.

– Pewnie masz rację.

– Sądziłem, że kto jak kto, ale ty powinieneś o tym wiedzieć. Z takimi pięściami i krzaczastą brodą wyglądasz na takiego, co ma prawo po swojej stronie.

Siwobrody wyszczerzył zęby.

– No nie wiem. W tak wyjątkowych czasach trudno ocenić nawet samego siebie.

– To jeszcze nie znalazłeś swego miejsca? Może dlatego wyglądasz tak młodo.

Zmieniając temat, Siwobrody zmienił także trunek, zamawiając dużą szklanekę mocniejszego wina z pasternaku i stawiając jedną Potsluckowi. Weselne towarzystwo wpadło w muzyczny nastrój i zaczęło śpiewać krótkie pieśni sprzed stu lat, które dziwnym trafem utkwily w pamięci – i utykały w gardłach – pomyślał Siwobrody. Wszyscy razem zaczęli nucić:

*„Gdybyś była jedyną dziewczyną na świecie,*

*A ja jedynym chłopcem...”*

– Może do tego dojdzie – powiedział Algi, uśmiechając się półgębkiem do Potslucka. – Widziałeś gdzieś dzieci? Rodzą się jakieś w tych stronach?

– Mamy tu pokazy dziwadeł. Powinieneś to zobaczyć – stwierdził Potsluck. Nagła gorycz zaćmiła jego dobry nastrój. Odwrócił się gwałtownie i zajął się ustawianiem butelek. Dopiero po chwili, uznając chyba, że zachował się nieuprzejmie, ponownie zwrócił się do Siwobrodego i zaczął rozmowę na inny temat.

– Kiedyś, przed Wypadkiem, zanim ta przekłeta Koalicja nie zamknęła mi salonu, byłem

fryzjerem. Mam wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły lata – no bo i upłynęły – długie, długie lata. W fachu kształcił mnie ojciec, po którym przejąłem zakład. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy doszły nas słuchy o obawach przed promieniowaniem, mówiłem sobie: jeśli tylko ludzie przetrwają, będą się chcieli strzyć – o ile oczywiście nie wypadną im wszystkie włosy. Nadal czasem strzygę podróżnych. Na szczęście wciąż się zdarzają tacy, którym zależy na wyglądzie.

Siwobrody milczał. Potrafił rozpoznać, kiedy człowiek dostawał się w sidła wspomnień. Potsluck zapomniał nawet o nabytym, prostackim akcencie, a „wciąż się zdarzają tacy, którym zależy na wyglądzie” zabrzmiało niemal wytwornie. Cofnął się o pół wieku, do zaginionego świata usług fryzjerskich, balsamów do włosów oraz płynów przed i po goleniu, do świata, w którym maskowano brzydkie zapachy i niedoskonałości.

– Kiedyś, jako bardzo młody chłopak, musiałem pójść do prywatnego domu. Do dziś pamiętam tamto miejsce, choć muszę przyznać, że od tamtych czasów znacznie podupadło. Na schodach było bardzo ciemno, a wchodząc na górę, musiałem trzymać ramię młodej damy. Tak, tak właśnie. Poszedłem tam po zamknięciu salonu, pamiętam jak dziś. Mój stary ojciec mnie posłał. Miałem wtedy najwyżej siedemnaście lat. Może mniej. W sypialni na górze zobaczyłem martwego mężczyznę w trumnie. Wyglądał bardzo spokojnie i bogato. Był dobrym klientem – oczywiście za życia. Jego żona nalegała, by przed pogrzebem obciąć mu włosy. Powiedziała, że mąż był bardzo schludny. Potem rozmawiałem z nią na dole. Była szczupłą damą i nosiła kolczyki. Dała mi pięć szylingów. Nie, już nie pamiętam – może to było dziesięć szylingów. Tak czy inaczej, sporo mi zapłacono jak na tamte czasy, zanim stała się ta okropność.

– No to obciąłem włosy temu nieżyjącemu jegomościowi. Bo wiesz, że włosy i paznokcie rosną też po śmierci. Jego fryzura trochę się potargala. W zasadzie wystarczyło odrobinę skrócić, ale ostrzygłem go z całą powagą, na jaką potrafiłem się zdobyć. Może nie uwierzysz, ale w tamtych czasach chodziłem do kościoła. Młoda dama, która zaprowadziła mnie wtedy na górę, musiała przytrzymywać mu głowę i podpierać szyję, żebym mógł ostrzyć go pod spodem. Nagle, kiedy pracowałem, ona zaczęła chichotać i puściła martwego jegomościa. Powiedziała, że chce, żebym ją pocałował. Wtedy trochę mnie to zaskoczyło, bo jegomość był jej ojcem... Sam nie wiem, po co ci o tym opowiadam. Pamięć potrafi przywołać rozmaite wydarzenia. Pewnie gdybym miał choć trochę rozumu, na miejscu przeleciałbym tę małą, głupią rozpustnicę, ale wtedy jeszcze za mało wiedziałem o życiu – że nie wspomnę już o śmierci! Napijesz się jeszcze? Ja stawiam.

– Dziękuję. Może wrócę tu później – odparł Siwobrody. – Chcę się jeszcze rozejrzeć po targowisku. Znasz może człowieka, na którego wołają Bunny Jingadangelow?

– Jingadangelow? Czego od niego chcesz? Słyszałem o nim co nieco. Przepraw się przez most i idź dalej drogą do Ensham, a natkniesz się na jego kram. Wisi nad nim napis „Wieczne Życie”. Na pewno trafisz.



Oglądając się na śpiewającą gromadę, Siwobrody napotkał wzrok Charleya. Przyjaciel wstał i razem wyszli na zewnątrz. Towin i Becky zostali, śpiewając z weselnikami „Stare żelazo”.

– Ten gość, co się właśnie znów ożenił, jest hodowcą reniferów. Wygląda na to, że nadal są jedynymi dużymi ssakami, którym promieniowanie nie zaszkodziło. Pamiętasz, jak ludzie gadali, że te zwierzęta nie dadzą sobie rady w naszych stronach, bo klimat jest zbyt wilgotny dla takich futrzaków?

– Moja kurtka też nie zabezpiecza przed wilgocią, Charley. Już nie jest tak zimno, a sądząc po chmurach, możemy się spodziewać deszczu. Jakie schronienie znajdziemy sobie na noc?

– Jedna z kobiet w barze mówiła, że możemy znaleźć kwatery w mieście. Musimy mieć oczy otwarte. Jeszcze wcześniej.

Ruszyli drogą, przysłuchując się wrzawie, która docierała do nich różnymi tonami.

Gdy mijali klatkę z lisami i wybieg, w którym roilo się od łasic, Izaak zaczął skowyczeć i sapać. Można tu było kupić także kury, a kobieta otulona w futra próbowała sprzedać im sproszkowane rogi renifera jako specyfik zapobiegający impotencji i chorobom. Dwóch rywalizujących ze sobą konowałów oferowało środki przeczyszczające, rozmaite klajstry, uroki przeciwko reumatyzmowi i leki na wszelkie dolegliwości starczego wieku. Garstka stojących wokół ludzi przysłuchiwała się im sceptycznie. Mniej więcej o tej porze kończyły się godziny handlowania; obecni szukali teraz rozrywek, a nie interesów. Żongler skupiał wokół siebie zachwycone tłumy. Spore zainteresowanie budził też wróżbita. – To już pewnie sztuka na wymarcu – pomyślał Siwobrody. Ciemne czupryny obcych posiwały i nigdzie nie było słyhać tupotu małych nóżek.

Przeszli do następnego straganu, który przypominał zwykły drewniany podest. Nad nim powiewał transparent z napisem WIECZNE ŻYCIE.

– To pewnie miejsce Jingadangelowa – powiedział Siwobrody.

Wokół stało sporo osób. Niektóre słuchały przemawiającego mężczyzny, inne tłoczyły się wokół opartej o deski postaci, nad którą płakały i chrypiały dwie staruchy. W migoczącym świetle nagich pochodni ledwo było widać, co się działo, ale słowa mężczyzny objaśniały sytuację.

Mówca był wysoki i odziany na czarno. Miał rozczochrane włosy i zupełnie białą twarz. Tylko doły pod oczami odznaczały się kamienną barwą. Mówił jak wykształcony człowiek, z ożywieniem, które jego wąła postura ledwo wytrzymywała. Dyrygował zdaniom parą mocnych, dziko gestykulujących dłoni.

– Oto macie przed sobą dowód na to, co mówię, moi przyjaciele. Wszyscy widzieliśmy i słyszeliśmy, jak nasz brat właśnie rozstał się z życiem. Jego dusza przebiła zniszczoną powłokę i opuściła nas. Przyjrzyjcie się sobie, moi kochani bracia. Odziani w poszarpane przykrycia stoimy w tę zimną, ponurą noc gdzieś w wielkim wszechświecie. Czy ktokolwiek

z was może z ręką na sercu powiedzieć, że wolałby nie iść w ślady naszego przyjaciela?

– Do diabła z taką zabawą! – zawołał jakiś mężczyzna, zaciskający w dłoni butelkę. Oskarżycielski palec mówcy natychmiast wyłowił go z tłumu.

– Przyznaję, że tobie może nie będzie lepiej mój przyjacielu, bo odejdziesz tak jak nasz brat tutaj i staniesz przed Panem przesiąknięty trunkiem. Bracia, Pan nasz ma już dość tych brudów i absurdów, taka jest prawda. Miał tego więcej, niż potrafi wytrzymać. Z nami już skończył, teraz chodzi mu tylko o nasze dusze. Odciał się od nas i wyraźnie oznajmił nam swoją dezaprobatę, jeśli aż po grób upierać się będziemy przy grzechach, które powinniśmy porzucić już w młodości.

– A jak inaczej się ogrzać w takie paskudne zimowe noce? – spytał jakiś wesolek, a ludzie wokół mruknęli z aprobatą. Charley postukał go w ramię.

– Mógłbyś milczeć, gdy ten jegomość przemawia? – spytał.

Wesolek odwrócił się do Charleya. Choć wiek pomarszczył go jak suszoną śliwkę, jego szerokie, czerwone usta przedzielały twarz, tak, jakby ktoś przykleił mu je uderzeniem pięści. Mięiste wargi się poruszyły. Obcy zorientował się, że Charley jest od niego silniejszy i zamilkł. Niewzruszony kaznodzieja kontynuował przemówienie.

– Musimy się ugiąć przed Jego wolą, moi przyjaciele. Tak właśnie musimy postąpić. Wkrótce wszyscy padniemy na kolana i zaczniemy się modlić. Powinniśmy wszyscy razem udać się przed Jego oblicze, jesteśmy bowiem ostatnim z Jego pokoleń i na to spotkanie musimy się odpowiednio przygotować. Zapytajcie siebie, czego mamy się obawiać, jeśli jesteśmy prawi? W przeszłości już raz oczyścił On ziemię, zsyłając potop jako karę za ludzkie grzechy. Tym razem odebrał naszym organom rozrodczym daną przez Boga potęgę prokreacji. Jeżeli sądzą, że to kara sroższa od potopu, tak i grzechy naszego – dwudziestego pierwszego – wieku, są potworniejsze. On może zaczynać wszystko od nowa tyle razy, ile zechce. Dlatego nie oplakujmy dziś ziemi, którą mamy opuścić. Urodziliśmy się, by zniknąć, tak jak znikło już bydło, którego strzeżliśmy dawniej. Czysta i odnowiona ziemia czekać będzie na Jego kolejne dzieła. Pozwólcie, moi bracia, że zanim padniemy na kolana i zaczniemy się modlić, przypomnę wam, co Pismo mówi o naszych czasach.

Złączył drżące dłonie i spoglądając w ciemność, zaczął recytować.

– „Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt; los ich jest jeden: jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego, i oddech życia ten sam. W niczym więc człowiek nie przewyższa zwierząt, bo wszystko jest marnością. Wszystko idzie na jedno miejsce: powstało wszystko z prochu i wszystko do prochu znów wraca. Któż pozna, czy siła życiowa synów ludzkich idzie w górę, a siła życiowa zwierząt zstępuje w dół, do ziemi? Zobaczyłem więc, że nie ma nic lepszego nad to, że się człowiek cieszy ze swych dzieł, gdyż taki jego udział. Bo któż pozwoli widzieć, co się stanie potem?”

– Moja stara da mi do wiwatu, jeśli nie wrócę do domu – odezwał się wesolek. – Dobranoc, kaznodziejo. – Mężczyzna ruszył drogą, powłócząc nogami i wspierając się na

towarzyszu. Siwobrody potrząsnął ramieniem Charleya.

– Ten człowiek to nie Bunny Jingatangelow, choć głosi ideę wiecznego życia. Chodźmy dalej.

– Nie, posłuchajmy go jeszcze, Siwobrody. Oto człowiek, który mówi prawdę. Tak dawno nie spotkałem kogoś, kogo warto by było słuchać.

– W takim razie zostań. Ja idę dalej.

– Zostań ze mną i posłuchaj, Algi. To ci wyjdzie na dobre – powiedział Charley, ale Siwobrody już wyszedł na drogę.

Kaznodzieja znowu mówił o martwym mężczyźnie leżącym przy podeście. Bo człowiek nigdy nie zadowalał się nazywaniem rzeczy po imieniu; zawsze musiał wszystko zmieniać w symbole. Może na tym właśnie polegał błąd ludzkiego rodzaju – bo nawet zatwardziały ateista musiałby przyznać, że były błędy, których nie dało się wykorzenić. Tęcza nie była po prostu tęczą, burza musiała oznaczać boski gniew, a z mazistej ziemi wylaniały się bóstwa natury. Co to wszystko miało znaczyć? Wiara agnostyka i wiara chudego kaznodziei nie dały się pogodzić. Oba sposoby rozumowania miały taki sam sens, bo gdzieś w trakcie ewolucyjnego rozwoju człowiek wyrobił w sobie zwyczaj myślenia symbolami, dając sobie tyle alternatyw i całych ich konstelacji, że nie potrafił już im podolać. Zwierzęta nigdy nie weszły w ten kanał wyobraźni – kopulowały i jadły. Tymczasem dla świętego chleb był symbolem życia, tak jak fallus dla poganina. Także faunę zaprzęgnięto do tej symbolicznej służby – i to nie tylko w średniowiecznych bestiariuszach.

Takie podejście było wypaczeniem, ale człowiek nie potrafił już myśleć inaczej. Od samego początku na tym polegał problem. Co więcej, nawet tego początku nie umiano jasno określić (bo na pierwszych przedstawicieli rodzaju ludzkiego także patrzono przez pryzmat symbolów, uważając ich albo za ociężałych brutali, albo nieśmiałych i szlachetnych dzikich, albo też próbowano ich dopasować do jakiejś innej interpretacji). Możliwe, że pierwszy ogień, pierwsze narzędzie, pierwsze koło czy pierwsza rzeźba na ścianie wapiennej jaskini posiadały większe znaczenie symboliczne niż wartość praktyczną, przez co służyły wypaczeniom, zamiast rzeczywistości. Ten właśnie rodzaj szaleństwa wygonił człowieka ze skromnych siedzib na skrajach borów, do miast, sztuki, na wojny, krucjaty religijne, w męczeństwo i prostytutkę, w dyspepsję i post, ku miłości i nienawiści, aż do zaułka, w którym znalazł się na koniec. Wszystko to stało się dlatego, że gonił za symbolami. Na samym początku był symbol, a na ziemi panowały ciemności.

Siwobrody porzucił ten tok myślenia, gdy dotarł do kolejnej siedziby przy drodze. Znowu miał przed sobą transparent z napisem WIECZNE ŻYCIE.

Znak wisiał na froncie garażu, który niczym pijak wsparł się o ruiny sąsiedniego budynku. Brama odpadła, ale podparto ją od wewnątrz, zasłaniając tylną część pomieszczenia. Za tą zasłoną płonął ogień, rzucając na dach cienie dwóch osób. Przed przegrodą stała stara kobieta o zasuszonych dziąsłach. Wspierała się o skrzynię.

– Jeśli pragniesz Wiecznego Życia, trafiłeś w dobre miejsce – zawołała do Siwobrodego, tak jak wołała do wszystkich. – Nie słuchaj kaznodziei! On żąda zbyt wysokiej ceny. Tu nie musisz się niczego pozbywać i niczego się wyrzekać. Nasze wieczne życie można kupować w strzykawkach. Nie musisz się niczym kłopotać. Wejdź do środka, jeśli chcesz żyć wiecznie!

– Mówisz o strzeleniu sobie w żyłę, czy o strzelaniu w ciemno, starucho. Nie wiem, czy mogę ci zaufać.

– Wejdź, a urodzisz się na nowo, pokrako!

Siwobrodemu nie spodobała się taka odzywka, ale wiedział, że stara gada jak automat.

– Chcę rozmawiać z Bunnym Jingadangelowem. Jest tu? – spytał ostro.

Wiedźma zakaszłała i posłała ochłap zielonej flegmy na podłogę.

– Doktora Jingadangelowa nie ma. On nie stawia się na każde zawołanie. Czego chcesz?

– Możesz mi powiedzieć, gdzie go znajdę? Chcę z nim porozmawiać.

– Umówię cię na wizytę, jeśli chodzi ci o odmłodzenie albo o kurację nieśmiertelności, ale teraz go nie ma, przecież mówię.

– A kto jest za przegrodą?

– Skoro musisz wiedzieć, to mój mąż i klient. Zresztą, co cię to obchodzi? Ktoś ty taki? Nigdy cię tu nie widziałam.

Jeden z cieni rozlał się szerzej na dachu.

– Co to za szum? – rozległ się jakiś cienki głos.

Siwobrody miał wrażenie, jakby ktoś wylał na niego kubel zimnej wody. Po latach mozolnych poszukiwań uznał w końcu, że dzieciństwo stało się już tylko ideą pogrzebaną w czaszkach starców, a młode ciało – jedynie wspomnieniem. Jeśli nie liczyć plotek, on sam był tym, co światu pozostało z młodości. Tymczasem ten tu młokos, odziany tylko w tunikę, ze sznurami czerwonych i zielonych paciorków, przypominających korale Norsgreya i z nagimi, szczupłymi kończynami, patrzył na Siwobrodego szerokimi, niewinnymi oczami...

– Mój Boże – powiedział. – To one nadal się rodzą!

– Widzisz przed sobą dowód korzystnego działania słynnej łączonej kuracji odmładzania i nieśmiertelności doktora Jingadangelowa – odezwał się młodzieniec cienkim, obojętnym głosem. – Kuracja ta jest znana i polecana wszędzie od Gloucester po Oksford, od Banbury po Berks. Zapisz się na nią, panie, zanim będzie dla ciebie za późno. Kilka próbnych dawek wystarczy, by zmienić cię w takiego jak ja, przyjacielu.

– Wierzę ci tak samo, jak tamtemu kaznodziei – powiedział Siwobrody wciąż z trudem oddychając. – Ile masz lat, chłopcze? Szesnaście, dwadzieścia, trzydzieści? Już zapomniałem, w jakim wieku jest się młodym.

Drugi cień zafalował na dachu i obdarty cudak z plantacją kurzajek na brodzie i czole wyszedł, kuśtykając zza zasłony. Był tak bardzo przygarbiony, że ledwie mógł spojrzeć na Siwobrodego spod krzaczastych brwi.

– Chce pan kurację? Chce pan znowu być piękny i cudowny, jak to młode i piękne

chłopię?

– Ty nie jesteś dobrą reklamą swego specyfiku, co starcze? – powiedział Siwobrody, ponownie się odwracając, aby spojrzeć na młodzieńca. Postąpił do przodu, chcąc przyjrzeć mu się z bliska. Gdy pierwsze oszołomienie znikło, Algi zauważył, że chłopak miał zwiotczone ciało i bladą twarz. Prezentował się nienajlepiej.

– Doktor Jingadangelow opracował swą cudowną kurację za późno by mi pomóc, panie – stwierdził cudak. – Można by rzec, że za późno go spotkałem, ale panu mógłby się przysłużyć, tak jak pomógł naszemu młodemu przyjacielowi. Naprawdę ma on sto dziewięćdziesiąt pięć lat, choć nikt by się tego nie domyślił, patrząc na niego. Wszak to kwiat młodości. I ty także możesz się taki stać.

– Nigdy w życiu nie czułem się lepiej – powiedział młodzieniec swoim zadziwiająco wysokim głosem. – Jestem w kwiecie młodości.

Siwobrody niespodziewanie chwycił go za ramię i obrócił tak, by blask latarni staruchy padł prosto na jego twarz. Chłopak krzyknął. Niewinność w jego oczach okazała się pustką. Gruba warstwa pudru na twarzy ułożyła się w bruzdy bólu. Otworzył usta, odsłaniając czarne kły za pomalowanymi białą farbą przednimi zębami. Próbując się wywinąć, ze złością kopnął Siwobrodego w goleń i zaklął.

– Ty łobuzie, ty brudny, mały oszuście, masz dziewięćdziesiąt lat! Zostałeś wykastrowany! – Siwobrody z gniewem obrócił się do wiekowego starucha. – Nie macie prawa tak robić!

– Dlaczego nie? To mój syn. – Stary skurczył się, podnosząc rękę na wysokość twarzy. Krzywa, ospowata szczeka klekotała z wściekłości. „Chłopiec” zaczął wrzeszczeć.

– Nie dotykaj mego ojca! – zawołał, gdy Siwobrody obrócił się w jego stronę. – Bunny i ja wpadliśmy na ten pomysł. Ja tylko uczciwie zarabiam na życie. Myślisz, że chcę żyć w nędzy i głodzie, tak jak ty? Pomocy, pomocy, morderca! Złodzieje! Pali się! Przyjaciele, na pomoc!

– Zamknij... – Siwobrody nie dokończył. Zza niego wyskoczyła wiedźma. Zamachnęła się latarnią i uderzyła go w bok twarzy. Kiedy się obrócił, staruch walnął go grubym drągami w kark. Algi padł na pokruszoną, betonową podłogę.

I znowu znalazł się w sytuacji, która nie mogła się zdarzyć naprawdę. Wokół niego, przy stolikach siedziały skąpo odziane, młode kobiety, zbawiając wiekowych starców o fizjonomiach ślimaków. Wargi dziewcząt były czerwone, policzki zaróżowione, a oczy ciemne i błyszczące. Ta najbliższej Siwobrodego nosiła siatkowe pończochy o dużych okach, pnące się aż do znakomitości jej krocza, gdzie napotykały czerwoną satynę. Majteczki zakończone były falbankami, tak jakby wśród tych płatków chciały ukryć piękniejszą różę. Kolorem pasowały do krótkiej tuniki ozdobionej zachęcającymi, mosiężnymi guzikami, która częściowo zasłaniała pierś takiej wspaniałości, że przy niej podbródek właścicielki wydawał

się cofnięty.

Od tego zjawiska dzieliło Siwobrodego wiele nóg. Jedną parę zidentyfikował jako nogi Marty. Zrozumiał, że bynajmniej nie jest to sen. Był prawie nieprzytomny. Kiedy jęknął, Marta pochyliła ku niemu łagodną twarz. Położyła zniszczoną dłoń na jego policzku i pocałowała go.

– Mój kochany, stary biedaku, za chwilę dojdiesz do siebie.

– Marto... gdzie jesteśmy?

– Napadli na ciebie, bo złapałeś tego eunucha w garażu. Charley ich usłyszał i sprowadził Pitta i mnie. Przybiegliśmy najszybciej, jak mogliśmy. Zostaniemy tu na noc, a do rana wydobrzejesz.

Jej wyjaśnienia pomogły mu rozpoznać jeszcze dwie pary nóg pokryte błotem i żdźbłami bagiennych traw. Jedna należała do Charleya, druga do Jeffa Pitta.

– Gdzie jesteśmy? – spytał raz jeszcze, tym razem głośniej.

– Masz szczęście, że żyjesz – mruknął Pitt.

– Jesteśmy w domu obok tego garażu, w którym cię zaatakowano – powiedziała Marta. – Sądząc po popularności tego miejsca, ciesz się dobrą opinią.

Dostrzegł na jej twarzy ulotny uśmiech. Wzruszenie chwyciło go za serce. Ścisnął dłoń żony, aby okazać jej, jak bardzo cenił w niej kobietę, która nawet nieprzyjemne sytuacje obracała w przyjemne żarty. Poczł, że wraca do życia.

– Pomóżcie mi się podnieść, już mi lepiej – powiedział.

Pitt i Charley ujęli go pod ręce. Tylko nieznajoma para nóg się nie poruszyła. Wstając, powędrował wzrokiem w górę, od masywnych łydek przez niecodzienny obszar futra z króliczych skór, które ściągnięto ze wszystkim: z głowami, zębami, uszami i z wąsami. Oczy zastąpiono czarnymi guzikami. Część uszu, niewłaściwie wyprawiona gniła, rozsiewając wokół szczególną woń – prawdopodobnie spotęgowaną temperaturą na sali. Ale całość dawała efekt niezaprzeczalnie imponujący.

– Domyślam się, że mam przyjemność z Bunnym Jingadangelowem? – powiedział, gdy jego wzrok znalazł się na poziomie oczu właściciela futra.

– Doktor Bunny Jingadangelow, do usług, panie Timberlane – odparł mężczyzna, zginając się w krzyżu tylko tyle, aby wystarczająco zaakcentować ukłon. – Cieszę się, że moje starania tak doskonale i szybko pomogły panu wydobrzeć. O twoim długu wdzięczności wobec mnie pomówimy później. Najpierw powinieneś wspomóc swoje krążenie małym spacerem po sali. Służę pomocą.

Mężczyzna ujął ramię Siwobrodego i poprowadził go między stołami. Przez chwilę Algi nie oponował, przyglądając się uważnie nieznajomemu w futrze z królików. Jingadangelow wyglądał na niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Był najwyżej sześć lat starszy od Siwobrodego, czyli dość młody, jak na czasy, w których żyli. Miał zakręcone wąsy i bokobrody, ale okrągłość jego podbródka osiągnęła gładkość rzadko teraz spotykaną. Jego twarz zdradzała

tak zasiedziała bezbarwność, że żadne wróżenie z jej rysów nie zdołałoby określić prawdziwego charakteru tego człowieka.

– Słyszałem, że zanim próbowałeś zaatakować jednego z moich klientów, szukałeś mnie, by zasięgnąć mojej rady – powiedział Jingadangelow.

– Nie zaatakowałem żadnego klienta – odparł Siwobrody, uwalniając się od uścisku ręki mężczyzny. – Żałuję, że w chwili gniewu chwyciłem jednego z twoich wspólników.

– Bzdury. Młody Trotty jest reklamą, nie wspólnikiem. Doktor Jingadangelow znany jest w całej Anglii środkowej jako wspaniały humanitarysta – humanistyczny humanitarysta. Dałbym ci jeden z moich afiszów, gdybym miał taki przy sobie. Zanim zechcesz znowu użyć pięści, powinieneś zrozumieć, że jestem jedną z najznakomitszych postaci... hm – jaki mamy rok? – lat dwudziestych dwudziestego pierwszego wieku.

– Może i jesteś znany. Nie zaprzeczam. Spotkałem po drodze biednego szaleńca Norsgreya i jego żonę. Podobno byli u ciebie na kuracji...

– Chwila, chwila. Norsgrey, Norsgrey... Co to za imię? Nie mam go w księgach... – Jingadangelow, stanął zadzierając głowę i przytknął palec do środka czoła. – Ach tak, rzeczywiście. Na moment zmyliła mnie wzmianka o jego żonie. Tak między nami mówiąc... – Mężczyzna poprowadził Siwobrodego do kąta i nachylił się ku niemu. – Oczywiście informacje o pacjentach są poufne i święte – powiedział dyskretnie – ale biedny, stary Norsgrey tak naprawdę nie ma żony. To borsuczycza, do której trochę za bardzo się przywiązał. – Bunny postukał w czoło pulchnym palcem. – Bo niby czemu nie? Rozrzedzona krew potrzebuje odrobiny ciepła w łóżku podczas zimnych nocy. Biedny człowiek, skrzywiony jak pochyłe drzewo...

– Jesteś tolerancyjny.

– Wybaczam ludziom wszystkie ich błędy i szaleństwa. To część mego powołania. Musimy radzić sobie na tym padole łez tak, jak potrafimy. W tej świadomości tkwi okruch tajemnicy moich cudownych mocy uzdrawiania.

– Czyli, mówiąc wprost, pasożytowania na starych szaleńcach, takich jak Norsgrey. Ten człowiek żyje złudzeniem, że dzięki tobie stał się nieśmiertelny.

Nie przerywając rozmowy, Jingadangelow usiadł i kiwnął na kobietę, która przykuśtykała do nich i postawiła przed nimi dwa kufle. Doktor skinął głową i w podziękowaniu machnął pulchnymi palcami.

– Jakie to dziwne, usłyszeć zarzuty do mojej etyki po tylu latach. To tak, jakbym się cofnął w czasie... Pewnie żyliście w odosobnieniu – powiedział. – Stary Norsgrey umiera. Skarzy się, że słyszy w głowie hałasy przypominające świergolenie. To śmiertelny obrzęk. Dlatego właśnie myli nadzieję, którą mu dałem, z nieśmiertelnością, jaką mu obiecałem. Taką pomyłkę wygodnie popelnąć, chyba się pan zgodzi? Czy mogę sobie pozwolić na chwilę osobistych zwierzeń? Otóż moja podróż przez życie przebiega bez takiej nadziei, dlatego Norsgreyowi – a szczęśliwie takich jak on jest wielu – duchowa fortuna sprzyja bardziej niż

mnie. Ja się pocieszam większym szczęściem w gromadzeniu dóbr doczesnych.

Siwobrody odstawił napój i rozejrzył się wokół. Nadal bolała go szyja, ale czuł, że wraca mu dobry humor.

– Pozwolisz, że poproszę do nas żonę i przyjaciół?

– Oczywiście, oczywiście, ale chyba nie znudziło cię jeszcze moje towarzystwo. Miałem nadzieję, że zanim przejdziemy do interesów, trochę porozmawiamy o tym i o owym. Wydawało mi się, że mam w tobie pokrewnego ducha.

– Dlaczego? – spytał Siwobrody.

– Tak mi podpowiedziała intuicja, którą zostałem szczerze obdarzony. Zachowałeś neutralność myślenia. Twoje cierpienie nie jest takie, jakie powinno być w czasach upadku i zarazy. Choć życie jest nędzne, ty się nim cieszysz. Nie mam racji?

– Skąd to wiesz? To prawda, ale przecież dopiero się poznaliśmy...

– Odpowiedź na to nigdy nie zadowala ludzkiej próżności. Otóż każdy człowiek jest jedyny w swoim rodzaju, ale jednocześnie wszyscy są do siebie bardzo podobni. W twojej naturze dostrzegam pewną ambiwalencję. Wielu ludzi czuje podobnie. Wystarczy mi minuta rozmowy z nimi, aby to zdiagnozować. Czy wyrażam się jasno?

– A w jaki sposób zdiagnozowałeś *moją* ambiwalencję?

– Nie czytam w myślach, ale niechże się zastanowię. – Wydał policzki, uniósł brwi, spojrzał w kufel i zrobił bardzo uczoną minę. – Katastrofy są nam potrzebne. Ty i ja jakoś przetrwaliśmy upadek cywilizacji. Przeżyliśmy, choć nasz okręt zatonął. Ale obaj nie czujemy się jak rozbitkowie – triumfujemy! Przed katastrofą życzyliśmy jej sobie i dlatego klęska jest dla nas sukcesem – zwycięstwem nieugiętej woli. Nie dziw się tak! Na pewno nie zaliczasz się do ludzi, dla których zakamarki umysłu to miejsca przyjemne. Zastanawiałeś się nad światem, w którym się urodziliśmy? Jaki by się stał, gdyby ten mały eksperyment z promieniowaniem poszedł zgodnie z planem? Czy nie byłby to świat zbyt złożony i za bardzo bezosobowy, aby tacy jak my mogli w nim rozwinąć skrzydła?

– Mam wrażenie, że próbujesz myśleć za mnie – powiedział Siwobrody.

– Taka jest rola mędrca. Ale potrafi on także słuchać. – Jingadangelow wypił drinka i pochylił się nad pustą szklanką. – Czy ta obszarpana terażniejszość nie jest lepsza od zmechanizowanej, zorganizowanej, wyperfumowanej, w jakiej mogliśmy się znaleźć? W tej możemy żyć na skalę ludzką. W tej drugiej, która minęła nas o szerokość neutronu, megalomania urosła do takich rozmiarów, że zadławiła zwykłe, proste bogactwo życia jednostki.

– Przyznaję, że styl życia w dwudziestym wieku pozostawiał wiele do życzenia.

– Wszystko w nim było złe.

– Nie, to przesada. Niektóre rzeczy...

– Nie sądzisz, że skoro źle się działo w sferze duchowej, to w ogóle *wszystko* było złe? Nostalgia nie jest wskazana. Nie wystarczy mówić o lekach i edukacji. Zapomniałeś o braku



opieki medycznej i złej jakości kształcenia? O szczytce Wieku Maszyny? O Mons i Belsen, i Bataan, i Stalingradzie, i Hiroszynie, i całej reszcie? Czy sami nie zasłużyliśmy sobie na to, aby wypaść z trasy na zakręcie?

– Zadajesz tylko pytania – zauważył Siwobrody.

– Są zarazem odpowiedziami.

– To puste gadanie. Nic tylko puste gadanie. Nie, zaczekaj, chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać. Mogę zapłacić. To ważne... Pozwól, że zawołam żonę i przyjaciół.

Siwobrody wstał. Bolała go głowa. Alkohol miał sporą moc. W pomieszczeniu panował wielki hałas i zaduch, a on był za bardzo ożywiony. W tych czasach rzadko rozmawiało się o czymś prócz bólu zębów i pogody. Rozejrzał się w poszukiwaniu Marty, ale nigdzie jej nie widział.

Przeszedł przez salę do schodów prowadzących do pokoi na górze. Zauważył, że wymalowane panie nie były ani tak kształtne, ani pełne życia, jak mu się z początku wydawało. Choć miały wywatowane staniki i makijaż, ich skórę znaczyły plamy wątrobowe i bruzdy zdradzające wiek. Ich oczy lśniły chorobliwie. Kobiety wyciągały ku niemu ręce, uśmiechając się dziwnie. Minął je niepewnym krokiem. Były upojone alkoholem. Gdy przechodził obok, kaszlały, śmiały się i trzęsły. Szamotały się po sali, jak kawki uwięzione w klatce.

Machały do niego, ale na to nie zważał. Naprawdę kiedyś o nich śnił? Marta zniknęła. Nigdzie nie widział też Charleya i starego Pitta. Może stwierdzili, że nic mu nie jest i wrócili na brzeg pilnować łodzi. A Towin i Becky? Nie, nie było ich tu... Siwobrody przypomniał sobie, po co szukał Bunny'ego Jingadangelowa. Zamiast wyjść, wrócił w odległy kąt domu, gdzie czekał już na niego nowy kufel, a doktor siedział, trzymając na kolanach osiemdziesięcioletnią rozpustnicę. Kobieta jedną ręką obejmowała go za szyję, a drugą gładziła królicze głowy jego futra.

– Posłuchaj, doktorze, przyszedłem tu nie w swojej sprawie, lecz w imieniu pary, która towarzyszy mi w podróży – powiedział Siwobrody pochylając się nad stołem. – Kobieta, Becky, twierdzi, że spodziewa się dziecka, choć ma pewnie ponad siedemdziesiąt lat. Chciałbym, żebyś ją zbadał i sprawdził, czy się nie myli.

– Usiądź, mój przyjacielu, a porozmawiamy o twojej brzemiennej towarzyszyce – odparł Jingadangelow. – Pij, bo jak mniemam, zapłacisz za tę kolejkę. Urojenia starszawych dam to główny temat rozmów wieczorną porą, co Jean? Pewnie żadne z was nie pamięta tego wierszyka – jak to szło? W lustro patrzę, na zniszczoną skórę... – tak, właśnie tak.

*Lecz Czasu moc okrutna*

*Część niszczy, część ocala,*

*I w kručze bije włókna*

– Wzruszające, co? Przypuszczam, że tej twojej damie tylko burczy w brzuchu i tyle. Ale oczywiście przyjdę ją zbadać. To mój obowiązek. Powiem jej, naturalnie, że jej rodzina się powiększy, jeśli to właśnie chce ode mnie usłyszeć. – Jingadangelow złączył pulchne dłonie i zmarszczył brwi.

– I nie ma szans na to, by naprawdę oczekiwała dziecka?

– Mój drogi Timberlane – pozwól, że nie użyję twego dość niedorzecznego przydomku – nadzieja potrafi wypełnić ludzkie łono, tak jak i ludzką pierś, ale zdumiewa mnie, że ty także ją żywisz.

– Chyba tak. Sam mówiłeś, że nadzieja jest cenna.

– Nie cenna, lecz niezbędna. Ale należy ją mieć dla siebie. Pokładając nadzieje w innych, niezmiennie się rozczarowujemy. Nasze marzenia mają władzę tylko nad nami. Ponieważ wiem, jaki jesteś, widzę, że naprawdę przyszedłeś do mnie we własnym imieniu. Cieszy mnie to. Mój przyjacielu, kochasz życie, kochasz je ze wszystkimi jego smakami, z wszystkimi smakami i niesmakami i pragniesz mego lekarstwa dającego nieśmiertelność, prawda?

Wspierając pulsującą głowę na dłoni, Siwobrody łyknął więcej alkoholu.

– Wiele lat temu byłem w Oksfordzie – powiedział. – A dokładnie w Cowley. Wtedy usłyszałem o pewnej kuracji. To były tylko plotki. Mówiono o leczeniu, które mogło przedłużyć życie nawet o kilkaset lat. Nad czymś takim pracowano w tamtejszym szpitalu. Czy możliwe, że udało się to osiągnąć? Zanim uwierzę, muszę zobaczyć naukowe dowody.

– Oczywiście, naturalnie, niewątpliwie. Właśnie tego spodziewałbym się po człowieku takim, jak ty – powiedział Jingadangelow, przytakując tak energicznie, że kobieta o mało co nie zsunęła się z jego kolan. – Najlepsze naukowe dowody są empiryczne. Dostaniesz takie. Otrzymasz pełną kurację – bo jestem pewien, że cię na nią stać – i sam się przekonasz, że już nigdy nie zestarzejesz się nawet o jeden dzień.

– Czy będę musiał się udać do Mockweagles? – spytał Siwobrody, mrużąc oczy i przyglądając się podejrzliwie rozmówcy.

– A to spryciarz, co Ruthie? Dobrze sobie wszystko przygotował. Właśnie z takimi ludźmi lubię mieć do czynienia. Otóż...

– Gdzie to jest?

– Można by to miejsce nazwać moim laboratorium badawczym. Przebywam tam, gdy nie podróżuję.

– Wiem, wiem. Trochę przede mną zataiłeś, doktorze Jingadangelow. Słyszałem, że Mockweagles ma dwadzieścia dziewięć pięter i bardziej przypomina zamek niż wieżowiec...

– Twoi informatorzy chyba lekko przesadzili, Timberlane, ale ogólny obraz jest

---

<sup>3</sup> [ T. Hardy, „*W lustro patrzę*”, przekład Z. Kubiak, Poezje wybrane, PIW 1989]

zadziwiająco akuratywny. Joanna może to potwierdzić, prawda złotko? Najpierw jednak musimy ustalić kilka szczegółów. Na pewno zechcesz, by twoja cudna żona także przeszła kurację, tak?

– Oczywiście, stary głupcze. Ja też potrafię recytować wiersze. Żeby zostać członkiem DGHW(A) niezbędne było wykształcenie. „Zdrady są w związku dusz niewiernych nieznanne, albowiem miłość nie będzie miłością” Jak to dalej szło? Szekspir, doktorze, Szekspir. Miałeś kiedyś przyjemność go poznać? Uczony pierwszej klasy... Och, oto i moja żona, Marta!

Ciężko podniósł się od stołu, przewracając kufel. Marta pospieszyła ku niemu. Na jej twarzy malował się niepokój. Charley Samuels szedł tuż za nią, niosąc Izaaka na rękach.

– Och Algi, Algi, natychmiast musisz pójść z nami. Zostaliśmy obrabowani!

– Jak to obrabowani? – Spojrzał na nią głupio, mając jej za złe, że przerwała jego tok myślenia.

– Kiedy nieśliśmy cię tutaj po tym, jak cię napadnięto, złodzieje dostali się do łodzi i zabrali wszystko, co wpadło im w łapy.

– Owce!

– Wszystkie znikły. I nasze zapasy także. Siwobrody odwrócił się do Jingadangelowa i wykonał gest przypominający uprzejme pożegnanie.

– Do zobaczenia, doktorze. Muszę iść – to złodziejska melina – obrabowano nas.

– Zawsze czuję smutek, gdy widzę cierpienie uczonego umysłu, Timberlane – odparł Jingadangelow, kłaniając się wielką głową Marcie. Żadna inna część jego ciała nie poruszyła się przy tym.

Siwobrody wyszedł na zewnątrz z żoną i przyjacielem.

– Dlaczego zostawiliście dobytek? – spytał łamiącym się głosem.

– Przecież wiesz, dlaczego! Musieliśmy je zostawić, kiedy usłyszeliśmy, że znalazłeś się w tarapatkach. Powiadomiono nas, że zostałeś pobity. Zabrali wszystko, zostały tylko łodzie.

– Moja strzelba!

– Na szczęście Jeff Pitt zabrał ją ze sobą.

Charley postawił lisa na ziemi i zwierzę pociągnęło naprzód. Szli w ciemnościach, nierówną drogą. Wokół paliło się już niewiele świateł. Siwobrody uświadomił sobie, że zrobiło się późno. Zupełnie stracił poczucie czasu. Pojedyncze okno tawerny Potslucka zasłonięto deskami. Z ognisk pozostały tłące się stożki popiołu. Właściciele zamykali kilka ostatnich straganów; poza tym, wokół było cicho. Wąski wiór księżycyca wysoko nad głowami rzucał światło na rozlewisko rzeki wyrzynającej swój szlak w ciemnej masie łądu. Chłodne powietrze uspokoiło pulsowanie w głowie Siwobrodego.

– Na pewno stoi za tym ten Jingadangelow – powiedział wściekle Charley. – Z tego co widziałem i słyszałem, trzyma w garści wszystkich podróżnych. To szarlatan. Nie powinieneś mieć z nim nic wspólnego, Siwobrody.

– Szarlatani też mają swoje ambiwalencje – odparł Algi. Gdy tylko to powiedział, zdał

sobie sprawę z niedorzeczności tych słów, dlatego pospiesznie dodał – Gdzie są Becky i Thomas?

– Przy rzece razem z Jeffem. Najpierw nie mogliśmy ich znaleźć, ale potem sami się zjawili. Świątowali.

Zeszli z drogi i poczłapali po rozmokłym gruncie. Przy brzegu, obok łodzi kulila się pozostała trójka towarzyszy. Trzymali dwie latarnie. Wszyscy w milczeniu stanęli blisko siebie. Świątowanie dobiegło końca. Izaak z nieszczęśliwą miną człapał w błocie. W końcu Charley go pożałował i wziął na rękę.

– Chyba najlepiej będzie odpłynąć stąd jak najszybciej – powiedział Siwobrody, kiedy po bliższych oględzinach stwierdził, że rzeczywiście zostały im tylko dwie łodzie. Na szczęście nikt ich nie uszkodził. – To nie miejsce dla nas i wstydzę się roli, jaką odegrałem w wydarzeniach dzisiejszego wieczoru.

– Gdybyś posłuchał mojej rady, nigdy nie opuściłbyś łodzi – powiedział Pitt. – Ci tutaj, to zgraja rzezimieszków. Najbardziej żal mi owiec.

– Mogłeś zostać przy łodziach, tak jak ci nakazano – odparł ostro Siwobrody, po czym odwrócił się do pozostałych. – Czuję, że lepiej nam będzie na rzece. Noc jest pogodna. Wiosłując, pozbędę się alkoholu z krwi. Do jutra dotrzemy do Oksfordu i tam znajdziemy jakąś pracę i schronienie. Na pewno bardzo się tam zmieniło od czasu, gdy Marta i ja byliśmy tam po raz ostatni. Już sam nie wiem, ile lat upłynęło. Czy wszyscy się zgadzacie na to, by od razu opuścić tę złodziejską melinę?

Towin zakaszła i przełożył latarnię z ręki do ręki.

– Prawdę mówiąc, ja i moja pani myśleliśmy, żeby tu zostać. Bo widzicie, poznaliśmy parę wspaniałych przyjaciół. Nazywają się Liz i Bob. Pomyśleliśmy, że dołączymy do nich, jeśli wy się temu nie sprzeciwiacie. I tak nie chcieliśmy spływać w dół rzeki, tak jak wy. – W świetle księżycy zobaczyli, jak wykrzywia twarz w uśmiechu zranionego wilka i szura stopami.

– W moim stanie potrzebuję odpoczynku – powiedziała Becky. Mówiła śmielej niż jej mąż, patrząc na pozostałych przez bladą poświatę. – Mam już dość siedzenia w tej małej, przeciekającej łodzi. Lepiej nam będzie tutaj z naszymi przyjaciółmi.

– Mylisz się Becky – odezwała się Marta.

– Jak to, mam się zaziębić na śmierć na tej łodzi? W moim stanie? Tow się ze mną zgadza.

– Bo nie ma wyjścia – zauważył Pitt.

Na moment zapadła cisza. Stali otoczeni ciemnościami, razem, lecz osobno. Wielu uczuć nigdy nie zdołaliby wyrazić. Poddawali się prądom sympatii i niechęci, bliskości i awersji – mglistym, lecz wcale przez to nie słabszym.

– No dobrze, skoro tak postanowiliście, ruszymy dalej bez was – powiedział Siwobrody. – Radzę wam tylko, byście pilnowali tego, co do was należy.

– Nie opuszczamy was chętnie, Siwobrody – przyznał Tovin. – Ty i Charley możecie zatrzymać pieniądze, które jesteście mi winni.

– Wybór należy do was.

– Tak właśnie powiedziałam – stwierdziła Becky. – Sądzę, że jesteśmy już dość starzy, żeby o siebie się zatroszczyć.

Kiedy wszyscy ściskali sobie dłonie i żegnali się, Charley zaczął podskakiwać i kląć.

– Ten lis pozbierał chyba wszystkie pchły chrześcijańskiego świata. Izaak, ty potworze, wypuszczasz je teraz na mnie!

Postawił zwierzę na ziemi i nakazał mu wejść do wody. Lis zrozumiał, o co się go prosiło. Wsunął się do rozlewiska tyłem, powoli, bardzo powoli, najpierw kita, potem rdzawy tułów, a na końcu głowa. Pitt trzymał w górze latarnię, aby pozostali mogli wszystko widzieć.

– Co on robi? Zamierza się utopić? – spytała zaniepokojona Marta.

– Nie, Marto, tylko ludzie odbierają sobie życie – odparł Charley. – Zwierzęta mają więcej wiary. Izaak wie, że pchły nie lubią zimnej wody. To jego sposób, aby się ich pozbyć. Wspinają się coraz wyżej po jego ciele, a potem na jego pysk, żeby tylko nie zamoknąć. Widzicie? Patrzcie co teraz będzie.

Już tylko fragment głowy lisa wystawał ponad powierzchnię. Zwierzę wchodziło coraz głębiej, zostawiając ponad wodą tylko pysk. Potem zanurkowało. Krąg pcheł został na powierzchni. Izaak wyszedł metr od nich, wskoczył na brzeg, otrząsnął się i pędem zrobił kilka kółek, po czym wrócił do swego pana.

– Nigdy nie widziałem sprytniejszej sztuczki – powiedział Tovin do Becky, kiwając głową. Pozostali zaczęli wsiadać do łodzi. – Jak się tak nad tym zastanowić, to cały świat właśnie to robi z ludźmi – strząsa nas sobie z pyska.

– Bzdury opowiadasz, Townie Thomasie – odparła jego żona.

Oboje stali, machając na pożegnanie i patrząc na wolno odpływające łodzie. Tovin wykrzywił twarz, obserwując jak kontury podróżnych wtapiają się w mrok.

– No to ich pożegnaliśmy – odezwał się Charley, ciągnąc ku sobie wiosło. – Becky miała wprawdzie ostry jęzor, ale przykro mi zostawiać ich w takiej złodziejskiej norze.

Holowali teraz małą łódkę Jeffa Pitta, by mógł siedzieć z nimi.

– Kto nas okradł? Może to ludzie Jingadangelowa zabrali nam wszystko? Choć nie zdziwiłbym się, gdyby to był stary Tovin. Nigdy mu nie ufałem. Przebiegły łotr.

– Nieważne, kto to zrobił. Pan nas nakarmi – powiedział Charley i garbiąc plecy wsunął pióro wiosła głębiej w gęstą od wodorostów wodę.

## Rozdział czwarty – Waszyngton

Przez pierwsze ponure dni w Sparcot, kiedy zgromadzona tam hałastrza zaczęła się przekształcać w społeczność, a dręczone plagami lato ustąpiło miejsca słotnej jesieni, Charley Samuels nie zdawał sobie sprawy, że znał wielkiego, brodatego mężczyznę z łysą głową. W tamtych czasach wszyscy wypatrywali przede wszystkim wrogów, nie przyjaciół.

Charley przybył do Sparcot zupełnie przygnębiony kilka dni po Timberlane'ach.

Jego ojciec, Ambrose Samuels, miał niewielką księgarnię w jednym z miast na południowym wybrzeżu. Był posępny i wybuchowy. Kiedy miał dobry humor, czytywał na głos pani Samuels, małemu Charleyowi i jego dwóm siostram, Ruth i Racheli. Czytał fragmenty tysięcy przestarzałych ksiąg teologicznych, piętrzących się na pięterku starej księgarni albo prace niemodnych, ponurych poetów, którzy sprzedawali się nie lepiej od teologów.

Nic dziwnego, że większa część tych martwych tekstów zapadła Charleyowi w pamięć. Później potrafił cytować ich fragmenty, nie wiedząc, kto jest ich autorem ani kiedy zostały napisane. Pamiętał tylko, że pochodziły z ksiąg, które jego ojciec oznaczał jako „złotoczona dwu-trzycalówka” albo „ósemka w drewnie obciągniętym jagnięcą skórą”.

*Każdemu się zdaje, że śmierć tylko innym  
Przypada w udziale, dopóki wstrząs losu  
Raz nie trafi w serce ranne nagłą trwogą.  
Lecz rana w sercu, jak powietrze zranione  
Wnet się zamknie, drzewce śladu nie zostawi.  
Wszak od cięcia skrzydła w niebie blizny nie ma;  
W fali dartej kilem bruzda wnet zanika;  
Tak i w ludzkim sercu ginie myśl o śmierci.  
Nawet żalu łza, którą Natura roni  
Po nam ukochanych, wnet wsiąka w mogiłę.*

To było kłamstwo. Kiedy Charley miał jedenaście lat, potworny wstrząs na zawsze zasiał w nim myśl o śmierci. W jedenastym roku jego życia przyszła choroba popromienna – rezultat celowego działania, które ludzie nazwali Wypadkiem. Rok później jego ojciec zmarł na raka.

Księgarnia została sprzedana. Pani Samuels zabrała dzieci do rodzinnego miasta, gdzie dostała posadę sekretarki. Charley w wieku piętnastu lat poszedł do pracy. Jego matka zmarła trzy lata później.

Chłopak podejmował się wielu zajęć, które nie wymagały kwalifikacji i jednocześnie próbował zastąpić siostram ojca. Miało to miejsce pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku. W porównaniu z tym, co przyszło później, były to czasy dość stabilne pod względem moralnym i ekonomicznym. Niestety, Charley miał coraz większe problemy ze znalezieniem pracy. Patrzył, jak siostry dostają dobre posady, a on wciąż był bezrobotny.

Wybuch wojny ostatecznie ukształtował jego charakter. Miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat. Na świecie obłąd gonił obłąd. Całe nacje wykrwawiały się walcząc o garstkę dzieci, które przeżyły. Wówczas Charley doszedł do wniosku, że jeśli całe dzieło stworzenia nie było zwykłą drwiną, musiało istnieć coś wyższego od człowieka. Tylko w religii widział antidotum rozpacz. Ochrzcił się w kościele metodystów – decydując się na krok, który rozwścieczyłyby jego ojca.

Aby uniknąć powołania na front, przyłączył się do Korpusu Infantop, międzynarodowego przedstawicielstwa organizacji poszukującej dzieci, której zadaniem było ocalanie życia, a nie odbieranie go. Musiał opuścić Ruth i Rachelę. Praca rzuciła go w gąszcz globalnej kampanii. Właśnie wtedy poznał Algiego Timberlane'a.

Po rewolucji i wycofaniu się Wielkiej Brytanii z wojny w 2005 roku, Charley wrócił do domu, aby ponownie zaopiekować się siostrami. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że obie trudniły się prostytutką i wiodło im się doskonale. Wszystko odbywało się bardzo dyskretnie. Dziewczęta popołudniami pracowały w pobliskim sklepie. Charley nie dopuszczał do siebie świadomości tego, kim stały się jego siostry. Zamieszkał z nimi i zawsze stawał w ich obronie.

Został sławnym wykidajką ich kwitnącego przedsięwzięcia. Za władzy Koalicji i później Zjednoczonych Rządów, nastaly ciężkie czasy. Świat coraz bardziej się pograżał w starości i chaosie. Zarobki sióstr stały się niezbędne. Ich interes prosperował, dopóki w Anglii nie rozpanoszyła się cholera.

Potem Charley zabrał siostry z opanowanego przez zarazę miasta na wieś. Rachelę i Ruth nie protestowały. W swojej profesji widziały dość, by zacząć się bać. Kiedy jeden z klientów umarł na schodach ich domu, bez wahania wsiadły do małego auta, które brat kupił za pieniądze zaoszczędzone podczas wojny.

Za miastem samochód stanął. Znaleźli nylonową pończochę wepchniętą w miskę

olejową. Dalej ruszyli pieszo, niosąc bagaże na plecach. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że znaleźli się na drodze do Sparcot. Tym samym szlakiem wędrowało wielu uciekinierów.

Wędrówka z miasta była potworna. Wśród uczciwych podróżnych nie brakowało bandytów, którzy napadali na towarzyszy, podcinali im gardła i zabierali dobytek. Tą samą drogą szedł jeszcze jeden rabuś; ten wnikał w krew, występował kroplami potu na czoło i miał tylko jeden cel – odbierać życie. Pierwszej nocy zakradł się do Ruth, a trzeciej do Racheli. Zostawił je leżące twarzami do góry w kopczykach próchnicy, nad którymi Charley postawił krzyże z zakurzonych gałęzi żywopłotów.

Kiedy Samuels dokuśtykał do wątpliwego schronienia Sparcot (pomagając po drodze kobiecie o imieniu Iris, którą półtora roku później poślubił), był już zamkniętym w sobie człowiekiem. Nie chciał się interesować światem. W jego zranionym sercu strach znalazł stałą kwaterę.

I on, i Timberlane zmienili się tak bardzo, że rozpoznali się dopiero po jakimś czasie. Tamtego pierwszego roku w Sparcot, w 2019, upłynęło niemal dwadzieścia lat odkąd widzieli się po raz ostatni. W 2001, kiedy wojna toczyła się na całym świecie, obaj służyli w Korpusie Infantop. Potem wysłano ich za granicę, by przeczesali doliny w Assam...

Z ich patrolu przeżyli tylko oni dwaj. Z przyzwyczajenia, jak zawsze szli w szeregu. Ten z tyłu, kapral Samuels, niósł jadaczkę” – lekką broń jądrową – rozmaite torby z zapasami i bidon z wodą. Szedł jak lunatyk. Co chwila się potykał, gdy schodzili po zboczu zalesionego wzgórza.

Przed nim kiwała się głowa dziecka, wisząca w dół i patrząca niewidzącym okiem. Lewe ramię dzieciaka machało się przy udzie mężczyzny, który niósł go na szerokich barkach. Chłopiec, potomek plemienia Naga, miał delikatną budowę, ogoloną głowę i najwyżej dziewięć lat. Był nieprzytomny. Muchy bezustannie bzyczały wokół jego oczu i rany na udzie, ale mały tego nie czuł.

Niósł go sierżant Timberlane, opalony, dwudziestosześcioletni mężczyzna. Do pasa przytroczył kaburę z rewolwerem i różne elementy ekwipunku. W dłoni ścisnął długi kij, którym pomagał sobie maszerując piaszczystą ścieżką prowadzącą w dół, do doliny.

W Assam była akurat pora suszy. Drzewa, wysokie najwyżej na trzy metry, stały jak martwe, smętnie zwieszając liście. Rzeka na dnie doliny wyschła, pozostawiając tylko piaskowy szlak, wzdłuż którego mogły się poruszać wozy i poduszkowce. Kurz, który pojazdy wzbijały w powietrze, osiadał na drzewach po obu stronach koryta, wybielając je tak bardzo, że zaczęły przypominać od dawna nie używane dekoracje studia filmowego. Piaszczyste koryta lśniły w promieniach słońca.

W prześwicie Timberlane przystanął, pewniej układając rannego chłopca na ramieniu. Charley wpadł na niego.

– Co jest, Algi? – spytał, otrząsając się z zamyślenia i wracając do męczącej przytomności. Spojrzał na głowę dziecka. W ledwo widocznej szczecinie włosów roilo się od



małych muszek jak od wszy. Oczy chłopca były równie pozbawione wyrazu co galareta. Ludzka twarz oglądana do góry nogami, traciła zwykły wygląd.

– Mamy gości. – Ton głosu Timberlane’a natychmiast otrzeźwił Charleya.

Zanim ruszyli na drugą stronę wzgórza, ukryli oddziałowy poduszkiwiec za niewielkim wzniesieniem, narzucając na niego siatkę maskującą. Teraz przy wzniesieniu zatrzymał się ambulans na gąsienicach, amerykańskiego projektu. Obok niego stali dwaj mężczyźni. Trzeci sprawdzał poduszkiwiec.

Tę małą skapaną w słońcu scenę nagle zakłócił klekot broni maszynowej. Timberlane i Charley bez zastanowienia przypadli płasko do ziemi. Chłopiec Naga jęknął, gdy Algi przetoczył go na bok, podnosząc do oczu lornetkę. Uważnie prześledził otwarte zbocze po lewej stronie, skąd strzelano. Dostrzegł tam przyczajone postacie. Ich stroje koloru khaki odcinały się ciemnymi plamami od zakurzonych, białych zarośli. Kontury stały się bardziej wyraźne, gdy ustawił ostrość.

– Tam są! – powiedział. – Pewnie ci sami dranie, na których wpadliśmy po przeciwnej stronie wzgórza. Ustaw „jadaczkę”, Charley. Rozprawmy się z nimi.

Charley już rozstawiał obok broń. W dole, w korycie rzeki, jeden z trzech Amerykanów, trafiony pierwszą serią z broni maszynowej, padł w piasek. Z trudem się przeczołgał w cień ambulansu. Jego dwaj towarzysze skryli się w zaroślach. Nagle jeden z nich wyskoczył zza zasłony i rzucił się w stronę pojazdu. Broń wroga odezwała się ponownie. Małe chmury kurzu tryskały wokół biegnącej postaci. Mężczyzna zrobił gwałtowny unik, wywinął orła i zanurkował w zakurzone liście, znikając z pola widzenia.

– Zaczyna się! – mruknął Charley. Warstwa pyłu na jego twarzy, zamieniona przez pot w skorupę błota, zmarszczyła się, gdy zatrzasnął lufę broni na miejscu. Zaciśnął zęby i pociągnął za spust. Mały pocisk nuklearny ze świstem przeleciał ponad pokrytym niskimi krzakami zboczem.

– Dawaj drugi, najszybciej jak możesz – wymruczał Timberlane, klękając przy broni i ładując magazynek. Charley przełączył na automat i przytrzymał spust. Puścił serię. Pociski zmierzały do celu z piskiem nietoperzy. Małe brązowe postaci na zboczu rzuciły się w poszukiwaniu schronienia. Timberlane wyciągnął rewolwer i wycelował w nie, ale odległość była za duża na dokładny strzał.

Leżeli patrząc, jak obłok dymu ściele się po zboczu. Ktoś krzyczał. Wyglądało na to, że tylko dwaj wrogowie zdołali zbiec, wycofując się ku szczytowi.

– Możemy zaryzykować i zejść na dół? – spytał Charley.

– Chyba nie będą nas zatrzymywali. Mają dość.

Wspólnie rozmontowali broń, ponownie ułożyli dziecko na ramieniu Algiego i ostrożnie ruszyli w dół. Kiedy zbliżali się do czekających pojazdów, jeden z Amerykanów wyszedł im naprzeciw. Był szczupłym, najwyżej trzydziestoletnim mężczyzną o ciemnych, niemal połączonych brwiach i jasnej, krótko przyciętej czuprynie. Podeszedł do nich, wyciągając

paczkę papierosów.

– Pojawiliście się w samą porę, chłopcy. Dzięki za sprawne załatwienie tego komitetu powitalnego.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparł Timberlane, ściskając dłoń mężczyzny i biorąc papierosa. – Mieliśmy już przyjemność poznać ten mały oddziałek po przeciwnej stronie wzgórza, przy Mokachandpur. Wystrzelali nam towarzyszy, więc traktujemy ich jako osobistych wrogów. Chętnie skorzystaliśmy z okazji, by jeszcze raz dobrać im się do skóry.

– Jesteś Anglikiem, tak? Nazywam się Jack Pilbeam, Oddział Specjalny Piątego Korpusu. Właśnie się tędy przeprawialiśmy, kiedy zobaczyłem wasz pojazd i zatrzymałem się, by sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Przedstawili się. Timberlane położył nieprzytomnego chłopca w cieniu. Pilbeam otrzepał mundur z kurzu i razem z Charleyem poszli sprawdzić, co się stało z towarzyszami Amerykanina.

Algi na moment przykucnął przy chłopcu, przykrył liściem ranę na jego udzie i otarł mu z twarzy kurz i łzy, odpędzając muchy. Spojrzał na szczupłe, brązowe ciało, zbadał puls malca. Linia jego ust wykrzywiła się. Miał wrażenie, że patrzy poprzez szybko unoszącą się i opadającą klatkę piersiową i przez skorupę ziemi w gorzkie serce życia. Nie znalazł tam prawdy, tylko coś, co rozpoznał jako egoistyczne kłamstwo zrodzone w jego własnym sercu: tylko ja jeden kocham dzieci tak, jak powinno się je kochać!

– Za wzgórzem było ich troje – powiedział na głos, bardziej do siebie niż do towarzyszy. – Prócz niego jeszcze dwie dziewczynki, siostry. Ładne dzieciaki, dzikie jak kozły śnieżne. Prawidłowo rozwinięte. Dziewczynki zginęły w deszczu pocisków, rozdarte na strzępy na naszych oczach.

– Więcej ich ginie, niż zostaje ocalonych – stwierdził Pilbeam. Klęczał przy skulonej postaci w cieniu ambulansu. – Moi dwaj kumple nie żyją – no, może kumple to niewłaściwe określenie. Kierowcę poznałem dopiero wczoraj, a Bill przyjechał tu ze Stanów w tym samym czasie, co ja. Ale z tego powodu wcale nie jest mi lżej. Przeklęta wojna. Po co my do cholery walczymy, skoro świata i tak kończą się zapasy ludzkiego życia? Pomożecie mi załadować ich na wóz?

– Zrobimy nawet więcej – obiecał Timberlane. – Jeśli wracasz do Wokha, a przypuszczam, że tak, będziemy się nawzajem eskortować na wypadek, gdyby na okolicznych szczytach znalazło się więcej takich wesołych kompanii.

– Zgoda. Macie we mnie kompana, a przyznam, że i mnie się przyda wasze towarzystwo. Ciągle jeszcze trzęsę się jak liść. Musicie dziś wieczorem przyjść do PX. Napijemy się razem za życie. Może być, sierżancie?

Kiedy załadowali dwa, ciepłe jeszcze ciała do ambulansu, Pilbeam zapalił kolejnego papierosa i spojrzał Timberlane'owi prosto w oczy.

– Tylko jedno mnie pociesza – powiedział. – Ta wojna naprawdę będzie ostatnią. Po niej

nie zostanie już nikt, kto mógłby zacząć następną.

Tamtego wieczoru Charley zjawił się w PX przed Timberlane'em. Kiedy wszedł do niskiego budynku, bzyczenie owadów zastąpił szum fabryki. Jack Pilbeam siedział nad szklanką przy stoliku w kącie. Na powitanie wstał. Miał na sobie porządnie uprasowany oliwkowy kombinezon. Skóra jego twarzy świeciła. Wydawał się teraz bardziej krępy i, o dziwo, sroższy niż kiedy stał na tle umierającej dżungli. Z aprobatą spojrział na znak Korpusu Infantop na stroju Charleya.

– Czego się napijesz... Charley, tak? Ja już mam kilka na koncie.

– Nie piję. – Samuels już dawno temu nauczył się wypowiadać tę kwestię nie przepraszając. – Zabijam ludzi, ale nie piję – dorzucił, uśmiechając się kwaśno.

Pod wpływem nieokreślonego impulsu dodał wyjaśnienie, w którym znalazł się cień przeprosin. Może sprawił to fakt, że Jack Pilbeam był Amerykaninem, a Charleyowi zawsze łatwiej się rozmawiało z Amerykanami niż z ziomkami.

– Miałem jedenaście lat, kiedy twoi i moi rodacy zdetonowali te bomby w kosmosie. W wieku dziewiętnastu lat, niedługo po śmierci mojej matki, zaręczyłem się z Peggy Lynn. Być może był to rodzaj zadośćuczynienia, sam nie wiem. Peggy chorowała i wypadły jej wszystkie włosy, ale kochałem ją... Mieliśmy być razem. Najpierw przeszliśmy badania medyczne, które potwierdziły, że jesteśmy nieodwracalnie bezpłodni, tak jak wszyscy... To zabiło nasze uczucie.

– Wiem, jak to jest.

– Może i lepiej, że tak się stało. Musiałem przecież opiekować się dwiema siostrami. Ale od tamtej pory już niczego nie pragnąłem...

– Jesteś religijny?

– Tak, choć to raczej forma samo-wyrzeczenia.

Pilbeam miał jasne, bystre oczy. Sprawiały o wiele lepsze wrażenie niż jego zaciśnięte usta.

– W takim razie powinieneś bez problemu przetrwać kilka następnych dekad. Trzeba będzie wielu wyrzeczeń. Co się stało z Peggy?

Charley spojrział na dłonie.

– Straciliśmy kontakt. Podobno zmarła na białaczkę któregoś wiosennego dnia. Dowiedziałem się o tym dużo później.

Pilbeam długo nie odrywał ust od szklanki.

– Takie jest życie, jak zwykle mawiają o śmierci – powiedział w końcu. Ton jego głosu odarł słowa z cienia żartu, który mógłby im towarzyszyć.

– Kiedy wydarzył się Wypadek, byłem jeszcze dzieckiem, ale mam wrażenie, że straciłem wtedy wiele i niezauważenie oszalałem – powiedział Charley, przyglądając się swoim butom. – Tysiące, miliony ludzi w skrytości ducha zwariowało. Oczywiście, u niektórych obłąd wcale nie był ukryty. Nigdy nie udało im się pogodzić z tym co się stało,

choć minęło już dwadzieścia lat. Nawet po dwóch dekadach to wciąż jest obecne. Dlatego mamy wojnę, a ludzi ogarnia szal... Nigdy tego nie zrozumieć: powinniśmy przecież chronić każde młode życie, a tymczasem wszędzie walki... Szaleństwo!

Pilbeam patrzył posepnie jak Charley wyjmując papierosa i zapala go. Była to jedna z nowych, beztytoniowych marek. Charley zaciągał się tak mocno, aż papieros zaskwierczał.

– Ja nie tak widzę wojnę – powiedział Pilbeam, zamawiając następny bourbon Kentucky.  
– Według mnie to walka ekonomii. Może to przez moje wychowanie i wykształcenie. Mój ojciec – już nieżyjący – był dyrektorem sprzedaży w korporacji Jaguar Records. Potrafiłem powiedzieć „wskaźnik sprzedaży” zaraz po tym, jak nauczyłem się mówić „mama”. Gospodarki większych nacji trafiły w strumień zmian, ale jest to strumień jednokierunkowy. Wszystkie cierpią z powodu zabójczej choroby zwanej śmiercią i jak dotąd nikomu nie udało się jej zaradzić – choć wciąż trwają badania. Po kolei rozpada się przemysł za przemysłem nawet tam, gdzie ludzie nadal mają chęć pracować. Niestety, wkrótce i im zabraknie woli.

– Przepraszam – wtrącił Charley – ale niezupełnie rozumiem, o czym mówisz. Zupełnie się nie znam na ekonomii. Jestem tylko...

– Zaraz wszystko wyjaśnię. Tobie chyba mogę powiedzieć. Mój ojciec zmarł w zeszłym miesiącu. Nie, nie zmarł – zabił się. Wskoczył z pięćdziesiątego drugiego okna wieżowca Jaguar Records w Los Angeles. – Oczywiście Pilbeama błysnęły. Ściągnął brew, tak jakby chciał je zasłonić i powoli opuścił na stół zaciśniętą pięść. – Mój stary był częścią Jaguara. Dzięki niemu kręcił się interes, a on się kręcił dzięki firmie. Myślę, że w pewnym sensie był bardzo amerykański. Żył dla rodziny i pracy, miał sporo znajomych z firmy... A, do diabła z tym wszystkim. O czym ja mówię? Boże, przecież on jeszcze nie miał pięćdziesiątki! Skończył czterdzieści dziewięć lat. Korporacja zbankrutowała. Gorzej – przestała być potrzebna. Niemal z dnia na dzień zwiędła i umarła. Dlaczego? Dlatego, że rynek ich odbiorców zamykał się na młodzięży. Płyty Jaguara kupowały dzieciaki i nastolatki. Nagle ich zabrakło. Firma miała pełną tego świadomość. Przypominało to osuwanie się ku stromemu klifowi. Z każdym rokiem sprzedaż spadała, zmniejszały się wyniki, rosły koszty... Co na to poradzić? Co mieli do diabła robić? Nic, tylko czekać. Wszędzie jest mnóstwo firm, które ucierpiały tak samo. Jeden z moich wujów jest dyrektorem w Park Lane – firmie produkującej słodycze. Tamci może jeszcze utrzymają się przez kilka lat, ale cała struktura już się poważnie chwieje. Dlaczego? Bo najwięcej słodyczy zjadali ludzie przed dwudziestką. Ich rynek umarł – a raczej się nie narodził. Społeczeństwo ery techniki przypomina delikatną pajęczynę zrównoważonych sił. Jak zaczyna gnić jeden koniec, nie może tak po prostu odpaść, nie pociągając za sobą innych. Co w takiej sytuacji robić? Można tak jak mój ojciec wytrwać jak najdłużej, a potem złapać prąd zstępujący z pięćdziesiątego drugiego piętra.

– Wspomniałeś coś o tym, że ludziom zabraknie woli – powiedział cicho Charley, sącząc bourbona. Zazdrościł Pilbeamowi stanu lekkiego upojenia.

– Aa, tamto. No tak. Tacy jak mój ojciec i jego koledzy walczą, dopóki jest jeszcze jakaś

szansa. Z myślą o swoich synach próbują ocalić to, co się da. Ale my... My nie mamy synów. Co się stanie, jeśli ta klątwa bezdzietności nigdy nie przestanie działać? Zabraknie nam woli, by pracować, jeśli nie będzie nikogo, kto...

– Odziedziczyłby owoce naszej pracy? Też o tym myślałem. Chyba każdy człowiek się nad tym zastanawiał. Ale geny muszą w końcu się zregenerować. Od Wypadku minęło dwadzieścia lat.

– Chyba masz rację. W Stanach mówią, że bezpłodność ustąpi za jakieś pięć czy dziesięć lat.

– To samo mówili, kiedy żyła Peggy... Brytyjscy politycy tak gadają, kiedy chcą uciszyć wyborców.

– A amerykańscy producenci używają tego argumentu, namawiając klientów, by nie przestawali kupować. Niestety, cały przemysł się wali. Musimy prowadzić wojnę, utrzymywać upadającą produkcję, jakoś tłumaczyć różne braki, ukrywać inflację, nie przyznawać się do winy, zaostrzać nadzór... To straszny świat, Charley! Tylko popatrz na tych gości tutaj – wszyscy kupują sobie śmierć na raty i są tego w pełni świadomi...

Charley rozejrzał się po kolorowej sali z barem, pełnej grupek uśmiechniętych, siwiejących żołnierzy. Scena nie wydawała mu się tak ponura, jaką malował ją Pilbeam. Tym niemniej, należało przypuszczać, że każdy z tych ludzi w głębi duszy był świadomy żarłocznej zagłady, która połknęła już następne pokolenie. Jak na ironię, bezpłodna brać nie musiała obawiać się wojny jądrowej. Potężne bomby znikły po zaledwie półwiecznym istnieniu. Biosfera nadal była ciężka od promieniowania po Wypadku w 1981 roku. Nikt nie chciał ryzykować zwiększenia poziomu skażenia. Oczywiście istniała strategiczna broń jądrowa, przeciwko której neutralni stale protestowali, ale na wojnie trzeba było czymś walczyć, a skoro wciąż produkowano niewielkich rozmiarów broń nuklearną, używano właśnie jej. Czym było unicestwienie kolejnych kilku gatunków zwierząt, w porównaniu ze stumilową przewagą nad wrogiem, następnym medalem lub stopniem generała?

Przerwał bieg myśli, wstydząc się cynizmu, który przychodził mu zbyt łatwo. Panie, choć umieram, pozwól mi żyć!

Stracił wątek wywodu Pilbeama. Z ulgą zobaczył Algiego Timberlane'a wchodzącego do stołówki.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Timberlane, chętnie przyjmując bourbona z napojem imbirowym i lodem. – Poszedłem do szpitala sprawdzić, jak się czuje ten dzieciak, którego przywieźliśmy z Mokachandpur. Nadal jest w śpiączce i gorączkuje. Pułkownik Hodson wpompował w niego sporo mycetyny. Do rana będzie wiadomo, czy mały z tego wyjdzie. Jest ciężko ranny, możliwe, że będą musieli amputować mu nogę.

– A poza tym jest w porządku? To znaczy, bez mutacji? – spytał Pilbeam.

– Fizycznie jest zupełnie normalny. Dlatego, jeśli umrze, będzie to dla nas tym większy cios. Pomyśleć tylko, że straciliśmy Franka, Alana i Froggiego, żeby go dostać. Źle, że te

dwie dziewczynki zginęły pod gradem pocisków.

– Pewnie gdyby przeżyły, okazałyby się, że mają jakieś deformacje – powiedział Pilbeam. Zaproponował Anglikom krótkie cygaro, a gdy odmówili, sam zapalił. Od chwili, gdy zjawił się Timberlane, oczy Amerykanina obserwowały wszystko baczniej. Siedział prosto i uważniej kontrolował to, co mówił. – Dziewięćdziesiąt sześć procent maluchów znalezionych podczas operacji poszukiwania dzieci ma zewnętrzne lub wewnętrzne mutacje. Zanim do nas dołączyłeś, rozmawialiśmy z Charleyem na stary, wszechobecny temat obłądu świata. Najlepszym i najdobitniejszym przykładem szaleństwa z ostatnich dwudziestu lat jest fakt, że Zachód poświęcił pierwsze piętnastolecie na legalne zabijanie wszystkich małych potworków, urodzonych przez nieliczne kobiety, których nie dotknęła całkowita bezpłodność. Potem nasi „postępowi” myśliciele wpadli na pomysł, że owe potworki mogą mieć zdolność rozmnażania się i po jednym pokoleniu przywrócić równowagę. No i zaczęło się porywanie dzieci na skalę międzynarodową.

– Nie możesz tak mówić – wykrzyknął Charley. – Zgadzam się, że legalne mordowanie tych – jak je nazwałeś – potworków...

– Jak je nazwałem? A jak inaczej o nich mówić? Bez rąk i nóg, bez oczodołów w czaszkach, z kończynami przypominającymi rozdęte kształty ze starych obrazów Picassa!

– Ale mimo to należały do ludzkiego gatunku, miały nieśmiertelne dusze. Legalne mordowanie ich było gorsze niż obłąd. Na szczęście potem się opamiętaliśmy i zaczęliśmy opróżniać kliniki dla dzieci ludzi zacofanych. Nieszczęsne biedactwa mogły liczyć na opiekę...

Pilbeam zaśmiał się krótko.

– Przepraszam cię Charley, ale mówisz mi o historii, do której przyłożyłem rękę – a raczej palec. Widzę, że na wrywki znasz propagandowe slogany. Pamiętaj jednak, że ci tak zwani zacofani ludzie nie brali udziału w legalnych mordach! Oni kochali swoje straszdyła i pozwalali im żyć. To my nagle zmieniliśmy zdanie i doszliśmy do wniosku, że potrzebujemy ich potworków, żeby na nich wesprzeć naszą przyszłość. Mówiłem ci, że to wojna ekonomii. Demokracje – a także nasi komunistyczni przyjaciele – potrzebowały następnego pokolenia, wszystko jedno jakiego, które pracowałoby w ich fabrykach i konsumowało ich produkty... Stąd ta śmierdząca wojna! Kłóćmy się o to, co zostało! Świat oszalał, moi panowie! Do dna, sierzancie! Wznieśmy toast za przyszłe pokolenie konsumentów, bez względu na to, ile będzie miało głów na karku i dziur w tyłkach!

Gdy Timberlane i Pilbeam się roześmieli, Charley wstał.

– Muszę już iść – powiedział. – Jutro o ósmej mam służbę wartowniczą i powinienem wyczyścić mundur. Dobranoc, panowie.

Kiedy wyszedł, pozostali napełnili szklanki i odruchowo przysunęli się bliżej siebie.

– Z niego to taki Jezus żałujący za grzechy innych, co? – spytał Pilbeam.

– Jest spokojny – odparł Algi. – Dobrze mieć przy sobie kogoś takiego, kiedy wpadnie się w tarapaty. Dziś się o tym przekonałem. Tak to już jest z wierzącymi. Uważają, że skoro sami stoją po stronie Boga, wrogowie muszą popierać diabła, dlatego bez skrępowań walą w przeciwnika, ile wlezie.

Pilbeam spojrział na towarzysza przez chmurę dymu i uśmiechnął się lekko.

– Ty jesteś inny.

– Na swój sposób. Próbuje zapomnieć o tym, że jutro mamy pogrzeb naszych żołnierzy. Charley stara się o tym pamiętać.

– U nas też chowamy mojego znajomego i tego kierowcę. Będę musiał opóźnić wyjazd.

– Wyjeżdżasz?

– Tak. Wracam do Stanów. Poduszkowcem jadę do Kohimy, a stamtąd orbitalnym do Waszyngtonu. Moja praca tutaj już się skończyła.

– A czym się zajmujesz? Może nie powinienem pytać?

– Teraz wykonuję zadanie związane z projektem poszukiwania dzieci. Przeprowadzam rekrutację do nowego, globalnego programu. – Przerwał i spojrział uważnie na Timberlane'a.

– Algi, co byś powiedział, gdybyśmy wyszli stąd na mały spacer i poodychali trochę powietrzem Assam?

– Z chęcią.

Temperatura bardzo spadła, przypominając im, że znajdują się niemal trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Instynktownie ruszyli szybkim krokiem. Pilbeam wyrzucił niedopałek cygara i wgniół go w ziemię. Księżyc wisiał nisko na niebie. Głos pojedynczego ptaka podkreślał bezruch reszty stworzeń.

– Szkoda, że od Wypadku glob otoczony jest promieniowaniem i podróże w kosmos stały się niemal niemożliwe – odezwał się Pilbeam. – Może gdzieś w gwiazdach znaleźlibyśmy kryjówkę przed naszym ziemskim szaleństwem. Mój ojciec bardzo wierzył w podróże kosmiczne. Czytał wszystko na ich temat. Był z natury wielkim optymistą. Dlatego tak ciężko przeżył klęskę. Opowiadałem twemu przyjacielowi Charleyowi, że zabił się w zeszłym miesiącu. Nadal próbuję jakoś sobie z tym poradzić.

– Zawsze trudno jest pogodzić się ze śmiercią ojca. Nie da się zachować dystansu. Kiedy chodzi o kogoś bliskiego, kto był zawsze pełen życia, odbierasz to jako wielki cios.

– Mówisz tak, jakbyś znał to z doświadczenia.

– Trochę. Mój ojciec, tak jak wiele tysięcy ludzi, także popełnił samobójstwo. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej... Ty i twój ojciec byliście sobie bliscy?

– Nie. Może dlatego tak trudno mi się z tym pogodzić. Mogliśmy być blisko. Zmarnowałem szansę. A zresztą, do diabła z tym wszystkim.

Wijący z góry wiatr się wzmagał, ześlizgując się z wysokich szczytów ponad bazą. Szli z rękami w kieszeniach.

Pilbeam w milczeniu wspominał, jak ojciec starał się rozbudzić w nim idealizm. Mawiał: „Synu, nie pakuj się w biznes nagraniowy. Tu poradzą sobie bez ciebie. Jeśli chcesz, przyłącz się lepiej do poszukiwaczy dzieci”.

Jack wstąpił do organizacji, kiedy miał szesnaście lat. Zaczął od jej najniższych szczebli. Największym osiągnięciem Poszukiwaczy było założenie trzech Ośrodków dla Dzieci, obok Waszyngtonu, w Karachi i w Singapurze. Tam właśnie sprowadzano dzieci urodzone po Wypadku, jeśli udało się zdobyć zgodę ich rodziców. Malców uczono, jak żyć z ich ułomnościami i dostosować się do pogrążonego w kryzysie społeczeństwa, w jakim przyszły na świat.

Eksperyment nie okazał się wielkim sukcesem. Brak dzieci stawał się coraz bardziej wyraźny – w pewnym momencie na każde dziecko przypadało trzech psychiatrów. Ale przynajmniej próbowano wprowadzać zmiany na lepsze. Pracując w Karachi, Pilbeam był niemal szczęśliwy. Potem tamtejsze dzieci stały się przedmiotem międzynarodowego sporu. W końcu wybuchła wojna. Kiedy walki weszły w bardziej desperacką fazę, ośrodki dziecięce w Singapurze i Karachi zbombardowano z automatycznych satelitów orbitalnych i zniszczono. Pilbeam uciekł lekko ranny w nogę. Wrócił do Waszyngtonu i tam dowiedział się o samobójstwie ojca.

– Nie wyciągnąłem cię tutaj, żeby się nad sobą uzalać, tylko po to, żeby ci coś zaproponować – powiedział Jack po minucie ciszy. – Mam dla ciebie pracę. Prawdziwą pracę, zadanie na całe życie. Mogę załatwić to z twoim dowódcą, jeśli się zgodzisz...

– Hej, nie tak szybko! – zawołał Timberlane, rozkładając ręce na znak protestu. – Nie chcę pracy. Mam swoją. Ratuje dzieci kryjące się na tych wzgórzach.

– Ja mówię o prawdziwym zadaniu, nie o wakacjach dla uzbrojonych pielęgniarek. To najbardziej odpowiedzialna praca, jaką można sobie wyobrazić. Zawsze kieruję się przecuciem i mam pewność, że jesteś człowiekiem, jakiego szukamy. Mogę załatwić wszystko tak, że będziesz mógł lecieć ze mną do Stanów już jutro.

– O nie. Mam w Anglii dziewczynę, na której bardzo mi zależy. Pod koniec tygodnia miałem dostać przepustkę. Nie zgłoszę się na ochotnika, ale dziękuję za uznanie.

Pilbeam zatrzymał się i stanął naprzeciw Timberlane’a.

– Przywieziemy ci dziewczynę samolotem do Waszyngtonu. Pieniądze to nie problem, wierz mi. Pozwól przynajmniej, że powiem ci, o co chodzi. Żyjemy w czasach niezwykle interesujących pod względem społecznym i ekonomicznym, o ile człowiek potrafi się zdobyć na obiektywizm i postrzegać je w takim świetle. Dlatego powstała uniwersytecka grupa wspierana przez korporacje i rząd. Jej zadaniem jest studiowanie i rejestracja wszystkiego, co się dzieje na świecie. Możliwe, że jeszcze o niej nie słyszałeś – jest nowa i próbujemy nie rozgłaszać jej istnienia. Nadaliśmy jej nazwę Dokumentatorzy Globalnej Historii Współczesnej – w skrócie DGHW. Potrzebujemy rekrutów, którzy działaliby we wszystkich krajach. Wróc ze mną do kwatery, a poznasz Billa Dysona, który odpowiada za projekt w



strefie Azji Południowo-Wschodniej. Opowiemy ci o wszystkich szczegółach.

– To szaleństwo. Nie mogę się do was przyłączyć. Twierdzisz, że przywieźlibyście Martę z Anglii, żebym mógł się z nią zobaczyć?

– Czemu nie? Sam wiesz, dokąd zmierza Anglia. Pod nowymi rządami i w stanie wojny, cofa się w mroczne czasy. Wam obojgu przez jakiś czas będzie lepiej w Ameryce, dopóki nie zakończysz szkolenia. Warto się chyba nad tym zastanowić, co? – Jack zauważył wyraz twarzy Timberlane’a. – Nie musisz się decydować od razu – dodał. – Nie mogę... Ile czasu mam na decyzję? Pilbeam spojrział na zegarek i podrapał się w czaszkę paznokciem.

– Powiedzmy, że do chwili, kiedy wlejemy sobie w gardło kolejnego drinka, może być?

Na zakurczonym pasie startowym w Kohimie dwaj mężczyźni wymieniali uścisk dłoni.

– Przykro mi, że tak zniecka wyjeżdżam, Charley.

– Dowódca pewnie widzi to jeszcze gorzej.

– Potulnie przyjął wszystko do wiadomości. Nigdy się nie dowiem, jakiego szantażu użył Pilbeam.

Przez chwilę panowała kłopotliwa cisza.

– Żałuję, że nie jadę z tobą – odezwał się w końcu Charley. – Byłeś dobrym przyjacielem.

– Twój kraj cię potrzebuje, Charley, przecież wiesz.

– Może gdybym był lepszy, wzięliby mnie z tobą.

Zakłopotany Timberlane wspiął się po stopniach do samolotu i odwrócił się, żeby pomachać na pożegnanie. Przez chwilę przyglądali się sobie, po czym Algi zniknął w kokpicie.

Orbitalny odrzutowiec pomknął przez blade wieczoru, zmierzając po transpolarnej paraboli na przeciwległą półkulę. Słońce długo wahało się nad zachodnią krawędzią świata. Ziemia, daleko w dole, płowiła mieszaniną ciemności i światła.

Jack Pilbeam, Algi Timberlane i Bill Dyson siedzieli razem. Z początku niewiele się odzywali. Dyson był krępy męczyzną i wyglądał na twardziela, podczas gdy Pilbeam przypominał intelektualistę. Miał łysą głowę i sympatyczny uśmiech. W przeciwieństwie do spiętego Pilbeama, zachowywał się swobodnie. Choć miał najwyżej dziesięć lat więcej niż Timberlane, sprawiał wrażenie o wiele starszego.

– W DGHW jesteśmy profesjonalnymi pesymistami, panie Timberlane – powiedział. – Jeśli chodzi o przyszłość, musimy być realistami i nie możemy się nad niczym rozczulać. Trzeba się pogodzić z faktem, że skoro w ludzkich organach rozrodczych zniszczono istotne geny, istnieje prawdopodobieństwo, iż nie zdołają ich już odbudować. W takiej sytuacji młodzi ludzie, pan i ten drań Pilbeam, jesteście przedstawicielami ostatniej generacji ludzkiego gatunku.

– Mam wrażenie, że oferujecie pracę dziennikarzom – zauważył Timberlane.

– Nie, proszę pana, potrzebujemy zrównoważonych, prawych ludzi. To nie pogoń za

sensacjami, to sposób życia.

– Raczej sposób umierania, Bill – sprostował Pilbeam.

– I jedno, i drugie. Jak mówi modlitwa, rodzimy się, by umrzeć.

– Mimo to, nadal nie widzę sensu takiej pracy, skoro ludzki gatunek ma przestać istnieć – powiedział Algi. – Komu to pomoże?

– Dobre pytanie. A oto dobra – mam nadzieję – odpowiedź. Pomoże to dwóm grupom ludzi. Obie są zupełnie hipotetyczne. Jedna z nich to małe grono, jakie możemy sobie wyobrazić na przykład w Ameryce za trzydzieści lub czterdzieści lat od dziś, kiedy cała nacja prawdopodobnie pograży się w chaosie. Przypuśćmy, że ludzie ci założą osadę i stwierdzą, że mogą znowu rodzić dzieci? Otóż ich potomkowie będą niemal dzikusami – dziećmi oderwanymi od kultury i od cywilizacji, do której bezsprzecznie należą. Archiwa DGHW staną się dla nich ogniwem łączącym ich przeszłość i przyszłość, dając im szansę na odpowiednie kierunki myśli i stworzenie wspólnoty opartej na zasadach społecznych.

– A druga grupa?

– Domyślam się, że nie zalicza się pan do osób, które pozwalają sobie na spekulacje. Czy przyszło kiedyś panu do głowy, że nie jesteśmy we wszechświecie sami? Nie mówię o Stwórcy. Wątpię, czy zechciałby zrobić innego człowieka, by towarzyszył Adamowi. Mam na myśli inne istoty żyjące na planetach innych gwiazd. Pewnego dnia może odwiedzą Ziemię, tak jak my zbadaliśmy Księżyc i Marsa. Będą szukały wyjaśnienia, dlaczego nasza cywilizacja zginęła, podobnie jak my zastanawiamy się nad zaginioną cywilizacją marsjańską, na której ślady natrafiła ekspedycja Leatherby'ego. DGHW im to wytłumaczy. Jeśli przy okazji znajdą w tym przesłaniu morał, tym lepiej.

– Jest także trzecia hipotetyczna grupa – powiedział Pilbeam, pochylając się do przodu. – Myśląc o niej, czuję jak cierpie mi skóra. Może w zbyt młodym wieku czytałem za dużo książek science-fiction mego ojca. Ale jeśli człowiek spadnie ze swego szczebla na ewolucyjnej drabinie, możliwe, że jakieś czyhające za rogiem stworzenie dostanie się na górę i zajmie to miejsce za mniej więcej dwieście lat. Przez ten czas zdąży się ono solidnie przewietrzyć. – Jack się roześmiał.

– Możliwe, że tak się stanie – odparł Dyson, kryjąc rozbawienie. Brakuje danych na temat wpływu Wielkiego Wypadku na większe naczelne. Niewykluczone, że grizzly albo goryle już weszły na ścieżkę odpowiednich mutacji.

Timberlane milczał. Nie wiedział, jak się włączyć w taką rozmowę. Wszystko wciąż wydawało mu się nierealne. Kiedy żegnał się z Charleyem Samuelsem, wyraz konsternacji na twarzy przyjaciela wstrząsnął nim niemal tak samo, jak natychmiastowa zgoda dowódcy na współpracę z Poszukiwaczami. Wyjrzał przez okno. Daleko w dole widział zasłane wymiętymi cumulusami łoże ziemi. Znajdował się w niebiańskim bocianim gnieździe.

Poniżej, w ponurym świecie, trwające milion lat rządy samozwańczej dynastii dobiegały końca. Rządzący sami siebie składali w ofierze. Algi nie potrafił się cieszyć, patrząc na ich

przedśmiertne drgawki.

W Bolling Field przywitało ich łagodne, jesienne słońce i eskorta. Pół godziny – ku wyraźniej irytacji Pilbeama – spędzili w bloku kontrolnym, zanim służby bezpieczeństwa i zdrowia ich wypuściły. Razem z bagażami podwieziono ich elektryczną furgonetką do małego, szarego, prywatnego autobusu, który czekał na zewnątrz. Z boku wymalowano na nim litery DGHW.

– Nieźle – wykrzyknął Timberlane. – Dopiero teraz wierzę, że nie padłem ofiarą jakiegoś skomplikowanego oszustwa.

– Chyba nie sądził pan, że wylądujemy w Pekinie, co? – spytał Dyson, uśmiechając się swobodnie.

– Nigdy nie wsiadajcie do autobusu oznaczonego GKW albo DUPD, choćbyście byli nie wiem jak wstawieni – ostrzegł eskortujący ich żołnierz, pomagając Timberlane’owi ładować bagaże. – To pierwsze to Generalna Kulturowa Wspólnota albo coś w tym rodzaju, a DUPD jest dziwaczną fundacją kierowaną przez *Post*. Skrót oznacza Departament Unifikacji Pomocy Dzieciom. Jego członkowie są stale zajęci, choć brakuje dzieci, którym mogliby pomagać. Waszyngton to teraz kupa skrótów i organizacji – a raczej dezorganizacji. To tak, jakby się tkwiło po uszy w zupie z alfabetu. Wskakujcie, panowie, pojedziemy obejrzeć sobie jakiś uliczny korek albo dwa.

Timberlane z rozczarowaniem stwierdził, że trzymali się wschodniej strony szarej rzeki, którą zauważył, gdy podchodzili do lądowania. Płynęła wolno. Pilbeam poinformował go, że to Anacostia. Zatrzymali się w zadbanej uliczce z nowymi, białymi domami, przed budynkiem, który wskazano mu jako siedzibę organizacji. Roilo się w nim od malarzy i rozbrzmiewał echem pracujących stolarzy.

– Nowe miejsce – wyjaśnił Pilbeam. – Przed miesiącem mieścił się tu zakład dla upośledzonych młodocianych przestępców, ale akurat ten problem Wypadek zupełnie rozwiązał. Skończyli się nam tacy delikwenci! Będziemy tu mieli wygodną kwaterę główną. Jak zobaczysz basen, sam zrozumiesz, dlaczego przestępczość w tym kraju to prawie jak zawód!

Pchnął drzwi do przestronnego pomieszczenia.

Sypialnię i toaletę masz tam, za tamtymi drzwiami. Łazienka jest wspólna z sąsiadem, którym, jak się akurat składa, jestem ja. Na końcu korytarza jest bar. Zrobię piekło, jeśli jeszcze tam wszystkiego nie skończyli, a za blatem nie czeka piękna dziewczyna. Widzimy się za dziesięć minut nad szklanką martini, dobra?

Kurs szkoleniowy DGHW zaplanowano na sześć tygodni. Choć przygotowano go wyjątkowo dokładnie, system pozostał chaotyczny, odpowiedni do czasów, w jakich funkcjonował.

Wewnętrzne organizacje wszystkich większych miast nadal borykały się z problemami

pracy, a werbując strajkujących do sił zbrojnych działały tyle, że także w służbach militarnych zaczęły się kłopoty. Wojna nie cieszyła się poparciem i to nie tylko ze względu na brak młodzieńczego zapału do walki.

Miasta bombardował z zewnątrz wróg. Powszechne stały się naloty zwane „Fat Choy”. Niewykrywalne przez radary pociski zrzucano ze stacji orbitalnych. Nad ziemią ulegały dezintegracji i zasypywały okolice „pakunkami” materiałów wybuchowych lub bomb zapalających. Naród amerykański po raz pierwszy doświadczył ataków z powietrza. Wielu mieszkańców wielkich aglomeracji miejskich ewakuowało się do mniejszych miast albo na wieś – tylko po to, by później przywlec się z powrotem, bo woleli ryzyko bombardowań niż środowisko, które było im obce. Jednocześnie ludzie ze wsi napływali do miast w poszukiwaniu lepszych zarobków. Pracownicy sektora przemysłowego głośno narzekali, ale to rolnictwo ucierpiało najbardziej. Kongres gorączkowo opracowywał prawa, które pozwoliłyby nakazać ludziom wrócić do uprawy ziemi.

Jedynym weselszym akcentem tej całej wojny było to, że gospodarka wroga okazała się o wiele mniej stabilna od amerykańskiej. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy liczba zrzucanych „Fat Choyów” wyraźnie zmalała. Dzięki temu, rozpędu nabrało gorączkowe nocne życie wojennej stolicy.

Timberlane miał okazję podziwiać sporo jego atrakcji. Przedstawiciele DGHW mieli dobre kontakty. W ciągu jednego dnia otrzymał wszystkie niezbędne dokumenty, które pozwalały mu przetrwać w lokalnym wyścigu szczurów: podstemplowany paszport, wizę, papiery zwalniające z przestrzegania godziny policyjnej, kartotekę policyjną, zaświadczenie na zakup ubrania, zezwolenie na poruszanie się po dystrykcie Kolumbii oraz kartki na witaminy, mięso, warzywa, chleb, ryby i słodycze. Większość ograniczeń, prócz limitów dozwolonych podróży, wydawała się surowa jedynie lokalnym mieszkańcom.

Timberlane należał do ludzi, którzy rzadko się zastanawiają nad motywacją własnych czynów. Dlatego nigdy nie myślał o tym, w jakim stopniu jego decyzja o związaniu się z ludźmi z DGHW została podyktowana ich obietnicą przywiezienia do Ameryki jego dziewczyny. Ani razu nie musiał przypominać o tym Dysonowi.

W ciągu czterech dni Martę Broughton wyciągnięto z małej, oblężonej wyspy – sąsiadki kontynentu europejskiego i dostarczono ją do Waszyngtonu.

Marta miała dwadzieścia sześć lat. Tyle samo, co Timberlane. Wszędzie zwracano na nią uwagę nie tylko dlatego, że była jedną z najmłodszych kobiet na świecie, ale też z tej przyczyny, że nie musiała nic robić, by pięknie wyglądać. Gęste, jasne włosy do ramion nosiła wtedy rozpuszczone. Trzeba było się jej dobrze przyjrzeć, żeby zauważyć, że brwi były tylko namalowane.

W czasie, który w kręgach Waszyngtonu eufemistycznie nazywano Wielkim Wypadkiem, Marta miała sześć lat. Zapadła na chorobę popromienną, ale przeżyła, co nie udało się wówczas wielu osobom. Straciła tylko włosy. Łysa czaszka towarzyszyła jej przez szkolne

lata, narażając dziewczynkę na kpiny rówieśników, przed którymi doskonale się broniła, dzięki czemu wyostrzył jej się dowcip. W dwudzieste pierwsze urodziny miała już na głowie meszek. Od tamtej pory nikt nie sztydził z jej urody. Timberlane był jedną z niewielu osób spoza rodziny, które wiedziały o wewnętrznych bliznach panny Broughton. Tylko one zdradzały jej prawdziwy wiek.

Pilbeam i Timberlane odprowadzili ją do hotelu dla kobiet, który znajdował się kilka przecznic od siedziby DGHW.

– Już zdołałaś zmienić Algiego – powiedziała Marta Pilbeamowi. – Jego długie, angielskie „a” się skraca. Co bierzecie na warsztat jako następne?

– Pewnie angielskie, charakterystyczne dla klasy średniej zahamowanie przed publicznym całowaniem się – odparł Timberlane.

– Rany, jeśli ja jestem tą publiką, to już mnie nie ma – stwierdził Pilbeam pogodnie. – Wiem, kiedy mam sobie iść – i kiedy mam pić. Znajdziecie mnie w barze, jeśli będę wam potrzebny.

– Nie zajmie nam to wiele czasu, Jack.

– Nie zajmie nam to bardzo wiele czasu – sprostowała Marta.

Kiedy drzwi się zamknęły, objęli się i zastygli w pocałunku, nawzajem chłonąc swoje ciepło wargami i całym ciałem. Przez jakiś czas nie robili nic więcej, tylko całowali się i rozmawiali. W końcu Algi odsunął się nieco dalej, podparł brodę dłonią w geście jurora i z podziwem przyjrzał się nogom Marty.

– Uwielbiam linię twoich łydek! – wykrzyknął.

– Hm, uwielbiam takie transatlantyckie pozdrowienia – odparła Marta. – Algi, tu jest rewelacyjnie! Jak cudownie, że nas to spotkało. Czy to nie podniecające? Ojciec wpadł w furję, kiedy zrozumiał, że chcę wyjechać. Wygłosił mi długie kazanie o lekkomyślności młodych kobiet...

– I pewnie szalenie cię podziwia za to, że dopięłaś swego i wyjechałaś! Choć niewątpliwie obawia się, że amerykańscy mężczyźni nie dadzą ci spokoju. I ma rację.

Marta otworzyła torbę podróżną i zaczęła układać na toalecie buteleczki i pędzle, nie spuszczając wzroku z Algiego. Usiadła, żeby poprawić makijaż.

– Każdy los jest lepszy niż śmierć! – stwierdziła. – Opowiedz mi, co się tu dzieje? Czym zajmuje się DGHW? Dlaczego się do nich przyłączyłaś i w czym ja mogę ci pomóc?

– Jestem tu na sześciotygodniowym szkoleniu. Przechodzę rozmaite kursy. Rany, ci ludzie naprawdę wiedzą, jak działać! Historia współczesna, socjologia, ekonomia, geopolityka, nowa rzecz, którą nazywają egzystencjalistyką, psychologia stosowana... i jeszcze parę innych. Prócz tego są przedmioty praktyczne, takie jak konserwacja i naprawa silników. Dwa razy w tygodniu jeździmy do Rock Creek Park na lekcje samoobrony prowadzone przez mistrza judo. Jest ciężko, ale podoba mi się. Tutaj ludzie mają zapał, który wszystkiemu nadaje znaczenie. Poza tym nie jestem już na wojnie, a samo to oznacza, że

życie ma znowu jakiś sens.

– Dobrze do tego podchodzisz, kochany. Czy poćwiczysz ze mną samoobronę?

– Inne formy zapasów, chętnie, ale nie samoobronę. Przypuszczam, że ściągnięto cię tu z jednego powodu. Spytałyśmy później o to Jacka Pilbeama. Wracajmy już do niego – to wspaniały facet, polubisz go.

– Już go lubię.

Pilbeam siedział w kącie hotelowego baru obok wsłuchanej w niego rudowłosej kobiety. Niechętnie ją zostawił, szerokim gestem ściągnął płaszcz z oparcia krzesła i ruszył ku nim, salutując.

– Same rozrywki bez pracy zrobią z Jacka nudziarza – powiedział. – Dokąd teraz zabieramy naszą pannę i czy możemy tam zabrać także tę miłą rudowłosą?

– Skoro już uzupełniłam siły po podróży, jestem w waszych rękach – oznajmiła Marta.

– Ma się rozumieć niedosłownie – dodał Timberlane.

Pilbeam się uklonił.

– Mam instrukcje, pozwolenie i chęć zabrać was w dowolne miejsce w Waszyngtonie, po czym jeść i pić tak długo, jak długo tu jesteście.

– Ostrzegam cię, kochanie, tutaj tak samo intensywnie się bawią, co pracują. DGHW zrobi dla nas wszystko, po czym nas porzuci, żebyśmy na własną rękę rejestrowali koniec świata.

– Chyba musisz się napić, ty stary zrzędo – powiedział Pilbeam trochę zmuszając się do uśmiechu. – Pozwólcie, że wam przedstawię rudowłosą, a potem znajdziemy jakieś przedstawienie i butelkę. Może uda się nam wepchnąć na monolog Dusty'ego Dykesa. Dykes to komik-partacz.

Rudowłosa, nieznacznie demonstrując niechęć, przyłączyła się do reszty towarzystwa i wszyscy razem ruszyli na miasto. Waszyngton nie przejmował się zaciemnieniami dręczącymi miasta innych nacji w minionych wojnach. Wróg otoczył stolicę działami i żadne zasłanianie świateł nie mogło zmienić sytuacji. Ulice lśniły neonami kwitnących oaz rozrywki. Migające szyldy rzucały blask na naznaczone piętnem choroby twarze mężczyzn i kobiet, torujących sobie drogę do kabaretów i kafejek. Mieli w bród czarnorynkowej żywności i alkoholu, a brakowało tylko miejsc parkingowych.

Takie wieczory stały się częścią rutyny, jaka odpowiadała personelowi DGHW: ostra praca i relaks. Trzeciej nocy spędzonej w Waszyngtonie, kiedy siedzieli wspólnie w Trogu i oglądali kabaret z Dustym Dykesem, Marta wreszcie miała okazję spytać o coś Pilbeama.

– Jack, dzięki tobie świetnie się tu bawimy. Żałuję, że nie mogę się jakoś odwzajemnić. Może mogłabym coś zrobić? Zupełnie nie rozumiem, po co mnie tu przywieziono.

Pilbeam ani na chwilę nie przestał głaskać dłoni ciemnowłosej, zielonookiej piękności, która towarzyszyła mu tego wieczoru.

– Zaproszono cię tu, żebyś dotrzymywała towarzystwa Algiemu. Nie chcę przez to

powiedzieć, że zasłużył sobie na takie powodzenie. Poza tym, razem z nim brałaś udział w wielu wykładach. Czy to nie wystarczy? Odpoczywaj, baw się. Wypij jeszcze jednego drinka. Nadmierna konsumpcja to przejaw patriotyzmu.

– Na brak rozrywek nie narzekam. Chciałabym tylko wiedzieć, czy mogę się na coś przydać.

– O to lepiej spytaj Algiego, złotko. – Pilbeam mrugnął do zielonookiej przyjaciółki.

– Jestem uparta, Jack. Chcę, żebyś mi odpowiedział.

– Idź i spytaj Billa Dysona, on się zajmuje takimi sprawami. Ja jestem tylko playboyem DGHW. Mówią na mnie „ciepły degieh”. Poza tym, możliwe, że już w środę znowu wyjadę.

– Och, paszteciku, ale przecież mówiłeś co innego – zaprotestowała zielonooka. Pilbeam ostrzegawczo położył palec na jej błyszczących wargach.

– Cii, słodziutka. Wuj Sam jest ważniejszy od wujka Jacka. Ale dziś pierwszeństwo ma wuj Jack – to oczywiście metafora, sama rozumiesz.

Światła przygasły, zadudnił werbel, po którym rozległo się głośnie czkanie. Zapadła cisza. Dusty Dykes wjechał na scenę na ogromnym banknocie dolarowym i zszedł na podłogę. Wyglądał potwornie zwyczajnie. Miał na sobie wymięty garnitur. Mówił monotonnym, zachrypniętym głosem.

– Jak widzicie, zrezygnowałem z mojego dawnego chwytu nie posiadania żadnego chwytu. Już nie po raz pierwszy przejechałem się na gospodarce tego kraju. Dobry wieczór panie i panowie – szczerze życzę, by był dobry, bo kto wie, czy nie jest ostatni. W Nowym Jorku, skąd pochodzę – a wiecie, że podatki stanowe są tam tak wysokie, że uciekając musiałem zabrać spadochron – bardzo popularne są przyjęcia z okazji Końca Świata. Tam, gdzie ścierają się dwie moralności, dajemy ciała. Tam, gdzie ścierają się dwa ciała, zawsze się kończy chichotem. Za to pewna noc senatora Mulgravy’ego skończyła się łomotem. – Po tych słowach rozległy się oklaski. – O, widzę, że niektórzy z was słyszeli o senatorach? Kiedy tu przyjechałem, dowiedziałem się od przyjaciół – a przyjaciele to ludzie, którzy stawiają ci jednego drinka i wytrzymują z tobą jedno popołudnie – że Waszyngton jest politycznie nieoświecony. No może określili to inaczej. Powiedzieli, że już nikt nie chodzi do Białego Domu robić zdjęcia brązowym figurom z Afryki. Pamiętam, odpowiedziałem im, że ważni są nie mężowie stanu, lecz stan mężów. Przynajmniej nie są biedniejsi niż udziałowcy firmy produkującej środki antykoncepcyjne.

– Nie słyszę, co on mówi – wyszeptała Marta – albo po prostu go nie rozumiem.

– Mnie też nie wydaje się to śmieszne – odszepnął Timberlane.

Pilbeam obejmował ramieniem swoją towarzyszkę.

– To wcale nie ma być śmieszne. To ma być partackie, jak sama nazwa wskazuje. – Mimo to, sam szczyrzył zęby, podobnie jak wielu innych widzów. Zauważając uśmiechy, Dusty Dykes pogroził widowni palcem.

– Śmiechy nic tu nie pomogą – powiedział. – Wiem, że pod ubraniami i tak wszyscy

jesteście nadzy, mnie nie zawstydzicie. Co niedziela chodzę do kościoła i słucham kazania. Nasz naród jest grzeszny i rozwiązły. Zawsze odczuwam ogromną przyjemność, kiedy ksiądz tak mówi. Nie sprzeciwiam się moralności, bo ona nie istnieje. Z każdym dniem życie staje się coraz gorsze. W sądzie w Kaliforni przestali skazywać przestępców na śmierć, zamiast tego skazują ich na życie. Jak powiedział jakiś wielki człowiek: nie ma już niewinności, jest tylko nie wykryta przestępczość. W samym stanie Illinois w zeszłym miesiącu popełniono tyle morderstw na tle seksualnym, że wszyscy tu powinniście sobie uświadomić, po jak niepewnym gruncie stąpacie.

– Przyszłość naszego gatunku wygląda czarno i nie jest to bynajmniej pigment mojej wyobraźni. Niedawno słyszałem, jak dwóch maniaków seksualnych rozmawiało w Chicago o interesach. Butch mówi: „Ej, Sammy, powiedz mi, co byś wolał – zamordować kobietę, czy myśleć o zamordowaniu kobiety?” „Rany, Butch, nie wiem. A ty co wolisz?” „Zawsze wolę myśleć o zamordowaniu kobiety!” „Dlaczego?” „Bo wtedy trafiają się bardziej romantyczne babki”.

Jeszcze przez kilka minut mały człowieczek o twarzy dziecka stał w wymiętym garniturze w świetle reflektora i opowiadał wymięte dowcipy. Potem reflektor zgasł, komik zniknął, a na sali zapaliły się światła i zaczęto bić brawo.

– Napijcie się jeszcze! – powiedział Pilbeam.

– To było okropne! – zauważyła Marta. – Zupełnie przygnębiające!

– Bo trzeba go posłuchać co najmniej kilka razy, żeby zacząć go doceniać – na tym właśnie polega sekret jego sukcesu – wyjaśnił Pilbeam. – Jest głosem naszego wieku.

– A tobie się podobało? – Marta skierowała pytanie do zielonookiej dziewczyny.

– No chyba tak. To znaczy, no... w pewnym sensie sprawił, że czułam się jak u siebie w domu.

Dwa razy w tygodniu mieli zajęcia w małym pokoiku w Pentagonie, gdzie młody, jasnowłosy major uczył ich programowania i obsługi komputera POLYAC. Takie nowe, kieszonkowe komputery miały się znaleźć w wyposażeniu wszystkich furgonetek DGHW.

Timberlane właśnie wybierał się na jedną z sesji instruktażowych, kiedy w swojej przegródce znalazł czekający list od matki. Patrycja Timberlane pisała rzadko. Tym razem, tak jak zawsze opowiadała o domowych niedolach. Algi nieuważnie przeglądał list, jadąc taksówką na drugą stronę rzeki Potomac. Na koniec natrafił na coś, co bardziej go zainteresowało.

„Dobrze, że tam w Waszyngtonie masz przy sobie Martę. Pewnie zechcesz się z nią ożenić. To takie romantyczne. Nieczęsto ludzie poślubiają swoje sympatie z dzieciństwa. Pamiętaj tylko, że musisz być pewien. Masz już dość lat, by wiedzieć, że popełniłam wielki błąd wychodząc za twego ojczyma. Keith ma swoje zalety, ale jest tak potwornie wiarołomny, że czasem chciałabym umrzeć. Nie zamierzam wdawać się w szczegóły.



*On zrzuca winę na czasy, ale to za łatwa wymówka. Twierdzi, że wkrótce będziemy tu mieli rewolucję. Myślę o tym ze strachem. Tak jakby jeszcze nie było tego dość. Najpierw Wypadek, potem ta okropna wojna, a teraz jeszcze rewolucja. W tym kraju nigdy żadnej nie mieliśmy, bez względu na to, co się działo w innych państwach. Przypomina mi to niekończące się trzęsienie ziemi”.*

Timberlane pomyślał ponuro, że to trafne porównanie. W Waszyngtonie ziemia drżała dzień i noc, i jeśli DGHW się nie myliło w swoich ponurych przepowiedniach, miała trząść się, dopóki wszystko nie zostanie starte w pył. Przejawiało się to nie tylko ciągłymi wstrząsami gospodarczymi, kolejkami po zupę w centrum i szalonymi wyprzedżami, podczas których rynek zasypywano pozostałościami upadłych imperiów finansowych. Najgorsza była fala morderstw i przestępstw na tle seksualnym, których siły prawa nie potrafiły opanować. Fala ta połknęła także Martę i Timberlane’a.

Tego ranka, kiedy przyszedł list od Patrycji Timberlane, Marta pojawiła się wcześniej w pokoju Algiego. Na dywanie leżały porozrzucane rzeczy – poprzedniego wieczoru długo się bawili na szalonym przyjęciu urządzonym przez znajomego Billa Dysona z Sił Powietrznych. Timberlane golił się w półmroku. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy. Marta podeszła do okna, odsunęła zasłony i odwróciła się do niego. Powiedziała mu o kwiatkach, które przyniesiono jej do hotelu.

Spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– I wczoraj rano też takie dostałaś?

– Tyle samo. Skrzynie pełne orchidei. Takie same jak dziś rano. Musiały kosztować setki tysięcy dolarów.

Wyłączył maszynkę do golenia, przerywając jej złośliwe buczenie i spojrzał na Martę. Miał niewyraźne oczy i bladą twarz.

– Trochę to dziwne, co? Ja ci ich nie wysłałem.

– Wiem, Algi. Nie byłoby cię na nie stać. Sprawdziłam ceny kwiatów w kwaciarniach. Już same w sobie są drogie, a do tego dochodzi jeszcze podatek stanowy, podatek wwozowy, podatek od zakupu, coś, co właścicielka hotelu nazywa POZ – Podatkiem Ogólnie Zniechęcającym – i Bóg wie co jeszcze. Dlatego wczorajszą przesyłkę zniszczyłam. Wiedziałam, że nie są od ciebie, więc je spaliłam i nie zamierzałam nic o nich mówić.

– Spaliłaś je? Jak? Odkąd tu przyjechałem, nie widziałem płomienia większego niż ten w zapalnicze.

– Nie bądź niemądry, kochany. Wyrzuciłam je do zsypu, a wszystko, co tam trafia, jest potem palone w piwnicach pod hotelem. Tymczasem dzisiaj rano dostałam następne, znowu bez żadnej wiadomości.

– Może to te same, z pozdrowieniami od gościa z piwnicy.

– Na litość boską, Algi, przestań tak sobie ze mnie żartować!

Oboje się roześmieli.

Następnego ranka znowu przysłano do hotelu kwiaty dla panny Marty Broughton. Timberlane, Pilbeam i kierowniczka hotelu przyszli je obejrzyć.

– Orchidee, róże, fiołki – tego, kto je przysłał, stać na romantyczność – zauważył Pilbeam. – Zapewniam cię stary, że nie ja przysłałem je twojej dziewczynie. Orchidee to jedyna rzecz, którą nie da się obciążyć konta DGHW.

– Kochana panno Broughton, to mnie zaczyna naprawdę martwić – powiedziała kierowniczka. – Musi pani bardzo uważać, zwłaszcza, że jest pani w tym kraju obca. Proszę pamiętać, że już nie ma dziewcząt poniżej dwudziestego roku życia. Dawniej to za takimi oglądali się starsi mężczyźni. Teraz panny między dwudziestką a trzydziestką muszą się mieć na baczności. Tacy starsi panowie, którzy są bogaci, zawsze mieli w zwyczaju, hm, zbierać plony, póki świeci słońce. Teraz, kiedy temperatura zaczyna spadać, z tym większą gorliwością rzucają się na to, co zostało. Chyba wie pani, o co mi chodzi.

– Sam Dusty Dykes nie ująłby tego lepiej. Dziękuję za przestrożę. Będę na siebie uważała.

– Zadzwoń do kwiaciara – powiedział Pilbeam. – Niby dlaczego nie miałabyś zarobić kilku tysięcy na amorach tego gbura. Grosz zawsze się przyda.

Następnego dnia Jack miał wyjechać z Waszyngtonu. Dostał od Dysona rozkaz udania się na kolejną wojenną scenę – tym razem w sam środek Sarawak – stwierdził więc, że przyda mu się odpoczynek. Kiedy po południu udał się do centrali po resztę wyposażenia i na szczepienia, rozwyły się syreny ostrzegające przed Fat Choy. Zadzwoił do Timberlane'a, który akurat słuchał wykładu na temat propagandy i karmienia publiki złudzeniami.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że prawdopodobnie spóźnię się przez ten nalot – powiedział. – Idź z Martą do Tezaurusu beze mnie i nie czekajcie z pierwszą kolejką. Dołączę do was, jak tylko będę mógł. Możemy tam nawet coś zjeść. Ale w Babe Lincoln przy następnej przecznicy dają mniej syntetyków.

– Ja muszę uważać głównie na kalorie – odparł Timberlane, klepiąc się po brzuchu.

– Zobaczymy, jak dziś wieczorem zareaguje twój wskaźnik zmysłowości. Spotkałem niezłą żarówę. Nazywa się Kolendra i jest tak plastikowa, jak plastelina.

– Już się nie mogę doczekać. Mężatka czy panna?

– Z jej energią i talentem, pewnie i jedno, i drugie.

Mrugnęli do siebie porozumiewawczo, patrząc w ekraniki i się rozłączyli.

Po zmroku Timberlane i Marta złapali na ulicy taksówkę, żeby się dostać do centrum. Nalot skończył się na dwóch pociskach. Jeden rozpadł się na „pakunki” nad ruinami rzeźni i stacji rozrządowej. Drugi wyrządził więcej szkód, rozszczepiając się ponad gęsto zaludnionymi przedmieściami Cleveland Park. Na chodnikach więcej było mundurów policyjnych niż wojskowych. Podczas nalotów cywile woleli nie wychodzić z domów i ulice wydawały się bardziej puste niż zwykle.

Przy Tezaurusie Timberlane wysiadł i przyjrzał się fasadzie klubu. Była usiana wyrytymi

w tynku napisami: Wybrańcy, Pryma, Najlepsi z najlepszych, Śmietanka, Elita, Sól ziemi, Górna półka, Nieskazitelni, Faworyci. Z uśmiechem się odwrócił, żeby zapłacić taksówkarzowi.

– Hej ty! – zawołał.

Taksówka z Martą gwałtownie skręciła, z piskiem wyminęła prywatny wóz i pomknęła boczną uliczką. Timberlane wybiegł na drogę. Za nim rozległ się zgrzyt hamulca i pisk opon. Wielka limuzyna zahamowała kilka cali od jego nóg, a z okna kierowcy wysunęła się czerwona z wściekłości twarz i usłyszał przekleństwa. Zza wozu dobiegł ich chrzest i czerwona twarz odwróciła się do tyłu, klnąc jeszcze wścieklej. Nadbiegł jakiś policjant. Timberlane chwycił go za ramię.

– Moja dziewczyna została porwana. Ktoś właśnie z nią odjechał.

– Takie rzeczy ciągle się zdarzają. Trzeba uważać.

– Ale ją porwano!

– Proszę to zgłosić sierżantowi. Myśli pan, że ja nie mam co robić? Muszę stąd ruszyć tego blaszaka. – Kciukiem wskazał nadjeżdżający wóz patrolowy. Algi ruszył ku niemu, zagryzając wargi.

– Chodź Algi, tutaj na nic się nie przydamy – powiedział Dyson, gdy minęła jedenasta wieczorem. – Policja zadzwoni do nas, jeśli wpadną na jakiś trop. Lepiej coś przekażemy, zanim mój żołądek się rozleci.

– To pewnie ten bies, który posyłał jej kwiaty – powiedział Timberlane nie wiadomo który raz. – Na pewno w kwiaciarni policja natrafi na jakiś trop.

– Jak na razie kierownik kwiaciarni nic nam nie pomógł. Może gdybyś zapamiętał numer tej taksówki...

– Przypominam sobie tylko, że była fioletowa i żółta z napisem „Antelope Taxi” na bagażniku. Do diabła, Bill, chyba masz rację, lepiej chodźmy coś zjeść.

– Proszę się nie martwić, panie Timberlane – powiedział współczująco komisarz, kiedy opuszczali posterunek. – Do rana odzyskamy pana narzeczoną.

– Skąd ta pewność? – spytał Algi ponuro, gdy wsiadał do wozu Dysona. Bill Dyson i Jack Pilbeam, który wcześniej był na posterunku, robili wszystko, co mogli, ale mimo to Algi czuł nieuzasadnioną chęć dokuczania im. Bardzo lubił ich kraj, lecz czuł się tu obco i bezradnie. Milczał, próbując zapanować nad emocjami. Podjechali z Dysonem do najbliższej całonocnej knajpki i pochłonęli hamburgery z chili i musztardą. Kanapki były syntetyczne, ale smakowały dobrze.

– Dzięki Bogu za te chili – powiedział Dyson. – Można by nimi podpalić trociny. Często się zastanawiałem, czy to nie chili szukają naukowcy w tych megakosztownych badaniach tego, jak odbudować ruiny naszych genów.

– Możliwe – zgodził się Timberlane. – Ale założę się, że najpierw znajdą syntetyczne

chili.

Przed snem wypił drinka, położył się i od razu zasnął. Następnego ranka, zaraz po przebudzeniu, zadzwonił na policję, ale nie mieli dla niego żadnych nowych wiadomości. W posępnym nastroju umył się i ubrał przed śniadaniem. W korytarzu sprawdził swoją przegródkę na pocztę.

Czekał na niego dostarczony przez posłańca list. Rozerwał kopertę i wyciągnął ze środka kartkę, na której napisano:

„Jeśli chcesz odzyskać swoją dziewczynę, zajrzyj do Wydawnictwa Bożej Łaski. Dla jej dobra idź tam sam. Odwołaj policję.”

Zapomniał o śniadaniu. Niemal biegiem wpadł do kabiny telefonicznej w holu i przekartkował odpowiedni tom spisu telefonów. Znalazł ich pod starym, bezwizyjnym numerem: Wydawnictwo Bożej Łaski i adres. Powinien najpierw zadzwonić czy od razu tam iść? Nienawidził niezdecydowania, które go teraz opadło. Wybrał numer i w słuchawce usłyszał sygnał odłączonego abonenta.

Pośpiesznie wrócił do pokoju i napisał wiadomość do Pilbeama, podając adres, pod jaki się udawał. Zostawił kartkę na poduszce nie posłanego łóżka. Do kieszeni wsunął rewolwer.

Pieszko dotarł do końca ulicy, tam złapał zwykłą taksówkę i kazał kierowcy jak najszybciej dowieźć się na miejsce. Za mostem Anacostia dostali się w korek. Cała stolica właśnie jechała do pracy. Waszyngton, nawet mimo spowodowanego wojną przeludnienia, zachował swój urok. Kiedy mijali Kapitol, którego okolice upstrzone były teraz naprędce wzniesionymi budynkami biurowymi i skręcali na zachód w Pennsylvania Avenue, biały kamień odbił blask bezchmurnego nieba. Niezmienną i majestat murów odrobinę uspokoiły Timberlane'a.

Później, gdy skierowali się na północ, wrażenie godności znikło. Tę okolicę naznaczyła burzliwość czasów. Błyskawicznie zmieniały się nazwy i szyldy. Budynki miały coraz to nowych właścicieli. Furgonetki z biurowymi meblami i ciężarówka wojskowe dostarczały i zabierały sprzęt. Były tam też zabudowania, które z niewiadomych przyczyn stały milczące i puste. Czasami całe ulice wyglądały na opuszczone, tak jakby ich mieszkańców wypłoszyła zaraza. Timberlane zauważył, że przy jednej z takich ulic znajdowały się biura podróży zagranicznych linii lotniczych i agencje turystyczne Danii, Finlandii i Turcji. Okna zasłonięto okiennicami; prywatne podróże odwołano na czas nieokreślony, a duże samoloty pasażerskie znalazły się pod kontrolą ONZ. Używano ich teraz do transportu pomocy medycznej dla ofiar wojennych.

W niektórych dzielnicach nadal widać było szkody wywołane „pakunkami”, choć próbowano przesłonić spustoszenia ogromnymi afiszami reklamowymi. Waszyngton, tak jak wszystkie wielkie aglomeracje świata, za wesołym uśmiechem krył gnijące dziury, których nikt nie był w stanie wypełnić.

– Oto i pański adres, kolego, ale coś chyba nikogo nie ma w domu – powiedział

taksówkarz. – Mam zaczekać?

– Nie, dziękuję. – Timberlane zapłacił za kurs. Taksówkarz zsalutował i odjechał.

Wydawnictwo Bożej Łaski miało swoją siedzibę w burym, pretensjonalnym, pięciopiętrowym budynku z przełomu ubiegłego wieku. W oknach wywieszono znaki „Na sprzedaż”. Żelazne, odsuwane kraty zasłaniały główne wejście. Zamknięto je na solidny łańcuch z kłódką. Po przestudiowaniu tabliczek przy drzwiach, Timberlane wiedział już, czym się tu trudniono. Publikowano głównie materiały o treści religijnej, czasopisma i periodyki takie jak *Niedzielny magazyn dla dzieci*, *Hejnał chłopców*, *Przewodnik dla dziewcząt*, popularną serię *Przygody z Biblią*, *Dobre nowiny* i *Perypetie świętych* oraz wydawnictwo edukacyjne *Czytelnik Bożej Łaski*. Porwany plakat ześliznął się ze schodów i owinał wokół nogi Timberlane’a. Algi odwrócił się. Po drugiej stronie ulicy stał duży blok mieszkalny. Po kolei przyjrzał się oknom, sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje. Kiedy tak stał, minęła go spora grupa ludzi. Nikt nawet na niego nie spojrział.

Obok biegła boczna alejka odgradzona wysokim murem. Ruszył nią, torując sobie drogę wśród śmieci. Wsunął dłoń do kieszeni i chwycił rewolwer, w każdej chwili gotowy do strzału. Z przyjemnością powitał rosnące mu w piersiach uczucie prymitywnej wściekłości. Miał ochotę walnąć kogoś w twarz. Alejka prowadziła do śmietników na tyłach budynku. W dali, w prześwicie między dwiema ścianami, stary, przygarbiony Murzyn puszczał latawca. Niebezpiecznie przechylał się do tyłu, aby widzieć, jak unosi się nad dachami.

Zanim Timberlane dotarł do śmietnika, natknął się na boczne wejście do Wydawnictwa. Ktoś się tędy włamał, wybijając dwa niewielkie prostokąty szkła. Drzwi były uchylone. Algi zatrzymał się przy ścianie, przypominając sobie procedury szturmowania budynku. Kopnięciem otworzył drzwi i wbiegł do środka, szukając osłony.

Wewnątrz panował półmrok. Algi ostrożnie rozejrzał się wokół. Nie zarejestrował żadnego szmeru ani ruchu. Cisza. Wielki Wypadek zdziętkował populację szczurów. Koty ucierpiały niemal tak samo, a ludzki głód przyczynił się do wytępienia reszty przedstawicieli tego gatunku. Gdyby szczury wróciły, ich liczbę byłoby znacznie trudniej ograniczyć. Na razie jednak w tym wielkim gmachu kot nie był potrzebny.

Timberlane trafił do zniszczonego magazynu. Samotnie wiszący na kołku prastary płaszcz, bez słów opowiadał o pustce. Wokół piętrzyły się stosy lektur dla dzieci, gromadząc kurz. Ich potencjalni czytelnicy zginęli albo pozostali na wieki nienarodzeni i nie poczęci. Jedyne ślady stóp prowadzące do wewnętrznego przejścia wyglądały na nowe.

Ruszył ich tropem przez pomieszczenie, a potem głównym korytarzem. Cały czas towarzyszył mu odgłos jego własnych kroków. Przez brudne szyby wahadłowych drzwi głównego wejścia widział zamazane postacie przechodzące ulicą. Nad framugą wisiało popiersie z wyrytym w marmurze napisem: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie”

– Już nie przyjdą – powiedział Timberlane do siebie.

Zaczął poszukiwania od parteru. Z każdą chwilą stawał się coraz mniej ostrożny. Stagnacja wypełniała wszystkie kąty jak przekleństwo. Stojąc pod niewidzącymi oczyma założyciela, Algi spojrzał na schody prowadzące na górę.

– Jestem tutaj, wy dranie? Gdzie się pochowaliście? – krzyknął. – Co zrobiliście z Martą?  
– Dźwięk własnego głosu zaskoczył go. Stał bez ruchu, podczas gdy echo niosło jego krzyk w górę szybem windy. Potem zaczął się wspinać po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Przed sobą trzymał odbezpieczoną broń.

Na szczycie przystanął. Nadal cisza. Ruszył korytarzem. Echo głośno powtarzało odgłosy jego kroków. Gwałtownie pchnął drzwi, które odskoczyły i uderzyły w ścianę, przewracając po drodze starą tablicę i sztalugi. Pomieszczenie przypominało redakcję. Wyjrzał przez okno na śmietnik, wzrokiem szukając starego Murzyna z latawcem. Myślał o nim niemal jak o przyjacielu. Staruszek zniknął albo był niewidoczny z okna. Timberlane nie widział nikogo, żadnego człowieka ani nawet psa.

Boże, to tak będzie, gdy człowiek zostanie na świecie sam – powiedział do siebie w myślach. Zaraz potem przyszło mu do głowy coś jeszcze. – Lepiej przyzwyczaj się do tego, młodzieniaszku; może pewnego dnia naprawdę zostaniesz sam.

Nie należał do osób obdarzonych bujną wyobraźnią. Niemal stale towarzyszyła mu świadomość, że rodzaj ludzki sam zafundował sobie zagładę. Optymizm towarzyszący młodości pozwalał wierzyć, że wszystko w naturalny sposób się naprawi (natura już wcześniej wracała do równowagi po wielu klęskach) lub że jeden z kierunków badań prowadzonych w wielu krajach przywróci człowiekowi nadzieję (przecież projekty pochłaniające wiele miliardów dolarów nie mogły pójść na marne). Realistyczny pesymizm DGHW sprawił, że Algi skończył z pobożnymi życzeniami.

Studując trzeźwe fakty zrozumiał, że jego gatunek prawdopodobnie dotarł do kresu drogi. Z każdym rokiem coraz więcej żyjących umierało, a puste pokoje wokół mnożyły się jak komórki wielkiego ula bez pszczół. Już wkrótce miały wypełnić cały świat. Z czasem miał się stać potworem, samotnym w pokojach i w poszukiwaniach, zagubionym w labiryncie dudnienia własnych kroków.

Gdzieś w górze, na twarzy inkwizytora, malowała się jego przyszłość. Sam ją sobie wybrał, więc nie dało się uniknąć wyrządzonych szkód. Otworzył usta. Chciał krzyknąć. Wciągnął powietrze, jak ktoś wepchnięty pod lawinę. Tylko jedna osoba mogła uczynić tę przyszłość znośną.

Wybiegł na korytarz, ponownie budząc echo.

– To ja, Timberlane! Czy jest tu ktoś? Na litość boską, odezwijcie się!

I wtedy, gdzieś blisko rozległo się wołanie.

– Algi, och Algi!

Leżała w zecerni, wśród połamanych i porozrzucanych matryc. Pomieszczenie to, tak jak i reszta budynku, wyglądało na dawno opuszczone. Porywacze przywiązali ją do wsporników

ciężkiej, metalowej ławy, na której leżały całe szpalty ołowianych czcionek. Nie mogła się sama uwolnić. Sądziła, że leżała tak mniej więcej od północy.

– Nic ci nie jest? Wszystko w porządku? – pytał raz po raz Algi. Zerwał plastikowe pasy, którymi była związana i rozcierał jej posiniaczone ręce i nogi.

– Zupełnie nic – odparła Marta i rozplakała się. – Okazał się dżentelmenem, nie próbował mnie zgwałcić! Chyba miałam szczęście. Nie zgwałcił mnie.

Timberlane otoczył ją ramionami. Przez wiele minut siedzieli przytuleni na zaśmieconej podłodze, ciesząc się swoim ciepłem i dotykiem.

W końcu Marta uspokoiła się na tyle, by opowiedzieć, co jej się przydarzyło. Taksówkarz, który porwał ją spod Tezaurusa, zawiózł ją zaledwie kilka przecznic dalej i wjechał do prywatnego garażu. Sądziła, że uda się jej rozpoznać to miejsce. Pamiętała, że pod sufitem podwieszona była motorówka. Bała się i próbowała walczyć, gdy taksówkarz chciał ją wyciągnąć z auta. Wtedy pojawił się inny mężczyzna z twarzą zasłoniętą białą chusteczką. Miał tampon nasączony chloroformem. Przy pomocy taksówkarza zakrył nim jej nos i usta. Straciła przytomność.

Ocknęła się w innym, większym, samochodzie. Wydawało jej się, że jadą przez przedmieścia albo małe miejscowości. Mijali drzewa i rzędy niskich domów. Obok niej leżała nieruchomo inna dziewczyna. Mężczyzna siedzący z przodu zauważył, że wraca jej przytomność, pochylił się ku niej i ponownie przytknął jej do twarzy tampon z chloroformem.

Następnym razem obudziła się w sypialni. Leżała na łóżku obok tej samej dziewczyny, z którą jechała samochodem. Obie wstały i próbowały jakoś doprowadzić się do porządku. Pokój, w którym się znajdowały, nie miał okien. Doszła do wniosku, że to większe pomieszczenie podzielone na dwie części. Do środka weszła ciemnowłosa kobieta i zabrała Martę do innej sali. Przyprawiono ją do mężczyzny w masce i pozwolono usiąść. Nieznajomy powiedział jej, że ma szczęście, iż została wybrana. Zapewnił, że nie ma powodów do obaw. Jego szef się w niej zakochał i zamierzał traktować ją dobrze, jeśli się zgodzi z nim żyć. Kwiaty, które dostawała, miały być dowodem uczciwości jego zamiarów. Marta, choć czuła złość i przerażenie, milczała.

Zabrano ją do „szefa”, urzędującego w jeszcze innym pokoju. Nosił maskę na oczach. Miał chudą twarz z cofniętym podbródkiem. Jego szczęki w jasnym świetle wydawały się szare. Kiedy Marta weszła, wstał i przemówił łagodnym, zachrypniętym głosem. Powiedział jej, że jest bogaty i samotny, i że potrzebuje jej towarzystwa w takim samym stopniu, co jej ciała. Spytała, ile dziewcząt musiał mieć, żeby zagłuszyć samotność. Urażony odparł, że druga dziewczyna była dla jego przyjaciela. On i jego przyjaciel byli ludźmi nieśmiałymi, dlatego aby je poznać, musieli uciekać się do takich metod. Nie był przestępcą i nie zamierzał jej skrzywdzić.

Dobrze – powiedziała mu – w takim razie mnie wypuść. Wyjaśniła, że jest zaręczona.

Mężczyzna usiadł w fotelu obrotowym za biurkiem. Oba meble znajdowały się na

podium. Nieznajomy prawie się nie poruszał. Długo patrzył na nią w milczeniu, dopóki nie zrobiło się jej niedobrze ze strachu. Przerazało ją przede wszystkim przekonanie, że mężczyzna bał się jej i zamierzał za wszelką cenę pozbyć się tego strachu.

– Nie powinnaś wychodzić za mąż – odezwał się w końcu. – I tak nie możesz mieć dzieci. Kobiety już nie rodzą, odkąd modna stała się choroba popromienna. Mężczyźni i tak nie cierpieli tych rozwrzeszczanych, brzydkich bachorów. Teraz, skoro spełniły się ich potajemne marzenia, mogą wykorzystywać kobiety do miłych celów. Ty i ja także możemy się miło zabawić. Jesteś cudowna. Masz piękne nogi, piersi i oczy. Ale to tylko ciało i krew, takie jak moje. Maleńki skalpel mógłby wszystko zmienić i sprawić, że już nie będziesz się nadawała do miłych zabaw. Często mówię przyjaciółom, że nawet najładniejsza dziewczyna nie wytrzyma konfrontacji z maleńkim skalpelem. Myślę, że ty wolałabyś raczej te miłe zabawy, co? Taka panna jak ty...

Marta drżącym głosem powtórzyła, że wychodzi za mąż.

Obcy mężczyzna raz jeszcze zamarł w bezruchu i zamilkł. Kiedy ponownie się odezwał, mówił z mniejszym zainteresowaniem. Zmienił taktykę.

Powiedział, że podoba mu się jej obcy akcent. W podziemiach miał schron przeciwbombowy, zaopatrzone w żywność i napoje na dwa lata. Miał też prywatny samolot. Mogli zimą latać na Florydę, gdyby tylko podpisała z nim umowę. Mogli robić miłe rzeczy.

Powiedziała mu, że ma brzydkie kciuki i palce. Nie chciała mieć do czynienia z kimś, kto miał takie ręce jak on.

Zadzwoił dzwonkiem. Dwóch mężczyzn wbiegło do pokoju i chwyciło Martę. Przytrzymali ją, podczas gdy mężczyzna w masce zszedł z podium, pocałował ją i przesunął dłońmi po jej ciele pod ubraniem. Zaczęła się szarpać i kopnęła go w kostkę. Jego usta zadrżały. Nazwała go tchórzem. Kazał ją wyprowadzić. Dwaj mężczyźni wyciągnęli ją z powrotem do sypialni i siłą położyli na łóżku. Druga dziewczyna płakała w kącie. Marta, oburzona, krzyczała z całych sił. Mężczyźni uciszyli ją tamponem z chloroformem.

Kiedy ponownie się ocknęła, poczuła chłód nocy. Zaniesiono ją do opustoszałego budynku Wydawnictwa Bożej Łaski i przywiązano do ławy.

Całą noc była chora ze strachu. Kiedy usłyszała czyjeś kroki na dole, bała się odezwać, dopóki nie usłyszała, jak Timberlane woła jej imię. Obawiała się, że porywacze po nią wrócą.

– Co za ohydna, obrzydliwa kreatura! Rozszarpałbym mu gardło, gdybym go dostał w swoje ręce! Kochana, jesteś pewna, że nie zrobił ci nic więcej?

– Tak, choć nie potrafię tego wyjaśnić. Czułam, że dostał to, o co mu naprawdę chodziło, bo znalazł coś w moim przerażeniu – sama nie wiem.

– To jakiś maniak – powiedział Timberlane, mocniej przytulając ją do siebie i gładząc dłońmi jej włosy. – Dzięki Bogu, że okazał się tylko takim szaleńcem i nie wyrządził ci żadnej innej krzywdy. Kochanie, to cud, że znowu mam cię przy sobie. Już nigdy cię nie puszcę.



– Mimo to, chyba nie powinnam za bardzo się do ciebie zbliżać, dopóki się nie wykąpię – powiedziała, śmiejąc się niepewnie. Opowiadając o przeżyciach, odzyskała zwykłą równowagę. – Wyobrażam sobie, co czułeś, kiedy zobaczyłeś, jak ta taksówka odjeżdża ze mną w środku. Biedaku.

– Dyson i Jack bardzo mi pomagali. Zostawiłem Jackowi wiadomość w kwaterze, na wypadek, gdybym wpadł w tarapaty. Policja na pewno złapie tego obrzydliwego zbrojnego. To co zapamiętałaś, powinno wystarczyć, by go odnaleźć.

– Tak myślisz? Jestem pewna, że bym go rozpoznała, wystarczy, że pozwolą mi obejrzieć kciuki. Ciągle się zastanawiam, co zrobił z tą drugą dziewczyną? Myślałam o tym całą noc. Nie mam pojęcia, co może się stać, jeśli ulegniesz takiemu człowiekowi.

Nagle wybuchnęła płaczem i otoczyła Timberlane'a w pasie ramionami. Pomógł jej się podnieść. Usiedli obok siebie na ramach, w których ołowiane zdania biegły od prawej strony do lewej i do góry nogami. Algi otoczył ją ramieniem i wytarł jej twarz chusteczką. Jej malowane brwi rozmasowały się po czole. Śliniąc chustkę, starł ich ślady.

Mając ją tak blisko, patrząc na nią, pomagając jej wrócić do siebie, nagle zaczął mówić. Słowa płynęły same.

– Posłuchaj Marto, kiedy wczoraj wieczorem bez końca czekałem na posterunku, zadałem Billowi Dysonowi twoje pytanie – no wiesz, o to, dlaczego zadali sobie tyle trudu, żeby ściągnąć ciebie tu z Anglii. Na początku próbował mnie zbyć, mówiąc, że on i Jack to starzy romantycy. Nie chciałem tego słuchać, więc powiedział prawdę. Takie są zasady DGHW. Po zakończeniu szkolenia wyślą mnie z powrotem do Anglii i jeśli sytuacja będzie tak zła, jak się spodziewają, nie będę mógł liczyć na ich wsparcie. Zostanę sam, zdany tylko na siebie. W tej chwili przewidują, że po zakończeniu wojny w Wielkiej Brytanii i Ameryce powstaną autorytarne rządy. Przypuszczają, że już wkrótce międzynarodowe systemy komunikacji przejdą do przeszłości. Warunki życia staną się trudne, a z czasem coraz gorsze. Bill powiedział to niemal z satysfakcją. Dlatego DGHW wymaga, bym ja – a także wszyscy japońscy, niemieccy, izraelscy oraz inni operatorzy uczestniczący w szkoleniu – poślubił „krajankę”, czyli dziewczynę, która dorastała w mojej ojczyźnie i zna miejscowe warunki. Dyson ujął to jakoś tak: „wiedza środowiskowa jest czynnikiem przetrwania”.

– Jest to oczywiście bardziej złożone, ale chodzi głównie o to, że chcą cię tutaj, abym ja się za bardzo nie zainteresował żadną miejscową panną i nie zaprzepścił mojej części projektu. Gdybym poślubił Amerykankę, wywaliliby mnie jak śmierdzącego kartofla.

– Od początku wiedzieliśmy, że ich działania są dokładnie przemyślane.

– Tak. Kiedy Bill o tym mówił, widziałem naszą przyszłość. Czy ty kiedyś patrzyłaś tak *naprawdę* naprzód, Marto? Bo ja nigdy. Może świadczy to o braku odwagi. Pamiętam jak mama mówiła, że gdy mówiono o produkcji i detonowaniu kolejnych bomb jądrowych, jej pokolenie nigdy nie zastanawiało się nad przyszłością. Tymczasem ci Amerykanie zajrzeli w jutro. Zobaczyli, jak trudne stanie się przetrwanie. Przełożyli byt na dane, a fakty o Wielkiej

Brytanii mówią, że jeśli obecne trendy nie ulegną zmianie, za piętnaście lub dwadzieścia lat zaledwie połowa populacji będzie żyła. Nasz kraj jest szczególnie na to narażony, ponieważ jesteśmy w mniejszym stopniu samowystarczalni niż Stany. Całe szkolenie DGHW odbywa się po to, by umieścić mnie razem ze specjalistyczną furgonetką wśród owych wątpliwie uprzywilejowanych pięćdziesięciu procent populacji. Ideologii DGHW zapewne przyklasnąłby mój religijny przyjaciel z Assam, Charley Samuels, choć tutaj ma to bardziej materialny wymiar. Otóż czekająca nas pogrzebowa przyszłość będzie do zniesienia tylko u boku właściwego partnera. – Algi umilkł. Marta roześmiała się, wydając z siebie głos przypominający tłumione szlochanie.

– Algernonie Timberlane, moja biedna, zbląkana duszyczko, wybrałeś potworne miejsce na oświadczyń!

– Naprawdę jestem aż taki śmieszny? – spytał zirytowany.

– Mężczyźni zawsze muszą sobie wszystko tłumaczyć. Nie martw się, uwielbiam to w tobie. Przypominasz mi tatę, tyle że jesteś seksowny. Nie śmieję się z twoich wniosków, naprawdę nie. Ja już dawno podjęłam w sercu taką samą decyzję.

– Marto, jestem w tobie beznadziejnie zakochany, desperacko cię potrzebuję. Chcę cię jak najszybciej poślubić i pragnę, abyśmy nigdy się nie rozdzielali, bez względu na to, co nas czeka.

– Mój skarbie, kocham cię i potrzebuję równie mocno. Jak myślisz, po co przyleciałam aż do Ameryki? Nigdy cię nie opuszczę, nie musisz się obawiać.

– Ale ja się boję. Boję się ogromnie! Kiedy myślałem, że jestem w tej kostnicy sam, poczułem jakby to było zestarzeć się w starym świecie. Nie unikniemy starości, ale przynajmniej możemy przeżyć ją razem, sprawić, że stanie się do zniesienia.

– Tak będzie, tak będzie, kochany! Nie denerwuj się. Chodźmy stąd. Chyba dam radę iść, jeśli się na tobie oprę.

Odsunął się od niej z uśmiechem i schował ręce za plecami.

– A nie chcesz najpierw przyjrzeć się moim kciukom, zanim podejmiesz decyzję?

– Jeszcze się nad tym zastanowię, jak powiedziałaby Jack. Podprowadź mnie tylko do okna, zobaczymy, jak sobie poradzę. Och moje nogi. Myślałam, że umrę, Algi...

Kiedy kuśtykała po brudnej podłodze, wsparta na ramieniu Timberlane'a, na zewnątrz rozległy się wrzaski syren przeciwlotniczych. Ich dudniące dźwięki wydawały się dalekie, ale dobiegały zewsząd. Świat znowu dawał znać o swoim istnieniu. Do alarmów dołączyła niższa nuta syren policyjnych. Podeszli do okna. Gęste kraty porosły pajęczyną. Timberlane otworzył skrzydło silnym pchnięciem i wyjrzał na zewnątrz, wciskając twarz między dwie żelazne lance.

Zrobił to akurat w chwili, gdy na chodnik przy budynku wjechały dwa policyjne wozy. Drzwi się otworzyły i wysypali się z nich umundurowani mężczyźni. Z drugiego samochodu wysiadł Jack Pilbeam. Timberlane krzyknął i machnął ręką. Mężczyźni spojrzeli w górę.

– Jack! – zadudnił Algi. – Czy mógłbyś odłożyć wyjazd na dwadzieścia godzin? Marta i ja potrzebujemy drużby!

Pilbeam uniósł prawy kciuk i zniknął z pola widzenia, Chwilę później usłyszeli echo kroków na pustej klatce schodowej.

## Rozdział piąty – Rzeka: Oksford

Podnieśli maszt, wciągnęli szmatę i popłynęli pchani lekkim wiatrem. Odkąd nocą uciekli ze Swifford Fair, posuwali się naprzód bardzo powoli. Zatrzymała ich stara, zepsuta śluza. Czyjaś łódź zatonała w tym miejscu, blokując żeglowną część rzeki. Prawdopodobnie dopiero podczas wiosennych roztopów silny strumień mógłby ją strzaskać i unieść. Rozładowali łodzie i to popychając, to znów przenosząc je oraz nieliczne bagaże, dotarli do miejsca, z którego mogli bezpiecznie pożeglować.

Okolica wyglądała wyjątkowo dziko i niegościnnie. Pitt twierdził, że widział gnomy przyglądające im się z zarośli. Całej czwórce się zdawało, że dostrzegli gronostaje wspinające się na drzewa. W końcu uznali, że to nie gronostaje, tylko kuny leśne, zwierzęta niezmiernie rzadko spotykane w tych rejonach od średniowiecza. Po południu, zmuszeni do rozłożenia obozowiska pod drzewami, przy pomocy łuku i strzał upolowali dwie z nich, mięso zjedli, a skóry wyprawili. Drzewa na opał znaleźli wokół mnóstwo. Usiedli blisko siebie między dwoma ogniskami, ale dla wszystkich była to zła noc.

Następnego dnia, gdy ponownie wyruszyli w drogę, mieli szczęście spotkać wędrownego handlarza. Łowił ryby na brzegu. Kupił od nich małą łódkę Pitta, płacąc pieniędzmi i dając im dwa żagle. Z jednego zrobili sobie tej nocy namiot. Handlarz proponował im morele i gruszki w puszkach, ale owoce miały co najmniej kilkanaście lat i były drogie, więc ich nie kupili. Samotność zmieniła małego staruszka w gadułę. Powiedział im, że właśnie zmierzał do Swifford Fair i miał leki dla doktora Bunny'ego Jingadangelowa.

W końcu zostawili handlarza i popłynęli dalej. Natrafili na duże rozlewisko usiane plamami małych wysepek porośniętych sitowiem. Ciągnęło się bez końca pod burym niebem. Nie wiedzieli, jaki kurs powinni obrać, aby znaleźć się na właściwym szlaku. Jezioro okazało się oazą fauny. Pływały tam nurki, pardwy i całe mnóstwo kaczek. W przejrzystej wodzie pod mieczem widzieli całe ławice ryb.

Nie byli jednak w nastroju na podziwianie piękna natury. Zerwał się porywisty wiatr. Nie mieli pojęcia, w którą stronę żeglować. Deszcz, galopując po powierzchni wody zmusił ich, by schronili się pod zapasowym żaglem. Ulewa przybierała na sile, a wiatr słabł, więc

Siwobrody i Charley na wiosłach dopłynęli do jednej z wysp i tam urządzili biwak.

Choć pod żaglem było sucho, a pogoda trochę się poprawiła, wszystkich dopadło przygnębienie. Patrzyli, jak szale wody i chmur okalają krajobraz. Siwobrody powołał do życia niewielki ogień, od którego wszyscy zaczęli kaszleć, bo dym nie chciał się rozproszyć. Humory poprawiły się im dopiero na widok Pitta, który wrócił skurczony, zgarbiony i zmoknięty, ale z triumfem przyniósł na plecach dwa bobry. Jeden był olbrzymem. Mierzony od wąsów do ogona miał grubo ponad metr długości. Jeff oznajmił, że zaledwie sto metrów dalej znajdowała się cała kolonia tych zwierząt, a te kilka, które spotkał, wcale się go nie bały.

– Jutro rano złapię jeszcze jedną parkę na śniadanie – powiedział. – Skoro mamy żyć jak dzicy, żyjmy co najmniej tak dobrze jak oni.

Pitt nigdy nie należał do tych, co lubili narzekać, ale życie, jakie im przypadło dawało mu niewiele pociechy. Z powodzeniem tropił zwierzęta, czerpał wiele przyjemności z podchodzenia ich i zabijania, lecz uważał, że nic w życiu nie osiągnął. Odkąd przed kilkunastu laty przekonał się, że nie potrafi zabić Siwobrodego, wiódł coraz bardziej samotne życie. Nawet wdzięczność do Timberlane'a, który go oszczędził, zagłuszały myśli, że gdyby nie on, Jeff mógłby już dowodzić sporym oddziałem żołnierzy, pozostałych z armii Crouchera. Stale karmił ten wewnętrzny żal, choć wiedział, że niesłusznie. Wcześniejsze doświadczenia powinny go przekonać, że nigdy nie mógłby zrobić kariery w wojsku.

W dzieciństwie Jeff Pitt często chodził przez przedmieścia wielkiego miasta, w którym mieszkał, na łąki za domami. Dalej ciągnęły się wrzosowiska. Było to idealne miejsce na włóczęgę. Ze szczytu wzgórz, nad którymi tylko jastrząb od czasu do czasu żeglował z wiatrami, roztaczał się widok na miejski labirynt z kominami, dachami fabryk krytymi dachówką i niezliczonymi gąsienicami szeregowych domków. Jeff zabierał na łąki swego przyjaciela, Dicka. Jeśli dopisywała pogoda, chodzili tam codziennie przez całe wakacje. Jeff miał duży, zardzewiały rower, który odziedziczył po jednym ze starszych braci; a Dick miał białego kundla o imieniu Śnieżek. Śnieżkowi łąki podobały się tak samo jak chłopcom. Było to na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, gdy nosili jeszcze krótkie spodnie, a na świecie panował pokój.

Czasami Jeff i Dick bawili się w żołnierzy, udając, że patyki to strzelby. Czasem próbowali łapać jaszczurki i zamykać je w złączonych dłoniach. Małym, brązowym gadom zwykle udawało się uciec. Zostawiały w palcach chłopców tylko wijące się, zakrwawione ogony. Niekiedy Jeff i Dick się mocowali.

Pewnego dnia siłowali się tak zawzięcie, że stoczyli się ze zbocza prosto w luksusowe łóżko z pokrzyw. Obaj mocno się popiekli. Choć skóra bolała bardzo, Jeff nie zamierzał płakać przy przyjacielu. Dick za to szlochał całą drogę do domu. Nawet jazda na rowerze Jeffa nie udobruchała go.

Chłopcy dorośli. Fabryki o stalowych kapturach dachów połąkły młodego Jeffa Pitta, tak jak wcześniej jego braci. Dick dostał pracę w agencji nieruchomości. Stwierdzili, że niewiele ich łączyło i już nie szukali swego towarzystwa.

Przyszła wojna. Pitt został powołany do lotnictwa. Po jakichś ryzykownych przejściach na Środkowym Wschodzie razem z kilkoma towarzyszami zdezerterował. To stało się sygnałem dla reszty jednostek stacjonujących w tamtym regionie. Niezadowolenie z przyczyn i przebiegu wojny było powszechne. Wybuchł bunt. Część buntowników porwała samolot z lotniska w Teheranie i wróciła nim do Wielkiej Brytanii. Pitt znalazł się na pokładzie.

W kraju rewolucja właśnie nabierała rozpędu. Za kilka miesięcy rząd miał się rozpaść, a naprędce ustanowiona władza ludu miała zawrzeć pokój z siłami wroga. Pitt trafił do domu i przyłączył się do miejscowych rebeliantów. Pewnej księżycowej nocy prorządowa grupa zaatakowała ich siedzibę – duży wiktoriański dom na przedmieściach. Pitt trafił za kamienną ławę, skąd z walącym przeraźliwie sercem strzelał do wroga. Jeden z jego kompanów w budynku włączył reflektor. Strumień światła wyłowił Dicka w mundurze z rządowymi naszywkami. Biegiem zbliżał się do pozycji Pitta. Pitt strzelił.

Żałował tego strzału, jeszcze zanim – jakby za sprawą magii – krew trysnęła na koszulę Dicka, który się obrócił i padł na żużel. Pitt podczołgał się do niego, ale strzał był rzeczywisty. Jego przyjaciel umierał.

Od tamtej pory nie potrafił się zmusić do zabicia stworzenia większego niż bóbr.

Wieczorem dobrze zjedli, a w nocy dobrze spali ściśnięci w namiocie. Następnego dnia, podczas żeglugi nie natrafili na nikogo. Człowiek zniknął, a wielki gobelin świata spleciony z różnych gatunków żywych stworzeń już zacerował miejsce, które dawniej mu przypadało. Płynęli nie znając kierunku. Jeszcze dwie noce musieli spędzić na podobnych wysepkach na jeziorze, ale ponieważ pogoda dopisywała, a jedzenia mieli w bród, żalów nie było wiele, prócz tego jednego, skrytego – bo pomimo szmat i zmarszczek nadal uważali się za nowoczesnych ludzi, a nowocześni ludzie mieli prawo do czegoś więcej prócz wałęsania się przez plejstoczeńską dziczą.

Na odludziu od czasu do czasu znajdowali pomniki dawnych lat. Niektóre sprawiały jeszcze pośpiejsze i bardziej ponure wrażenie, bo wydawały się wyrwane z kontekstu. Łódź zaniósła podróżników do niewielkiej stacji kolejowej, na której tablica wciąż obwieszczała światu, że to Yarnton. Dwa perony wystawały ponad powierzchnię, a nastawnia stercząca z ceglanej wieżyczki zmieniała się w punkt widokowy, z którego można było obserwować okolicę.

W ruinach poczekalni znaleźli samicę renifera z młodym. W kabinie na dachu wagonu mieszkał potwornie zdeformowany, stary pustelnik. Zagroził im domowej konstrukcji bombą. Podnosząc ją nad głowę, przemówił do nich. Wyjaśnił, że jezioro powstało z połączenia rozlanych cieków wodnych, między innymi Kanału Oksfordzkiego i Evenlode. Chcąc się ich

jak najszybciej pozbyć, starzec wskazał im, w jakim kierunku powinni płynąć i cała grupa ponownie ruszyła w drogę, wspomagana przez lekki i spokojny wiatr. Mniej więcej po dwóch godzinach Charley wstał i wskazał na południowy-wschód.

– Tam są!

Marta, Timberlane i stary Jeff Pitt także podnieśli się z miejsc, spoglądając w kierunku wskazanym przez Charleya. Lis Izaak wiercił się na miejscu sternika. Między drzewami dostrzegli wieże Oksfordu. Ten widok dodał im otuchy. Stali tak, podobni wielu podróżnym, których od wieków wzywały tradycje nauki i pobożności. Z nich się narodzili, ale ideały te leżały teraz w gruzach u ich stóp. Słońce wytoczyło się zza deszczowych chmur i wyłowiło wieże z krajobrazu. Serca wszystkich na łodzi zaczęły szybciej bić na ich widok.

– Moglibyśmy tu zostać, Algi. Przynajmniej do końca zimy – powiedziała Marta.

Spojrzał na nią i ze wzruszeniem zobaczył, że ma w oczach łzy.

– Obawiam się, że to tylko złudzenie – odparł. – Oksford także się zmienił. Możliwe, że znajdziemy tylko opuszczone ruiny.

Bez słowa pokręciła głową.

– Ciekawe, czy stary Croucher nadal ma nakaz aresztowania nas – odezwał się Pitt. – Nie chciałbym, żeby mnie zastrzelili, jak tylko zejdem na brzeg.

– Croucher zmarł na cholere. Przypuszczam, że Cowley zmieniło się w pole bitwy, a potem w cmentarz. Pewnie została tylko stara część miasta – stwierdził Siwobrody. – Miejmy nadzieję, że ci, którzy tam jeszcze są, przywitają nas ciepło. Dobrze by było dla odmiany spędzić noc pod dachem, co?

Widok wydawał się coraz mniej imponujący, w miarę jak dryfowali na południe, zbliżając się do miasta. Szeregi biednych domów stały w rozlewisku. Słońce tylko podkreślało ich opłakany stan. Z pozapadanymi dachami przypominały trupy ogromnych skorupiaków, wyrzucone na pierwotny brzeg. Skarłały w porównaniu z nimi starzec, opatulony w futra, poił parę reniferów. Zwierzęta zakłócały gładkość tafli wody kręgami fal, które rzucały migotliwe refleksy na dachy dawnego składu drewna. Po chwili ciężką ciszę zakłócił chrzęst pojazdu. Dwie stare kobiety, równie szerokie, co wysokie, wspólnymi siłami ciągnęły za sobą wózek, którego koła, tocząc się po brzegu, ze zgrzytem miały blask słoneczny. Nabrzeże kończyło się przy niskim moście.

– Poznaję to miejsce – powiedział Siwobrody przyciszonym głosem. – Możemy tu zacumować łódź. To most Folly Bridge.

Kiedy wysiedli na brzeg, dwie stare kobiety podeszły do nich oferując wynajem wózka. Towarzysze Siwobrodego z trudem rozumieli ich mowę, jak za każdym razem, gdy spotykali obcych. Pitt powiedział staruchom, że nie mieli nic, co warto by przewozić. Poradziły im, by zatrzymali się na noc w Christ Church. „Niedaleko stąd”. Zostawiając Charleya z Izaakiem, by strzegli łodzi, Marta, Siwobrody i Pitt ruszyli zniszczoną drogą przez most.

Mury dawnego college’u Christ Church przypominały fortecę. Wznosiły się przy jednej z

dróg prowadzących do miasta od południowej strony. Z ich wyżyn brodaci mężczyźni obserwowali nowych przybyszów. Siwobrody i jego towarzysze spodziewali się, że ktoś zagrozi im drogę, ale nikt nie nadszedł. Zatrzymali się dopiero przy wielkiej, drewnianej bramie wiodącej do college'u. Zaniebane mury kruszyły się. Wiele okien wypadło lub zostało zasłoniętych deskami. Popękane kamienie leżące u podnóża ścian, świadczyły o skuteczności działania upałów i mrozów. Siwobrody wzruszył ramionami i przeszedł pod wysokim łukiem bramy.

W przeciwieństwie do ruin, które mijali po drodze, tutaj zastali ludzi, gwar, kolorowe kramy oraz zapachy zwierząt i jadła. Przybyszom zrobiło się ciepłej na duszy. Znaleźli się na wielkim, czworokątnym dziedzińcu, przy którym dawniej mieszkało wiele pokoleń studentów. Teraz stały na nim drewniane stragany. Wiele z nich tworzyło niewielkie, zamknięte kręgi. Część placu oddzielono. Za ogrodzeniem stał renifer, przyglądając się wszystkiemu ze zwykłym u tych zwierząt, posępnym humorem.

Bezwłosy strzęp człowieka z nosem chudym jak szpilka wyskoczył z domku przy bramie i zapytał ich, czego szukali. Długo mu wszystko tłumaczyli. Wreszcie zrozumiał. Zaprowadził ich do tęgiego, antycznego mężczyzny z trzema podbródkami i zjełczałą cerą, który powiedział, że za skromną sumę mogą wynająć dwa małe pokoje w piwnicy przy Killcanon. Wpisali swoje nazwiska do rejestru i pokazali, że mają czym zapłacić.

Killcanon okazało się niewielkim placem w obrębie Christ Church, a ich dwa pokoje były dawniej jednym pomieszczeniem. Szpilkonosy posłaniec powiedział im, że mogą palić w piecach drewnem i zaoferował tanio je dostarczyć. Przyjęli jego propozycję, bo czuli się zmęczeni. Mężczyzna rozpałił im ogień, a Jeff Pitt poszedł po Charleya i Lisa. Chciał też znaleźć odpowiednią przystań dla łodzi.

Kiedy kominiek zapłonął wesoło, posłaniec zaczął się ociągać. Przykucnął przy płomieniach i pocierając nos, próbował podsłuchiwać co Siwobrody i Marta mówili między sobą. Siwobrody dotknął go stopą.

– Zanim pójdziesz, powiedz mi, czy uniwersytet nadal służy nauce, tak jak dawniej.

– Po co, przecież już nie ma kogo studiować – odparł mężczyzna. Najwyraźniej uważał, że ten czasownik jest przechodni, bez względu na to, co mówiły półki umierających gramatyk. – No ale miejsce należy do Akademików, a oni wciąż jeszcze trochę się studiują nawzajem. Jeśli się rozejrzycie, na pewno ich zobaczycie. Chodzą z książkami w kieszeniach. Za niewielką opłatą, mogę was z jednym zapoznać.

– Zobaczymy. Może znajdziemy na to czas jutro.

– Nie zwlekajcie zbyt długo, panie. Według miejscowej legendy Oksford ma pochłonąć rzeka, a kiedy miasto zniknie pod jej powierzchnią, wielka chmara małych, nagich ludzi, którzy żyją pod wodą, jak węgorze wypłynie z głębin i zamieszka tu zamiast nas.

Siwobrody przyjrzał się chudej ruinie człowieka.

– Rozumiem. A ty dajesz tej opowieści wiarę?



– Co takiego, panie?

– Wierzysz w tę opowieść?

Staruch się zaśmiał, kątem oka spoglądając na Martę.

– Przecie nie mówię, że wierzę i nie mówię, że nie. Wiem tyle, co słyszałem, a mówią, że kiedy umiera jakaś kobieta, pod wodą rodzi się następny taki człowieczek. A wiem, bo sam widziałem na własne oczy w zeszłego świętego Michała – nie, w tego przed ostatnim, bo w ostatniego świętego Michała zalegałem z czynszem. Przy Grandpont zmarła stara kobieta. Dziewięćdziesiąt dziewięć lat miała. I od razu następnego dnia mały dwugłowy stwór, nagusieńki, pływał pod mostem.

– A co widziałeś? – spytała Marta. – Śmierć starej kobiety czy to dwugłowe stworzenie?

– No, ja często tamtędy przechodzę – odparł zmieszany posłaniec. – To był akurat czas pogrzebu i ja widziałem głównie most, ale wielu opowiedziało mi resztę, a nie mam powodów, by im nie wierzyć. Wszyscy tak mówią.

Marta zaczęła, aż mężczyzna wyjdzie.

– To dziwne, że każdy wierzy w co innego – powiedziała.

– Wszyscy są trochę szaleni.

– Nie, ja tak nie uważam. Tylko wierzenia innych wydają się nam szalone, podobnie jak ich pasje. W dawnych czasach, jeszcze przed Wypadkiem, ludzie częściej trzymali w tajemnicy to, w co wierzyli albo zwierzali się tylko swoim lekarzom lub psychiatrom. Bywało też, że jakieś przekonanie stawało się powszechne, a wówczas przestawano je uważać za absurdalne. Pomyśl tylko o tych wszystkich ludziach, którzy wierzyli w astrologię jeszcze długo po tym, jak udowodniono, że to tylko stek bzdur.

– Brak logiki jest łagodną odmianą szaleństwa – powiedział Siwobrody.

– Nie, nie sądzę. Jest raczej formą pocieszenia. Ten starzec z nosem jak drut pielęgnuje to swoje przekonanie o małych, nagich stworzeniach, które kiedyś zawładną Oksfordem. W pewnym sensie rekompensuje w ten sposób brak dzieci. Religia Charleya jest także rodzajem pocieszenia. Z kolei twój niedawny kompan od kielicha, Bunny Jingadangelow, uciekł w świat pozorów.

Zmęczona opadła na łóżko zasłane kocami i przeciągnęła się. Powoli zdjęła znoszone buty, rozmasowała stopy i wyciągnęła się na całą długość posłania, kładąc ręce pod głowę. Spojrzała na Siwobrodego. Jego łysa czaszka lśniła od blasku paleniska, przy którym kucał.

– O czym myślisz, mój kochany? – spytała.

– Zastanawiałem się, czy świat zdoła uniknąć obłądu – o ile jeszcze weń nie wpadł – skoro wszyscy, którzy na nim pozostali mają ponad pięćdziesiąt lat. Czy kontakt z dzieciństwem i młodością jest niezbędny do zachowania zdrowych zmysłów?

– Nie sądzę. Posiadamy naprawdę zdumiewającą zdolność adaptacji, większą niż nam się wydaje.

– No tak, ale przypuśćmy, że człowiek zapomina o wszystkim, co przeżył, zanim

ukończył pięćdziesiąt lat, że jest zupełnie odcięty od swoich korzeni, od wszystkiego, co wcześniej osiągnął – czy nie nazwałabyś go szalonym?

– To tylko analogia.

Spojrzał na nią i się uśmiechnął.

– Jesteś nieustępliwa w dyskusji, Marto Timberlane.

– Po tylu latach wciąż potrafimy tolerować nawzajem swoje opinie. To cud!

Podszedł do niej, usiadł na łóżku i pogłaskał ją po udzie.

– Może właśnie to jest nasza odmiana szaleństwa, pocieszenia czy czego tam. Jesteśmy razem, ty i ja. Marto, czy zastanawiałaś się kiedyś... – na moment przerwał, po czym dokończył zdanie w skupieniu, marszcząc brwi. – Nie myślałaś nigdy, że ta koszmarna katastrofa sprzed pięćdziesięciu lat była dla nas szczęściem? Wiem, że to brzmi jak bluźnierstwo, ale pomyśl tylko, czy dzięki temu nie mieliśmy bardziej interesującego życia niż bezsensowna egzystencja, jaką musielibyśmy przyjąć, gdyby losy świata potoczyły się inaczej? Teraz widzimy, jak marne były wartości cenione w dwudziestym wieku. W przeciwnym razie nie doprowadziłyby świata do ruiny. Nie sądzisz, że dzięki Wypadkowi potrafimy docenić ważniejsze rzeczy, na przykład samo życie i siebie nawzajem?

– Nie – odparła Marta spokojnie. – Nie sądzę. Gdyby nie Wypadek, mielibyśmy już dzieci i wnuki, a tego nic nam nigdy nie wynagrodzi.

Następnego ranka obudziły ich odgłosy zwierząt, pianie kogutów, stąpanie reniferów, a nawet ryk osła. Siwobrody wstał i ubrał się, zostawiając Martę w ciepłym łóżku. Było zimno. Przeciągi poruszały leżącym na podłodze chodnikiem. W nocy rozwiały popiół z pieca po całej izbie.

Na zewnątrz dopiero zaczynało świtać. Budyniowe niebo nad środkową Anglią nadawało budynkom na placu chłodne barwy. Wokół płonęły pochodnie. Ludzie zabierali się do codziennych zajęć. Ich głosy brzmiały radośnie, choć właściciele często byli bezzębni i przygięci do ziemi wiekiem. Główną bramę już otwarto. Mijało ją wiele zwierząt. Niektóre ciągnęły wózki. Siwobrody prócz osła dostrzegł parę koni, które wyglądały jak potomkowie rumaków dawniej używanych podczas polowań. Były piękne i młode. Stały zaprzężone do wozów. Po raz pierwszy od ćwierć wieku widział konia. Wcześniej nawet o nich nie słyszał. Komunikacja między różnymi rejonami kraju urwała się tak skutecznie, że panowały w nich teraz zupełnie odmienne warunki.

Większość ludzi nosiła schludne stroje, wielu otulało się futrami. Dwóch wartowników na murach dla rozgrzewki klepało się po bokach, spoglądając jednocześnie w dół na ludzką cizbę.

Siwobrody wszedł do chaty, w której płonęły świece. Zobaczył, że starzec z potrójnym podbródkiem zakończył już urzędowanie. Jego miejsce zajął korpulentny mężczyzna w wieku Timberlane'a, który okazał się synem „potrójnej brody”. Jego uprzejmość dorównywała

skostniałości ojca. Kiedy Siwobrody spytał, czy mógłby gdzieś znaleźć pracę na zimowe miesiące, mężczyzna się rozgadał.

Siedzieli przy małym ogniu, kuląc się przed chłodem wpadającym przez otwarte wejście od ulicy. Pulchny osobnik opowiadał o Oksfordzie, przekrzykując gwar ludzi i stukot wozów mijających chatę.

Przez kilka lat miasto nie miało centralnej władzy. Uczelnie podzieliły ją między siebie i rządziły każda swoją częścią. Za przestępstwa surowo karano; za to przez ponad dwanaście miesięcy w Carfax nie padł żaden strzał.

Christ Church i wiele innych uczelni łączyły w sobie cechy warowni, schronisk i dworów. Dawały schronienie i zapewniały ochronę, gdy zachodziła potrzeba, a w przeszłości tak bywało. Większe uczelnie władały prawie całym miastem. Nadal wiodło im się dobrze i przez ostatnie dziesięć lat żyły ze sobą w pokoju, rozwijając rolnictwo i hodowlę zwierząt. W miarę możliwości osuszały grunty, próbując zaradzić powodziom, ale woda z każdym rokiem podchodziła coraz wyżej. W jednym z college'ów, zwanym Balliol, dziekan opiekował się trójką dzieci, które dwa razy do roku ceremonialnie pokazywano mieszkańcom miasta.

– W jakim wieku są te dzieci? Widziałeś je? – spytał Siwobrody.

– O tak, obejrzałem je dokładnie. Każdy widział dzieci z Balliol. Nie chciałbym czegoś takiego przegapić. Dziewczynka to mała piękność. Ma około dziesięciu lat i jest córką niedorozwiniętej kobiety z Kidlington. To taka wioska leżąca w lasach na północ stąd. Nie wiem skąd pochodzą dwaj chłopcy, ale jeden z nich wiele przeszedł. Jakiś kuglarz wystawiał go na pokaz w Reading. Słyszałem, jak o tym gadano.

– I to są prawdziwe, normalne dzieci?

– Jeden z chłopców ma uschnięte ramię, takie krótkie, co to się kończy trzema palcami przy łokciu, ale to przecież nie jest prawdziwa deformacja. Dziewczynka nie ma włosów i trochę dziwne ucho, ale poza tym wszystko ma w porządku i bardzo ładnie macha do ludzi.

– Naprawdę to widziałeś?

– Tak. Widziałem je podczas parady. Chłopcy rzadko machają, bo są starsi, ale to ładne, młodzieńcze chłopaki. Miło jest zobaczyć trochę gładkiego ciała.

– Jesteś pewien, że dzieci są prawdziwe? Nie żadni przebrani dorośli, czy coś w tym rodzaju?

– O nie, nie, nic z tych rzeczy. Są niskie, tak jak dzieci na starych fotografiach, a poza tym młodej skóry nie da się podrobić, prawda?

– No tak, macie tu konie, to może są i dzieci.

Zmienili temat i jeszcze przez jakiś czas rozmawiali. Syn pedela poradził Siwobrodemu, by udał się do jednego z profesorów uczelni, niejakiego pana Normana Mortona, który odpowiadał za zatrudnianie ludzi w college'u.

Timberlane zjadł z Martą skromne śniadanie – zimne mięso bobra i kawałek chleba, który Marta kupiła poprzedniego wieczoru na jednym ze straganów. Potem powiedzieli Charleyowi

i Pittowi dokąd idą i ruszyli do biur Normana Mortona.

Przy Peck, najstarszym dziedzincu college'u, zbudowano solidną, dwupiętrową stajnię, z pomieszczeniami, w których mieściły się zwierzęta i wozy. Okna apartamentu Mortona wychodziły na te zabudowania. Niektóre pokoje zajmował sam, w innych trzymał zwierzęta. Był wysokim mężczyzną o szerokich, przygarbionych ramionach i tak pomarszczonej skórze twarzy, że wyglądała, jakby ją ktoś cierpliwie posklejał z kawałków sznurka. Przez cały czas nerwowo kiwał głową. Siwobrody ocenił, że starzec miał już grubo ponad osiemdziesiąt lat, ale wyglądało na to, że jeszcze długo nie zamierza zrezygnować z wygodnego życia. Kiedy służący wprowadził Martę i Siwobrodego, Norman Morton akurat był zajęty pić grzanego wina i pochłanianiem czegoś, co wyglądało na baranią gicę. Towarzyszyło mu dwóch kolegów.

– Możecie się napić z nami wina, jeśli będziecie mówili interesująco – powiedział, odchylając się na oparcie krzesła i protekcyjnie celując w nich widelcem. – Moich przyjaciół i mnie zawsze bawią opowieści podróżnych, choć zwykle są to same kłamstwa. Jeśli zamierzacie łąć, postarajcie się łaskawie robić to z polotem.

– Kiedy byłem dzieckiem – odezwała się Marta, kłaniając się z powagą pozostałym dwóm mężczyznom, którzy odpowiedzieli podobnym gestem, ani na chwilę nie przestając zawzięcie przeżuwać – to gospodarze musieli zabawiać gości, nie na odwrót. Jednakże w tamtych czasach na miejscach uczonych zasiadali ludzie kulturalni, a nie bydło.

Morton uniósł nastroszone brwi i odstawił kielich.

– Pani – odezwał się – wybac mi. Jeśli ubierasz się jak baba, co pasie bydło, musisz przywyknąć do tego, że za taką cię biorą, czyżbyś o tym nie wiedziała? No cóż, każdy ma swoje dziwactwa. Pozwól, że ci naleję odrobinę tego negusa, a potem porozmawiamy jak równi sobie – przynajmniej dopóki się nie przekonamy, czy rzeczywiście tak jest.

Wino okazało na tyle dobre, że złagodziło trochę ostrość mowy Mortona. Siwobrody właśnie tak je pochwalił.

– Dobrze się je pije – przytaknął od niechcienia jeden z profesorów. Był tłustym mężczyzną, którego dwaj pozostali zwali Gavinem. Miał pożółkłą cerę i stale wycierał z czoła łój. – Niestety to tylko wino domowej roboty. Ostatnie zapasy z uczelnianych piwnic wykończyliśmy w dniu, gdy dziekanowi odebrano władzę.

Na wspomnienie o dziekanie, trzech panowie skłonili głowy z udawaną czcią.

– A zatem jakie są wasze dzieje, podróżni? – spytał Morton z większą swobodą.

Siwobrody krótko opowiedział o latach spędzonych w Londynie, o zatargu z Croucherem w Cowley i o długotrwałej izolacji w Sparcot. Być może profesorowie żalowali, iż zabrakło w tej opowieści ewidentnych kłamstw, lecz mimo to wysłuchali jej z zainteresowaniem.

– Pamiętam tego komandora Crouchera – powiedział Morton. – Jak na dyktatora nie był nawet taki zły. Na szczęście należał do analfabetów, którzy czują zbyt wielki respekt przed nauką. Może dlatego, że jego ojciec, jak powiadano, pracował w college'u jako służący.

Komandor darzył uczelnię wielkim szacunkiem. Musieliśmy się stawiać w college'u na siódmą rano, ale to żadne poświęcenie. Pamiętam, że już wtedy uważaliśmy jego reżim za historyczną konieczność. Dopiero po jego śmierci sytuacja stała się naprawdę nie do zniesienia. Armia Crouchera zmieniła się w bandę szabrowników. To były najgorsze czasy w całym naszym nędznym, ciągnącym się przez pół wieku upadku.

– Co się stało z żołnierzami?

– Mniej więcej to, czego należało się spodziewać. Pozabijali się nawzajem, a resztę, dzięki Bogu, dopadła cholera. Przez rok było to miasto trupów. Uczelnie zamknięto. Okolice wymarła. Zająłem domek na przedmieściach. Po jakimś czasie ludzie zaczęli wracać. Potem, tej albo następnej zimy, przyszła grypa.

– W Sparcot ominęła nas poważna epidemia grypy – powiedział Siwobrody.

– Mielicie szczęście. Fortuna wam sprzyjała. Grypa ominęła niewiele skupisk ludzkich, przetrzebając też szyki grasujących po kraju zbrojnych band wygłodzonych chamów.

– Nasz kraj w najlepszym przypadku mógłby wyżywić zaledwie połowę jego ludności, bazując wyłącznie na własnym rolnictwie – powiedział profesor, do którego pozostali mówili Vivian. – Ponieważ warunki stale się pogarszają, teraz ta liczba zmalała do szóstej części. W normalnych czasach śmiertelność wynosiłaby około sześciuset tysięcy rocznie. Oczywiście brakuje dokładniejszych danych, ale zaryzykowałabym stwierdzenie, że w okresie, o jakim mowa, czyli około roku 2020 lub trochę wcześniej, liczba ludności zmalała z dwudziestu siedmiu do dwunastu milionów. Można zatem łatwo policzyć, że przez dekadę, która upłynęła od tamtej pory, populacja musiała się skurczyć do zaledwie sześciu milionów, jeśli policzymy to, stosując stare dane o śmiertelności. Jeszcze dziesięć lat, a...

– Dziękujemy ci Vivian, dość już statystyk – przerwał Morton i odwrócił się do gości. – Od czasów epidemii grypy w Oksfordzie panował spokój. Jeśli nie liczyć problemów, jakie mieliśmy w Balliol.

– Co się tam stało? – spytała Marta, przyjmując jeszcze jeden kielich domowego wina.

– Tym z Balliol zamarzyło się zawładnąć Oksfordem Nic nie wiecie? Powstały wówczas dziwne układy. Niektórzy próbowali ściągać opłaty czynszowe ze swoich własności w mieście. Wtedy mieszkańcy zwrócili się do Christ Church o pomoc. Na szczęście mogliśmy jej udzielić.

– Mieliliśmy tu groźnego artylerzystę, niejakiego pułkownika Appleyarda. Akurat wtedy schronił się u nas. Dawniej studiował na tutejszej uczelni. Niestety, biedak nie zdał. Nadawał się tylko do wojska. Miał ze sobą parę moździerzy. Takich, co to z nich strzelają w okopach. Ustawił je na placu i zaczął bombardować Balliol – a raczej moździerzować, jeśli można tu użyć takiego czasownika.

– Appleyard miał trochę niepewne oko – dodał Gavin chichocząc. – Zniszczył większość budynków między tutejszą uczelnią a Balliol. Zburzył między innymi Jesus College. Na szczęście dziekan Balliol wywiesił białą flagę i od tamtej pory żyjemy w pokoju.

Anegdota wprawiła trójkę profesorów w dobry nastrój. Zaczęli wspominać dawne wydarzenia, zapominając o gościach.

– Niektóre uczelnie zbudowane są jak fortece – odezwał się Gavin, osuszając czoło. – Miło widzieć, że ta ich cecha czasem się przydaje w praktyce.

– A jezioro, którym dopłynęliśmy do mostu Folly Bridge? Czy z nim też wiąże się jakaś historia? – spytał Siwobrody.

– Że niby ma ono jakieś szczególne znaczenie? Hm, i tak, i nie. W każdym razie nie jest to aż tak dramatyczna opowieść i chyba można powiedzieć, że nie tak interesująca z punktu widzenia człowieka, co kampania w Balliol – powiedział Morton. – Tutejsi ludzie nazywają je Jeziorem Łęgowym. Znajduje się ono na terenach, które od zawsze były narażone na zalewanie, nawet w czasach świetności rady zarządzającej regulowaniem biegu Tamizy, niech im ziemia lekką będzie. Teraz jest to stałe rozlewisko, między innymi dzięki armii nutrii podkopujących brzegi.

– Nutria to zwierzę? – zdziwiła się Marta.

– Gryzoń, pani, z rodziny *echimyidae*. Została przywieziona z Południowej Afryki i jest teraz rodowitym mieszkańcem Oksfordu, podobnie jak Gavin lub ja. Przypuszczam, że pozostanie nim na długo po tym, kiedy my się oddalimy na wieczny spoczynek, co Gavin? Mogliście nie zauważyć tego stworzenia podczas podróży, bo jest płochliwe i znakomicie się maskuje. Powinniście obejrzeć naszą menażerię, wśród której są oswojone nutrie.

Przeprowadził ich przez wiele sal, w których trzymał w klatkach rozmaite zwierzęta. Większość z nich podbiegała ku niemu i cieszyła się na jego widok.

Nutrie miały niewielkie oczko wodne osadzone w kamiennych płytach podłogi w sali na parterze. Wyglądały jak krzyżówka bobra ze szczurem. Morton wyjaśnił, że przywieziono je do kraju w dwudziestym wieku z zamiarem hodowania ich dla futra. Niektórym zwierzętom udało się uciec. Stały się szkodnikami w większej części Anglii wschodniej. Organizując polowania, niemal zdołano je wytępić. Po Wypadku ponownie zaczęły się rozmnażać, z początku powoli, a potem bardzo szybko, podobnie jak wiele błyskawicznie mnożących się stworzeń. Zaczęły się rozprzestrzeniać na zachód wzdłuż rzek i teraz opanowały już połowę terytorium kraju.

– Przez nie Tamiza przestanie istnieć – stwierdził Morton. – Niszczą każdy ciek wodny. Na szczęście ich egzystencję można uzasadnić tym, że są doskonałe do jedzenia i do noszenia! Potrawka z nutrii to jedna z największych pociech na starość, co Vivian? Poza tym, pewnie sami zauważyliście, jak wiele osób stać na to, by stare kości otulić luksusowym futrem.

Marta wspomniała o kunach leśnych, które widzieli po drodze.

– Hm, bardzo interesujące! Zapewne rozprzestrzeniają się na wschód z Walii, bo tylko w tamtym regionie przetrwały wiek temu. Na całym świecie zwierzęta zmieniają zachowanie i środowisko życia. Gdyby tak mieć jeszcze jedno życie i nanieść to wszystko na mapy... Ach,

no cóż, takie życzenia na nic nam się nie przydadzą, prawda?

Morton skończył wycieczkę, proponując Marcie posadę asystentki, której zadanie polegałoby na pomaganiu mu przy menażerii, a Siwobrodemu poradził, by poszedł do farmera Flitcha, który potrzebował człowieka do różnych drobnych prac.

Józef Flitch był osiemdziesięcioletkiem, który aktywnością dorównywał osobie o dwadzieścia lat młodszej. Inaczej być nie mogło, bo musiał dbać o dom pełen zręczliwych kobiet. Miał na utrzymaniu żonę, jej dwie wiekowe siostry, ich matkę i swoje dwie córki, z których jedna przedwcześnie zniechęciła się, a drugą reumatyzm zmienił w kalekę. Z tej nieszczęsnej załogi wiedźm bez wątpienia najbardziej zażarta była pani Flitch, bo w tym domu obowiązywała zasada przetrwania najzacieklejszych. Kobieta niemal natychmiast poczuła do Siwobrodego wielką niechęć.

Flitch zaprowadził go do budynku gospodarczego, uściśnął mu dłoń i zatrudnił go za zapłatę, która według Normana Mortona miała być godziwa.

– Skoro moja pani tak się na was zacietrzewia, wiem, że będzie z was dobry chłop – oświadczył z silnym akcentem, charakterystycznym dla mieszkańców hrabstwa Oksford. Z początku Siwobrody ledwo rozumiał jego mowę.

Gospodarz okazał się dość ponurym człowiekiem, co było zrozumiałe w jego sytuacji. Miał sporo sprytu i przedsiębiorczości. Wkrótce Timberlane się przekonał, że Flitch zarządzał stale rozrastającym się interesem. Jego farma znajdowała się w Osney, na brzegu Jeziora Łęgowego. Zatrudniał na niej wielu pomocników. Jako jeden z pierwszych wykorzystał zmieniające się warunki naturalne i z wielkich połaci sitowia brał materiał na strzechy. W okolicy nie wyrabiano cegieł ani dachówek, ale wiele lepszych domów zostało elegancko przykrytych strzechą Flitcha.

Siwobrody miał wiosłować po jeziorze i ścinać naręcza trzciny. Ponieważ w tym celu wykorzystywał własną łódź, Flitch, jako uczciwy przedsiębiorca, ofiarował mu gigantyczne, ciepłe i odporne na wodę futro z nutrii. Niegdyś należało do człowieka, który umarł jako jego dłużnik. Opatulony w nutrie, Siwobrody przez większość dni powoli przemierzał jezioro. Czuł, jak wtapia się w krajobraz płaskiej tafli wody, bagien i siwego nieba. Był to czas ciszy przerywany tylko krzykiem spłoszonych ptaków wodnych. Czasami szybko napełniał łódź trzcina i mógł poświęcić pół godziny na łowienie ryb na kolację dla siebie i Marty. Widywał wiele gryzoni w pobliżu ich kryjówek na bagnach. Nie tylko szczury wodne, ale i większe zwierzęta, bobry, wydry oraz nutrie, których skóry miał na grzbiecie. Raz widział nawet samicę nutrii, która płynąc karmiła młode.

Choć godził się na godziny ciężkiej pracy przy sitowiu, nigdy nie zapomniał o tym, czego nauczyło go Sparcot. Spokój nie brał się z zewnętrznego świata, tylko z wewnątrz. Kiedy chciał sobie o tym przypomnieć, wystarczyło, że się wybrał po trzcinę do ulubionej zatoczki. Widział stamtąd duże cmentarzysko, na które niemal codziennie przybywały grupy żałobników z trumnami. Kiedy Siwobrody wspominał o tym Flitchowi, ten skwitował to

sucho.

– Aa, ciągle ich sadzą w tej ziemi, ale jakoś żaden nowy nie wyrasta.

Po pracy płynął do domu, do Marty, często z brodą malowaną mrozem. Wracił do pełnego przeciągów pokoju w Killcanon, który żonie udało się zmienić w dom. Charley i Pitt mieszkali poza Christ Church. Znaleźli sobie tańsze, mniej solidne kwatery. Charleya widywali niemal codziennie. Załatwił sobie robotę w garbarni. Pitt wrócił do dawnego zajęcia. Kłusował. Rzadko szukał ich towarzystwa. Siwobrody widział raz jego małą, samotną postać przy południowym brzegu jeziora.

Nawet w najmroczniejsze poranki Timberlane już o szóstej był przy bramie uczelni. Czekał, aż ją otworzą, by pójść do pracy. Pewnego ranka usłyszał, jak dzwoni dzwon w rozpadającej się wieży Tom Tower. Akurat mijał miesiąc, odkąd zaczął pracę na farmie Flitcha.

Był dzień Nowego Roku, który mieszkańcy Oksfordu uważali za święto.

– Nie oczekuję, że będziesz dziś pracował – powiedział Flitch, gdy Siwobrody stawiał się w jego małej mleczarni. – Życie jest dość krótkie, choć zarazem dość długie. Jesteś młody, idź i się zabaw.

– Jaki mamy rok, Joe? Zgubiłem kalendarz i straciłem już rachubę.

– A co to za różnica? Ja ledwie pamiętam swoje lata, po co mam liczyć wiek świata. Wracaj lepiej do domu, do swojej Marty.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie obchodziliśmy świąt Bożego Narodzenia?

Flitch wyprostował się, wstając od owcy, którą doił i spojrzał na Siwobrodego z rozbawieniem.

– Chyba raczej się zastanawiałeś, po co w ogóle świętować, ha? Przecież widzę, że ty nie z religijnych, bo inaczej byś o to nie pytał. Święta wymyślono, żeby czcić narodziny boskiego syna, prawda? Profesorowie z uczelni uznali, że świętowanie urodzin nie jest, można by rzec, w dobrym tonie. – Flitch przesunął stołek i wiadro do mlecznej kozy. – Gdybyś wynajmował pokój w Balliol albo w Magdalen, byłoby inaczej, bo oni nadal uznają Boże Narodzenie.

– A ty jesteś religijny, Joe?

Flitch się skrzywił.

– Zostawiam takie rzeczy babom.

Siwobrody wrócił grząskimi ulicami do Marty. Po jej minie poznał, że coś się święciło. Wyjaśniła, że był to dzień, kiedy pokazywano dzieci z Balliol. Chciała je zobaczyć.

– Lepiej ich nie oglądajmy, Marto. Tylko się zasmucisz. Zostań tu ze mną. Jest ciepło i przytulnie. Znajdziemy Tubby'ego przy bramie i napijemy się z nim. Albo chodź do starego Joego Flitcha. Nie musisz się spotykać z jego kobietami. A może...

– Algi, zabierz mnie do tych dzieci. Na pewno wytrzymam. Poza tym, to coś w rodzaju towarzyskiego wydarzenia, a takich teraz mamy mało. – Wsunęła włosy pod kaptur, spoglądając na niego przyjaznym, choć trochę nieobecny wzrokiem. Pokręcił głową i wziął



ją za rękę.

– Zawsze byłaś uparta, Marto.

– Jeśli chodzi o ciebie, zawsze ustępowałam, dobrze o tym wiesz.

Na ulicy zwanej Zbożową – chyba dlatego, że wzdłuż niej biegł pas zaoranego pola – zbierali się ludzie. Prezentowali się równie szaro, co ruiny budynków, które mijali powłócząc nogami. Zaciskali dżiasta przed zimnem i niewiele rozmawiali. Chwiejnie ustępowali wozowi ciągniętemu przez renifera. Kiedy pojazd zrównał się z Siwobrodym i Martą, ktoś zawołał ją po imieniu.

Wozem jechał Norman Morton w profesorskiej todze narzuconej na grube futra. Towarzyszyli mu inni profesorowie, a wśród nich dwoje, których Siwobrody już poznał, tłusty Gavin i milczący Vivian. Morton nakazał woźnicy się zatrzymać i zaprosił dwoje pieszych, by wspięli się na górę. Stanęli na piastach kół, a pasażerowie wciągnęli ich wyżej.

– Dziwicie się widząc, że biorę udział w przyjemnościach zwykłych ludzi? – spytał Morton. – Dzieci z Balliol interesują mnie w takim samym stopniu, co moje zwierzęta. Doskonale nadają się do pokazywania, a część wielce potrzebnej w dzisiejszych czasach popularności, przypada dziekanowi. Kto wie, co się z nimi stanie już za kilka lat, gdy dorosną? To sprawa, na którą dziekan nie ma wpływu.

Wóz zatrzymał się w doskonałym miejscu przed zniszczoną fortecą Balliol z nieładną, wiktoriańską fasadą. Nadal nosiła ona ślady skuteczności moździerza pułkownika Appleyarda. Z wieży został jedynie kikut, a dwa duże fragmenty frontu zostały dość nieudolnie załatane nowym kamieniem. Poza główną bramą wzniesiono coś na kształt rusztowania, nad którym wisiała flaga college’u.

Zebrał się wielki tłum. Marta i Siwobrody już dawno takiego nie widzieli. Atmosfera była raczej poważna, a nie wesoła. Handlarze kręcili się w cizbie, sprzedając szale, tanią biżuterię, kapelusze z łabędzich piór, hot dogi i pamflety. Siwobrody wskazał mężczyznę z tacą pełną gazet i książek.

– Popatrz, Oksford nadal jest kolebką drukowanego słowa, aż do gorzkiego końca. Jak widzisz, tradycja jest niezwykle ważna. Sprawdźmy, co ten szachraj ma do zaoferowania, dobrze?

Sprzedawca okazał się krzepkim mężczyzną o sinych wargach. Do płaszcza miał przypiętą do kartkę z napisem: „Sprzedawca Wydawnictw Uniwersyteckich”, ale większość jego towarów przeznaczona była – jak stwierdził przyjaciel Mortona, Gavin, kartkując niestaranne wydanie kryminału – dla motłochu.

Marta kupiła czterostronicowy pamflet wydany z okazji święta i zatytułowany SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU, OKSFORD 2030!! Przejrzała go i podała Siwobrodemu.

– Poezja znowu wraca do łask, choć to bardziej mi wygląda na nieobyczajne rymowanki. Nic ci to nie przypomina?

Przeczytał pierwszą zwrotkę. Mieszanka dzieciennego języka i sprośności rzeczywiście wydawała się znajoma.

*„Mężu mój mężu  
Obudź swego węża  
Bo dziecińki wołają,  
Na świat się nie pchają.”*

– Ameryka... – powiedział. Wróciły wspomnienia, sprzed niemal trzydziestu lat. Uśmiechnął się do Marty. – Nasz drużba. Widzę go oczyma wyobraźni. Jak on mówił na takie rzeczy? Szmatławce! Rany, wszystko powraca! – Otoczył żonę ramieniem.

– Jack Pilbeam – powiedziała. Oboje się roześmieli, zdumieni, że jest im tak przyjemnie.

– Moja pamięć już szwankuje... – powiedzieli niemal równocześnie.

Na moment obydwójce umknęli terażniejszości, zapomnieli o pogiętych reumatyzmem postaciach i zgniłych oddechach tłumu wokół. Cofnęli się w czasy, gdy świat był czystszy, do ekscytującego Waszyngtonu, jaki zachowali w pamięci.

Jednym z prezentów ślubnych od Billa Dysona było pozwolenie na podróż przez całe Stany. Część miodowego miesiąca spędzili nad Niagarą. Wycieczka w tak popularne miejsce sprawiła im mnóstwo radości. Udawali Amerykanów i wsłuchiwali się w szum potężnych wodospadów.

Tam dotarły do nich wieści. Znalaziono i aresztowano porywacza Marty. Okazało się, że był nim Dusty Dykes. Wieść o aresztowaniu stała się tego dnia wiadomością numer jeden, ale już nazajutrz pierwsze strony zajmowała relacja z pożaru olbrzymiej fabryki w Detroit.

Tamten świat wieści i wydarzeń już nie istniał. Nawet w ich wspomnieniach ożywał tylko nikłą iskrą, bo one także ulegały ogólnemu rozkładowi. Siwobrody zamknął oczy. Nie mógł w tej chwili spojrzeć na Martę.

Rozpoczęła się parada. Dygnitarze otoczeni przez strażników maszerowali od bramy Balliol. Niektórzy wspięli się na rusztowanie, inni strzegli przejścia. Pojawił się dziekan, stary i słaby, z twarzą, która odcinała się śmiertelną bledością od czerni togi i nakrycia głowy. Wspomagany przez innych wszedł po stopniach. Krótką i niesłyszalną mowę zakończył atak kaszlu, po czym z college’u wyszły dzieci.

Jako pierwsza pojawiła się dziewczynka. Szła, zuchwale rozglądając się wokół. Rozjaśniła się, gdy tłum zaczął wiwatować. Wspięła się na platformę i pomachała. Była zupełnie łysa, a pod bladą skórą widać było guzowatą czaszkę. Jedno z jej uszu, zgodnie z tym co słyszał Siwobrody, wyglądało na tak spuchnięte, że przypominało narośl o nieokreślonym kształcie. Kiedy odwróciła się tą stroną do widzów, przypominała skrzata.

Tłum z zachwytem reagował na widok młodości. Wiele osób klaskało.

Chłopcy pojawili się jako następni. Ten ze zdeformowaną ręką nie wyglądał zdrowo; miał

ściągniętą, posiniałą twarz. Stał apatycznie na platformie i machał, ale się nie uśmiechał. Miał najwyżej trzynaście lat. Drugi chłopiec był starszy i zdrowszy. Przyglądał się tłumowi badawczo. Siwobrody patrzył na niego ze współczuciem. Doskonale wiedział, że tej ciźbie nie można było ufać. Być może chłopak rozumiał, że ci, którzy tego dnia tak chętnie wznosili na jego cześć okrzyki, za rok mogli pragnąć jego krwi. Wystarczyło, by wiatr zmienił kierunek. Dlatego młodzik pomachał ręką i ułożył wargi w uśmiech, ale jego oczy nie uśmiechnęły się ani razu.

Pokaz dobiegł końca. Dzieci wróciły do siebie odprowadzane krzykami tłumu. Wiele par oczu się zaszklilo. Niektóre starsze kobiety otwarcie płakały, a handlarze sporo zarabiali na chusteczkach.

– Bardzo poruszające przeżycie – powiedziała Marta zachrypłym głosem.

Siwobrody zamienił słowo z woźnicą i powoli ruszyli, z trudem manewrując w tłumie. Jasne było, że wielu widzów zamierzało zostać tu jeszcze jakiś czas, nacieszyć się towarzystwem innych ludzi.

– No i proszę – odezwał się Gavin, wyciągając z kieszeni chustkę, żeby wytrzeć zatłuszczone czoło. – Oto i cały cud oraz znak, że przy odpowiednich warunkach ludzki gatunek mógłby się odrodzić. Niestety, ludziom trudniej jest zaczynać wszystko od nowa, niż większości ssaków. Wystarczy para gronostajów, nutrii czy królików Mortona, a za pięć lat, nawet przy umiarkowanym szczęściu, przybędzie ich spora chmara, co Morton? Człowiekowi potrzeba całego wieku, by osiągnąć przybliżoną liczebność. Prócz tego, jemu nie wystarczy umiarkowane szczęście. Gryzonie i inne mniejsze zwierzęta nie zabijają przedstawicieli własnego gatunku, tak jak to robi homo sapiens. Zastanówcie się, ile czasu upłynie, zanim dziewczynka stanie się kobietą, którą wielu chętnie by zgwałciło albo zanim starszy chłopiec wyjdzie się trochę zabawić, zostanie napadnięty przez grupkę przedtrumniaków i na śmierć pobity ich śmierdzącymi laskami.

– Domyślam się, że takie pokazy mają za zadanie oswoić lud z dziećmi, aby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że zostaną w przyszłości skrzywdzone, czy tak? – powiedziała Marta.

– Psychologiczny efekt takich działań jest często odwrotny do zamierzonego – odparł Gavin z powagą.

Dalej jechali w milczeniu drogą Zbożową i ulicą St Aldates, z której skręcili w wysoką bramę do Christ Church.

– Czy zakazałby pan przedstawień w Balliol, profesorze Morton, gdyby było to w pana mocy? – spytał Siwobrody, zsiadając z wozu.

Starzec przyjrzał mu się chytrze.

– Ludzie są źli. Gdybym mógł, uczyniłbym ludzką naturę nielegalną.

– Tak jak wprowadził pan zakaz obchodzenia świąt Bożego Narodzenia?

Sznurkowata twarz ułożyła się w coś, na kształt uśmiechu. Profesor mrugnął do Marty.

– Wydajemy zakazy wedle naszej woli – ja, Gavin i Vivian. Korzystamy z naszej

mądrości dla dobra ogółu. Śmiem twierdzić, że zakazaliśmy wielu rzeczy o wiele ważniejszych niż Boże Narodzenie.

– Takich jak?

– Po pierwsze znieśliśmy władzę dziekana – odezwał się Vivian, odsłaniając sztuczne zęby w uśmiechu, co zdarzało się mu bardzo rzadko.

– Powinniście zajrzeć do katedry – powiedział Morton. – Przekształciliśmy ją w muzeum, gdzie umieściliśmy wiele zakazanych rzeczy. Co wy na to, panowie, urządzimy sobie wycieczkę, skoro dzień jest taki przyjemny?

Pozostali profesorowie przystali na jego propozycję i całe towarzystwo ruszyło przez plac ku jego wschodniej części, gdzie wznosiła się katedra połączona z budynkami college'u.

– Radio, jak się domyślacie, to jedna z rzeczy, jakiej nie chcemy w naszej małej, spokojnej gerontokracji

– powiedział Morton. – Nie przyniosłoby nam zysków, a mogłoby zasmucić wieściami ze świata zewnętrznego. Komu potrzebne dane o śmiertelności w Paryżu czy o głodzie w Nowym Jorku? Po co wiedzieć, jaką pogodę mają w Irlandii?

– Mam rozumieć, że jest tu bezprzewodowa stacja radiowa? – zapytał Siwobrody.

– Niezupełnie. Mamy furgonetkę, z której można nadawać... – Profesor przerwał i przekręcił duży klucz w drzwiach katedry. Razem z Vivianem wspólnymi siłami popchnęli ich skrzydło. Weszli do środka, w półmrok katedry. Wewnątrz, tuż przy drzwiach stała furgonetka DGHW(A).

– To mój wóz! – wykrzyknął Siwobrody, rzucając się naprzód i przyciskając dłonie w rękawiczkach do maski. Oboje z Martą patrzyli na furgonetkę ze zdumieniem i podnieceniem.

– Wybaczcie, ale nie jest wasz – zauważył Morton. – Jest własnością profesorów tej uczelni.

– Nie uszkodzili jej – stwierdziła Marta z zarumienionymi policzkami patrząc, jak Siwobrody otwiera drzwi od strony kierowcy i zagląda do środka. – Och, Algi! Czy to nie budzi wspomnień? Nigdy nie sądziłam, że ją jeszcze zobaczymy! Jak się tu znalazła?

– Chyba brakuje części taśm z nagraniami, ale filmy są wszystkie, poukładane tak, jak je zostawiliśmy! Pamiętasz, jak gnaliśmy nią przez most Littlemore? Chyba byliśmy wtedy zupełnie szaleni. Od tamtej pory minął już cały świat! Na pewno zainteresuje to Jeffa Pitta. – Timberlane odwrócił się do Normana Mortona i pozostałych profesorów. – Panowie, ta furgonetka została powierzona mojej pieczy przez grupę badawczą kierującą się pobudkami, które na pewno zyskałyby waszą aprobatę. Musiałem ją wymienić na jedzenie w czasach, gdy my i reszta mieszkańców Sparcot głodowaliśmy. Jestem zmuszony prosić was o jej zwrot.

Profesorowie unieśli brwi i wymienili spojrzenia.

– Przejdźmy do moich pokoi – zaproponował Morton. – Tam możemy omówić sprawę i przedstawić wszelkie argumenty. Sami rozumienie, że nie możemy oddać wam furgonetki za darmo.

– Proszę o jej zwrot, ponieważ prawnie do mnie należy, panie Morton.

Marta ścisnęła ramię Siwobrodego, gdy opuścili katedrę. Drzwi zamknięto na klucz.

– Kochanie, postaraj się zachowywać taktownie – wyszeptała.

– Jesteście tu nowi – odezwał się Gavin, gdy ruszyli dalej – ale na pewno zauważyliście, że mamy na murach strażników. Być może są oni mało potrzebni, a na pewno mało skuteczni, ale mimo to utrzymujemy tych starców. Przychodzą tu, kiedy już nie mają się gdzie podziać, a my, w naszej łasce, jesteśmy zmuszeni ich przyjąć. Zarabiają na swoje utrzymanie, pełniąc straż. Nie jesteśmy organizacją dobroczynną, sami rozumiecie; nie pozwalają nam na to pustki w szkatułach. Nieważne, czego pragną nasze serca. *Wszyscy*, panie Siwobrody, wszyscy przyszliby tutaj i żyli na nasz koszt, gdybyśmy im na to pozwolili. Żaden człowiek nie chce pracować, gdy przekroczy półwiecze, zwłaszcza gdy brak przyszłych pokoleń, które mogłyby na jego pracy skorzystać.

– Masz rację, Gavin – przytaknął Vivian, stukając laską w wyrobione kamienne płyty. – Jesteśmy zmuszeni uczynić to miejsce dochodowym w sposób, który naszym poprzednikom i założycielom tej uczelni nawet by się nie śnił. Kardynał Wolsey chyba by umarł, gdyby... No cóż, zmieniliśmy uczelnię w instytucję łączącą funkcje tawerny, domu aukcyjnego, targu bydła i domu uciech. W takich czasach nie sposób uciec od komercji.

– Rozumiem – powiedział Siwobrody, gdy wchodzili do gabinetów Mortona. Ten sam ostronosy mężczyzna, którego spotkali na uczelni pierwszego dnia, pospiesznie zatkał korkiem jedną z butelek swego mistrza i zniknął w sąsiedniej sali. – Chcacie, żebym zapłacił za to, co do mnie należy.

– Niezupełnie – odparł Morton, pochylając się nad ogniem i wyciągając ku niemu chude ręce. – Moglibyśmy, po ustaleniu tego, że pojazd rzeczywiście należy do was, zażądać uiszczenia opłaty parkingowej... Zwrotu kosztów garażowania, sami rozumiecie. Zastanówmy się chwilę. Kwestor na pewno ma gdzieś rejestry, ale przypuszczam, że trzymaliśmy wehikuł w naszym luksusowym, świątynnym garażu przez jakieś siedem, osiem lat... Przyjmijmy skromną sumę trzech szylingów per diem... Hm, Vivian, ty jesteś matematykiem...

– Ale głowa już nie ta sama.

– Jak wszyscy wiemy...

– Opłata wyniosłaby w przybliżeniu czterysta funtów.

– To absurd! – sprzeciwił się Siwobrody. – Skąd miałbym wziąć taką sumę? Poza tym, chciałbym wiedzieć, jakim sposobem pojazd znalazł się w waszym posiadaniu.

– Przejawia pan proletariackie zapędy, panie Siwobrody – stwierdził Morton. – Na tej sali podnosimy kielichy, ale nigdy głośy. Napijemy się?

Marta wysunęła się do przodu.

– Panie Morton, chętnie z panem wypijemy. – Na stole położyła monetę. – Oto zapłata za wino.

Pomarszczona twarz Mortona wygładziła się i tak bardzo się wydłużyła, że broda znikła

w kołnierzu płaszcza.

– Pani, obecność kobiety wcale nie czyni z tego miejsca tawerny. Schowaj z łaski swojej pieniądze, które się wam przydadzą na co innego.

Językiem przesunął po górnym dziąśle, uśmiechnął się kwaśno i podniósł kielich.

– Panie Siwobrody – odezwał się tonem bardziej opanowanym niż uprzednio – Wehikuł, którym tak się interesujesz, trafił do nas w taki oto sposób. Przyjechał nim tutaj pewien handlarz. Jak mój przyjaciel Gavin zapewne pamięta, człowiek ten miał jedno oko i całe mnóstwo wszy. Sądził, że umiera i po prawdzie nam się też tak wydawało. Przyjęliśmy go do siebie i zaopiekowaliśmy się nim. Przetrwał zimę – choć sztuka ta nie udała się wielu silniejszym od niego – i jako tako wydobrzała na wiosnę. Cierpiał na pewien rodzaj porażenia, przez co nie nadawał się nawet na strażnika. Za utrzymanie zapłacił nam furgonetką. Ponieważ dla nas była ona bezużyteczna, ta transakcja mu się opłaciła. Handlarz ów zmarł przed kilkoma miesiącami po jakiejś pijackiej burdzie, przeklinając – jak słyszałem – swoich dobroczyńców.

Siwobrody posepnie pił wino.

– Jeśli furgonetka nie ma dla was wartości, dlaczego nie oddacie jej mnie?

– Ponieważ jest częścią naszego majątku, częścią, która już wkrótce przyniesie profit. Przynajmniej taką mamy nadzieję. Przypuśćmy, że Vivian nie pomylił się obliczając, iż opłata za garażowanie wyniesie czterysta funtów. Załóżmy, że pozwolimy panu zabrać pojazd za dwieście. Co pan na to?

– Ależ ja nie mam nic! Zebranie takiej sumy zabrałoby mi cztery lata. Przecież wiecie, jak mało zarabiam u Joego Flitcha.

– Moglibyśmy przystać na obniżenie opłat za ten okres, prawda Gavin?

– Jeśli kwestor się nie sprzeciwi, możemy tak postąpić.

– Właśnie. Powiedzmy szylinga za dzień przez następne cztery lata... Vivian?

– Moja głowa już nie jest ta sama. Chyba jeszcze siedemdziesiąt pięć funtów, mam rację?

Siwobrody zaczął opowiadać o działalności DGHW(A). Wyjaśnił, jak często zarzucał sobie, że odstąpił handlarzowi furgonetkę, choć tamta wymiana ocaliła połowę mieszkańców Sparcot przed śmiercią głodową. Profesorowie pozostali niewzruszeni, a Vivian stwierdził nawet, że skoro pojazd jest taki cenny, a Siwobrody nie potrafił wyrazić prawa własności do niego, powinni mu go sprzedać za tysiąc funtów. Na tym dyskusja się zakończyła. Członkowie uczelni koniecznie chcieli zapłaty.

Następnego dnia Siwobrody poszedł do czcigodnego kwestora i podpisał umowę na wpłacanie odpowiedniej sumy co tydzień, dopóki opłata garażowa nie zostanie uiszczona.

Wieczorem siedział u siebie w ponurym nastroju. Ani Marta, ani Charley, który przyszedł z Izaakiem w odwiedziny, nie potrafili podnieść go na duchu.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spłacenie długu zajmie nam prawie pięć lat – powiedział.

– Honor nakazuje mi dotrzymać słowa. Rozumiesz, co czuję, prawda, Marto? Przyjąłem z

DGHW zadanie, które miałem wypełniać do końca życia i zamierzam uhonorować moje zobowiązania wobec organizacji. Co innego może zrobić człowiek, który nic nie ma? Poza tym, kiedy furgonetka znowu będzie należała do nas, możemy uruchomić radio i może uda się nam skontaktować z innymi wozami. Dowiemy się, co się działo na całym świecie. Nadal chcę to wiedzieć, nawet jeśli starym głupcom, którzy rządzą tym miejscem, już na tym nie zależy. Czy nie byłoby cudownie, gdyby udało się nam złapać starego Jacka Pilbeama w Waszyngtonie?

– Skoro tak do tego podchodzisz, Algi, jestem pewna, że pięć lat szybko minie – powiedziała Marta.

Spojrzał jej w oczy.

– Właśnie tego się obawiam.

Dzień gonił za dniem. Mijały miesiące. Zima ustąpiła wiosnie, a wiosna latu. Lato zmieniło się w kolejną zimę, a zima w następne lato. Ziemia się odradzała. Tylko człowiek się starzał, a w jego miejsce nie pojawiali się młodzi. Drzewa rosły wyższe, gawrony krzyczały coraz głośniej, cmentarze się zapełniały, a na ulicach z każdym dniem robiło się ciszej. Siwobrody niemal przy każdej pogodzie wypływał na Jezioro Łęgowe i ładował na łódź plony zielonego sitowia. Żył z dnia na dzień, nie martwiąc się tym, że wkrótce przyjdzie czas, gdy ludziom zabraknie sił, by kłaść strzechy albo nie będą ich już potrzebowali.

Marta pracowała wśród zwierząt, pomagając Thornowi, sękatemu i artretycznemu asystentowi Normana Mortona. Praca była ciekawa. Większości ssaków rodziły się już normalne młode, choć u krów, których mieli tylko niewielkie stadko, nadal dość często zdarzały się poronienia. Zdrowe zwierzęta hodowano i sprzedawano żywe na aukcjach albo przeznaczano je do uboju i handlowano mięsem.

Marcie wydawało się, że Siwobrody stracił ducha. Wieczorami, gdy wracał od Joego Flitcha, rzadko miał coś do powiedzenia, za to z zainteresowaniem słuchał plotek o uczelni, które słyszała od Thorna. Coraz rzadziej widywali Charleya Samuela i prawie wcale nie spotykali się z Jeffem Pittem. Nowe znajomości nawiązywali bardzo powoli. Rzekoma przyjaźń z Mortonem i pozostałymi profesorami zwiędła natychmiast po zawarciu transakcji finansowej.

Marta nie pozwoliła, by odmienna sytuacja wpłynęła na jej relacje z mężem. Za długo się znali i zbyt wiele razem przeszli. Aby umocnić się w tym zamiarze, wyobrażała sobie, że ich miłość jest jak jezioro, na którym dzień w dzień pracował Algi: powierzchnia odbijała każdą zmianę pogody, ale nic nie zakłócało głębi. Dlatego pozwalała dniom uciekać i czekała z otwartym sercem.

Pewnego złotego letniego wieczoru, kiedy wróciła do domu – a przenieśli się już wtedy do lepszej kwatery na pierwszym piętrze w Peck – zastała tam męża. Przyszedł przed nią. Zdążył umyć ręce i rozczesać brodę.

Pocałowali się.

– Joe Fitch kłóci się z żoną. Posłał mnie wcześniej do domu, żeby dokończyć sprzeczkę w spokoju. Tak powiedział. Jest jeszcze jeden powód, dla którego wcześniej wróciłem. Dziś są moje urodziny.

– Och kochanie, a ja zupełnie zapomniałam! Rzadko myślę o datach, pamiętam jedynie, jaki mamy dzień tygodnia.

– Dziś jest siódmego czerwca, właśnie kończę pięćdziesiąt sześć lat, a ty jak zwykle wyglądasz pięknie.

– Kochany, jesteś najmłodszym człowiekiem na świecie!

– I ciągle najprzystojniejszym?

– Hm, tak, choć to bardzo subiektywna sprawa. Jak uczymy dzisiejszy dzień? Zaniesiesz mnie do łóżka?

– Dla odmiany tego nie zrobię. Pomyślałem, że może zechcesz pożeglować łodzią. Mamy taki piękny wieczór.

– Nie masz jeszcze dość tej łodzi? Oczywiście, chętnie z tobą popłynę, jeśli masz na to ochotę.

Pogłaskał ją po włosach i spojrzał w dół na jej kochaną, naznaczoną zmarszczkami twarz. Potem otworzył lewą dłoń i pokazał jej sakiewkę z pieniędzmi. Spojrzała na niego pytająco.

– Skąd to masz, Algi?

– Marto, dziś po raz ostatni ścinałem sitowie. Przez te półtora roku zachowywałem się jak szaleniec. Żyłem jak niewolnik. I po co? Żeby zarobić pieniądze i odzyskać tę cholerną, nikomu niepotrzebną furgonetkę schowaną w katedrze? – Jego głos się załamał. – Tak wiele od ciebie wymagałem... Wybacz mi, Marto. Nie wiem, dlaczego to robiłem i nie rozumiem, dlaczego mnie za to nie znienawidziłaś, ale wierz mi, już zapomniałem o tym szalonym pomysle. Wycofałem od kwestora większość oszczędności z dwóch lat. Jesteśmy wolni i możemy opuścić ten śmietnik!

– Och Algi, ty... Algi, byłam tu szczęśliwa. Wiesz, że tak. Oboje byliśmy szczęśliwi, żyliśmy w spokoju. To nasz dom.

– Ale teraz wyruszymy dalej. Wciąż jesteśmy młodzi, prawda, Marto? Powiedz mi, że jesteśmy młodzi! Nie gnijmy tutaj. Dokończmy nasz dawny plan i pożeglujmy z rzeką aż dotrzemy do jej ujścia i do czystego morza. Chciałabyś tego, prawda? Nie mylę się?

Spojrzała gdzieś, poza niego, przez oślepiające światło wpadające przez okno. Zapatrzyła się na dachy stajni widoczne w oddali i na niebieskie, wieczorne niebo ponad nimi.

– O tym właśnie w duchu marzysz, tak Algi? – spytała w końcu poważnym tonem.

– Och, moja kochana, wiesz, że tak. Tobie też się to spodoba. To miejsce jest jak jakaś materialistyczna pułapka. Nad morzem znajdziemy inne społeczności, do których będziemy mogli się przyłączyć. Tam wszystko będzie inaczej... Nie płacz, Marto, nie płacz, moja cudna istoto!



Zanim zapakowali cały dobytek, zaczęło się zmierzchać. Po raz ostatni przeszli pod wysoką bramą uczelni i skierowali się w dół, ku łodzi, rzece i nieznanemu.

## Rozdział szósty – Londyn

Marta ze zdziwieniem stwierdziła, że nogi drżą jej z zachwytu. Znowu żeglowali rzeką, wolni. Siedziała w łodzi obejmując ramionami kolana i nie mogła przestać się śmiać, widząc uśmiech Siwobrodego. Decyzja, by kontynuować podróż wcale nie była tak spontaniczna, jak to przedstawił. Zdążył dobrze zaopatrzyć łódź i wyposażyć ją w nowy żagiel. Marta z radością przyjęła wiadomość, że Charley Samuels także z nimi płynie. Postarzał się znacznie podczas pobytu w Oksfordzie. Miał zapadnięte policzki i był blady jak słoma. Lis Izaak zmarł kilka miesięcy wcześniej, ale na Charleya jak zawsze można było liczyć. Niestety, nie widzieli się z Jeffem Pittem i nie mogli się pożegnać. Tydzień wcześniej zniknął gdzieś w wodnych labiryntach jeziora i od tamtej pory nikt go nie widział. Może umarł gdzieś w głuszy albo wyruszył na poszukiwania nowych miejsc na pułapki. Nikt nic nie wiedział.

Świadomość rzeki płynącej pod kilem łodzi była dla Siwobrodego jak wyzwolenie. Żeglując z nurtem, pogwizdywał. Przepłynęli blisko miejsca, gdzie za czasów Crouchera on i Marta mieszkali, sprzecali się i martwili, zanim trafili do koszar w Cowley. Jego nastrój bardzo się od tamtej pory zmienił. Tak bardzo, że z trudem przypominał sobie człowieka, jakim wtedy był. O wiele bliższy sercu – i bardziej wyraźny w pamięci! – pozostał mały Algi cieszący się rejsami po słonecznej Tamizie, w 1982 roku, kiedy przez kilka miesięcy dochodził do siebie po chorobie popromiennej.

Gdy tak płynęli na południe, nowa wolność połączyła go z dawną wolnością dzieciństwa.

Ale tylko we wspomnieniach tamten czas wydawał się wolnością. Tamto dziecko było mniej wolne od tego spalonego słońcem mężczyzny z łysą głową i siwą brodą, siedzącego w łodzi obok żony. Było więzieniem własnych słabości i niewiedzy, życzeń rodziców i woli potwora losu, który trafił na ziemię tak niedawno, że świat jeszcze nie pojął jak wielka jest jego potęga. Było maleńkim pionkiem.

Poza tym, tamtego malca czekała długa droga pełna smutku, trosk i zmagania. Dlaczego więc dorosły mężczyzna ze wzruszeniem patrzył wstecz, z perspektywy czterdziestu dziewięciu lat, na chłopca zamkniętego w przeszłych wydarzeniach? Dlaczego myślał o nim z uczuciem, które bardziej przypominało zazdrość niż współczucie?

Kiedy samochód się zatrzymał, Miś Jock, pluszowy niedźwiadek w pizamie w kratę, stoczył się z tylnej półki na siedzenie. Algi podniósł go i położył na miejsce.

– Jock chyba też jest chory, mamusiu. Ciągłe się tacza i spada.

– Może poczuje się lepiej, kiedy obejrzymy dom – powiedziała Patrycja Timberlane. Zmarszczyła to, co zostało z jej brwi i spojrzała na Venice, jej przyjaciółkę, która siedziała z przodu obok niej. – Wiem, że mi to pomoże – dodała.

Wysiadła z samochodu, otworzyła tylne drzwiczki i pomogła synkowi się wydostać. Był dość wysoki, jak na siedmioletniego chłopca, ale podczas choroby wychudł i osłabł. Miał zapadnięte policzki i szorstką skórę. Ona, choć sama też chorowała, musiała się nim opiekować. Czowała się tak źle, jak on wyglądał. Mimo to uśmiechnęła się zachęcająco do Algiego.

– Sądzisz, że Jock nie chce zobaczyć nowego domu?

– Przecież ci mówię, mamo, że jest chory. Rany, jak ktoś jest chory, to nie chce nic robić, tylko chce umierać, tak jak Frank. Jeśli się zgodzisz, miś wolałby zostać w samochodzie.

– Jak sobie życzysz. – Nadal czuła ból, gdy ktoś przypominał jej o śmierci starszego syna. Frank zmarł po wielu miesiącach choroby.

Venice pospieszyła jej z pomocą.

– Może pobawisz się na dworze, Algi, a ja i twoja mama obejrzymy dom, dobrze? Ogród wygląda naprawdę zachęcająco. Tylko nie wpadnij do Tamizy, bo się zupełnie zmoczysz.

Mayburn był spokojnym domem. Wznosił się tuż nad rzeką, niedaleko od przedmieść Londynu, gdzie mieszkali Timberlane'owie. Od sześciu tygodni stał pusty, a agent nieruchomości, który przekazał Patrycji klucze, zapewnił ją, że to najlepszy moment na taką inwestycję, ponieważ doszło do załamania na rynku. Oglądała ten dom już po raz drugi. Za pierwszym razem towarzyszył jej mąż, ale teraz wolała przyjść z kimś przychylniej nastawionym. Artur był w porządku, tylko miał problemy finansowe.

Sam dom miał niewielkie rozmiary, ale z tyłu znajdował się dość duży ogród, schodzący pasem wprost do rzeki i krótkiego pomostu. Miejsce odpowiadałoby im obojgu. Artur uwielbiał pracować w ogrodzie, a ona kochała rzekę. Kiedy na początku lata ona i Algi czuli się trochę lepiej, było tak miło, gdy opatuleni w ciepłe ubrania wybierali się z przystani Westminster na wycieczki parowcem i patrzyli, jak miasto znika w tyle. Na rzece powolna rekonwalescencja zyskiwała wymiar niemal duchowy.

Patrycja otworzyła drzwi frontowe i weszła do środka. Venice podążyła za nią. Algi pobiegł dookoła na tyły domu.

– Oczywiście teraz wygląda to okropnie – powiedziała Patrycja, chodząc po rozbrzmiewających echem pokojach. – Ostatni właściciele mieli bzika na punkcie białych ścian. To takie bezbarwne! Ale po remoncie będzie zupełnie inaczej. Myślałam, że może wyburzymy tę ścianę. Teraz i tak nikt nie je śniadań w oddzielnym pokoju, a mielibyśmy stąd

cudowny widok na rzekę. Och, nawet nie wiesz jak się cieszę, że wreszcie opuszczę Twickenham. Tamten rejon Londynu z każdym rokiem staje się coraz gorszy.

– Arturowi nadal się tam podoba – zauważyła Venice, uważnie przyglądając się przyjaciółce, która patrzyła przez okno.

– Artur... No cóż, wiem, że tu będziemy trochę za blisko jego fabryki. Och, wiem, że czasy są ciężkie, Venice. Ta wstrętna choroba popromienna wszystkich wpędziła w przygnębienie, ale dlaczego Artur się nie rozchmurzy? Może to zabrzmi okropnie, ale ostatnio tak mnie nudzi. Ma teraz nowego partnera, Keitha Barratta, więc powinien być weselszy...

– Wiem, że masz do Keitha słabość – powiedziała Venice z uśmiechem.

Patrycja spojrzała na przyjaciółkę. Zanim zachorowała i zanim umarł Frank, była piękna. Teraz straciła niemal całą dawną żywołość i stało się jasne, że właśnie ta cecha dodawała jej urody.

– To widać? Nikomu nie wspomniałam o tym ani słówkiem. Venny, jesteś mężatką dłużej niż ja. Powiedz mi, wciąż kochasz Edgara?

– Nie jestem może tak wylewna jak ty, ale tak, Kocham Edgara. Kocham w nim wiele cech. Jest dobrym człowiekiem – uprzejmym, inteligentnym, nie chrapie. Kocham go też dlatego, że często wyjeżdża, a to bardzo ułatwia życie w związku. Ach, to mi przypomina, że dziś wieczorem Edgar wraca z konferencji medycznej w Australii. Nie możemy tu zostać zbyt długo. Muszę przyszykować coś na kolację.

– Umiesz zmieniać temat.

Przez kuchenne okno widziały Algiego biegającego w wysokiej trawie. Gonił za czymś, o czym tylko on wiedział. Po chwili ukrył się za bzem i przyjrzał się płotu odgradzającemu działkę od ogrodu sąsiadów. Obcość tego miejsca fascynowała chłopca. Zbyt wiele czasu spędził w klatce swojej sypialni. W jednym miejscu płot był połamany, ale Algi nie przeszedł na drugą stronę. Pomyślał tylko, jak to by było pięknie, gdyby wszystkie ogrodzenia runęły i każdy mógł chodzić gdzie chce. Na próbę przeciągnął w poprzek sztachet kijem. Dźwięk spodobał mu się, więc zrobił to raz jeszcze. Po drugiej stronie, w dziurze, pojawiła się mała dziewczynka mniej więcej w jego wieku.

– Jak go popchniesz, to upadnie – powiedziała.

– Ale ja nie chcę go przewrócić.

– To co tu robisz?

– Mój tatuś kupi ten dom.

– A niech to grzyb! Już nie będę mogła zakradać się tu i bawić się w ogrodzie. Założę się, że twój stary naprawi płot.

Algi uznał, że musi bronić taty.

– Nie robi tego. Nie umie naprawiać płotów. W ogóle się nie zna na majsterkowaniu. Jest zupełnie do niczego. – Na moment wyraźniej zobaczył dziewczynkę zza krzaków. – Rany, jesteś łysa. Jak się nazywasz?

– Jestem Marta Jennifer Broughton, a włosy mi odrosną, zanim będę duża.

Algi upuścił kijek i podszedł do ogrodzenia, przyglądając się Marcie. Nosila czerwoną bluzkę i plisowaną spódnicę tego samego koloru. Twarz miała szczerą i przyjazną, a na czaszce ani jednego włosa.

– Rany, ty jesteś *zupełnie* łysa!

– Doktor MacMichael mówi, że włosy mi odrosną, a mój tata mówi, że to najlepszy doktor na świecie.

Algi czuł się nieswojo w towarzystwie dziewczynek, które twierdziły, że wiedzą wszystko o sprawach natury medycznej.

– Wiem, że jest najlepszy. My też mamy doktora MacMichaela. Musiał codziennie do mnie przyjeżdżać, bo byłem na progu śmierci.

Dziewczynka podeszła bliżej do płotu po swojej stronie.

– Naprawdę widziałeś próg śmierci?

– Mało brakowało. Tak naprawdę, było nudno. Tam się traci rezerwy sił.

– Doktor MacMichael tak powiedział?

– Aha. Często tak mówił. Właśnie to spotkało mojego brata Franka. Jego rezerwy się zużyły. On od razu przeszedł przez próg śmierci.

Roześmieli się jednocześnie. Marta także nabrała ochoty na zwierzenia.

– Doktor MacMichael ma bardzo zimne ręce, prawda?

– Mnie to nie przeszkadzało. W końcu mam już siedem lat.

– Fajnie, ja też mam siedem lat!

– Teraz jest mnóstwo siedmiolatków. Powinienem ci powiedzieć, że nazywam się Algernon Timberlane, ale możesz mi mówić Algi. Mój tata ma fabrykę, w której robi się zabawki. Będziemy się razem bawili, kiedy tu zamieszkać? Mój brat Frank, którego pochowali, mówił, że dziewczyny są głupie.

– A co jest we mnie głupiego? Umiem biegać tak szybko, że nikt mnie nie dogoni.

– Ha, akurat! Założę się, że cię złapię!

– No to powiem ci coś, przejdę do twojego ogrodu, bo jest lepszy. Nie ma w nim kwiatów i innych rzeczy, tak jak w naszym. Pobawimy się w berka.

Przeszła przez dziurę w płocie z gracją podnosząc spódniczkę i stanęła po drugiej stronie, przyglądając się Algiemu. Podobała mu się jej twarz. Czuł słodki zapach popołudnia. Kiedy patrzył na wzór, który układał się ze słońca i cienia na jej głowie, ogarnął go dziwny nastrój.

– Nie mogę szybko biegać – powiedział. – Byłem chory.

– Właśnie tak pomyślałam, bo wyglądasz okropnie. Powinieneś posmarować policzki kremem, tak jak ja. Możemy się pobawić w chowanego. Masz tutaj wspaniałą starą altankę, w której można się ukryć.

Wzięła go za rękę.

– Dobrze, pobawmy się w chowanego – zgodził się. – Możesz pokazać mi altankę, jeśli

chcesz.

Patrycja kończyła mierzyć okna, by dopasować długość zasłon. Venice paliła papierosa i czekała, kiedy będą mogły wracać.

– A oto i twój oddany mąż – oznajmiła na widok samochodu skręcającego na podjazd.

– Miał tu być pół godziny temu. Artur ostatnio stale się spóźnia. Chciałam się go poradzić w sprawie tej niegustownej kuchenki. Przywiózł go Keith?

– Masz dziś szczęście, dziewczyno. Tak, to on. Idź wpuścić ich do środka, a ja się wymknę i poszukam Algernona. Powinniśmy już wracać.

Venice wyszła tylnymi drzwiami i zawołała Algiego. Jej dzieci były starsze niż dzieci Timberlane'ów. Uniknęły większości skutków choroby popromiennej. U Geralda przypominała ona lekkie przeziębienie, podobnie jak u większości dorosłych.

Algi nie odpowiedział na jej wołanie. Kiedy szła po zaniedbanym trawniku, mała, ubrana na czerwono dziewczynka przebiegła przed nią i skryła się za bzem. Venice zaciekawiona pobiegła za nią. Mała precyzyjnie się przez dziurę w płocie i stanęła po drugiej stronie, patrząc na kobietę wyzywająco.

– Nic ci nie zrobię – powiedziała Venice. Zdusiła w sobie krzyk na widok łysej głowy dziecka. Nie pierwszy raz taką widziała. – Bawiłaś się z Algim? Gdzie on teraz jest? Nigdzie go nie widzę.

– To dlatego, że utonął w rzece – odparła dziewczynka, łącząc dłonie za plecami. – Jeśli nie będzie się pani na mnie gniewała, wrócę i pokażę gdzie.

Dziewczynka dygotała. Venice wyciągnęła do niej rękę.

– Chodź tu szybko i pokaż mi, o co ci chodzi.

Mała w mgnieniu oka przedostała się na drugą stronę. Nieśmiało ujęła dłoń Venice i podniosła głowę, żeby sprawdzić, jak kobieta zareaguje na taki gest.

– Z moimi paznokciami nic się nie stało. Tylko z włosami – powiedziała i poprowadziła Venice w dół do pomostu, który w końcu ogrodu wystawał nad nurt rzeki. Tutaj opuściła ją odwaga. Wybuchła burzą łez. Przez chwilę nie była w stanie wymówić słowa. Venice otoczyła ją murem ramion. Dziewczynka wskazała palcem miejsce w ciemnym nurcie.

– Właśnie tam utonął Algi. Zobacz tam pani jego twarz, jak patrzy spod wody.

Wystraszona Venice przytuliła dziecko mocniej i spojrzała przez gałęzie wierzby na nurt. Zaczepione o korzeń, na wpół zanurzone w wodzie i lekko poruszane prądem unosiło się coś, co rzeczywiście przypominało trochę ludzką twarz. Była to strona z gazety.

Cierpliwie namówiła Martę, by spojrzała w tamtą stronę jeszcze raz i sama zorientowała się w pomyłce. Mimo to dziewczynka nie przestała płakać. Wydawało jej się, że gazeta ułożyła się w groźny kształt.

– Lepiej biegnij już do domu na obiad – powiedziała Venice. – Algi na pewno jest gdzieś niedaleko. Sama go znajdzie. Może pobiegnął dookoła domu i wszedł do środka od frontu.

Pewnie za chwilę znowu będziecie mogli się razem bawić. Chciałabyś?

Dziewczynka spojrzała na nią wielkimi, zażawionymi oczami, skinęła głową i pobiegła do dziury w ogrodzeniu. Venice wyprostowała się i ruszyła w stronę domu akurat w chwili, gdy Patrycja Timberlane wyszła tylnymi drzwiami. Towarzyszyło jej dwóch mężczyzn. Jednym z nich był jej mąż, Artur, czterdziestokilkuletni człowiek, który wyglądał tak, jakby już zupełnie zapomniał o latach młodości. Venice była mniej wybredna w doborze przyjaciół niż Patrycja, po prostu darzyła sympatią wszystkich, którzy okazywali jej przyjaźń. Lubiła Artura, ale nawet ona musiała przyznać, że wyglądał ponuro. Nie potrafił walczyć ani pogodzić się z kłopotami, które na niego spadły.

Patrycja trzymała męża za rękę, ale częściej spoglądała na jego towarzysza. Keith Barratt, drugi dyrektor w firmie Artura Timberlane'a, był przystojnym mężczyzną, o trochę za krótkiej szczęce i pływających włosach nieporządnie zaczesanych do tyłu. Miał tylko pięć lat mniej od Artura, ale jego zachowanie – zwłaszcza wobec Pat, pomyślała złośliwie Venice – sprawiało, że wydawał się młody. Poza tym ubierał się zgodnie z panującą modą.

Venice ruszyła ku nim, odpowiadając na ich pozdrowienia. Zauważyła spojrzenie, które jak słodki zwiastun zła przefrunęło między Patrycją i Keithem. Z ciężkim sercem – bo miała dość problemów – stwierdziła, że kłopoty były bliżej, niż myślała.

– Venice dom się podoba, Arturze – powiedziała Patrycja.

– Obawiam się, że będzie tu za duża wilgoć. Rzeka jest tak blisko – odrzekł Artur, zwracając się do Venice. Wsadził ręce w kieszenie spodni i zapatrzył się na nurt, tak jakby spodziewał się, że lada chwila wody wzbiorą i ich pochłoną. Miała wrażenie, że niechętnie oderwał od rzeki wzrok i spojrzał na nią. – Edgar wraca dziś wcześniej? To dobrze. Może oboje wpadniecie dziś do nas na drinka? Chciałbym usłyszeć, co on sądzi o sytuacji w Australii. Sprawy wyglądają czarno, bardzo czarno.

– Art, ty stary pesymisto! – odezwał się Keith. Powiedział to tonem żartobliwego wyrzutu, w którym imię jego partnera zabrzmiało jak „A-ha-ha-hart”. – Daj spokój! Mamy takie piękne popołudnie, a ty tak smęcisz. Zaczekaj na sprawozdania, a sam się przekonasz, że sprawy nie dla wszystkich mają się aż tak źle. Przed Bożym Narodzeniem sprzedaż wzrośnie. – Zwrócił się do Venice, by wyjaśnić, o czym mówi. – Ściągnęliśmy do nas ludzi z Moxan, żeby zrobili analizę rynku i stwierdzili, co dokładnie stało się z naszym biznesem. Jutro powinniśmy otrzymać ich raport. – Keith wykrzywił się śmiesznie i podciął sobie gardło ostrzem palca wskazującego.

– Ten raport powinniśmy otrzymać już dziś – powiedział Artur. Stał przygarbiony, z rękami w kieszeniach i rozglądał się wokół, obserwując niebo i okolicę, tak jakby rozmowa go męczyła. – W powietrzu już się czuje jesień. Pat, gdzie jest Algi? Chodźmy już do domu.

– Chciałabym kochanie, żebyś obejrzał bojler, zanim pójdziemy – odparła Patrycja.

– Później porozmawiamy o bojlerze. Gdzie Algi? Ten chłopak zawsze znika, kiedy jest potrzebny.

– Schował się gdzieś – powiedziała Venice. – Bawił się z dziewczynką z sąsiedztwa. Może go sami poszukacie. Ja już naprawdę muszę się zbierać, bo nic nie zdążę przygotować Edgarowi. Keith, bądź tak dobry i podrzuć mnie do domu, mógłbyś? To i tak prawie po drodze do ciebie.

– Z miłą chęcią – odparł Keith, starając się wyglądać tak, jakby mówił szczerze. Oboje się pożegnali i ruszyli na podjazd od frontu. Keith przywiózł Artura z fabryki swoim wozem, a Patrycja przyjechała samochodem Timberlane'ów. Kiedy Venice zajęła miejsce obok kierowcy, Keith zamilkł. Choć nie był nieśmiały, przy niej tracił zwykłą pewność siebie. Wiedział, że nie miała o nim najlepszego zdania.

Także między Arturem i Patrycją zapadło milczenie, które on w końcu przerwał.

– Poszukajmy lepiej małego, skoro musimy. Może jest gdzieś w letnim domku. Dlaczego go nie pilnowałaś?

Zignorowała to zaproszenie do kłótni – ze wszystkich jej zagrywek, ta irytowała go najbardziej.

– Ostatni właściciele zapuścili to miejsce – powiedziała, kiedy zawrócili i ruszyli w głąb ogrodu. – Jest tu tyle pracy, że nie podolasz temu sam. Musimy zatrudnić ogrodnika. Trzeba będzie usunąć te krzaki i może zostawić na miejscu tylko tamtą piwonię.

– Jeszcze tego nie kupiliśmy – stwierdził Artur pośpiesznie. Nieświadomie powiedział to bardziej szorstko niż zamierzał. Tak bardzo nie chciał sprawić jej zawodu. Chyba nie rozumiała, że z każdym dniem ich fabryka była coraz bliżej klęski.

Największą przykrość sprawiało mu to, że kłopoty w jakie firma zapadała się z każdą chwilą coraz głębiej, wznosiły mur między nim a Pat. Już od jakiegoś czasu wyraźnie widział, że nie są zgodną parą. Na początku niemal cieszył się z trudności finansowych, sądząc, że to ich bardziej do siebie zbliży. Pamiętał, jak przed ślubem Patrycja ze współczuciem wysłuchiwała jego narzekań. Tymczasem teraz, jej brak zrozumienia wydawał mu się rozmyślny.

Wiedział, że bardzo przeżyła nieszczęścia, które dotknęły ich synów. Ale przecież znała Sofftoys i wiedziała, czym się firma zajmowała. Zanim Artur ją poślubił, była jego sekretarką – trochę nieodpowiedzialną, drobną kobietką o zgrabnej figurze i błyszczących oczach. Jeszcze teraz pamiętał, jak bardzo się zdziwił, gdy przyjęła jego oświadczenia. Uważał, że nie jest taki, jak większość mężczyzn: nie zapominał dobrych i złych rzeczy, które spotkały go w życiu.

Właśnie przez pamięć o tych dobrych, dotkliwiej odczuwał obecne nieszczęścia.

– Jeszcze tego nie kupiliśmy – powtórzył, kręcąc głową i ciężko stąpając po trawie.

Dotarli do letniego domku. Artur pchnięciem otworzył drzwi. Domek był maleńki i przypominał trochę wiejską chatkę. Ozdobna deska szczytowa znajdowała się dość nisko, by wysoki mężczyzna zaczepił o nią głową. W ścianie od strony rzeki znajdowało się jedyne okno. W środku, w jednym z kątów stały dwa składane, zielone krzesła ogrodowe, jakieś



gnijące płócienne zadaszanie i pusta beczka po oleju. Artur z obrzydzeniem rozejrzał się wokół, zamknął drzwi i oparł się o nie, patrząc na Patrycję.

Tak, wciąż mu się podobała, nawet po chorobie i śmierci Franka, i po jedenastu latach małżeństwa. Poczuł, jak w piersi rośnie mu coś potwornie zagmatwanego. Chciał jednym tchem powiedzieć jej, że była dla niego za dobra, że starał się jak mógł, że sama powinna wiedzieć, iż od czasu tych przeklętych bomb cały świat się walił i że wiedział o jej sympatii do Keitha. Cieszył się na myśl, że ją to uszczęśliwiło, byle tylko go nie opuszczała...

– Mam nadzieję, że Algi nie wpadł do rzeki i nie utonął – powiedziała, spuszcżając wzrok i unikając jego spojrzenia. – Może wrócił do domu. Chodźmy sprawdzić.

– Pat, nie przejmuj się chłopakiem. Posłuchaj mnie, przepraszam cię za to wszystko... Za takie życie i za trudności, jakie mamy. Bardzo cię kocham, skarbie. Wiem, że dureń ze mnie, ale żyjemy w takich czasach...

Już wcześniej słyszała, jak nazywał siebie „durniem”, kiedy ją przeproszał, tak jakby przeprosiny oznaczały, że odtąd wszystko będzie inaczej. Straciła wątek tego, co mówił. Przypomniała sobie minioną Gwiazdkę, kiedy namówiła go, żeby wydał przyjęcie dla przyjaciół i znajomych z kręgów zawodowych. Nie wyszło. Artur czuł, że źle idzie, więc – ku jej przerażeniu – wyjął talię kart.

– Widzę, że przyjęcie trochę kuleje – powiedział z udawanym humorem do grona pracowników i ich żon. – Może chcielibyście zobaczyć kilka karcianych sztuczek.

Pomimo chłodu popołudnia zaczerwieniła się, przypominając sobie wstyd swój i męża. Żadne upokorzenie nie mogło się równać temu, jakiego się doświadczało w kręgach towarzyskich, wobec ludzi, którzy bez względu na wszystko próbowali się uśmiechać. Artur był żaloszny. Sądził, że nazywając prawdę po imieniu, zdoła ją jakoś zmienić.

– Słuchasz mnie, Pat? – spytał Artur. Nadal opierał się o drzwi, tak jakby coś chował wewnątrz domku. – Ostatnio w ogóle mnie nie słuchasz. Wiesz, że cię kocham. Próbuję ci powiedzieć, że nie możemy kupić Mayburn, nie w naszej obecnej sytuacji. Interesy idą źle. To byłoby nierozsądne. Dzisiaj widziałem się z dyrektorem mojego banku. Powiedział mi, że kupując postąpilibyśmy lekkomyślnie. Wiesz, że już mamy debet. Według niego sytuacja się pogorszy, zanim znowu się poprawi. Znacznie się pogorszy.

– Ale już wszystko było załatwione! Obiecałeś!

– Dyrektor banku wyjaśnił mi...

– Niech diabli wezmą tego dyrektora, i ciebie też! Co zrobiłeś? Pokazałeś mu jakąś nową sztuczkę karcianą? Kiedy umarł Frank, obiecałeś mi, że...

– Patty, kochanie, wiem, że obiecałem, ale to niemożliwe. Nie jesteśmy dziećmi. Nie rozumiesz, że nie mamy pieniędzy?

– A co z twoimi polisami na życie... – zaczęła, ale się zreflektowała. Artur postąpił ku niej, lecz zatrzymał się z obawy, że poczuje niechęć, jeśli zbliży się jeszcze bardziej. Jego garnitur wyglądał nędznie i domagał się czyszczenia. Nigdy dotąd jego twarz nie miała

takiego wyrazu. Gniew opuścił Patrycję.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy *bankrutami*?

Zwilżył wargi.

– Aż tak źle nie jest. Wiesz, że ludzie z Moxan właśnie sprawdzają stan firmy. Ale wyniki z zeszłego miesiąca są, w rzeczy samej, bardzo słabe.

Te słowa rozzłościły ją.

– Czyli jak? Sprawy wyglądają źle czy nie, Arturze? Dlaczego nie zdobędziesz się w końcu na wyjawienie mi prawdy? Traktujesz mnie jak dziecko.

Spojrzał na nią z przykrością. Miał opuchniętą twarz. Zastanawiał się, którą z dziesiątek rzeczy miał jej powiedzieć. Że kochał w niej jej dziecinność? Że chociaż pragnął się z nią podzielić swymi kłopotami, nie chciał jej ranić? Że potrzebował jej zrozumienia? Że kłótnia w tym brzydkim, obcym ogrodzie przygnębiała go jeszcze bardziej?

Jak zwykle czuł, że to, co powie, wcale nie odda złożoności jego uczuć.

– Mówię tylko, że wyniki z zeszłego miesiąca wyglądają bardzo źle. Naprawdę bardzo źle.

– Chcesz powiedzieć, że nikt już nie kupuje Sofftoys?

– Właśnie tak.

– Nawet Misia Jocka?

– Nie, kochana, nawet małego Misia Jocka.

Wzięła go za rękę i razem bez słowa ruszyli w stronę pustego domu.

Nigdzie nie mogli znaleźć Algiego, więc na chwilę zapomnieli o innych kłopotach. Martwili się o syna. Wołali go, krążąc po nagich, rozbrzmiewających echem pokojach. Nikt im nie odpowiedział.

Patrycja wybiegła z domu, nie przestając nawoływać i pobiegła wśród zarośli ku rzece, przepełniona strachem, który bała się nazwać. Kiedy znalazła się przy letnim domku, usłyszała głos.

– Mamusiu!

Gwałtownie zawróciła w stronę, z której dobiegał. Algi stał w półmroku domku za uchylonymi drzwiami. Rzucił się ku niej z płaczem.

Przytulając go mocno spytała, dlaczego pozostał w kryjówce, zamiast wyjść, kiedy wcześniej go szukali.

Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale wybąkał coś o dziewczynce i o zabawie w chowanego.

Naprawdę, tylko się bawił. Ale gdy ojciec otworzył drzwi letniego domku i zajrzał do środka, zwykła zabawa zmieniła się w desperacką grę. Chciał, żeby tata znalazł go i przytulił. Sam nie wiedział, dlaczego skulił się za zielonymi krzesłami trochę obawiając się tego, że zostanie odkryty.

Zesztywniały i odrętwiały, nie ruszył się z miejsca, kiedy drzwi ponownie się zamknęły.

Słyszał rozmowę rodziców, tajemniczą wymianę zdań, tym bardziej przerażającą, że niewiele z niej rozumiał. Pojął, że istnieje wielki, groźny świat, z którym nikt – nawet jego ojciec – nie potrafił dojść do ładu. Odkrył, że żyli nie w otoczeniu rzeczy stałych i pewnych, lecz w kruszącym się świecie z piernika. Z poczuciem winy i strachu chował się przed tą świadomością za krzesłami obawiając się, że ktoś go tam znajdzie, bojąc się tego bardzo.

– Postąpiłeś potwornie niegrzecznie, Algi, słyszysz? Wiedziałaś, że będę się martwiła, bo rzeka jest tuż tuż. Poza tym, masz się nie bawić z obcymi. Już tyle razy ci mówiłam. Czasami roznoszą choroby, o jakich nie masz pojęcia. Jeśli słyszałaś, jak cię wołaliśmy, dlaczego od razu nie wyszedłaś?

Odpowiedział jej tylko szlochaniem.

– Bardzo mamusię przestraszyłeś. Jesteś niegrzecznym chłopcem. Dlaczego nic nie mówisz? Już nigdy nie będziesz się tu bawił. Rozumiesz? Nigdy!

– Ale będę mógł zobaczyć Martę Broughton, tak?

– Nie. Nie zamieszkamy tu, Algi. Tatuś nie kupi tego domu. Wracamy teraz do siebie, a ty natychmiast idziesz do łóżka. Zrozumiano?

– To była tylko zabawa, mamusiu!

– Bardzo brzydka zabawa.

Dopiero w samochodzie, gdy wracali do Twickenham, Algi się rozchmurzył i pochylił się na tylnym siedzeniu w przód, żeby pogłaskać tatę po głowie.

– Tatusiu, kiedy będziemy w domu, pokażesz nam jakąś karcianą sztuczkę, żeby nas rozśmieszyć? – spytał.

– Ty od razu pomaszerujesz do łóżka – odparł niewzruszony Artur Timberlane.

Kiedy Patrycja pilnowała na górze, żeby Algi jak najszybciej położył się spać, Artur ponuro krążył przed telewizorem. Tego wieczoru kolor źle odbierał, nadając trzem dżentelmenom siedzącym wokół stołu telewizji BBC łagodnie barwy apoplektyków. Wszyscy trzej entuzjastycznie wypowiadali się o warunkach panujących na świecie, a jeden niemal piał z zachwyty.

Ich mdłe głosy rozwścieczyły Artura. Nie wierzył w obecny rząd, choć dopiero przed rokiem zastąpił on władze sprzyjające eksperymentom z bombami. Nie wierzył w ludzi, którzy popierali ten rząd. Timberlane uważał, że wsparcie tłumów było jedynie przejawem bezmyślnej wiary ludu w polityczne uzdrowienie sytuacji człowieka.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku, czyli przez większą część jego dorosłego życia, Artur z dumą twierdził, że nie boi się niebezpieczeństw wojny jądrowej.

– Jeśli do tego dojdzie, no cóż, trudno. Zamartwianie się i tak niczego nie zmieni. – Takie było jego zdroworozsądkowe podejście do problemu. W końcu to politykom płacono za to, żeby się martwili takimi sprawami; on miał walczyć o coraz wyższe stanowiska w spółce

Sofftoys, w której się zatrudnił w latach sześćdziesiątych jako zwykły przedstawiciel handlowy.

Próby jądrowe to wznawiano, to znów przerywano, w miarę jak kraje komunistyczne i państwa Zachodu prowadziły swoją niezrozumiałą rozgrywkę ideologiczną. Ludzie przestali już liczyć kolejne detonacje i znudziły ich pojawiające się od czasu do czasu ostrzeżenia przed rosnącym promieniowaniem na półkuli północnej oraz doniesienia o zbyt wysokiej zawartości strontu w kościach lapońskich reniferów lub w zębach dzieci z St Louis.

Obserwując rozwój podróży w kosmos w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych oraz badania prowadzone na Marsie, Wenus, Merkury i Jowiszu, nikt się nie zdziwił, że dwa wiodące mocarstwa ogłosiły zamiar przeprowadzenia w przestrzeni kosmicznej „kontrolowanych” prób z bronią jądrową. Trzy amerykańskie bomby satelitarne zdetonowane na początku lat sześćdziesiątych okazały się pierwszymi z wielu. Nawet naukowcy zgłaszali sprzeciw, ale zlekceważono to. Poza tym większość uważała, że detonacja bomb poza atmosferą Ziemi jest bezpieczniejsza.

Okazało się, że bezpieczniejsza nie była. Już w minionych wiekach człowiek działał w nieświadomości, lecz tym razem przyszło mu zapłacić wysoką cenę za tę nieświadomość. Nuklearne wybuchy, z których każdy miał siłę wielu megaton, pobudziły do gwałtownej aktywności okalające Ziemię pasy van Allena, w wielu miejscach znacznie szersze niż jej średnica. Pierścienie radiacyjne zaczęły pulsować, kurcząc się i rozszerzając. Wizualny efekt tych perturbacji okazał się niewielki, bo ograniczył się do spektakularnych widoków północnej i południowej zorzy polarnej, pojawiających się nawet w okolicach okołorównikowych. Zakłócenia te miały o wiele poważniejszy wpływ na życie planety. Biosfera została dwukrotnie, choć na krótko, narażona na działanie silnego promieniowania.

Długotrwałych skutków takiej radiacji nie dało się jeszcze przewidzieć. Minął zaledwie rok. Za to natychmiastowe rezultaty były oczywiste. Niemal wszyscy ludzie zapadli na coś, co przypominało grypę połączoną z wymiotami. Większość z nich wyzdrowiała. Najbardziej ucierpiały dzieci. Wiele – w zależności od tego, w jakim stopniu zostały narażone na działanie promieniowania – straciło włosy lub paznokcie, a nawet umarło, tak jak Frank Timberlane. Kobiety będące w owym czasie w ciąży, przeważnie poroniły. Zwierzęta, zwłaszcza ssaki żyjące pod gołym niebem, ucierpiały podobnie. Doniesienia o kurczącej się liczbie zwierzyny w Afryce świadczyły o tym, że większe dziko żyjące ssaki katastrofa dotknęła poważnie. Tylko wół piżmowy na Grenlandii i wytrzymałe renifery na skandynawskiej północy (gdzie wcześniejsze pokolenia tych zwierząt prawdopodobnie stały się odporne na działanie kosmicznych cząsteczek) przetrwały, jak się wydawało, bez uszczerbku. Choroba dotknęła duży odsetek domowych psów i kotów. Niektórzy specjaliści uważali, że aż 85 procent. U większości stwierdzano świerzb lub raka i trzeba je było uśpić.

A wszystko to prowadziło do wniosku, do jakiego należało dojść dużo wcześniej, myślał Artur: nigdy nie należy pozwalać, by banda marnych polityków myślała za całą ludzkość.

Przecież powinni mieć choć tyle rozsądku, żeby te sakramenckie bomby zdetonować na Księżycu.

Pochylił się i wyłączył odbiornik telewizyjny na ścianie, posyłając trzech bezbarwnych mężczyzn w ciemności. W tej samej chwili do pokoju weszła Patrycja. Przyniosła koszulę i spodnie do prania.

– Algi jest smutny. Położyłam go do łóżka, ale on chce, żebyś przyszedł do niego na górę.

– Nie zamierzam do niego iść. Na dziś mam go dość.

– On cię potrzebuje, Arturze. Kocha cię.

– Wciąż się na niego gniewam. Żeby tak się przede mną chować. Prawdę mówiąc, złość już mi prawie przeszła, ale pewnie ty namąciłaś mu w głowie, co? Rozdrażniłaś chłopaka mówiąc, że nie zamieszkamy w Mayburn?

– Ktoś musiał mu to w końcu powiedzieć. Nie wiedziałam, czy tobie starczy odwagi.

– Och, nie sprzecajmy się tak, Patty. Przecież wiesz, kochanie, że wciąż nie mogę dojść do siebie po śmierci Franka.

– Najpierw firma, teraz Frank! Doprawdy, Arturze. Sądzisz, że ja się tym nie martwię. Tylko że ktoś musi zadbać o dom i wszystkiego dopilnować.

– Nie kłóćmy się. I bez tego wszystko jest dość przygnębiające.

– Ja się nie kłócę. Tylko ci mówię.

Spojrzał na nią ze smutkiem, zacisnął wargi i pokręcił głową, niepewny czy ma się nad sobą użalać, czy się bronić. Skończyło się na bezsensownej mieszance jednego i drugiego.

– Ja tylko szukałem odrobiny pocieszenia, w przeciwnym razie nawet bym się nie odezwał.

– Lituj się nad sobą, jeśli chcesz – powiedziała ostro. – Nie znoszę, kiedy patrzysz na mnie z tą głupią miną, Arturze, naprawdę tego nie znoszę. – Podeszła do ściany i ponownie włączyła duży ekran. – Dlaczego nie pójdziesz powiedzieć Algiemu dobranoc? On pragnie jedynie odrobiny pocieszenia.

– Wychodzę. Mam dość tego wszystkiego.

Gwałtownie wyszedł do holu i płacząc rękawy, ubrał ciężki, niebieski płaszcz. Odwróciła wzrok, nie chcąc patrzeć na jego żalosne zmagania. Uznała, że odzywając się tylko prowokuje kłótnię.

– Nie zapominaj, że Edgar i Venice przyjdą za jakieś pół godziny – zawołała, gdy otworzył frontowe drzwi.

– Zobaczymy się później – odparł. Nie miała powodów, by mu nie wierzyć.

Na samym wierzchu chaotycznej sterty papierów, broszur i teczek z dokumentami, leżał pluszowy miś. Nie był to zwykły miś-zabawka. Miał czarną przepaskę na oku, małą spódniczkę w kratę i futrzaną, szkocką torebkę. Pod jedną pachą trzymał dudy. Był to Miś Jock, najlepiej sprzedająca się zabawka Sofftoys – z czasów, gdy zabawki Sofftoys jeszcze się

sprzedawały.

Nie zważając na wrogie spojrzenie pojedynczego oka misia, Artur zrzucił pluszaka na podłogę i wziął z biurka plik listów. Siedział sam w opustoszałej fabryce, skulony w swoim biurze na parterze. Nawet nie zdjął płaszcza. Na zewnątrz ciężarówki z hałasem jeździły ulicą Staines do centrum Londynu.

Wszystkie listy mówiły to samo. Ten, którego treść zaboląa go najbardziej, pochodził od człowieka, którego cenił wyjątkowo wysoko. Stary Percy Pargetter był przedstawicielem firmy od końca lat czterdziestych i pracował za prowizję od sprzedaży, dopóki Artur tego nie zmienił. Percy był dobrym pracownikiem. Następnego ranka miał przyjechać na spotkanie z Arturem, ale w liście jasno przedstawiał sytuację. Nikt już nie kupował od niego zabawek. Sprzedawcy detaliczni i hurtownicy zredukowali zakupy do absolutnego zera, ponieważ ich magazyny były zapchane towarami. Klienta już nie interesowały zabawki Sofftoys. Nawet najstarsi przyjaciele Percy'ego z branży, teraz krzywili się, widząc go w drzwiach. Percy sądził, że to sprawka jakiegoś potężnego rywala, który zdołał opanować rynek zabawek dla dzieci.

– Ale kto to taki? Kto? – Artur bez końca zamęczał się tym pytaniem. Z branżowych pism i gazet finansowych wiedział, że ogólny stan firm zabawkarskich był zły. Poza tym nie wiedział nic. Finanse i przemysł stale wahały się między nagłymi wzrostami, a raptownymi spadkami, ale tak było zawsze. Tylko że przez ostatnich sześć miesięcy wahania te stały się bardziej gwałtowne.

Rozłożył listy na biurku i pokręcił nad nimi głową. Zrobił wszystko, co mógł. Teraz pozostawało mu już tylko czekać na to nieszczęsne sprawozdanie z Moxan. Wspólnie z Keithem zredukował produkcję do minimum, przełożył na okres przedświąteczny emisję odcinkowego filmu animowanego, który na ICV miał reklamować Misia Jocka, odwołał zamówienia, przycisnął wierzycieli, obciął nadgodziny, zerwał kontrakt ze Starboplastics i odłożył na półkę plany grzechotki z Wesołą Syrenką. No i zrezygnował z przeprowadzki...

Podszedł do metalowej szafki na dokumenty i wyciągnął ostatni list z Moxan. Spojrzał na nazwisko: Gaylord K. Cottage. Pomyślał kwaśno, że takiego nazwiska zwykle łatwo się nie zapominało. Cottage był błyskotliwym, młodym człowiekiem, którego Moxan oddelegowało do zbadania przyczyn gwałtownego pogorszenia się sytuacji Sofftoys. Artur spojrzął na zegarek. Nie, nie było za późno. Mógł jeszcze złapać Cottage'a w biurze.

Telefon w Moxan dzwonił przez jakiś czas. Artur siedział, słuchając dzwonka w słuchawce i odgłosów ruchu ulicznego dobiegających zza okna. Wreszcie odezwał się burkliwy głos, pytając, czego chciał. Wizja się rozjaśniła i zmęczona, okrągła twarz spojrziała na Artura z monitora. Nocny portier dopiero po chwili uległ naleganiom i zgodził się połączyć rozmowę z wewnętrznym numerem Cottage'a.

Cottage zgłosił się niemal natychmiast. Siedział przy biurku w pustym pokoju. Nie miał na sobie marynarki. Pasma włosów opadło mu na czoło; krawat wisiał krzywo. Artur prawie

nie zwrócił uwagi na jego wygląd, zarejestrował jedynie, że mężczyzna prezentuje się mniej elegancko niż podczas wizyt w Sofftoys. Kiedy się odezwał, Timberlane z ulgą stwierdził, że nie wydawał się tak niesympatycznym i wypolerowanym młodzieniaszkiem, jak podczas ostatniego spotkania.

– Pański raport jest jeszcze analizowany, panie Timberlane – powiedział. – Niewielkie opóźnienie nie wynikało z naszej winy. Ogromnie przepraszam, że nie udało się nam dostarczyć go panu wcześniej, ale musi pan zrozumieć... Boże, cholerna klapa! Proszę mnie wysłuchać, panie Timberlane. Muszę z kimś o tym porozmawiać. Lepiej, żeby dowiedział się pan o tym, zanim rządowa cenzura zacznie kontrolować przepływ informacji.

Cottage wpatrywał się w Artura intensywnie. Albo kolor na linii miał złą jakość, albo mężczyzna był bardzo blady.

Artur poczuł się mały i zmarznięty w skorupie niebieskiego płaszcza.

– Słucham pana, ale zupełnie nie rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc o cenzurze. Oczywiście, bardzo panu współczuję z powodu osobistych problemów, ale...

– Och, to nie są problemy osobiste, kolego. O nie. Chwila, tylko zapalę papierosa... – Sięgnął po paczkę leżącą na biurku, zapalił i zaciągnął się. – Proszę posłuchać, pańska firma jest skończona! Niewypał, kompletna klapa! Jaśniej chyba nie można tego powiedzieć, co? Tamten drugi dyrektor, Keith Barratt, jeśli dobrze pamiętani, całkowicie się mylił mówiąc, że według niego waszą pozycję podkopał inny producent zabawek. Przeprowadziliśmy badania i okazało się, że wszyscy jedziecie na tym samym wozie. Każda firma: od największej, do najmniejszej. Tak mówią wyniki. Fakty są takie, że nikt już nie kupuje zabawek dla dzieci.

– Ale latem spadki w sprzedaży są normalne i...

Cottage machnął ręką i uśmiechnął się kpiąco.

– Może mi pan wierzyć, panie Timberlane, tu nie chodzi o żaden sezonowy spadek sprzedaży ani o nic podobnego. Sprawa jest o wiele poważniejsza. Rozmawiałem z kilkoma kolegami z firmy. Nie tylko producenci zabawek mają problemy. Zna pan Johnchem, firmę specjalizującą się w rozmaitych produktach dla niemowląt od przecierów i zupek, po zasyпки? To także nasz klient. Ich wyniki są jeszcze gorsze od waszych, a mają dziesięciokrotnie wyższe koszty! Radiant, producent wózków dla dzieci, jest w takiej samej sytuacji.

Artur pokręcił głową, tak jakby wątpił w prawdziwość tego, co właśnie usłyszał. Cottage pochylił się w przód tak mocno, że jego nos stracił na monitorze ostrość.

– Wie pan, co to znaczy – powiedział, dusząc papierosa w popielniczce i wydmuchując dym z płuc prosto w ekran. – To może oznaczać tylko jedno. Od czasu tamtego wypadku z pasami van Allena w maju zeszłego roku, w ogóle nie rodzą się dzieci. Nie sprzedajecie, bo nie macie konsumentów.

– Nie wierzę w to! Nie mogę w to uwierzyć!

Cottage bezmyślnie grzebał w kieszeni i bawił się zapalniczką.

– Nikt w to nie uwierzy, dopóki informacja nie zostanie oficjalnie potwierdzona, ale

dowiadawałem się w rejestracji urzędu stanu cywilnego w Somerset House i w Edynburgu. Nie chcieli mi nic zdradzić, ale w oparciu o to, co powiedzieli, uważam, że nasze dane pozwalają nam wyciągnąć słuszne wnioski. Z zagranicznych filii napływają takie same informacje. Wszędzie to samo – nie ma dzieci!

Wypowiedział to niemal triumfalnie, pochylając się do przodu i mrużąc oczy przed blaskiem monitora wizjofonu.

Artur wyłączył wizję. Nie mógł znieść widoku Cottage'a i nie chciał by Cottage widział jego. Ukrył twarz w dłoniach. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, jak było mu zimno i jak bardzo się trząsał.

– Ogólna klęska – powiedział. – Koniec świata.

Poczuł szorstkość swoich policzków.

– Nie jest aż tak źle – odparł Cottage z pustego monitora. – Ale założę się, że przed 1987 sytuacja w handlu nie wróci do normy.

– Pięć lat! Dla mnie to równoznaczne z końcem świata. Jak mam się utrzymać na powierzchni przez pięć lat? Mam rodzinę. Co zrobić? Jezu Chryste... – Rozłączył się w chwili, gdy Cottage zaczynał przedstawiać kolejną porcję złych wieści. Siedział, gapiąc się na stertę śmieci na biurku, ale nic nie widział. – To koniec cholernego, beznadziejnego świata. O Chryste... Potworna kłapa, potworna...

Pomacał kieszeń szukając papierosów, ale znalazł tylko talię kart. Siedział przez chwilę patrząc na nie z rezygnacją. Jakaś namacalna bariera rosła mu w gardle. Zmrużył oczy, czując słony smak. Upuścił karty na ziemię, tuż obok Misia Jocka, wyszedł z fabryki i ruszył do wozu, nie zamykając nawet za sobą drzwi na zasuwę. Płakał.

Konwój wojskowych ciężarówek przejechał drogą z hukiem. Artur wrzucił bieg i zacisnął dłonie na kierownicy. Auto potoczyło się w stronę drogi.

Patrycja ledwie zdążyła nalać Venice i Edgarowi pierwszego drinka, kiedy rozległo się dzwonięcie do frontowych drzwi. Otworzyła je i na progu zobaczyła uśmiechniętego Keitha Barratta. Ukłonił się z galanterią.

– Przejeżdżałem obok fabryki i zobaczyłem tam wóz Artura na parkingu, więc pomyślałem, że może przyda ci się towarzystwo, Pat. A dokładniej mówiąc, moje towarzystwo.

– Venice i Edgar wpadli dziś do nas, Keith – powiedziała głośno, aby jej słowa dotarły także do salonu. – Przyłącz się do nas, zapraszam.

Keith skrzywił się i z rezygnacją rozłożył ręce.

– Z ogromną przyjemnością, pani Patrycjo – powiedział z przesadną wytwornością.

Kiedy dostał drinka, wznosił toast na cześć zebranych.

– Wypijmy za szczęśliwsze czasy! Wszyscy troje wyglądacie dość ponuro. Nieudana podróż, Edgarze?



– Nie bez powodu jesteśmy w ponurym nastroju – odezwał się Edgar Harley. Był przysadziwym mężczyzną, ale wyglądał z tym dobrze. – Właśnie opowiadałem Venny i Pat o tym, czego się dowiedziałem w Australii. Przedwczorajszego wieczoru podczas kolacji siedziałem obok biskupa Aitkena, który narzekał na falę niereligijności w Australii. Twierdził, że w kościołach w całym kraju przez ostatnie półtora roku ochrzczono zaledwie siedmioro dzieci. Tylko siedmioro!

– Przyznam, że ta wiadomość nie wprawia mnie w samobójczy nastrój – stwierdził Keith, uśmiechając się i sadowiąc na kanapie obok Patrycji.

– Biskup się pomylił – powiedziała Venice. – Podczas konferencji, w której uczestniczył Edgar, wyjaśniono prawdziwą przyczynę braku chrzcin. Ed, lepiej powiedz o tym Keithowi, bo dotyczy to także jego. Zresztą, w weekend podadzą oficjalną wiadomość.

– Biskup nie miał chrzcin dlatego, że nie ma dzieci – powiedział Edgar z powagą. – Kurczenie się pasów van Allena naraziło wszystkich na kontakt z silnym promieniowaniem.

– Wiedzieliśmy o tym. Większość z nas przecież przeżyła – zauważył Keith. – Nie rozumiem, dlaczego ma to dotyczyć mnie osobiście?

– Władze trzymały wszystko w tajemnicy, próbując najpierw w pełni ocenić szkody, jakie spowodował ten... hm... wypadek. Temat jest trudny z wielu powodów. Przede wszystkim nie znamy w pełni skutków narażenia na różne rodzaje radioaktywnego promieniowania, a w tym przypadku promieniowanie jest nadal emitowane.

– Nie rozumiem – wtrąciła się Venice. – Czy to znaczy, że pasy van Allena nadal się rozszerzają i kurczą?

– Nie, wygląda na to, że odzyskały stabilność. Ale doprowadziły do tego, że cały glob stał się w pewnym sensie radioaktywny. Są różne rodzaje promieniowania. Część wniknęła w nasze organizmy po wybuchu, inne, na przykład radioizotopy strontu i cezu o długim okresie rozpadu nadal znajdują się w atmosferze i stopniowo wnikają przez naszą skórę albo są wchłaniane podczas jedzenia, picia czy oddychania. Nie możemy się przed nimi uchronić. Na nasze nieszczęście, organizm ludzki wchłania takie cząsteczki i wbudowuje je w narządy wewnętrzne, gdzie mogą uszkadzać komórki. Niektóre z tych uszkodzeń nie są jeszcze widoczne.

– W takim razie wszyscy powinniśmy żyć w schronach – powiedział ze złością Keith. – Przez ciebie Edgarze zupełnie straciłem ochotę na drinka. Jeśli to prawda, dlaczego rząd czegoś nie robi, zamiast trzymać wszystko w tajemnicy?

– Chciałeś chyba spytać, dlaczego ONZ czegoś nie robi – wtrąciła Patrycja. – Przecież to problem ogólnoswiatowy.

– Już za późno, by ktokolwiek mógł cokolwiek zrobić – powiedział Edgar. – Za późno było już w chwili, kiedy odpalono tamte głowice. Cały świat nie może zejść pod ziemię, zabierając ze sobą dość jedzenia i wody.

– Chcesz powiedzieć, że prócz okresowego braku dzieci będziemy także mieli mnóstwo

przypadków raka i białaczki, tak?

– Tak. I możliwe także, że człowiek będzie krócej żył. Jeszcze za wcześnie, byśmy mogli to stwierdzić z całą pewnością. Niestety, wiemy na ten temat o wiele mniej, niż udawaliśmy, że wiemy. Problem jest wyjątkowo złożony.

Keith przyglądał niesforne włosy i spojrzał ze smutkiem na kobiety.

– Twój mąż przywiózł worek wesołych wieści – powiedział. – Cieszę się, że Artur tego nie słucha. I bez tego jest dość przygnębiony. Już widzę, jak wyrzucamy Misia Jocka, a zajmujemy się produkcją krucyfiksów i trumien, co Pat?

Edgar odstawił drinka i usiadł na brzegu fotela, wytrzeszczając oczy i wypinając brzuch, tak jakby szykował się do dłuższej przemowy. Rozejrzał się po wygodnym, zwyczajnym pokoju ozdobionym włoskimi poduszkami i duńskimi lampami.

– Skutki promieniowania zawsze wydają się nam dziwaczne, tym bardziej teraz, gdy zostaliśmy poddani szerokiemu spektrum radiacji w stosunkowo niewielkich dawkach. Pech chciał, że ssaki okazały się najbardziej podatne na jej skutki, a spośród nich, najwięcej ucierpiał człowiek. Oczywiście nic byście nie zrozumieli, gdybym zagłębił się w szczegóły zagadnienia. Wystarczy, jeśli powiem, że tak jak niszcząca siła materiału radioaktywnego może się skupić na jednej formie życia, tak też z pełną zaciekłością może się skoncentrować na jednym organie. Wspomniałem już, że organizmy żywe dysponują skutecznymi mechanizmami wychwytywania niektórych spośród tych cząsteczek. Organizm człowieka wyłapuje radioaktywny jod i wykorzystuje go zamiast jodu naturalnego w gruczole tarczowym. Nadmierna dawka może zniszczyć tarczycę. W obecnym przypadku niszczone są gonady.

– Po raz kolejny seks obraca się przeciwko nam – wykrzyknął Keith.

– I być może po raz ostatni – odparł cicho Edgar. – Gonada, jak zapewne wiecie, to organ produkujący komórki płciowe. Zamieranie płodów, poronienia i potwornie zniekształcone noworodki, jakie rodziły się od maja zeszłego roku, wskazują, że ludzkie gonady zostały w poważnym stopniu uszkodzone przez promieniowanie i proces ten nadal trwa.

Venice wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

– Mam wrażenie, że oszalałam, Edgarze. Jesteś pewien tych faktów? To znaczy, że podczas konferencji... Chcesz powiedzieć, że już nigdzie nie rodzą się dzieci?

– Jeszcze nie wiemy tego na pewno. Poza tym przypuszczam, że w jakiś nieprzewidywalny sposób sytuacja może za rok się poprawić. Dane na pewno nie będą stuprocentowe. Niestety, spośród siedmiorga australijskich dzieci wspomnianych przez biskupa Aitkena, sześcioro od czasu chrzcin zmarło.

– To potworne! – Venice stała pośrodku pokoju, przyciskając dłonie do czoła. – Zupełnie nie mogę pojąć czegoś tak szalonego. Jak pół tuzina parszywych bomb mogłoby spowodować coś tak... tak katastrofalnego? A przecież nie detonowali ich nawet na Ziemi! Jakim cudem te cholerne pasy van Allena stały się tak niestabilne?

– Rosyjski profesor Zilinkof sugerował podczas konferencji, że pierścienie radiacyjne mogą rzeczywiście być niestabilne i łatwo ulegać zmianom pod wpływem niewielkich nawet zmian promieniotwórczej energii Słońca lub Ziemi. Według niego, reakcja pasów van Allena podobna do tej, jaką obecnie obserwujemy, miała miejsce pod koniec okresu kredy. Może to trochę wydumane, ale w ten sposób dałoby się wyjaśnić nagłe wyginięcie dinozaurów lądowych, morskich i powietrznych. Wymarły, ponieważ ich gonady przestały prawidłowo funkcjonować, tak jak teraz nasze.

– Ile czasu minie, zanim sytuacja wróci do normy? Bo chyba kiedyś wróci, prawda? – spytała Venice.

– Nie chcę myśleć, że jestem jak dinozaur – powiedziała Patrycja świadoma tego, że Keith nie spuszcza z niej wzroku.

– Możemy się cieszyć tylko z jednego – stwierdził Keith weselej. – Jeśli ten numer z bezpłodnością potrwa na całym świecie dłużej, kraje takie jak Chiny czy Indie odetchną z ulgą. Przez całe lata narzekały, że ich obywatele mnożą się jak króliki! Teraz nadarzy się okazja odrobinę przzerzedzić szeregi. Pięć lat – och co tam, bądźmy hojni i powiedzmy, że dziesięć – bez narodzin, a uda się rozwiązać wiele problemów świata, zanim zawita na nim następne pokolenie!

Patrycja opadła na kanapę obok niego i chwyciła go za klapę marynarki.

– Och Keith, kochany – zaszlochała – ty zawsze potrafisz mnie pocieszyć!

Byli tak bardzo zaabsorbowani rozmową, że nie usłyszeli, kiedy doktor MacMichael zastukał do drzwi. Przybysz przez moment się wahał. Ze środka słyszał ich głosy, ale nie chciał wchodzić. Keith Barratt zostawił drzwi lekko uchylone. Doktor pchnął je i niepewnie wszedł do korytarza.

Na schodach zobaczył małą postać w piżamie, na wpół ukrytą w ciemnościach.

– Witaj Ropuszku, co tutaj robisz? – spytał z sympatią. Chciał podejść do Algiego, ale chłopiec cofnął się o krok lub dwa i ostrzegawczo podniósł palec.

– Cii! Niech pan nie hałasuje, doktorze! Oni tam prowadzą bardzo poważną rozmowę. Nie wiem o czym, ale przypuszczam, że chodzi o mnie. Zrobiłem dziś coś okropnego.

– Lepiej wracaj do łóżka, Algernonie. No już, zmykaj na górę! Pójdę z tobą. – Chwycił dłoń dziecka i razem weszli po schodach. – Gdzie jest mały Miś Jock? Czy też skrada się po domu bez szlafroka?

– Już śpi, bo jest dobrym misiem. Myślałem, że pan to tatuś. Dlatego zakradłem się na dół. Chciałem mu powiedzieć, że przepraszam go za to, co dzisiaj zrobiłem.

MacMichael przyjrzał się czubkom swoich butów.

– Jestem pewien, że on by ci wybaczył, Ropuszku, wszystko jedno co zrobiłeś. Poza tym, domyślałam się, że wcale nie było to takie straszne.

– Tatuś i ja uważamy, że było okropne. Dlatego tak bardzo chcę go zobaczyć. Czy wie

pan, gdzie on jest?

Stary doktor przez chwilę nic nie mówił. Stał przy łóżku chłopca, patrząc jak malec chowa się pod kołdrę obok misia w kraciastej piżamie.

– Algernonie, jesteś już dużym chłopcem – odezwał się w końcu. – I nie powinienes się przejmować tym, że przez – hm, przez jakiś czas nie będziesz go widział. Będą cię otaczali inni mężczyźni. Wszyscy ci pomożemy w miarę naszych możliwości.

– Dobrze, ale wkrótce muszę się z nim zobaczyć, bo ma mnie nauczyć sztuczki z czterema asami. Jeśli pan chce, nauczę jej pana, kiedy sam już będę umiał.

Algi schował się pod kołdrę tak głęboko, że wystawały spod niej tylko włosy, nos i para oczu. Spojrzał poważnie na znajomego doktora, który niespokojnie stał przy jego łóżku, ubrany w stary płaszcz przeciwdeszczowy.

– Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, prawda, Algernonie?

– Chyba tak. Sam słyszałem, jak mamusia mówiła cioci Venny, że uratował mi pan życie. Prawie wyczerpałem rezerwy sił, prawda? Czy chciałby pan zrobić dla mnie coś naprawdę ważnego?

– Powiedz o co chodzi, a spróbuję.

– Czy pomyślałby pan, że zwariowałem, gdybym powiedział to szeptem?

Doktor MacMichael podszedł bliżej do łóżka i pochylił się nad poduszką.

– Strzelaj, kolego.

– Zna pan tę łysą dziewczynkę, Martę Broughton? Mieliliśmy zamieszkać obok niej, ale ja wszystko zepsułem. Czy mógłby pan namówić tatusia, żeby ją tu zaprosić i żebym mógł się z nią pobawić?

– Obiecuję ci, że tak zrobię, Algi. Obiecuję.

– Ona jest okropnie łysa. Mówię panu, *naprawdę* łysa, ale lubię ją. Może dziewczyny są fajniejsze bez włosów.

– Dopilnuję, żeby cię odwiedziła jeszcze przed końcem tygodnia, bo ja ją też bardzo lubię

– odparł doktor łagodnie.

– Rany, z pana jest taki dobry lekarz. Zobaczysz pan, że się odwdzięcę. Już nie popsuję panu żadnego termometru.

Doktor MacMichael przyglądał włosy chłopca i wyszedł z pokoju. Przez chwilę stał u szczytu schodów, próbując zapanować nad emocjami, poprawił krawat i ruszył na dół, aby powiedzieć pozostałym o wypadku.

## Rozdział siódmy – Rzeka: koniec

Ziemia ponownie zarośla się od zwierząt w tej samej co dawniej obfitości. Wśród nich zabrakło kilku rodzajów, ale ich mnogość była tak samo wielka, jak zawsze. Planeta miała wielką siłę odradzania się i tak miało być, dopóki słońce świeciło z taką samą mocą. Przez wiele epok karmiła i dawała schronienie wielu formom życia. Na małym wyrzutku kontynentu europejskiego, zwanym Wyspami Brytyjskimi, flora i fauna nigdy nie powróciły do bogactwa i różnorodności, jakimi cieszyły się przed plejstocenem. Wówczas to lodowce objęły większą część półkuli północnej, spychając życie na południe. Ale lody się cofnęły, a co przeżyło, powróciło do swych północnych siedzib. Pod koniec plejstocenu potok życia rozlał się na powrót po do niedawna jeszcze jałowych krainach, niczym strumień więziony dotąd w zamkniętej dłoni olbrzyma. Panowanie człowieka tylko na moment uszczupliło jego obfitość.

Teraz rzeka życia przypominała wielką falę płatków, liści, sierści, łusek i piór. Nic nie mogło jej powstrzymać, choć jej równowaga jeszcze nie była stabilna. Z każdym latem rosła w siłę, powracając do dawnych koryt i do zwyczajów ustanowionych niejednokrotnie w odległych erach, poprzedzających pojawienie się *homo sapiens*.

Letnie noce były krótkie. Zachowywały odrobinę przejrzystości dnia, a ostatnie oddechy ciepła traciły dopiero, gdy światło na powrót wsączało się w krajobraz. Chłodne westchnienie niesione przez świt, stroszyło sierść zwierząt i pióra niezliczonych ptaków budzących się w kolejnym dniu życia.

Otwierając oczy, stworzenia wydawały pierwsze dźwięki, które każdego ranka słychać było w namiocie rozstawionym tak blisko wody, że odbijał się w jej powierzchni.

Siwobrody, Marta i Charley Samuels wstali tego dnia o świcie i stwierdzili, że dotarli do miejsca, od którego koryto Tamizy zaczynało się poszerzać. Fale rozpląwały się we mgle. Nowy poranek ściągał znad ziemi jej zasłony, wśród których rozpraszały się miriady ptaków. W miarę jak dzień dojrzywał, mgła przybrała lekko pomarańczowy odcień, a potem zrzędła, odsłaniając kaczki fruujące nad rzeką lub pływające rzędami po lśniącej wodzie.

Zanim opary zupełnie znikły, szept skrzydeł w górze podpowiedział ludziom, że zbierały

się niewidzialne stada. Gęsi wyruszając na żer przelatywały nad głowami podróżnych z głuchym dźwiękiem zupełnie innym niż bicie skrzydeł łabędzi. Mniejsze ptaki fruwały wyżej. Byli wśród nich także drapieżcy, orły i jastrzębie, jeszcze obcy w tych rejonach.

Niektóre ptaki, od małych cyranek po ohary przechadzające się w błocie i demonstrujące piękne upierzenie, pokonywały olbrzymie połacie łąd, by żerować właśnie tutaj. Wiele skrzydlatych podróżników przybyło tu z konieczności: ich małe strzępki piskląt o wielkich apetytach umarłyby z głodu, gdyby pozostawiono je bez jedzenia na osiem godzin. Dlatego rodzice przenieśli się dalej na północ, gdzie o tej porze roku na żerowiskach dzień trwał długo.

W krainie mgieł i wody ludzie byli najmniej zależni od praw natury. Za to, w przeciwieństwie do otaczającej ich mnogości ptactwa, nie potrafili instynktownie wybierać kierunku i po trzech dniach od opuszczenia Oksfordu ich podróż do ujścia rzeki utknęła w labiryncie wodnych dróg.

Choć wyznaczanie szlaku przychodziło im z trudem, towarzyszył im spokój. Nie spieszyli się, by opuścić krainę, w której mieli pod dostatkiem pożywienia. Mięso czapli, gęsi i kaczek trafiało do zup i gulaszów, które Marta przyrządzała znakomicie. Ryby niemal prosiły się, by je wyciągać z rzeki.

W łowach mieli niewielu ludzkich rywali, a ci przybywali głównie z północnej części rozlewiska, z osad, które wciąż istniały w okolicach Oksfordu. Siwobrody i reszta znowu widzieli gronostaje, które tutaj polowały w pojedynkę, a nie w stadach. Natrafili też na zwierzę, które wzięli za tchórza. Przedzierało się przez trzciny z krzyżówką w pysku. Widywali wydry i nutrie, a trzeciego wieczoru, w miejscu, gdzie rozbili obóz znaleźli tropy prawdopodobnie jelenia, który przyszedł na brzeg napić się wody.

Właśnie tam, gdy następnego ranka Marta i Siwobrody stali przy ogniu, piekąc rybę z miętą i rzeżuchą, dobiegło ich wołanie.

– Wpraszam się do was na śniadanie!

Rzeką płynęła ku nim połatana łódź. Z dulek uniesionych wiosła kapiała woda, a w środku siedział Jeff Pitt.

– No i jacy z was przyjaciele? – powiedział, gdy dzieliła ich niewielka odległość. – Wyruszam na małe polowanie z kolegami. Wracam do Oksfordu, a tu stary Charley wyjechał, a jego gospodyni rozpacza. Jadę do Christ Church i widzę, że wy dwoje też zniknęliście. Oto jak zostałem potraktowany!

Marta i Siwobrody – zawstydzeni, bo w jego słowach brzmiała nuta żalu do nich – podeszli do brzegu przywitać przybysza. Kiedy Pitt dowiedział się, że opuścili Oksford, domyślił się, jaki obrali kierunek. Powiedział im to, chwając się swoją inteligencją. Pomogli mu zacumować łódź. Sztywno wysiadł i obojgu uściśnął dłonie. Zdołał to zrobić, nie patrząc im w twarz.

– Nie możecie tak mnie zostawiać, wiecie? Powinniśmy się trzymać razem. Może

upłynęło już dużo czasu, ale ja nie zapomniałem Siwobrody, że mogłeś mnie zabić wtedy, kiedy to ja miałem zastrzelić ciebie.

Siwobrody roześmiał się.

– Nawet mi to nie przeszło przez myśl.

– I właśnie dlatego ściskam ci teraz rękę. Co tam gotujecie? Skoro już z wami jestem, dopilnuję, żebyście nie głodowali.

– Dziś rano chcieliśmy pokonać głód łososiem – powiedziała Marta, zakasując spódnicę, aby ukucnąć przy otwartym palenisku. – To chyba pierwsze od dwustu lat łososie złowione w Tamizie.

Pitt założył ręce w poszarpanych rękawach i przyjrzał się rybie krzywo.

– Złapię ci większe od tych, Marto. Nie obejdziecie się tu beze mnie. Im jesteśmy starsi, tym bardziej potrzebujemy przyjaciół. A gdzie się podział stary święty Józef Samuels, ha?

– Wybrał się na poranny spacer. Jak wróci, na pewno się przerazi, widząc ciebie tutaj.

Gdy Charley po powrocie skończył klepać Jeffa w plecy, wszyscy razem usiedli do posiłku. Mgła stopniowo się przeredzała, odsłaniając coraz większe obszary wokół nich. Świat się powiększał. Ukazywał im się pełen nieba w górze i w taflę wody.

– Widzicie, łatwo moglibyście się tu zgubić – powiedział Pitt. Gdy minęło początkowe zadowolenie z ponownego spotkania, natychmiast przybrał swój dawny, gderliwy ton. – Kilku chłopaków, których poznałem w Oksfordzie, kiedyś zbójowało i piratowało na wodach w tej okolicy. Potem za bardzo się zestarzel i zajęli się spokojnym kłusowaniem. Ciągłe opowiadają o dawnych czasach. Mówili, że na tych terenach przed laty toczyły się zacięte walki. Nazywają to Morzem Bark, wiedzieliście?

– Słyszałem, jak o tym mówili w Oksfordzie – przyznał Charley. – Podobno nadal się powiększa, tylko brakuje ludzi, którzy sporządziliby mapy.

Pitt miał na sobie dwie stare kurtki i parę spodni. Zaczął macać w kieszeni wewnętrznej kurtki i wyjął stamtąd kartkę papieru, którą rozłożył i podał Siwobrodemu. Siwobrody poznał jedną z gazet, jakie rozdawano podczas ostatniego pokazu dzieci z Balliol. Na odwrotnej stronie ktoś atramentem narysował mapę.

– Tu widać, jak ten region teraz wygląda. Tak twierdzili moi kumple, którzy zbadali jego większość – powiedział Pitt. – Rozumiesz coś z tego?

– To dobra mapa, Jeff. Wprawdzie brakuje na niej kilku nazw, ale łatwo można rozpoznać dawne miejsca. Bark to pewnie przekręcenie starej nazwy Berkshire.

Marta i Charley razem z nim przyjrżeli się mapie. Na południowym krańcu Morza Bark znajdowało się Goring. Tam, po obu stronach rzeki spotykały się dwa pasma wzgórz, Chiltern i Berkshire Down. W tym miejscu nurt został zagrodzony i rzeka zalała okolice na północ od tamy, wypełniając trójkątny basen między dwoma łańcuchami wzgórz a Cotswolds.

– Choć daleko temu do morza, ale jak nic ma ze dwadzieścia mil ze wschodu na zachód i z piętnaście w poprzek. – Charley pokiwał głową. – Na takiej przestrzeni łatwo zabłądzić.

Marta prześledziła palcem zarys brzegu.

– Wody musiały zalać wiele miejscowości, między nimi Abingdon i Wallingford. Przy nim Jezioro Łęgowe to zwykły staw! Jeśli poziom wód nadal się podnosi, należy przypuszczać, że za jakiś czas oba zbiorniki się połączą, a wtedy i Oksford zniknie pod wodą.

– Wszystko zmienia się tak szybko, gdy pieczę nad tym sprawuje Bóg, a nie człowiek – stwierdził Charley. – Tak sobie liczyłem, że minęło już jakieś czternaście lat, odkąd trafiłem do Sparcot, a przecież kraj już wcześniej wyglądał na zniszczony i zapuszczony. Teraz to zupełnie inne miejsce.

– Bo już tylko my niszczejemy – przyznał Pitt. – Przyroda nigdy nie wyglądała lepiej. Chciałbym znowu być młodszy, a ty Charley? Moglibyśmy obaj mieć po osiemnaście lat i parę miłych, młodych dzierlatek do towarzystwa! Tym razem miałbym lepsze życie, niż to, które mija.

Tak jak Pitt się spodziewał, Charley nie zgodził się na młode dzierlatki.

– Żałuję, że nie ma z nami moich sióstr, Jeff. Byłyby tu o wiele szczęśliwsze. Biedaczki. Przeżyliśmy wiele koszmarów! Teraz to już nie Anglia. To kraina zwrócona Bogu. Należy do Niego i tak jest lepiej.

– W takim razie, to miło z Jego strony, że z nami wytrzymuje – powiedział ironicznie Pitt. – Choć już niedługo będzie musiał to robić, nie?

– Wiem, że to strasznie antropocentryczne z mojej strony, ale nie mogę pozbyć się myśli, że kiedy wszyscy odejdziemy, będzie Mu bez nas ociupinkę nudno – przyznała Marta.

Wyruszyli po śniadaniu. Tak samo, jak przed kilku laty, wszyscy usiedli w dużej łodzi, a małą łódkę Pitta ciągnęli z tyłu na holu. Wiatr wiał z siłą, która ledwo pchała ich po spokojnych wodach.

Nie upłynęli daleko, kiedy w oddali zamajaczyły wieże i dachy na wpół zatopionego miasta. Iglica kościoła sterczała samotnie. Większość dachów znikła pod roślinami, które zakorzeniły się w zapchanych rynnach. Prawdopodobnie roślinność miała niemały udział w tym, że budynki zapadły się pod powierzchnię. Wieża mogła tkwić tu jeszcze jakiś czas, ale stojąc na kruszejących fundamentach, też miała wkrótce zniknąć. Wraz z nią, z krajobrazu znikłby wszelki ślad po człowieku.

Pitt przechylił się za burtę łodzi i spojrzał w wody „morza”.

– Tak sobie myślę, co się stało z ludźmi, którzy tu kiedyś żyli – powiedział nerwowo. – Myślałem, że może żyją nadal pod wodą, ale nie widzę, by tam z dołu ktoś się nam przyglądał.

– A właśnie, Jeff, to mi coś przypomina – odezwał się Charley. – Kiedy wróciłeś, na jakiś czas wyleciało mi z głowy. Pamiętasz, jak wierzyłeś, że w lasach żyły skrzaty?

– Skrzaty i krasnale – odparł Pitt, wlepiając w towarzysza nieruchome spojrzenie. – A co? Też je widziałeś? Taki religijny człowiek, jak ty?

– Widziałem coś. – Charley odwrócił się do Siwobrodego. – Pierwszy raz dziś rano, kiedy



poszedłem sprawdzić, czy jakiś zwierz nie złapał się w nasze sidła. Kiedy klęczałem przy jednych, podniosłem wzrok i zobaczyłem trzy twarze wpatrujące się we mnie zza krzaków.

– A widzisz, mówiłem ci. Nic tylko krasnale! Też je widziałem. Co zrobiły? – spytał Pitt.

– Na szczęście dzielił mnie od nich niewielki strumień, więc nie mogły się zbliżyć. Kiedy wyciągnąłem rękę i zrobiłem w ich stronę znak krzyża, zniknęły.

– Powinieneś posłać za nimi strzałę, zniknęłyby jeszcze szybciej – stwierdził Pitt. – A może się wystraszyły, że zamierzasz wygłosić im kazanie.

– Charley, chyba nie wierzysz, że to naprawdę były skrzaty – odezwał się Siwobrody. – To postacie, o jakich czytaliśmy w bajkach jako dzieci. One nie istniały w rzeczywistości.

– Może pojawiły się tak, jak tamten tchórz – powiedział Jeff Pitt. – Przecież w książkach pisali o tym, co było, zanim człowiek się cywilizował.

– Jesteś pewien, że to nie dzieci? – spytał Siwobrody.

– Na pewno nie, choć były tak samo małe. Miały za to – hm, nie widziałem dokładnie, ale to mi wyglądało na pyski takie, jak miał stary Izaak i kocie uszy, i sierść na głowach. Za to ich dłonie przypominały nasze.

Na łodzi zapadło milczenie.

Przerwała je Marta.

– Stary Thorne, z którym pracowałam w Christ Church, był uczonym człowiekiem, choć trochę słabym na umyśle. Twierdził, że skoro gatunek ludzki wymiera, co innego zajmie jego miejsce.

– Może Szkoci! – powiedział Siwobrody ze śmiechem, przypominając sobie, jak Towin i Becky obawiali się inwazji Szkotów z północy.

– Thorne nie mówił jasno, co to miałyby być, choć wspominał, że mogło wyglądać jak rekin z nogami tygrysa. Powiadał, że miały się pojawić setki takich stworzeń, wdzięcznych Stwórcy za to, że dał im tyle małych ludzików nadających się do jedzenia.

– Mamy dość kłopotów z własnym Stwórcą. Po co mamy się przejmować tym, co powoła na świat naszych rywali – stwierdził Pitt.

– Błuznisz – powiedział Charley. – Jesteś już za stary, żeby tak gadać. Zresztą, gdyby naprawdę istniało coś takiego, przypuszczam, że wolałoby zjeść jakąś kaczkę zamiast nas. Tylko popatrz jak wyglądamy!

Tego wieczoru starannie wybrali miejsce na nocleg, tak by nikt ich nie mógł łatwo zaskoczyć.

Następnego dnia płynęli na południe, popychając łódź wiosłami, gdy sprzyjające nurty ich zawiodły. Lesiste wzgórza, widoczne poprzedniego dnia, powoli zanurzyły się za horyzontem, znikając im z oczu. Jedynym punktem orientacyjnym była wyspa o dwóch garbach mająca przed nimi. Dotarli do niej późnym popołudniem, gdy cień łodzi wisiał z burty. Zacumowali obok łódki, która stała w prymitywnie przygotowanej zatoczce.

Ziemia na większej części wyspy była uprawiona. Dalej, w wyższej partii wzniesień,

dostrzegli kury i kaczki w ogrodzonych wybiegach. Stare kobiety doglądające drobiu zeszyły nad wodę przyjrzeć się nowym przybyszom. Poinformowały ich, że są na Wyspie Wittenham i niechętnie oznajmiły, że mogą zostać na noc tam, gdzie się rozłożyli, o ile nie będą sprawiali kłopotów. Większości kobiet towarzyszyły oswojone wydry, które podobno przynosiły właścicielkom złapane ryby i ptaki.

Osadniczki zaczęły traktować podróżnych przyjaźniej, gdy się przekonały, że mają pokojowe zamiary. Chętnie wdały się w rozmowę. Okazało się, że tworzą społeczność religijną i wierzą w Mistrza, który od czasu do czasu je odwiedza, głosząc nadejście Drugiej Generacji. Pewnie próbowałyby zwerbować nowych wyznawców, gdyby Marta taktownie nie zmieniła tematu, pytając od jak dawna mieszkały na wyspie.

Jedna z kobiet wyjaśniła, że pochodzą z miasta zwanego Dorchester. Uciekły na wzgórze razem z mężami, kiedy, mniej więcej przed siedmiu laty, ich domy i ziemie zabrała rosnąca woda. Ich dawne siedziby znalazły się na dnie Morza Bark.

Siwobrody i jego kompania z trudem rozumieli większość z tego, co mówiła staruszka. Tak jakby mgły unoszące się o tej porze roku nad wodą, zaćmiły także ludzką zdolność porozumiewania się. Nikogo nie dziwiło, że małe grupki, odcięte od sąsiadów, z czasem dorabiały się własnego akcentu i słownictwa. Zdumiewała tylko szybkość, z jaką ten proces zachodził.

Marta i Siwobrody rozmawiali o tym, leżąc wieczorem pod kocami.

– Pamiętasz tamtego starca, którego spotkaliśmy w drodze do Oksfordu? Tego, który miał borsuczycę za żonę? – spytała Marta.

– Chyba nie. To było tak dawno.

– Przypominam sobie, że spaliśmy w stodole razem z nim i jego reniferem. Jak on się zwał? Przeszedł kurację u tego dziwnego człowieka z targowiska. Och, moja pamięć!

– U Bunny’ego Jingadangelowa?

– Właśnie tak! U twego znajomego! Starzec gadał coś bez sensu o błyskawicznie upływających latach. Twierdził, że żył już dwieście lat lub coś około tego. Ostatnio o nim myślałam i zaczynam rozumieć, co czuł. Tak wiele się zmieniło, Algi, że naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy nie żyjemy od wieków.

– To tylko zmiana tempa. Urodziliśmy się w gorączkowo pędzącej do przodu cywilizacji, a teraz już nic z niej nie zostało. Żyje się wolniej.

– Czyli długowieczność to tylko złudzenie?

– To człowiek się zatrzymał, nie śmierć. Wszystko prócz nas – cały świat z jego dziwami – toczy się tak jak dawniej. Śpijmy już, kochana. Zmęczyło mnie to wiosłowanie.

Na chwilę zapadła cisza.

– To chyba dlatego, że nie ma dzieci – odezwała się Marta. – Nie chodzi mi o to, że my ich nie mamy, tylko, że nie widzę ich nigdzie wokół. Przez to życie wydaje się puste... i bardzo długie.

Siwobrody usiadł ze złością.

– Na litość boską, kobieto, przestań w końcu gadać o tym, że nie ma dzieci. Przecież sam wiem, że nie możemy ich mieć... Zresztą, teraz i tak jesteśmy na to za starzy. Doskwiera mi to tak samo, jak i tobie, ale po co o tym ciągle rozprawiać!

– Ja wcale o tym ciągle nie mówię, Algi! Wątpię, czy wspominam to choć raz w roku.

– Owszem, wspominasz. Zawsze mniej więcej o tej porze, pod koniec lata, kiedy dojrzewa zboże. Co roku czekam, aż znowu coś powiesz.

Chwilę później Siwobrody pożałował wybuchu złości. Przytulił Martę.

– Nie chciałem na ciebie krzyczeć – powiedział. – Czasami boję się własnych myśli. Zastanawiam się, czy brak dzieci nie jest przyczyną szaleństwa, którego nie nazywamy, bo nie ma dla niego nazwy. Czy można zachować zdrowy rozsądek w świecie, gdzie z każdej strony wita cię tylko własna starość?

– Kochany, jesteś jeszcze młody i silny. Mamy przed sobą wiele lat.

– Nie, przecież wiesz, o co mi chodzi. Człowiek powinien móc odnowić własną młodość w pokoleniu, które przychodzi jako następne. Kiedy masz lat trzydzieści, dzięki synom jesteś zwinny i się śmiejesz. Po czterdziestce to przez nich się martwisz i czujesz, jak mocno wrastasz w ten świat. Jako pięćdziesięciolatek bawisz się już z wnukami. Możesz dożyć czasów, gdy wnuczęta przyjdą popatrzeć, jak się uśmiechasz drżącymi wargami i pokazujesz im karciane sztuczki... To one dodają ci siłę. Jeśli tego wszystkiego brak, po co się zastanawiać czy czas płynie tak, jak powinien albo skąd biedny, stary Charley wpadł na szalony pomysł, że widział skrzaty?

– Może kobieta patrzy na to inaczej. Najbardziej mi żal tego, że mam w sobie źródło jakiegoś uczucia – pewnie miłości – ale ono nigdy nie znalazło celu.

Algi czule pogłaskał Martę po głowie.

– Jesteś najbardziej kochającą osobą, jaka kiedykolwiek żyła na tym świecie. Tylko teraz pozwól mi spać, dobrze?

Ale to Marta zasnęła. Siwobrody leżał obok niej przez jakiś czas, wsłuchując się w odległe odgłosy żerujących nocą ptaków. Ogarnął go niepokój. Delikatnie wyciągnął koniec brody spod ramienia Marty, wsunął buty na nogi, otworzył wejście namiotu i sztywno wyszedł na zewnątrz. Jego kręgosłup nie był już tak giętki.

Hermetyczność nocy sprawiała, że wydawała się ona bardziej duszna. Algi nie umiał określić przyczyny niepokojów. Zdawało mu się, że słyszy dudnienie silnika. Wyobraził sobie parostatek, którym w dzieciństwie, jeszcze zanim umarł ojciec, wyruszał razem z mamą z Westminster Pier. Ale to przecież było niemożliwe. Pozwolił myślom powędrować w przeszłość, zobaczył matkę. Niektóre wspomnienia wydawały się cudownie żywe. Zastanawiał się czy Wypadek nie zrujnował życia Patrycji Timberlane – która urodziła się przecież tak dawno, w latach czterdziestych dwudziestego wieku! – bardziej niż jego własnego. Sam ledwie pamiętał lata sprzed katastrofy. Istniał tylko w kontekście Wypadku i

tego, co nastąpiło później. Przyzwyczał się. Ale jak ona miała się przystosować do nowej sytuacji? Kobiety są inne – pomyślał, tak jakby odkrył coś nowego.

Znowu dobiegł go odgłos silnika. Być może dźwięk docierał do niego, pokonując barierę czasu i prawdopodobieństwa.

Poszedł obudzić Charleya i razem stanęli na brzegu nasłuchując.

– To musi być jakiś parostatek, nic innego – powiedział Charley. – Bo niby czemu nie? Na pewno tu czy tam są jeszcze zapasy węgla.

Dudnienie umilkło. Stali nad wodą rozmyślając, czekając i wpatrując się w czerń nocy. Nic więcej się nie wydarzyło. Charley wzruszył ramionami i poszedł spać. Po chwili także Siwobrody wrócił pod swój koc.

– Co się dzieje, Algi? – spytała obudzona Marta.

– Gdzieś na wodzie słyszałem parostatek.

– Może rano go zobaczymy.

– Dudnił tak samo jak te, na które zabierała mnie matka. Stojąc tam i wpatrując się w nicość, uświadomiłem sobie, że zmarnowałem życie, Marto. Nie wierzyłem...

– Kochanie, to chyba nie najlepsza pora na bilans życia. Myślę, że lepiej z tym poczekać i zrobić to za dnia, za jakieś dwadzieścia lat.

– Nie, Marto, posłuchaj mnie, wiem, że natura obdarzyła mnie wyobraźnią i wnikliwością, ale...

Przerwał, słysząc jej stłumiony śmiech. Usiadła na łóżku i ziewnęła.

– Jesteś jednym z najmniej wnikliwych ludzi, jakich znam, poza tym zawsze cieszyłam się, że masz wyobraźnię o wiele bardziej prozaiczną od mojej. Obyś zawsze miał takie złudzenia co do siebie, to pewna oznaka młodości.

Pochylił się ku niej, po omacku szukając jej dłoni.

– Jesteś zabawną istotą Marto. Czasem sprawiasz, że się zastanawiam, jak dwoje ludzi może się w ogóle poznać, skoro ty znasz mnie tak mało. To zadziwiające, że potrafisz być tak ślepa, choć jesteś tak wspaniałą towarzyszką już od lat trzydziestu, trzystu czy tylu, ile spędziliśmy razem. Jesteś wspaniała pod wieloma względami, podczas gdy ja okazałem się nieudacznikiem.

– Narażam się na to, że komary potną mnie na śmierć – powiedziała z powagą i zapaliła lampkę przy łóżku – ale muszę ci się przyjrzeć w świetle. Nie cierpię nieszczęść bez twarzy. Co też takiego mówiłeś o sobie? Pomówmy o tym, zanim się położymy.

– Sama na pewno wszystko widzisz. Nie ożeniłem się przecież z głupią kobietą, choć niektórzy mężczyźni tak robią. Przez całe życie byłem nieudacznikiem.

– Na przykład?

– Sama przyznasz, że przeze mnie trochę tu pobłądziliśmy. A są rzeczy o wiele poważniejsze niż to. Jak choćby wojna. Powinienem się sprzeciwić i nie jechać. Wiesz, jak bardzo byłem przekonany o jej niesłuszności. Ale obiecałem i zaciągnąłem się do Infantop.

Potem ta sprawa z przystąpieniem do DGHW. Wiesz, Marto, że to chyba najokropniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Ci ludzie z DGHW, stary Jack i pozostali, oni naprawdę poświęcili się sprawie. Ja nigdy nie wierzyłem w ten plan.

– Bzdury opowiadasz, Algi. Pamiętam, jak ciężko pracowałeś, najpierw w Waszyngtonie, potem w Londynie.

– Wiesz dlaczego się do nich przyłączyłem? – roześmiał się. – Bo zaproponowali, że przywiozą mi ciebie do Waszyngtonu! Właśnie tak! Moje zainteresowanie DGHW okazało się drugorzędne wobec zainteresowania tobą. Fakt, że w latach powojennych, kiedy władza upadła, a Zjednoczony Rząd zawarł pokój z wrogiem, wypełniałem powierzone mi zadania dość dobrze. Ale pomyśl tylko, jaką szansę przegapiłem, kiedy mieszkaliśmy w Cowley. Gdybym tak bardzo się nie przejmował nami, moglibyśmy zarejestrować ważny fragment historii. Zamiast tego uciekliśmy i potem przez tyle strasznych lat wegetowaliśmy w Sparcot. I co tam zrobiłem? Opchnąłem furgonetkę DGHW tylko dlatego, że trochę burczało nam w brzuchach. Potem miałem szansę ją odzyskać w Christ Church, ale nie mogłem wytrzymać jeszcze dwóch lat ciężkiej pracy. Dziś, słuchając dudnienia silnika gdzieś na rozlewisku, myślałem o tej przeklętej furgonetce i o tym, że reprezentuje ona wszystko, co mogłem osiągnąć i mieć.

Marta złapała ąmę fruującą wokół jej twarzy i spojrzała na męża z promiennym uśmiechem.

– Ludzie, których zdradzano często postrzegają siebie jako zdrajców. Nie rób tego, Algi. Dziś przychodzą ci do głowy same bzdury. Jesteś za wielki, żeby taplać się w kałuży ułudy. Naprawdę nie rozumiesz, że to, co mi właśnie opowiedziałeś, to w skrócie historia twojej prawości?

– Chyba chciałaś raczej powiedzieć jej braku.

– Nie, nie chciałam. Podczas wojny najpierw próbowałeś ratować dzieci, a potem starałeś się zrobić coś konstruktywnego ze swoim życiem. Poślubiłeś mnie, choć mogłeś sobie hulać, tak jak większość twoich rówieśników na całym świecie. I podejrzewam, że od tamtej pory jesteś mi wierny. To nie jest oznaka braku charakteru. A co do twojej słabości w Cowley, sam spytaj starego Jeffa, co on o tym sądzi! Sprzedałeś furgonetkę DGHW po długich i bolesnych rozważaniach. W ten sposób ocaliłeś całą społeczność Sparcot przed głodem. Mówisz, że mogłeś odzyskać wóz, ale po co? Jeśli jacyś ludzie mają jeszcze przed sobą przyszłość, będą patrzyli przed siebie, a nie wstecz. DGHW było wspaniałym pomysłem w roku dwutysięcznym, gdy projekt powstawał. Teraz widzimy, że jest nieistotny. Za to nigdy nie uważałeś, że nieistotni są ludzie – a wśród nich i ja. Zawsze byłem dla ciebie najważniejsza. Ważniejsza niż praca w Waszyngtonie czy w Cowley. Myślisz, że uważałam to za niesłuszne? Gdyby więcej ludzi przedkładało swoich towarzyszy nad abstrakcje ubiegłego wieku, nie byłibyśmy teraz tutaj. – Umilkła niespodziewanie. – To wszystko, co myślę. Koniec wykładu. Czujesz się lepiej, Siwobrody?

Przycisnął wargi do jej skroni naznaczonej ścieżkami żył.

– Kochana, mówię ci, że wszystkich nas dotknęła jakaś forma szaleństwa. Po tylu latach wreszcie odkryłem twoją!

Ponownie obudził się, gdy było już jasno. Potrząsał nim Pitt. Jeszcze zanim stary traper się odezwał, Siwobrody usłyszał dudnienie silnika parostatku.

– Na wszelki wypadek weź broń. To mogą być piraci – powiedział Pitt. – Kobiety mówią, że łódź płynie w naszą stronę.

Siwobrody wciągnął spodnie i bosy wyszedł na kapiącą od rosy trawę. Marta i Charley stali, wpatrując się w mgłę. Siwobrody podszedł do nich i położył dłoń na ramieniu żony. Tego ranka opary były gęste jak mleko. Zupełnie przesłoniły wzgórze z tyłu. Kobiety ze wspólnoty, wezwane dudnieniem motoru materializowały się w pobliżu i ustawiały szeregiem wzdłuż brzegu.

– Mistrz przybywa! Mistrz przybywa! – wołały. Silnik umilkł. Jego odgłos zamarł nad wodami. Wyteżali wzrok, próbując coś zobaczyć.

Parostatek jak duch wyłonił się z mgły przed nimi, sunąc do przodu w ciszy. Wydawał się nierealny, tak jakby ktoś naszkicował go na płótnie krajobrazu. Na pokładzie bez ruchu stali ludzie, wpatrując się w morze. Bardziej sprawne kobiety na brzegu padły na spuchnięte od artretyzmu kolana, wołając: „Mistrz przybywa, by nas zbawić!”

– Przypuszczam, że nadal istnieją jakieś składy węgla, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać – powiedział Siwobrody do Marty. – Wszystkie kopalnie są już raczej nieczynne. Ale możliwe, że statek ma napęd na drewno. Lepiej zachowajmy ostrożność, choć raczej nie wygląda na to, aby przybysze mieli wrogie intencje.

– Teraz wiem, jak czuli się dzicy, kiedy pojawiali się wśród nich misjonarze z balastem Biblii – przyznała Marta, przyglądając się długiemu napisowi rozwieszonemu wzdłuż relingów parostatku: „OKAŹCIE SKRUCHEŃ – PRZYBYWA MISTRZ!”, pod którym, mniejszymi literami dopisano „Druga Generacja potrzebuje waszych darów i modlitw. Datki wspomogą nasz cel”.

– Wygląda na to, że Biblie nie są tu darmowe – zauważył Siwobrody.

Grupa ludzi na statku wyszła na dziób i usunęła część relingów. Na wodę spuszczoneo mniejszą łódź, aby kursowała między burtą i brzegiem. Jednocześnie ktoś włączył megafon i, gdy umilkły trzaski, zaczął przemawiać do kobiet na wyspie.

– Panie z Wyspy Wittenham, Mistrz was wzywa! Pozdrawia was i łaskawie pozwala się odwiedzić. Tym razem nie opuści on świętego statku. Jeśli chcecie go zobaczyć, musicie wejść na pokład. Posyłamy łódź, która przewiezie was i wasze dary. Pamiętajcie, że za zaszczyt trafienia przed jego oblicze płacicie tuzin jaj, a za kurczaka możecie z nim zamienić słowo.

Wiosłowa łódź odłączyła się od parostatku i powoli ruszyła ku brzegowi. Poruszały nią

dwie kobiety, zgięte w pół nad wiosłami, kaszlące i sapiące, tak jakby miały początki zakrzepicy. Kiedy uwolniły się z mgły, dotarły do brzegu i wysiadły, stały się bardziej rzeczywiste.

Marta ścisnęła Siwobrodego za rękę.

– Poznajesz jedną z nich? Tę, która właśnie splunęła do wody?

– Niemożliwe! Wygląda jak stara – jak ona miała na imię?

– Została w tamtym miejscu, wiesz którym – Becky! To naprawdę Becky Thomas!

Marta pobiegła naprzód. Kobiety z wyspy przepychały się, by się dostać do łodzi. W dłoniach i koszach niosły żywność, którą prawdopodobnie chciały ofiarować Mistrzowi. Becky stała z boku, apatycznie przyglądając się całej scenie. Wydawała się jeszcze brudniejsza niż za czasów Sparcot i o wiele starsza, choć jej ciało nadal było pulchne. Za to miała zapadnięte policzki i ostry nos.

Patrząc na nią, Marta uzmysłowiła sobie, że Becky należała do pokolenia rodziców jej i Algiego. To zdumiewające, że część z nich nadal żyła, pomimo ponurych przepowiedni, jakoby wszyscy mieli młodo umierać. Becky miała jakieś osiemdziesiąt pięć lat.

Po chwili do tych myśli dołączyła bardziej bolesna: Co zostanie ze świata, jeśli Algi i ja dożyjemy takiego wieku?

Marta podeszła bliżej. Becky zmieniła pozycję, stając z rękami na biodrach. Na jej chudym nadgarstku Marta dostrzegła stary i zepsuty zegarek, z którego Towin był niegdyś tak dumny. Gdzie on się podziewał?

– Witaj, Becky – powiedziała. – Jaki ten świat mały. Wybrałaś się w letni rejs?

Pani Thomas nie ucieszyła się zbyt z ponownego spotkania z Martą. Nie rozchmurzyła się także na widok Siwobrodego, Charleya i Pitta, którzy podeszli z nią porozmawiać.

– Teraz należę do Mistrza – oznajmiła im. – Dlatego pomimo mego wieku dostałam przywileju urodzenia jednego z dzieci Drugiej Generacji. Rozwiązanie nastąpi na jesieni.

– Spodziewałaś się dziecka, kiedy cię zostawiliśmy na tamtym targowisku – zarechotał Pitt. – Ile to już lat temu? Co się stało z tamtym? Pewnie urojona ciąża, ha? Od początku tak myślałem.

– Wtedy byłam mężatką, ty stary, nieokrzesany gburze – powiedziała Becky – a Mistrz jeszcze nie przystąpił do wypełniania swego posłannictwa, więc nie doczekałam się wtedy potomka. Dopiero kiedy ujrzałam światło, mogłam począć. Jeśli chcesz mieć dzieci, Marto, przynieś Mistrzowi dar, a przekonasz się, co może dla ciebie zrobić. On potrafi zdziałać cuda.

– Co się stało ze starym Towinem, Becky? – zapytał Charley. – Podróżuje statkiem razem z tobą?

Pobrużdżona twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej.

– Stary Towin Thomas był grzesznikiem. Już o nim nie myślę. Nie chciał uwierzyć w Mistrza ani przyjmować jego leków i dlatego zmarł. Złośliwy nowotwór wysał z niego wszystko, tak że na koniec ważył ledwie dwadzieścia kilo. Powiem szczerze, że jego śmierć

była błogosławieństwem. Od tamtej pory podążam za Mistrzem. Właśnie zbliżają się moje dwieście dwudzieste trzecie urodziny, a nie wyglądam nawet na sto, prawda?

– To brzmi znajomo – powiedział Siwobrody. – Czy ten twój Mistrz jest nam znany, Becky? Może to Bunny Jingadangelow, co?

– Zawsze bez opętania melleś tym jęzorem, Siwobrody. Uważaj, jak się do niego zwracasz. On już nie używa starego imienia.

– Za to wciąż się ucieka do tych samych, starych sztuczek – stwierdził Siwobrody, obracając się do Marty. – Wejźmy na pokład i zobaczmy się ze starym lisem.

– Nie mam ochoty go widzieć – odparła Marta.

– Przecież nie chcemy tkwić na tym morzu we mgle. Możemy błędzić po okolicy, aż jesień nas tu zastanie. Zanim się ochłodzi, powinniśmy już być daleko na rzece. Zobaczymy się z Jingadangelowem i namówimy go, by nas trochę poholował. Kapitan statku musi znać okolicę.

Zrobili jak mówił. Przeprawili się na statek łodzią Pitta i wspięli się na pokład, na którym aż roiło się od wiernych i ich darów.

Siwobrody musiał poczekać, aż kobiety z wyspy po kolei odwiedzą kabinę Mistrza, by otrzymać jego błogosławieństwo. Dopiero wtedy pozwolono mu wejść. Został uroczyście wprowadzony do środka.

Bunny Jingadangelow tkwił rozparty na leżaku, owinięty w zatłuszczony odpowiednik rzymskiej togi. Najwidoczniej uznał taki strój za bardziej odpowiedni do nowego powołania, niż wiekowe futro z króliczych skór, jakim uprzednio zwracał uwagę. Wokół niego leżały materialne dowody czci dla jego boskości: warzywa, wielkie głowy sałat, kaczki, ryby, jaja i kura, której chwilę wcześniej ukręcono łeb. Stary mężczyzna w krótkich spodenkach wywoził dary na wózku.

Jingadangelow z dawnych czasów zachował podkręcone wąsy i bokobrody. Krągłość, która wcześniej obejmowała tylko jego podbródek, teraz opanowała nowe terytoria. Miał okrągły tułów, a jego twarz przypominała ziemistej barwy, tłusty księżyc przed pełnią, przez co wydawała się wyjątkowo bezbarwna. Spory procent jej powierzchni zebrał się w grymas wyższości, kiedy Siwobrody wszedł do kajuty. Najwyraźniej Becky zdążyła już przekazać wieści o jego wizycie.

– Chciałem się z tobą zobaczyć, ponieważ uważam, że posiadasz rzadki dar trafnej oceny rzeczywistości – powiedział Timberlane.

– To absolutna prawda. Dzięki niemu osiągnąłem boski status. Ale zapewniam cię, Siwobrody – mniemam, że wciąż nosisz ów przeciętny przydomek – iż nie zamierzam rozprawiać z tobą o przeszłości. Przetrwalem przeszłość i tak samo zamierzam przetrwać przyszłość.

– Widzę, że nadal tkwisz w rakiemie Wiecznego Życia, choć postarałeś się o bardziej wyszukane rekwizyty.



– Widzisz ten dzwoneczek? Wystarczy, że nim zadzwonię, a zostaniesz stąd wyproszony. Nie wolno ci mnie obrażać. Osiągnąłem świętość. – Położył pulchną dłoń na stoliku obok i z niezadowolaniem wydał wargi. – Skoro nie przybyłeś tu, by się przyłączyć się do drugo-generacjonistów, czego chcesz?

– Myślałem... Przyszedłem cię spytać o Becky Thomas i o jej ciążę. Nie masz...

– To samo powiedziałeś podczas ostatniego spotkania przed wiekami. Nie powinienes się przejmować Becky. Po śmierci męża stała się jedną z wiernych. Uważasz siebie za niby przywódcę ludzi, choć wcale im nie przewodzisz, prawda?

– Nikomu nie przewodzę, ponieważ jestem...

– Niby wędrowcem! Jaki masz cel w życiu? Żadnego! Połącz swój los z moim, człowieku. Przeżyj przeznaczone ci dni w komforcie. Ja nie spędzam całego życia na włóczeniu się po tym jeziorze w przeciekającej łodzi. Mam bazę w jego południowym końcu. Nazywa się Haghbourne. Popłyn tam ze mną.

– Mam zostać jednym z... hm, jak tam nazywasz swoich wyznawców? Może sądzisz, że nakłonię do tego moją żonę? Już to widzę! My...

Jingadangelow podniósł mały dzwoneczek i zadzwonił nim.

Do środka wtoczyły się dwie stare kobiety odziane w karykaturalne togi. Jedna z nich była bardzo okrągła i miała wylupiaсте oczy, których nie spuszczała z Mistrza.

– Kapłanki Drugiej Generacji – powiedział Jingadangelow – powiedzcie mi, jakie są cele mego przybycia.

Odpowiedziały śpiewnym chórem, w którym chudsza kobieta wyprzedzała drugą mniej więcej o pół zdania.

– Przybyłeś, by zastąpić Boga, który nas opuścił; przybyłeś, by zastąpić mężczyzn, którzy nas opuścili; przybyłeś, by zastąpić dzieci, których nam poskąpiono.

– W tym wszystkim nie ma nic fizycznego, rozumiesz Siwobrody? – wtrącił Jingadangelow.

– Przynosisz nam nadzieję w miejsce, gdzie pozostały tylko prochy; przynosisz nam życie w miejsce smutku; przynosisz nam brzemiennie łona w miejsce pustych żołądków.

– Przyznasz, że ta pseudobiblijna proza jest dość trafna.

– Sprawisz, że niewierni znikną z ziemi; sprawisz, że wierni przetrwają i uczynisz dzieci wiernych Drugą Generacją, która na powrót zaludni planetę.

– Bardzo dobrze, kapłanki. Wasz Mistrz jest z was zadowolony, zwłaszcza z Siostry Madge, która przedstawia przesłanie tak, jakby naprawdę wierzyła w to, co mówi. A teraz dziewczęta wyrecytujcie, co musicie zrobić, aby to wszystko się spełniło.

Obie kobiety ponownie wpadły w śpiewny ton.

– Musimy zapomnieć o grzechach własnych; musimy zapomnieć o grzechach innych; musimy czcić Mistrza.

– Można by to nazwać klauzulą obowiązkową – powiedział Jingadangelow do

Siwobrodego. – W porządku, kapłanki, możecie już odejść.

Przypadły do niego, chwytając go za rękę, gładząc po głowie, błagając, by pozwolił im zostać i szepcząc jakies im tylko zrozumiałe słowa.

– Mitygujcie się, dziewczęta, jestem w towarzystwie. Zostawcie mnie teraz!

Uciekły z kajuty przed jego gniewem, a Jingadangelow poprawił się na leżaku, próbując się wygodnie ułożyć.

– Oto cena posiadania wyznawców: w końcu zaczynają przesadzać. Ciągłe powtarzanie tych wersetów chyba za bardzo uderza babom do głów. Jezus dobrze wiedział, co robi, wybierając samych mężczyzn, ale mnie się lepiej układa z kobietami.

– Mam wrażenie, że nie jesteś całkowicie oddany swej roli, Jingadangelow – zauważył Siwobrody.

– Rola proroka jest zawsze trochę męcząca. Ile to już lat ją wypełniam? A jeszcze wieki całe przede mną! Ale daję im nadzieję i to jest wspaniałe. Zabawne tak dawać ludziom to, czego samemu się nie posiada.

Rozległo się pukanie do drzwi. Mężczyzna tonący w szarym dżerseju oznajmił, że kobiety z Wittenham bezpiecznie dotarły na brzeg i statek mógł ruszać dalej.

– Ty i twoi towarzysze powinniście już iść – powiedział gospodarz Siwobrodemu.

Timberlane spytał go o holowanie. Jingadangelow z irytacją odparł, że spełni prośbę, jeśli będą gotowi do wypłynięcia niemal natychmiast. Obiecał podholować ich do Hagbourne. W zamian za to Pitt, Charley i Siwobrody mieli u niego pracować. Po krótkiej naradzie zawarli umowę. Podróźni spakowali rzeczy. Większość uształowali w dużej łodzi oraz w łódeczce Pitta, a resztę zabrali ze sobą na parowiec, na którym wydzielono im część pokładu. Zanim wyruszyli, mgła ustąpiła zupełnie. Mimo to dzień zapowiadał się ponury i ciężki.

Pitt i Charley zajęli się grą w karty z dwoma załogantami. Marta i Siwobrody przeszli się po pokładzie naznaczonym bliznami po siedzeniach, z których dawniej pasażerowie podziwiali starą rzekę. Na statku było niewiele osób: około dziewięciu „kapłanek” spełniających zachcianki Jingadangelowa oraz kilku członków załogi. Zauważyli też dwóch milczących mężczyzn leniwie wypoczywających na rufie. Obaj byli uzbrojeni w rewolwery, by odeprzeć ewentualny atak. Siwobrody cieszył się, że miał swoją strzelbę. Nie spodobał mu się wygląd strażników.

Główną kabinę szczelnie zasłonięto, by zapewnić Jingadangelowowi prywatność. Kiedy przechodzili obok, jej drzwi się otworzyły i wyrzał zza nich sam Mistrz. Ostentacyjnie przywitał się z Martą.

– Nawet bóg potrzebuje trochę świeżego powietrza – powiedział. – W mojej kajucie jest jak w piecu. Wygląda pani pięknie, jak zawsze. Upływające stulecia nie pozostawiły na pani twarzy najmniejszego śladu. A skoro już mowa o urodzie, może zechcielibyście wejść do środka i coś zobaczyć.

Gestem zaprosił Martę i Siwobrodego do kabiny i wskazał drzwi w przeciwległej ścianie.

– Oboje jesteście niewierni, to oczywiste, powiedziałbym nawet, że jesteście urodzonymi niewiernymi, bo zawsze byłem zdania, że niewierzący się rodzą, natomiast święci się stają. Jednakże w nadziei, że dacie się nawrócić, chcę wam pokazać jeden z moich cudów.

– Nadal trudnisz się kastrowaniem? – spytała Marta, nie ruszając się z miejsca.

– Broń Boże! Domyślam się, że dostrzega pani efekty transformacji, jakie przeszedłem, mam rację, pani Siwobrodowa? Mój wygląd nie jest zasługą prymitywnych sztuczek. Chcę wam pokazać prawdziwe dziecię Drugiej Generacji. – Uniósł zasłonę zakrywającą szybę w drzwiach i usunął się, by mogli zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia.

Siwobrodego na moment zatkało. Wszystkie zmysły wezbrały w nim gwałtowną falą.

Na koi spała młoda dziewczyna. Była naga. Prześcieradło zsunęło się z niej, odsłaniając niemal całe ciało. Było gładkie i opalone, uformowane niezwykle delikatnie. Leżała, na brzuchu, rękoma obejmowała piersi. Zgięte kolano przesunęła tak, że niemal dotykało jej łokcia, odsłaniając kosmyki włosów łonowych między nogami. Spała z twarzą w poduszce i z otwartymi ustami. Gęste, brązowe włosy rozsypały się wokół głowy. Przez sen marszczyła brwi. Mogła mieć najwyżej szesnaście lat.

Marta w milczeniu zasłoniła szybę i odwróciła się do Jingadangelowa.

– A zatem niektóre kobiety wciąż rodzą... Ale tego dziecka nie powiła żadna z tych, które masz na pokładzie?

– Nie, nie, co racja, to racja! To tylko, jak by to powiedzieć, pociecha biednego, starego proroka. Pani mąż wygląda na poruszonego. Czy mogę mieć nadzieję, że po tym pokazie moich możliwości, będziemy go mogli powitać w rodzinie Drugiej Generacji?

– Ty chytry diable, co zamierzasz zrobić z tą dziewczynką? Jest idealna – nie to co te biedne stworzenia, które widzieliśmy w Oksfordzie. Gdzie ją znalazłeś? Skąd się wzięła?

– Zapewne rozumiesz, że nie masz prawa wypytywać mnie w taki sposób? Chyba mogę ci jednak co nieco powiedzieć. Otóż podejrzewam, że stworzeń tak pięknych jak Chammoj – to jej imię – jest znacznie więcej. Kryją się w całym kraju. Jak widzicie, mogę przedstawić moim wyznawcom konkretne dowody! Może więc wy dwoje przyłączycie się do mnie?

– Wyruszyliśmy w podróż do ujścia rzeki – powiedziała Marta.

Jingadangelow pokręcił głową tak gwałtownie, że zatrzęsły mu się policzki.

– Na stare lata zaczyna pani powtarzać słowa męża, pani Siwobrodowo. Kiedy spotkaliśmy się przed wiekami, sądziłem, że ma pani własne zdanie.

Siwobrody chwycił go za toczę.

– Kim jest ta dziewczyna? Jeśli dzieci jest więcej, trzeba je ocalić, traktować jak należy i pomagać im, a nie wykorzystywać jak dziwki! Na Boga, Jingadangelow...

Mistrz cofnął się chwiejnie, chwycił dzwonek, zamachał nim gwałtownie i uderzył nim Siwobrodego w twarz.

– Jesteś zazdrosny, ty psie, tak jak wszyscy mężczyźni! – warknął.

Dwie kapłanki natychmiast wpadły do kabiny. Na widok szamotaniny wybuchnęły

krzykiem i ustąpiły miejsca dwóm mężczyznom, którzy wcześniej siedzieli na rufie statku. Ci chwycili Siwobrodego za ręce i przytrzymali go.

– Związać go i wyrzucić za burtę! – rozkazał Jingadangelow, chwiejnym krokiem wracając na krzesło. Dyszał ciężko. – Niech dobrać się do niego szczupaki. Kobietę też związać, ale zostawić na pokładzie. Rozmówię się z nią, gdy dotrzemy do Hagbourne. Wykonać!

– Nie ruszać się! – powiedział Pitt, stając w drzwiach. Celował strzałą kuszy w Jingadangelowa. Jego jedyne dwa zęby lśniły za lotką z piór. Przy nim stał Charley z nożem w dłoni, pilnując korytarza. – Jeśli któryś się ruszy bez pozwolenia, zastrzelę waszego Mistrza.

– Odbierz im broń, Marto – nakazał Pitt. – Nic ci nie jest, Siwobrody? Co teraz zrobimy?

Pachołkowie Jingadangelowa nie palili się do walki. Siwobrody wziął od Marty ich dwa rewolwery i wsadził je do kieszeni. Rękawem wytarł policzek.

– Nic do tych ludzi nie mamy, jeśli zostawią nas w spokoju – powiedział. – Zabierzemy się z nimi do Hagbourne i tam się rozstaniemy. Wątpię, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

– Nie możesz ich tak po prostu puścić! – zawołał Pitt. – Chcesz przegapić taką szansę? Możemy zdobyć doskonałą łódź. Jej zatęchłą załogę wysadzimy na najbliższym brzegu. Dobra nasza!

– Nie możemy tak postąpić, Jeff. Jesteśmy już za starzy na piratów – powiedziała Marta.

– Znowu poczułem, jak wracają mi siły, tak jak wtedy, kiedy byłem młody – stwierdził Pitt, nie patrząc na nikogo. – Stojąc tu z kuszą odkryłem, że znowu mógłbym zabić człowieka. Rany... To cud...

Spojrzeni na niego, nic nie rozumiejąc.

– Zastanówmy się dobrze – powiedział Siwobrody. – Sami nie damy sobie rady na takim statku. Nie potrafilibyśmy też znaleźć drogi przez Morze Bark.

– Marta ma rację – zauważył Charley. – Nie mamy moralnego prawa kraść im parowca, bez względu na to, jakimi są draniami.

Jingadangelow wyprostował się i poprawił togę.

– Jeśli skończyliście już się kłócić, zechciejcie łaskawie opuścić moją kabinę. Chyba nie muszę wam przypominać, że to prywatne i święte pomieszczenie. Więcej problemów nie będzie, zapewniam was.

Kiedy wychodzili, Marta zauważyła dzikie, ciemne oczy obserwujące ich przez rozdarcie w zasłonie.

Późnym popołudniem ukazało im się Hagbourne. Wyłoniło się nie z mgły, lecz zza zasłon gęstego deszczu, bo poranne opary rozproszył wiatr, który przygnał ze sobą ulewy. Te ustały, kiedy parowiec zacumował przy kamiennym nabrzeżu. Za niewielkim miastem ukazały się wzgórza Berkshire. Miasteczko, które Jingadangelow nazwał swoją bazą, wyglądało na niemal zupełnie opuszczone. Na powitanie parostatku wyszło tylko trzech sędziwych

mężczyzn, którzy pomogli założyć cumy. Wsiadający pasażerowie użyczyli trochę życia ponurej okolicy.

Siwobrody i jego przyjaciele nieufnie odczepili własne łodzie od rufy parowca, choć nie spodziewali się, by załoga chciała im w tym przeszkodzić. Jingadangelow nie wyglądał na człowieka, który lubił walkę. Nie spodziewali się za to Becky, która pojawiła się, gdy ładowali swoje bagaże na łódź.

Przekrzywiła głowę na bok i wycelowała ostry nos w Siwobrodego.

– Mistrz mnie wysłał, żebym z tobą pomówiła. Twierdzi, że powinienes zapłacić pracą za przywilej holowania, jakim cię zaszczylił.

– Zrobilibyśmy co trzeba, gdyby nie zaatakował Siwobrodego – powiedział Charley. – To była próba morderstwa, ot co. Ci, którzy czczą fałszywych bogów, zostaną na zawsze potępieni, Becky, więc lepiej uważaj.

– Trzymaj język za zębami, Charleyu Samuelsie. Uważaj, jak się zwracasz do kapłanki Drugiej Generacji. Nie przyszedłam tu rozmawiać z tobą. – Ostentacyjnie odwróciła się do niego plecami i spojrzała na Siwobrodego. – Mistrz zawsze nosi w sercu szczere przebaczenie. Nie życzy wam źle i chciałby zaproponować wam schronienie na noc. Jest takie miejsce, stoi puste, więc moglibyście się tam zatrzymać. To jego propozycja, nie moja, bo inaczej byście jej nie słyszeli. I pomyśleć tylko, że walczyłeś z nim, że tymi łapskami dotknąłeś jego osoby!

– Nie chcemy jego gościnności – odpowiedziała Marta stanowczo. Siwobrody odwrócił się ku niej i wziął ją za rękę.

– Powiedz swemu Mistrzowi, że chętnie skorzystamy z oferty schronienia na noc – powiedział, obracając się przez ramię do Becky. – I dopilnuj, by zaprowadził nas tam ktoś z mniej ciętym językiem.

Kiedy staruszka, szurając nogami, wróciła po trapie na pokład, Siwobrody spojrzał na Martę.

– Nie możemy wyjechać nie dowiedziawszy się więcej o tej młodej dziewczynie Jingadangelowa – powiedział z determinacją. – Musimy wiedzieć, skąd się wzięła i co się z nią stanie. Zresztą, noc zapowiada się niespokojna. Tutaj nic nam nie grozi, a chętnie prześpijemy się w suchych kwaterach. Zostańmy tu.

Marta zmarszczyła to, co w innym życiu byłoby jej brwiami.

– Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo interesuje cię ten niegodny zaufania drań. Już prędzej uwierzę, że trzymają cię tu uroki tej dziewczyny, Chammoj.

– Nie bądź niemądra – powiedział łagodnie.

– Zrobimy tak, jak postanowisz.

Rumień z jego twarzy rozlał się na kopułę czaszki.

– Chammoj na mnie nie działa – oznajmił, po czym odwrócił się, wydając Pittowi polecenie rozładowania łodzi.

Kwatery, które zaproponował Jingadangelow okazały się przyzwoite. Całe Hagbourne składało się z zaśmieconych ruin domów wzniesionych w dwudziestym wieku. Dawniej większość tworzyła komunalne osiedla. W tej części miasta, którą Jingadangelow wybrał dla siebie i swoich podopiecznych, wznosiły się budynki starsze i nie tak pozbawione wyrazu. Roślinność bujnie porastała okolicę. Wiele dzielnic opanowały czarny bez, szczaw, wierzbowka, pokrzywy i wszechobecne jeżyny. Poza miastem świat roślinny wyglądał inaczej. Owce, które dawniej strzygły trawę na zboczach, już dawno zniknęły. Gdy zabrakło stad zjadających młode siewki krzewów i drzew, dawna okrywa jesionów i dębów zaczęła stopniowo wracać, po drodze z korzeniami wyrrywając domy, w których niegdyś mieszkali zjadacze owiec.

Prężny, młody las, wciąż ociekający wodą po niedawnym deszczu, ocierał się o kamienne ściany stodoły, do której skierowano gości. Przednia i tylna ściana budynku zostały niemal zupełnie wyburzone. Na podłodze zalegała warstwa błota. Drewniane schody prowadziły na górę, na niewielki podest, z którego wchodziło się do dwóch pomieszczeń, ciepłych i suchych pod wciąż szczelnym dachem.

Jeszcze do niedawna ktoś w nich mieszkał. Przed podróżnymi otworzyła się perspektywa wygodnie przespanej nocy. Pitt i Charley zajęli jeden pokój, a Marta z Siwobrodym drugi.

Przyrzędzili smaczny posiłek z dwóch młodych kaczek i groszku, który Marta kupiła od kobiet na statku, bo kapłanki, w czasie wolnym od służbowych obowiązków, okazały się skore do targów. Potem sprawdzili, czy w pomieszczeniach nie ma robactwa i stwierdzili, że tej nocy raczej nie muszą się obawiać takiego towarzystwa. Zachęceni tą perspektywą, wcześniej udali się na spoczynek. Siwobrody zapalił lampę. Oboje z żoną zdjęli buty. Marta zajęła się czesaniem i szczotkowaniem włosów, a on zabrał się za czyszczenie lufy strzelby, przeciągając przez nią kawałek szmatki. Wtedy usłyszeli skrzypienie drewnianych schodów.

Siwobrody wstał cicho, załadował broń i wycelował ją w drzwi.

Intruz na schodach najprawdopodobniej usłyszał szczęk zamka.

– Nie strzelaj! – zawołał.

Z sąsiedniej izby dobiegł zaczepny okrzyk Pitta.

– Kogo tam diabli niosą? Powybijam na amen!

– Siwobrody, to ja, Jingadangelow! Chcę z tobą pomówić.

– To teraz już Jingadangelow, a nie Mistrz? – zauważyła Marta.

Algi zgasił lampę i gwałtownie otworzył drzwi. Na zewnątrz zmierzch ociągał się z odejściem. Jingadangelow stał w połowie schodów i trzymał nad głową latarnię. Padający ukosem blask oświetlał tylko jego błyszczące czoło i policzki. Pitt i Charley wyszli na mały balkon, aby przyjrzeć się gościowi.

– Nie strzelajcie, panowie. Jestem sam i nie mam złych zamiarów. Chcę tylko porozmawiać z Siwobrodym. Możecie wracać do łóżek i spać bezpiecznie.

– O tym zadecydujemy sami – powiedział Pitt, ale ton jego głosu świadczył, że już się

uspokoił. – Wcześniej chyba cię przekonał, że nie pozwolimy na żadne bzdury.

– Zajmę się nim, Jeff – odezwał się Siwobrody. – Wchodź na górę, Jingadangelow.

Deski zaskrzypiały pod stopami przybysza, gdy wreszcie wgramolił się na podest. Siwobrody odsunął się na bok, wpuszczając Jingadangelowa do izby. Na widok Marty gość gwałtownie szarpnął biodrami w geście, który u tęgiego mężczyzny miał zastąpić ukłon. Lampę odstawił na kamienną półkę wystającą ze ściany i przez chwilę stał, pociągając się za wargę i przyglądając się gospodarzom. Oddychał ciężko.

– Czy to wizyta towarzyska? – spytała Marta.

– Przyszedłem się z wami ułożyć.

– My się nie układamy. To ty masz interes, nie my – odparł Siwobrody. – Jeśli twoi twardziele chcą odzyskać rewolwery, chętnie je zwrócę rano, gdy będziemy odpływali, jeżeli mi zagwarantujesz, że odpowiednio się zachowają.

– Nie o tym przyszedłem rozmawiać. Ostry ton jest zbyteczny. Przecież i tak macie nade mną przewagę. Chciałbym przedstawić wam pewną propozycję.

– Doktorze Jingadangelow – odezwała się Marta chłodno – zamierzamy wyruszyć wcześniej rano, dlatego proszę, aby od razu przeszedł pan do rzeczy.

– Czy to ma coś wspólnego z tamtą dziewczyną? Z Chammoy? – spytał Siwobrody.

Jingadangelow usiadł na podłodze narzekając, że ktoś będzie mu później musiał pomóc wstać.

– Widzę, że nie mam wyjścia. Muszę wyłożyć niektóre karty na metaforyczny stół. Chciałbym, abyście obydwójcie łaskawie mnie wysłuchali, ponieważ przyszedłem tu zrzucić z siebie pewien ciężar. Chyba wolno mi powiedzieć, że jest mi przykro, iż nie przyjmujecie mnie przyjaźniej. Pomimo tamtego zamieszania na statku wiecie, że mój szacunek do was pozostał niezmienny.

– Chcemy usłyszeć coś więcej o dziewczynie, którą trzyma pan u siebie – powiedziała Marta.

– A tak. Zaraz wam o niej opowiem. Jak zapewne wiecie, wypełniając moje obowiązki, przez całe stulecia przemierzałem środkową Anglię wzdłuż i wszerz. Pod wieloma względami jestem jak bohater Byrona, zmuszony do wędrówki i cierpienia... W trakcie tych peregrynacji rzadko widywałem dzieci. Oczywiście wszystkim wiadomo, że nie powinno ich w ogóle być. Jednakże mam powody by rozważać, czy rzeczywista sytuacja nie jest w dużej mierze inna od tej, w jaką wszyscy uwierzyliśmy. Dochodząc do tego wniosku, rozważyłem wiele czynników, które wam teraz przedłożę.

– Być może pamiętacie tę odległą epokę, zanim pradawna cywilizacja techniczna runęła w gruzy dawno temu, w dwudziestym wieku. Jeśli tak, to na pewno przypomnicie sobie, że wielu specjalistów przedstawiało sprzeczne prognozy tego, co nas spotka, kiedy zostaniemy poddani pełnemu działaniu satelitarnych bomb. Niektórzy uważali, że w ciągu kilku lat wszystko wróci do normy, inni utrzymywali, że akumulacja radioaktywności zniszczy

wszelkie formy życia na tym grzesznym świecie, z którym tak trudno się rozstać. My, którzy dostąpiliśmy łaski przetrwania, wiemy, że obie hipotezy okazały się błędne. Mam rację?

– Tak. Kontynuuj.

– Dziękuję, zamierzam. Inni specjaliści sugerowali, że promieniowanie z Wielkiego Wypadku może wraz z upływem lat zostać wchłonięte przez glebę. Wierzę, że właśnie ta przepowiednia się wypełniła. Co więcej, wierzę, że niektóre młodsze kobiety odzyskały zdolność rodzenia.

– Muszę przyznać, że osobiście nie spotkałem płodnych kobiet, choć kierując się moim nowym powołaniem, pilnie ich poszukiwałem. Z tego powodu byłem zmuszony zastanowić się, co bym zrobił na miejscu kobiety, której minęło niemal sześćdziesiąt wiosen, a która odkryła, że może wydać na świat to, co nazywamy Drugą Generacją? To pytanie raczej teoretyczne. Jak pani by na nie odpowiedziała?

– Co bym zrobiła, gdybym to ja miała urodzić dziecko? – spytała Marta powoli. – Chyba byłabym zachwycona. Przynajmniej tak myślałam przez wiele lat. Jednocześnie jednak nie chciałabym, aby ktokolwiek widział mego potomka. A już na pewno nie zdradziłabym mojego sekretu komuś takiemu, jak pan, z obawy, że zostanę zmuszona do – hm, czegoś w rodzaju przymusowego rodzenia dzieci.

Jingadangelow po profesorsku pokiwał głową. Rozmowa uspokajała go. Powoli odzyskiwał swój dawny polot.

– Dziękuję pani. A zatem ukryłaby się pani razem z potomkiem, bo pozostając wśród ludzi naraziłaby się pani na śmierć, jaka spotkała tę głupią kobietę z okolic Oksfordu, która urodziła dziewczynkę. Jeśli założymy, że kobiet, które mogą rodzić dzieci jest więcej, musimy też przyjąć, że zamieszkują one w odizolowanych osadach, leżących z dala od głównych dróg. Dlatego wieści o narodzinach się nie rozchodzą. Następnie zastanówmy się nad losem potomstwa. Można by pomyśleć, że znajduje się w godnej pozazdrosczenia sytuacji, mając wokół tylu dorosłych, którzy chcą dzieciom dogadzać i je chronić. Głębsza znajomość ludzkiej natury każe nam jednak przypuszczać, że jest odwrotnie. Żal i zazdrość bezdziejnych byłaby nie do zniesienia, a podstarzali rodzice nie zdołaliby się uchronić przed przykrymi skutkami takiej zawiści. Oszalałe na punkcie macierzyństwa wiedźmy i nieplodni starcy kradliby niemowlęta. Małe dzieci stałyby ofiarami tego rodzaju szubrawców, z jakimi musiałem przestawać przed osiemdziesięciu laty, kiedy to dla własnego bezpieczeństwa podróżowałem z wędrownymi handlarzami. Aż trudno sobie wyobrazić, co czekałoby nastoletnie dziewczęta i chłopcy. Można tylko wzdragać się z przerażenia na myśl o seksualnym poniżeniu, na jakie byliby narażeni młodzi...

– Doświadczenia Chammy pewnie potwierdzają wszystko, co mówisz – wtrącił Siwobrody. – Oszczędź sobie hipokryzji, Jingadangelow. Lepiej przejdź do rzeczy.

– Chammy potrzebowała mojej ochrony i moralnej opieki. Poza tym, jestem człowiekiem samotnym. Ale nie o to chodzi. Otóż największym zagrożeniem dla każdego



dziecka byłoby społeczeństwo! Jeśli zastanawiacie się, dlaczego nie ma dzieci, mówię wam, że jeśli istnieją, ukrywają się przed nami w młodych puszczech, jak najdalej od ludzi.

Marta i Siwobrody spojrzeli po sobie. Porozumiewając się wzrokiem, przyznali, że taka teoria niosła ziarno prawdopodobieństwa. Potwierdzały ją liczne pogłoski o skrzatach i małych człekokształtnych stworach kryjących się w lasach i znikających na widok człowieka. Jednak mimo to... Tak trudno było w nią uwierzyć. W ich myślach i ciałach wyschła wiara w żyjące dzieci.

– To wszystko produkt twego szaleństwa, Jingadangelow – powiedział Siwobrody. – Obsesyjnie pragniesz schwytać więcej takich młodych istot. Proszę, zostaw nas już. Nie chcemy słyszeć nic więcej. Mamy własne obsesje, z którymi musimy żyć.

– Zaraz, zaraz! To *ty* jesteś szalony, Siwobrody, nie ja! Czy moje rozumowanie nie było dość jasne? Mam umysł zdrowszy niż ty, z tym twoim tępym uporem dotarcia do ujścia rzeki. – Pochylił się do przodu i załamał ręce z rozpaczą. – Posłuchajcie mnie! Nie mówię wam o tym bez powodu.

– Lepiej żeby był dobry.

– Jest dobry. Chodzi o pomysł. Najlepszy na jaki w życiu wpadłem. Jestem pewien, że wy obydwójce także go docenicie. Jesteście rozumnymi ludźmi i bardzo się cieszę, że ponownie was spotkałem po tylu wiekach. Pomijam ten niefortunny incydent, który miał miejsce dziś rano, ale przyznacie, że ponosicie za to większą winę niż ja. Lepiej puśćmy go w niepamięć. Prawda jest taka, że na wasz widok zapragnąłem się znaleźć w towarzystwie inteligentnych ludzi, a nie głupców, którzy mnie teraz otaczają. – Jingadangelow pochylił się do przodu i zwrócił do Siwobrodego. – Chcę z wszystkiego zrezygnować i wyruszyć z wami tam, dokąd zmierzacie. Oczywiście podporządkuję się bezwarunkowo. To wspaniałe i szlachetne wyrzeczenie. Uczynię je wyłącznie z uwagi na moją duszę oraz dlatego, że znudzili mnie ci imbecyle, którzy za mną podążają.

Przez krótką chwilę ciszy otyły mówca przyglądał się uważnie słuchaczom. Próbował uśmiechnąć się do Marty, ale zmienił zdanie i zacisnął wargi.

– Sam zebrałeś głupców, którzy ci towarzyszą, więc musisz z nimi wytrzymać – powiedział wolno Siwobrody. – Myślę, że tego właśnie nauczyłem się od Marty i to wcale nie milion lat temu: bez względu na to, jaką rolę wybierasz sobie w życiu, potem możesz już tylko wypełniać ją najlepiej, jak potrafisz.

– Na Boga, przecież rola Mistrza nie jest moją jedyną. Chcę o niej zapomnieć.

– Nie wątpię, że możesz grać i tuzin ról, Jingadangelow, ale jestem przekonany, że właśnie w nich tkwi istota ciebie. Muszę być brutalnie szczery – nie chcemy cię wśród nas. Jesteśmy szczęśliwi! Nieważne, jak wiele każdy stracił od tamtego strasznego Wypadku w 1981, jedno na pewno zyskaliśmy: hipokryzja i oszustwa cywilizacji nie są już nam potrzebne. Możemy być tacy, jacy jesteśmy. Ty wprowadziłbyś w nasze grono zamęt, bo w proste czasy wnosisz stary zwyczaj noszenia maski. Jesteś już za stary, by z tego

zrezygnować – ile tysięcy lat już ci stuknęło? – i dlatego nigdy byś nie znalazł wśród nas spokoju.

– Ty i ja jesteśmy filozofami, Siwobrody! Solą ziemi! Chcę dzielić z tobą to proste życie.

– Nie. Nie mógłbyś go dzielić. Potrafiłbyś tylko je zepsuć. Mowy nie ma. Przykro mi.

Algi zdjął lampę z kamiennej półki i włożył ją w rękę Jingadangelowa. Mistrz spojrział na niego, po czym powoli odwrócił głowę, by zobaczyć twarz Marty. Wyciągnął dłoń i chwycił rąbek jej spódnicy.

– Pani Siwobrodowo, pani mąż zhardział od naszego spotkania w Swifford Fair. Proszę na niego wpłynąć. Mówię pani, że na pobliskich wzgórzach są dzieci. Chammy jest jedną z nich. We troje moglibyśmy je wyłapać i zostać ich nauczycielami. Opiekowałyby się nami, a my kształcilibyśmy je w starych naukach. Proszę, niech pani przekona swego bezwzględного męża. Błagam panią.

– Słyszał pan, co mówił Algi. To on jest szefem – odparła.

Jingadangelow westchnął.

– Koniec końców wszyscy jesteśmy sami – powiedział bardziej do siebie niż do nich. – Świadomość ta jest ciężarem.

Powoli podniósł się z podłogi i wyprostował się. Marta także wstała. Jingadangelow wycisnął łzę z prawego oka. Z determinacją stoczyła się z policzka i popłynęła po szerokim podbródku, gdzie zmarszczka zawróciła ją w stronę szyi.

– Zaoferowałem wam moją pokorę, moje człowieczeństwo, a wy je odrzucacie!

– Przynajmniej masz szansę wrócić do boskości.

Gość westchnął i wykonał coś na kształt ukłonu, przy czym ugiął tylko nieznacznie kolana.

– Ufam, że odpłyniecie wcześniej rano. – Po tych słowach odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi i zostawiając ich w ciemnościach.

Marta wsunęła rękę w dłoń męża.

– Co za wspaniałą mowę wygłosiłeś, kochany! Może jednak nie brak ci wyobraźni. Och, jak cudownie usłyszeć, gdy mówisz: „Jesteśmy szczęśliwi!” Jesteś prawdziwie odważnym człowiekiem, mój Algi. Powinniśmy zabrać tego niegodnego zaufania oszusta z nami, jeśli tylko zdołałby częściej prowokować w tobie taką elokwencję.

Po raz pierwszy Siwobrody chciał uciszyć jej słodkie żarty. Nasłuchiwał dźwięków, które Jingadangelow z siebie wydawał, a raczej przestał wydawać. Zrobił zaledwie kilka kroków w dół po skrzypiących stopniach, po czym się zatrzymał. Rozległ się jakiś stłumiony odgłos, którego Timberlane nie rozpoznał i zapadła cisza. Cicho mruknął, odsuwając Martę na bok, wymacał strzelbę w miejscu, gdzie ją odstawił, podniósł ją i pociągnięciem otworzył drzwi.

Lampa Jingadangelowa nadal się paliła, ale nie Mistrz ją trzymał. Stał na dole, unosząc do góry trzęsące się ręce, a wokół niego skakały trzy zdumiewające istoty. Jedna z nich chwyciła lampę i zaczęła nią wymachiwać. Cienie zatańczyły na krokwiach dachu, podłodze i

ścianach budynku.

Postacie wyglądały groteskowo, ale trudno było się im bliżej przyjrzeć w mdłym i migotliwym świetle. Wydawało się, że każda miała po dwie pary nóg i parę rąk. Poruszały się w lekkim przysiadzie. Uszy sterczały im z czaszek. Miały ostre pyszczki i wydłużone brody. Skakały wokół trzęsącego się między nimi człowieka. Przypadkowemu widzowi można by było wybaczyć, gdyby pomylił je ze średniowiecznymi wizerunkami diabła.

Wszystkie włosy w brodzie Siwobrodego zeszywniały od nagłej fali zabobonnego strachu. Odruchowo podniósł strzelbę i wypalił.

Rozległ się ogłuszający huk. Kolejny kawałek ściany w odległym końcu stodoły zawalił się w błoto. Jednocześnie istota tańcząca z latarnią zawyła i upadła. Lampa potłukła się pod stopami uciekających i zgasła.

– O Boże! Marto, daj światło! – zawołał Siwobrody z nagłym strachem. Rzucił się w dół po schodach w chwili, gdy Pitt i Charley wyszli na podest. Charley trzymał lampę.

Z okrzykiem podniecenia Pitt posłał strzałę za uciekającymi figurkami, ale spadła za wcześnie i przez chwilę jeszcze drżała wbita w ziemię. Razem z Charleyem ruszyli na dół do Siwobrodego. Marta szła tuż za nimi, niosąc swoją lampę. Jingadangelow oparł się o najmocniejszą ze ścian i szlochał ze strachu. Nie był ranny.

Na podłodze, skulony pod dwiema borsuczymi skórmi leżał mały chłopiec. Jedną ze skór przewiązał wokół dolnej części ciała, przez co wydawało się, że miał dodatkową parę kończyn; druga niczym maska zasłaniała twarz malca. W dodatku miał ciało wysmarowane kolorową farbą albo błotem. Za pasem tkwił mały nóż. Kula przeszła przez udo chłopaka. Był nieprzytomny i tracił dużo krwi.

Charley i Pitt padli na kolana obok Siwobrodego, który odsłonił borsuczą skórę. Rana była jak choroba tocząca gładką skórę uda chłopca.

Prawie nie docierało do nich bulgotanie Jingadangelowa stojącego nad nimi.

– Zabiliby mnie, gdyby nie ty, Siwobrody. Małe dzikusy! Uratowałeś mi życie! Te złośliwe, małe nicponie zaczęły się tu na mnie! Niedaleko stąd złapałem Chammy i pewnie jej szukały. Nieokrzesańce! Nie mogę pozwolić, by moi wierni tak mnie tu znaleźli! Muszę pozostać Mistrzem! Takie jest moje przeklęte przeznaczenie. Pitt podszedł do niego i stanął z nim twarzą w twarz.

– Nie chcemy już cię tu oglądać. Skończ z tym hałasem i wynoś się stąd.

Jingadangelow zdołał się wyprostować.

– Sądzicie, że chciałbym tu zostać?

Chwiejnym krokiem opuścił stodołę, znikając w nocy spowitej w liście drzew. Marta założyła krępulec na nogę chłopca. Kiedy go zacisnęła, dziecko otworzyło oczy, spoglądając na wzory cieni na dachu. Pochyliła się nad nim i uśmiechnęła się.

– Wszystko będzie dobrze, kochanie – powiedziała.

Łódź wypłynęła wczesnym rankiem, holując małą łódkę Pitta. Pitt siedział w niej samotnie, kiwając głową, czasem się uśmiechając albo drapiąc się w nos. Kiedy wypływali z Hagbourne, niebo było zachmurzone, ale gdy rozpoczęli kolejny etap podróży, która pewnego dnia miała ich zawieść do ujścia rzeki, słońce przebiło się przez chmury i wzmógł się wiatr.

Ruiny portu z parowcem Drugiej Generacji ziały pustką. Odetchnęli z ulgą, gdy nikt z ludzi Jingadangelowa nie przyszedł ich pożegnać. Kiedy trochę się oddalili, na brzegu stanęła samotna postać. Pomachała im. Byli za daleko, by ją rozpoznać.

Gdy wiatr wypełnił żagiel, Siwobrody i Charley wciągnęli wiosła do łodzi. Algi przeszedł na rufę i usiadł przy sterze, obok Marty. Spojrzeli na siebie, ale żadne się nie odezwało.

Ciężkie myśli kłębiły mu się w głowie. Fałszywy Mistrz miał rację przynajmniej co do jednego: dorośli działali przeciwko dzieciom, nawet jeśli ich działania nie były zamierzone. Timberlane sam strzelił do pierwszego dziecka, które ujrzał z bliska! Może człowieka coś dziwnego pchało ku zagładzie.

Na szczęście mieli okazję przekonać się, że w nowym pokoleniu silnie się rozwinął instynkt samozachowawczy – i dobrze, bo liczyło niewielu członków. Malcy bali się ludzi. Ubiorem identyfikowali się bardziej ze zwierzętami niż z oszalałymi matuzalemami, którzy wciąż żyli na ziemi. No cóż, za kilka lat młodej generacji miało być łatwiej.

– Można ich nauczyć, by się nas nie obawiali – powiedział Siwobrody w zamyśleniu. – Po tej istotnej lekcji powinniśmy jak najwięcej im pomagać.

– Oczywiście zrobimy tak, jak postanowisz. Ale to są zupełnie inne istoty. Może lepiej byłoby *nie* uczyć ich, by się nas nie bały – odparła Marta. Wstając położyła dłoń na ramieniu męża.

Siwobrody zamyślił się nad znaczeniem tej uwagi patrząc, jak Marta przechodzi na dziób. Pochyliła się nad zaimprovizowanymi noszami i z uśmiechem zaczęła zmieniać opatrunek małego Artura. Przez chwilę mąż przyglądał się jej postaci, jej dłoniom, jej twarzy i dziecku spoglądającemu z powagą w jej oczy.

Potem odwrócił głowę. Jedną dłoń oparł na strzelbie, a drugą unióś nad czoło, udając, że patrzy na horyzont, na którym ciągnęły się wzgórza.